

PORTRET W SEPII

Isabel Allende

*Carmen Balcels i Ramonowi Huidobro – urodzonym tego samego dnia pod znakiem
Lwa*

*Dlatego muszę wrócić w miejsca,
które dopiero mnie czekają,
by spotkać tam samego siebie
i szukać prawdy o samym sobie,
za świadka mając tylko księżyc;
potem z radości mogę gwizdać
depcząc po skałach i po grudach,
za cel jedyny mając życie,
a za rodzinę tylko drogę.*

Paulo Neruda

Wiatr (z tomu Koniec świata)¹

¹ *El viento* from *Fin de Mundo* by Pablo Neruda (© 1969)

Część pierwsza
1862-1880

Przyszłam na świat pewnego jesienno wtorku 1880 roku w San Francisco, w przywodzącym na myśl labirynt domu moich dziadków ze strony matki. Kiedy moja matka dyszała niczym wspinający się pod górę piechur, jej waleczne serce waliło jak oszalałe, a kości rozsuwały się w rozpaczliwym trudzie utorowania mi drogi wyjścia, za oknami kipiało już nieokiełznane życie chińskiej dzielnicy, unosił się wieczny aromat egzotycznych potraw, głośno szumiał potop krzykliwych dialektów, sunął nieprzebrany tłum zmierzających w różnych kierunkach ludzkich mrówek. Urodziłam się o świcie, ale w Chinatown czas rządzi się własnymi prawami i jest to właśnie pora targu, na ulice wyjeżdżają dwukołowe wozy i słychać smutne poszczekiwanie psów oczekujących w klatkach na rzeźnicki nóż. Okoliczności, w jakich przyszłam na świat, poznałam dopiero, kiedy dorosłam, ale byłoby gorzej, gdybym nigdy się o nich nie dowiedziała: mogłyby wówczas rozplątać się na zawsze w przepastnych zakamarkach niepamięci. W mojej rodzinie jest tyle tajemnic, że na rozwikłanie wszystkich może mi nie starczyć czasu: prawda jest ulotna, obmywana potokami deszczu. Dziadkami przyjęli mnie ze wzruszeniem – mimo że zdaniem naocznych świadków byłam brzydactwem – i położyli mojej matce na piersi, gdzie leżałam skulona przez kilka jedynych minut, jakie dane nam było być razem. Pptem wuj Lucky chuchnął mi prosto w twarz, żeby przekaż mi swoje szczęście w życiu. To był szczodry gest, a i metoda niezawodna, bo jak na razie, przez pierwszych trzydzieści lat mam się dobrze. Ale chwileczkę, nie powinnam wybiegać do przodu. To długa historia, a rozpoczyna się wiele lat przed moim narodzeniem. Trzeba cierpliwości, aby ją opowiedzieć, i należy uzbroić się w jeszcze większą cierpliwość, aby ją wysłuchać. Skoro powinniśmy zacząć od jakiegoś konkretnego momentu, zacznijmy od roku 1862 i powiedzmy, ot tak, na chybił trafił, że ta historia rozpoczyna się od pewnego mebla o niewiarygodnych rozmiarach.

Łóżko Pauliny del Valle zostało zamówione we Florencji, rok po koronacji Wiktora Emanuela, kiedy w nowym Królestwie Włoch pobrzmiwało jeszcze echo strzałów wojsk Garibaldi. Rozebrane na części przepłynęło ocean w ładowni genueńskiego transatlantyku, wylądowano je w Nowym Jorku w dniach krwawego strajku i przeniesiono na pokład jednego z parowców towarzystwa żeglugowego należącego do Rodriguezów de Santa Cruz, czyli do moich dziadków ze strony ojca, Chilijczyków osiadłych w Stanach Zjednoczonych. Odbiór skrzyń, opisanych jednym tylko słowem po włosku: *nayades*, pokwitował kapitan John Sommers. Ten krzepki angielski marynarz, po którym został mi tylko wyblakły portret i pełen intrygujących rękopisów kufer ze skóry zniszczonej podczas niezliczonych przepraw morskich, był moim pradziadkiem, jak dowiedziałam się niedawno, gdy powikłana historia mego wczesnego dzieciństwa zaczęła wreszcie się rozjaśniać po latach tajemnic. Nie znałam kapitana Johna Sommersa, ojca Elizy Sommers, mojej babki ze strony matki, ale odziedziczyłam po nim zamiłowanie do włości. Temu wilkowi morskiemu, przywodzącemu na myśl niezmierną dal i słoną wodę, przypadło w udziale przewiezienie florenckiego łoża aż na zachodnie wybrzeże kontynentu amerykańskiego. Musiał wymknąć się z blokady Jankesów i zmylić pościg konfederatów, dotarł do południowych kresów Atlantyku, przepłynął zdradzieckie wody Cieśniny Magellana, wpłynął na Ocean Spokojny, po drodze zawijając na krótko do kilku portów południowoamerykańskich, i skierował statek

ku północnej Kalifornii, niegdysiejszemu eldorado. Otrzymał wyraźne polecenie, by otworzyć skrzynie na molo w San Francisco, dopilnować okrętowego stolarza, aby nie uszkodził rzeźbionych ozdób, gdy będzie składał niczym łamiętkę poszczególne części łóżka, a potem miał położyć na wierzchu materac i brokatową narzutę w kolorze rubinowym, wreszcie umieścić ciężki mebel na dwukółce i kazać wieźć go powoli do centrum miasta. Woźnica miał przykazane objechać dwa razy Plaza de la Unión i zrobić jeszcze dwie rundy, dzwoniąc dzwoneczkiem pod balkonem konkubiny mojego dziadka, a dopiero potem zawieźć łóżko do miejsca przeznaczenia czyli do domu Pauliny del Valle. Wszystko to działo się w chwili, gdy wokół szalała wojna domowa, oddziały Jankesów i konfederatów masakrowały się wzajemnie na południu kraju i nikomu nie były w głowie żarty ani jakieś dzwoneczki. John Sommers wydał stosowne instrukcje, przeklinając w duchu, bo podczas miesięcy żeglugi łóżko stało się dla niego symbolem tego, czego najbardziej w swojej pracy nie znosił: kaprysów chlebobawczyń, Pauliny del Valle. Ujrawszy łożo załadowane na wóz, westchnął głęboko i postanowił, że będzie to ostatnie zadanie, jakie dla niej wykonuje: pracował u Pauliny del Valle dwanaście lat i jego cierpliwość właśnie się wyczerpała. Łóżko zachowało się do dziś i jest w doskonałym stanie, przypomina zwalistego dinozaura z polichromowanego drewna. U węzłowia zdobią je płaskorzeźby przedstawiające otoczonego podwodnymi stworzeniami Neptuna wśród spienionych fal, a w nogach baraszkuje delfiny i syreny. Imponujący mebel obejrzała w ciągu kilku godzin połowa mieszkańców San Francisco, ale nie widziała go kochanka mojego dziadka, dla której przeznaczone było całe to widowisko, bo ukryła się w domu na czas, gdy wóz przejeżdżał obok, a potem robił kolejne rundy z akompaniamentem dzwonka.

- Mój triumf nie trwał długo - wyznała mi Paulina wiele lat później, gdy uparłam się, żeby zrobić fotografię łóżka i poznać szczegóły tej historii. - Cały żart obrócił się przeciwko mnie. Myślałam, że ludzie będą sobie drwić z Feliciano, ale drwili ze mnie. Źle ich oceniłam. Kto mógł się spodziewać takiej dwulicowości? W tamtych czasach San Francisco było siedliskiem skorumpowanych polityków, rzezimieszków i kobiet o wątpliwej reputacji.

- Nie spodobała im się taka manifestacja - powiedziałam.

- Właśnie. Uważa się, że kobieta powinna chronić dobre imię swego męża, nawet jeśli jest draniem

- Babci mąż nie był draniem - zaproponowałam.

- Nie był, ale robił różne głupstwa. W każdym razie nie żałuję, że zamówiłam to słynne łóżko, śpię w nim od czterdziestu lat.

- A co zrobił babci mąż, gdy jego romans się wydał?

- Powiedział, że trwonię czas na głupstwa niczym Kaligula, gdy tymczasem kraj wykrwawia się w wojnie domowej. I oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Nikt, kto ma trochę oleju w głowie, nie przyzna się do zdrady, choćby został nawet przyłapany w łóżku.

- Mówi to babcia z własnego doświadczenia?

- Wiele bym dała, żeby tak było w istocie, Auroro! - odparła bez wahania Paulina del Valle.

Na pierwszej fotografii, którą jej zrobiłam, gdy miałam trzynaście lat, Paulina siedzi w swym sławetnym łożu, wsparta na poduszkach z haftowanej satyny, w koronkowej koszuli nocnej i ma na sobie z pół kilo klejnotów. Taką widywałam ją wielokrotnie i wolałabym, żeby została pochowana w takim stroju, ale ona chciała, by złożono ją do grobu w skromnym

habicie karmelitanki i zamawiano przez kilka lat śpiewane msze za spokój jej duszy. „Wywołałam już wiele zgorszenia, nadszedł czas, by spuścić z tonu”, powiedziała, pogrążając się w ponurej melancholii ostatnich lat życia. Gdy spostrzegła, że dobiega kresu swej drogi, przestraszyła się. Kazała znieść łóżko do piwnicy, a na jego miejsce wstawić drewnianą pryczę z materacem z końskiego włosia, żeby po latach zbytku dokonać żywota skromnie i bez zbędnego luksusu, bo, jak powiedziała, może wtedy święty Piotr wymaże obciążające ją zapiski z księgi grzeszników. Strach nie był jednak na tyle duży, żeby skłonić ją do wyzbycia się innych dóbr materialnych, więc do ostatniego tchnienia dzierżyła ster swego finansowego imperium, znacznie już w owym czasie okrojonego. Na starość niewiele pozostało z jej młodzieńczej werwy, znikła nawet ironia, a jednak moja babka stała się legendą za życia i nie mógł jej w tym przeszkodzić żaden materac z końskiego włosia ani habit karmelitanki. Sprowadzenie florenckiego łoża, które dla zaspokojenia własnej zachcianki i ukarania męża kazała wozić po głównych ulicach, należało do jej największych wyczynów.

W owym czasie mieszkali w San Francisco, używając nazwiska „Cross”, ponieważ żaden Amerykanin nie potrafił wymówić dźwięcznego „Rodriguez de Santa Cruz y del Valle”, a szkoda, bo w tym nazwisku pobrzmiwają odległe odgłosy inkwizycji. Przeprowadzili się właśnie do dzielnicy Nob Hill, wystawiając tam rezydencję niedorzecznych rozmiarów, jedną z najbardziej zbytkownych w mieście, której budowa była koszmarem dla różnych rywalizujących ze sobą architektów, przyjmowanych do pracy i zwalnianych co pięć minut. Rodzina Rodriguezów de Santa Cruz y del Valle dorobiła się fortuny podczas gorączki złota w 1849 roku, ale nie na jego wydobywaniu, jak chciał Feliciano, lecz dzięki temu, że Paulina miała wspaniałą żyłkę do interesów i wpadła na pomysł, by transportować z Chile do Kalifornii świeżą żywność obłożoną lodem z Antarktydy. Umiała wykorzystać okoliczność, że w tamtej burzliwej epoce brzoskwinia kosztowała uncję złota. Przedsięwzięcie okazało się bardzo intratne i dorobili się flotylii statków kursujących między Valparaíso i San Francisco; w pierwszym roku statki pokonywały drogę powrotną bez ładunku, ale wkrótce zaczęły przewozić kalifornijską mąkę. Doprowadzili w ten sposób do ruiny wielu chilijskich rolników, nawet ojca Pauliny, budzącego postrach Agustina del Valle, którego zboże zrobaczywiało w spichlerzach, bo jego produkt nie mógł współzawodniczyć z bielusięnką mąką Jankesów. Agustin del Valle wpadł we wściekłość, od której robak stoczył mu także wątrobę. Gdy gorączka złota opadła, tysiące poszukiwaczy przygód wróciło w rodzinne strony w większej nędzy niż ta, która ich po złoto wyгнаła, zmarnowawszy zdrowie i zatraciwszy duszę w pogoni za mrzonką. Ale Paulina i Feliciano dorobili się majątku. Znaleźli się na szczycie hierarchii społecznej San Francisco, pomimo że ich hiszpański akcent stanowił po temu przeszkodę niemal nie do pokonania. „Wszyscy w Kalifornii to nuworysze i ludzie podłego stanu, ale nasze drzewo genealogiczne sięga czasów krucjat” - uciniała wszelkie dyskusje Paulina, nim dała w końcu za wygraną i wróciła do Chile. Oprócz szlacheckich tytułów i kont w bankach wszystkie drzwi otwierało przed nimi pogodne usposobienie Feliciano, który zaprzyjaźnił się z najpotężniejszymi ludźmi w mieście. Jego żonę natomiast z trudem tolerowano, bo ostentacyjnie obnosiła się ze swoim bogactwem, była złośliwa i traktowała innych z lekceważeniem, nie zważała na nic ani na nikogo. Powiedzmy sobie szczerze: przy pierwszym kontakcie Paulina budziła w ludziach fascynację pomieszaną ze strachem, niczym iguana, dopiero przy bliższym poznaniu można było dostrzec jej zyczliwe usposobienie.

W 1862 roku Paulina namówiła męża do udziału w przedsięwzięciu handlowym związanym z budową kolei transkontynentalnej, co ostatecznie uczyniło z nich ludzi bogatych. Nie rozumiem, skąd się wziął u tej kobiety taki talent do interesów. Pochodziła z rodziny chilijskich właścicieli ziemskich, ludzi ubogich duchem i o wąskich horyzontach myślowych. Wychowała się w czterech ścianach rodzinnego domu w Valparaíso, odmawiając różaniec i zajmując się haftowaniem, ponieważ jej ojciec uważał, że kobiety i biedacy nie powinni za dużo wiedzieć, bo niewiedza gwarantuje posłuszeństwo. Z trudem składała litery i opanowała zaledwie podstawy arytmetyki, nie przeczytała w życiu ani jednej książki i pomagała sobie palcami przy dodawaniu (odejmować w ogóle nie umiała), ale wszystko, czego się dotknęła, od razu zmieniał się w złoto. Gdyby nie synowie i kuzyni, trwoniący pieniądze na prawo i lewo, dożyłaby swoich dni otoczona cesarskim przepychem. W owym czasie budowano linię kolejową, która miała połączyć wschód z zachodem Stanów Zjednoczonych. Gdy wszyscy kupowali akcje dwu towarzystw kolejowych i zakładali się o to, które szybciej ułoży szyny, ona, lekceważąc całkowicie ten niedorzeczny wyścig, rozłożyła mapę na stole w jadalni i z wnikliwością urodzonego topografa przyjrzała się terenom, po których miała przebiegać przyszła linia kolejowa, oraz miejscom, które na tej trasie obfitowały w wodę. Na długo przedtem, nim niewykwalifikowani chińscy robotnicy wkręcili ostatnią śrubę i połączyli szyny kolejowe w Promotory w stanie Utah, nim pierwsza lokomotywa przemierzyła kontynent z żelaznym zgrzytem, dymiąc z komina jak wulkan i bucząc niczym tonący statek, Paulina namówiła męża, żeby kupił ziemię w miejscach zaznaczonych na mapie czerwonymi krzyżykami.

- W tych miejscach jest woda, więc będą tu zakładać osady, a my w każdej osadzie będziemy mieli sklep - tłumaczyła.

- Na to potrzeba wielkich pieniędzy - wykrzyknął z przerażeniem Feliciano.

- Pożycz je, po to są banki. Po co ryzykować własny kapitał, skoro możemy posłużyć się cudzym? - odparła Paulina, używając zwykłego w takich razach argumentu.

Prowadzili właśnie negocjacje z bankami i kupowali tereny na trasie przecinającej w poprzek cały kraj, gdy wybuchła sprawa z konkubiną. Chodziło o niejaką Amandę Lowell, aktorkę o bardzo ponętym wyglądzie. Była Szkotką, miała mleczną cerę, oczy w kolorze szpinaku i ciało apetyczne niczym brzoskwinia, jak zapewniali ci, którzy mieli okazję to sprawdzić. Śpiewała i tańczyła niezbyt dobrze, ale robiła to z werwą, występowała w tanich komedijkach i swoją obecnością ożywiała atmosferę przyjęć w zamożnych rezydencjach. Miała czasem przy sobie przywiezionego z Panamy węża; był długi, gruby i potulny, choć o przerażającym wyglądzie, i owijał jej się wokół ciała, gdy wykonywała egzotyczne tańce. Nie było podstaw, by podejrzewać go o jakieś mordercze zamiary aż do pewnego niefortunnego wieczoru, kiedy to Amanda wystąpiła w diademie z piór wplecionym we włosy, a wąż pomylił fryzurę z jakąś zabłąkaną przypadkiem papugą i usiłując ją połknąć, o mało swej pani nie udusił. Piękna Lowell nie zaliczała się do wielotysięcznej rzeszy „splamionych gołąbeczek”, tak aktywnych w życiu uczuciowym Kalifornii. Była wyniosłą kurtyzaną i aby zdobyć sobie jej względy, trzeba było nie tylko dysponować gotówką, lecz wykazać się ponadto dobrymi manierami i urokiem osobistym. Dzięki hojności swych opiekunów prowadziła dostatnie życie i mogła jeszcze wspierać całą gromadę pozbawionych talentu artystów. Było jej pisane umrzeć w nędzy, bo albo rozdawała pieniądze, albo wydawała je bez opamiętania. Kiedy w pełnym rozkwicie młodości przechadzała się po mieście, jej powabna

sylwetka i lwia grzywa rudych włosów powodowały poważne zakłócenia w ruchu ulicznym, jednak skłonność do wywoływania skandali mocno osłabiała powodzenie, jakim się cieszyła: w przypływie złości potrafiła zniszczyć czyjeś dobre imię albo zrujnować rodzinę. To było dla Feliciano dodatkową zachętą; lubił ryzyko i perspektywa igrania z ogniem kusila go równie mocno jak jędrne pośladki panny Lowell. Wynajął jej mieszkanie w samym centrum miasta, ale nigdy nie pokazywał się z nią publicznie, ponieważ znał zbyt dobrze charakter swojej żony; kiedyś w przypływie zazdrości obcięła nożyczkami nogawki i rękawy wszystkich jego garniturów i rozrzuciła skrawki pod drzwiami jego biura. Dla mężczyzny tak eleganckiego jak on, który ubrania szyl na miarę u krawca księcia Alberta w Londynie, było to prawdziwym ciosem.

W San Francisco, mieście mężczyzn, żona dowiadywała się o niewierności męża ostatnia. Ale do Pauliny wiadomość dotarła szybko dzięki samej Lowell. Gdy tylko zamykały się drzwi za jej opiekunem, przyjmowała kolejnych kochanków i po każdej wizycie nacinała kreskę na ramie łóżka. Była kolekcjonerką, nie interesowali jej mężczyźni ze względu na ich szczególne zalety, interesowała ją liczba kresek: miała ambicję, by pobić rekord fascynującej Loli Montez, kurtyzany irlandzkiej, która przemknęła przez San Francisco w czasach gorączki złota niczym iskrząca się gwiazda. Plotkę o kreskach nacinanych przez Lowell przekazywano sobie z ust do ust, a panowie kłócili się o kolejność składania jej wizyt znęceniu zarówno wdziękami samej ślicznotki, z którą wielu zdążyło już zawrzeć całkiem bliską znajomość, jak i powodowani ambicją przespania się z utrzymanką jednego z najszacowniejszych mieszkańców miasta. Wiadomość dotarła do Pauliny del Valle, nim zdążyła obieć całą Kalifornię.

- Najbardziej upokarzające jest to, że ta dowcipnisia przyprawia ci rogi i teraz wszyscy gadają, że mam za męża frajera bez jaj! - pomstowała Paulina na męża, nie przebierając w słowach.

Feliciano Rodriguez de Santa Cruz, który nie wiedział nic o kolekcjonerskiej pasji swojej kochanki,omal nie umarł ze wstydu. Nie przyszło mu do głowy, że przyjaciele, znajomi, a w końcu ludzie, którzy bardzo dużo mu zawdzięczali, mogą tak się z niego wyśmiewać. Nie obwiniał natomiast Amandy, ponieważ miał zrozumienie dla kapryśnej natury kobiet, stworzeń uroczych, lecz pozbawionych kośćca moralnego, zawsze skorych do ulegania pokusie. One są związane z ziemią, z płodnością, krwią, z funkcjami organicznymi, domena mężczyzn zaś to bohaterskie czyny, wielkie idee i, choć nie był to akurat jego przypadek, ich przeznaczeniem jest świętość. Bronił się jak mógł, odpierając ataki żony, a chwilę przerwy w awanturze wykorzystał, by uczynić jej wyrzut o ryglowanie drzwi do małżeńskiej sypialni. Czy wyobraża sobie, że mężczyzna taki jak on zgodzi się na życie w abstynencji? Sama jest wszystkiemu winna, ponieważ go odrzuciła, argumentował. Co do ryglowania drzwi to miał całkowitą rację, Paulina zrezygnowała z cielesnych uciech nie dlatego bynajmniej, by brakło jej ochoty, jak wyznała mi czterdzieści lat później, ale ze wstydu. Własne odbicie w lustrze napęliło ją wstrętem i doszła do wniosku, że każdy mężczyzna zareagowałby podobnie, widząc ją nagą. Pamiętała dobrze tę chwilę, gdy uświadomiła sobie, że ciało staje się jej wrogiem. Kilka lat wcześniej, gdy Feliciano wrócił z długiej podróży w interesach do Chile, chwycił ją w talii i, tryskając jak zawsze dobrym humorem, chciał podnieść do góry i zanieść do łóżka, ale nie mógł jej dźwignąć.

- Do licha, Paulino! Nosisz kamienie w pantalonach? - spytał ze śmiechem.

- To tłuszcz - westchnęła smutno.

- Chcę to zobaczyć!

- W żadnym wypadku. Od dzisiaj możesz przychodzić do mego pokoju tylko nocą. I nie zapalaj lampy.

I przez pewien czas chodzili do łóżka po ciemku, choć kiedyś kochali się bez odrobiny wstydu. Paulina pozostała nieugięta mimo błagań i wybuchów złości męża, który nie chciał się pogodzić, że musi szukać jej pod stertą prześcieradeł w sypialni pogrążonej w całkowitej ciemności albo dotykać jej niczym jakiś ksiądz, w pośpiechu, gdy ona ciągle powstrzymywała jego dłonie, by nie spoczęły na jej obfitych kształtach. Ciągła walka wyczerpywała oboje do cna i sprawiała, że nerwy mieli napięte jak postronki. Wreszcie, korzystając z pretekstu, jakiego dostarczyła przeprowadzka do nowej rezydencji w Nob Hill, Paulina umieściła męża w przeciwnym krańcu domu i zaryglowała drzwi do swego pokoju. Niechęć do własnego ciała okazała się silniejsza niż pożądanie, jakie budził w niej mąż. Szyja znikła pod podwójnym podbródkiem, piersi połączyły się z brzuchem w jedną wypukłość jak u księdza dobrodzieja, stopy nie dawały rady utrzymać ciężaru ciała dłużej niż kilka minut, nie mogła się sama ubrać ani zapiąć sobie pantofli, jednak w jedwabnych sukniach i obwieszona wspaniałymi klejnotami, czyli w swoim codziennym niemal stroju, wyglądała jak cudowne zjawisko. Bardzo się martwiła, że pot zbiera jej się między fałdami tłuszczu, i często pytała mnie szeptem, czy aby brzydko nie pachnie, ale nigdy nie czułam od niej zapachu innego niż woń gardenii i talku. Odrzucała panujący wtedy powszechny przesąd, że woda i mydło szkodzą na oskrzela, i całymi godzinami płała się w emaliowanej żeliwnej wannie - czuła się wtedy tak lekka jak w młodości. Gdy zakochała się w Felicianie, był on przystojnym i ambitnym młodym człowiekiem, właścicielem kilku kopalni srebra na północy Chile. Przez miłość do niego naraziła się na złość ojca, Agustina del Valle, słynnego założyciela kanapowej partii ultrakonserwatywnej, która co prawda znikła ze sceny ponad dwadzieścia lat temu, ale co jakiś czas wynurza się z niebytu niczym żaloszny, oskubany z piór feniks. Powodowała ją ciągle ta sama miłość, gdy - osiągnąwszy wiek, w którym bardziej niż kiedykolwiek tęskniła do czułości - postanowiła zabronić mu wstępu do swej sypialni. W odróżnieniu od Pauliny, Feliciano starzał się z wdziękiem. Włosy mu posiwiały, ale był ciągle zażywnym, wesołym mężczyzną, zwariowanym i namiętym. Paulinie podobało się jego prostackie usposobienie, lubiła myśleć, że ten zamożny człowiek o wyniośle brzmiących nazwiskach wywodzi się z sefardyjskich Żydów i że pod jedwabną koszulą z haftowanymi inicjałami skrywa ordynarny tatuaż, który kazał sobie zrobić podczas jakiejś pijatyki w porcie. Pragnęła znowu usłyszeć te świństwa, które szeptał jej do ucha w czasach, gdy jeszcze baraszkowali w łóżku przy zapalonych lampach, i oddałaby wszystko za to, by raz jeszcze zasnąć z głową na smoku wytatuowanym niebieskim tuszem na ramieniu męża. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że on pragnie tego samego. Dla Feliciano pozostała na zawsze odważną narzeczoną, z którą uciekł w młodości, jedyną kobietą, którą podziwiał i przed którą czuł respekt. Myślę, że tych dwoje nigdy nie przestało się kochać, mimo kłótni gwałtownych niczym cyklon i przyprawiających o dygot wszystkich domowników. Czułe uściski, które dawniej dawały im tyle szczęścia, ustąpiły miejsca bitwom przerywanym długotrwałymi zawieszzeniami broni i pamiętnymi odwetami, jak słynne florenckie łoże. Żaden konflikt nie zaszkodził jednak ich wzajemnych stosunkom i do samego końca, gdy on padł nagle rażony apopleksją, łączyło tych oboje godne zazdrości łotrzykowskie porozumienie.

Kiedy kapitan John Sommers upewnił się, że mebel z mitologiczną ornamentyką znajduje się na wózku, a woźnica zrozumiał wydane mu polecenia, ruszył piechotą w kierunku Chinatown, jak robił to zawsze, ilekroć przyplływał do San Francisco. Tym razem jednak czuł się słaby i minawszy dwie przecznice, przywołał ręką powóz. Z trudem wspiął się na stopień, podał woźnicy adres i ciężko dysząc, opadł na oparcie siedzenia. Dolegliwości dawały o sobie znać już od roku, ale w ostatnich tygodniach wyraźnie się nasiliły: nogi robiły się miękkie, głowę wypełniał męczący szum i musiał mobilizować wszystkie siły, żeby nie poddać się ołepieniu. Siostra Johna Rose pierwsza zauważyła, że coś jest nie tak, choć on sam nie odczuwał jeszcze bólu. Uśmiechnął się na myśl o niej: była najbliższą mu i najukochańszą istotą, gwiazdą przewodnią w jego koczowniczym życiu, jej uczucie było dla niego bardziej rzeczywiste niż miłość córki Elizy, nie mówiąc już o którejkolwiek z wielu kobiet, które brał w objęcia podczas długich wędrówek od portu do portu.

Rose Sommers spędziła młodość w Chile, w rezydencji swego starszego brata Jeremy'ego, ale po jego śmierci wróciła do Anglii, żeby na starość znaleźć się w rodzinnych stronach. Mieszkała w Londynie, w domu położonym nieopodal opery i kilku teatrów, w dzielnicy nieco podupadłej, gdzie mogła wieść życie wedle własnych upodobań. Przedtem była tylko zapobiegliwą gospodynią domu Jeremy'ego, teraz mogła dać upust swoim ekscentrycznym gustom. Upozowana na aktorkę, która lata świetności i sławy ma już za sobą, chadzała do Savoya na filiżankę herbaty albo wychodziła na spacer z psem, przebrana za rosyjską hrabinę, przyjaźniła się z żebrakami i z grajkami ulicznymi, wydawała pieniądze na głupstwa i na jałmużnę. „Nic nie daje tyle wolności, co wiek” - powtarzała szczęśliwa, licząc zmarszczki. „To nie wiek, siostrzo, ale dobra sytuacja finansowa, na którą zapracowałeś piórem” - odpowiadał John Sommers. Ta czcigodna i siwa jak gołąbek stara panna dorobiła się całkiem sporego majątku, pisząc powieści pornograficzne. Najzabawniejsze, myślał sobie kapitan, że właśnie teraz, gdy nie musi już się z tym ukrywać, co było konieczne wówczas, gdy żyła w cieniu swego brata, zarzuciła pisanie erotycznych opowiadań i w szaleńczym tempie zaczęła produkować romanse, odnosząc niebywały sukces na rynku. Wśród kobiet, dla których angielski był językiem ojczystym, a należy wliczyć w to grono również królową Wiktorię, nie było takiej, która nie przeczytałaby przynajmniej jednego albo dwóch romansów pióra lady Rose Sommers. Ten dystyngowany tytuł zalegalizował jedynie pozycję, jaką Rose zdobyła sobie szturmem przed wieloma laty. Gdyby królowa Wiktoria dowiedziała się, że jej ulubiona pisarka, uhonorowana przez nią osobiście tytułem szlacheckim, jest autorką pokażnej kolekcji nieprzyzwoitych opowiadań, podpisanych przez „Anonimową damę”, padłaby zemdlona. Kapitan uważał, że pornograficzne dziełka były smakowite, a powieści o miłości nudne i nic niewarte. Przez wiele lat troszczył się o wydawanie i rozpowszechnianie zakazanych opowiadań pisanych przez Rose pod nosem starszego brata, który umarł w przekonaniu, że siostra jest cnotliwą panią troszczącą się jedynie o uprzyjemnianie mu życia. „Uważaj na siebie, Johnie, nie możesz zostawić mnie samej na świecie. Jesteś wychudzony i masz niezdrowy kolor skóry” - powtarzała mu codziennie Rose, gdy kapitan odwiedził ją w Londynie. Od tamtego czasu w jego wyglądzie zaszły nieubłagane zmiany, sprawiając, że przypominał jaszczurkę.

Tao Chi'en kończył właśnie wyciągać igły z uszu i ramion pacjenta leczonego akupunkturą, kiedy pomocnik powiadomił go o przybyciu teścia. *Zhong yi* odłożył starannie złote igły do naczynia z czystym alkoholem, umył ręce w miednicy, włożył marynarkę i

poszedł powitać gościa, zdziwiony, że Eliza nie uprzedziła go o dzisiejszej wizycie ojca. Każde odwiedziny kapitana Sommersa były świętem. Rodzina czekała na nie z utęsknieniem, szczególnie dzieci, które godzinami podziwiałały egzotyczne podarunki i słuchały opowieści dziadka-olbrzyma o morskich potworach i malajskich piratach. Wysoki, zwalisty, o twarzy ogorzałej od słonego wiatru wszystkich mórz świata, z rozwianą brodą, o głosie donośnym niczym grzmot i niewinnych, błękitnych oczach dziecka, kapitan budził zwykle zachwyt swą odzianą w niebieski mundur postacią. Jednak człowiek, którego Tao Chi'en ujrzał tym razem w fotelu, był tak drobny, że z trudnością rozpoznał w nim swego teścia. Powitał go z uszanowaniem, skłaniając się kilkakrotnie na chińską modłę, bo nigdy nie przezwyciężył tego odruchu. Poznał Johna Sommersa w młodości, kiedy pracował jako kucharz na jego statku. „Masz do mnie mówić p r o s z ę p a n a . Zrozumiano, Chińczyku?” - rozkazał kapitan, gdy spotkali się po raz pierwszy. Obydwaj mieliśmy wtedy ciemne czupryny, pomyślał Tao Chi'en, i wobec tej widocznej zapowiedzi zbliżającej się śmierci poczuł ukłucie bólu. Anglik z wysiłkiem podniósł się z fotela, podał mu rękę. *Zhong yi* spostrzegł, że jest teraz wyższy i potężniejszy od kapitana.

- Czy Eliza spodziewała się pana dzisiaj? - zapytał.

- Nie. Musimy porozmawiać na osobności, tylko pan i ja, Tao. Umieram.

Zhong yi zrozumiał to natychmiast, kiedy tylko go zobaczył. Bez słowa poprowadził kapitana do gabinetu, pomógł mu się rozebrać i ułożyć na leżance. Pozbawiony ubrania wyglądał żałośnie: gruba, wysuszona skóra o miedzianym odcieniu, pożółkłe paznokcie, przekrwione oczy, wzdęty brzuch. Najpierw go osłuchał, a potem zmierzył tętno przy nadgarstkach, na szyi i przy kostkach u nóg. Chciał utwierdzić się w tym, co i tak już wiedział.

- Ma pan całkowicie zniszczoną wątrobę. Pije pan nadal?

- Trudno wymagać, żebym zarzucił coś, co robię całe życie, Tao. Myśli pan, że można wytrwać w zawodzie marynarza, nie pociągając sobie łyżeczka od czasu do czasu?

Tao uśmiechnął się. Zazwyczaj Anglik wypijał pół butelki dzinu dziennie, ale kiedy trzeba było odegnać jakiś smutek albo coś uczcić, wypijał całą butelkę i wcale nie było tego po nim widać: nie cuchnął alkoholem, bo całe ubranie i oddech miał przesiąknięte mocnym zapachem tytoniu marnej jakości.

- Poza tym już za późno na skruchę, prawda? - dodał John Sommers.

- Może pan żyć trochę dłużej i w lepszej kondycji, jeśli przestanie pan pić. Dlaczego pan trochę nie odpocznie? Proszę zamieszkać z nami przez jakiś czas, Eliza i ja zaopiekujemy się panem, dopóki pan nie wydobrzeje - zaproponował *zhong yi*, nie patrząc na teścia, żeby nie zdradzić się ze swoim przygnębieniem. Pracując od wielu lat jako lekarz, musiał często, tak jak dzisiaj, toczyć wewnętrzną walkę, by nie ulec uczuciu straszliwej bezsilności, jakie zwykle go ogarniało, gdy przekonywał się ponad wszelką wątpliwość o niewielkich możliwościach swej lekarskiej sztuki wobec tragedii śmiertelnie chorego człowieka.

- Miałbym się dobrowolnie oddać w ręce Elizy? Żeby mnie skazała na abstynencję?! Ile czasu mi zostało, Tao? - spytał John Sommers.

- Nie potrafię tego dokładnie określić. Proszę zasięgnąć rady u kogoś innego.

- Tylko pana opinia się dla mnie liczy. Odkąd wyrwał mi pan bezboleśnie ząb w połowie drogi między Indonezją i wybrzeżem Afryki, nie pozwoliłem, żeby jakiś inny lekarz dotykał mnie swoimi łapskami. Ile to już minęło czasu?

- Będzie piętnaście lat. Dziękuję panu za zaufanie.
- Tylko piętnaście? To dlaczego mam takie wrażenie, jakbyśmy się znali całe życie?
- Może znaliśmy się w poprzednim wcieleniu.
- Reinkarnacja mnie przeraża, Tao. Niech pan tylko pomyśli, że w następnym życiu byłbym muzułmaninem. Wie pan, że ci biedacy nie piją alkoholu?
- To jest z pewnością pańska karma. W każdym następnym wcieleniu musimy doprowadzić do końca to, czegośmy nie rozwiązali w poprzednim - zażartował Tao.
- Wolę piekło chrześcijan, jest mniej okrutne. No tak, ale Elizie o tym ani słowa - zakończył John Sommers, wkładając ubranie i walcząc z guzikami, które wymykały się drżącym palcom. - Może się okazać, że jestem tu po raz ostatni, więc wolę, by Eliza i moje wnuki zapamiętali mnie wesołego i zdrowego. Odchodzę spokojny, Tao, bo wiem, że nikt nie potrafiłby zaopiekować się moją córką lepiej niż pan.
- Nikt nie potrafiłby jej bardziej kochać.
- Kiedy mnie już nie będzie, ktoś powinien zatroszczyć się o moją siostrę. Wie pan, że Rose była dla Elizy jak matka ...
- Proszę się nie martwić. Eliza i ja będziemy o nią zawsze dbali - zapewnił go zięć.
- A śmierć... to znaczy... Będzie szybka i godna? Jak poznam, że nadchodzi koniec?
- Gdy zwymiotuje pan krwią - odpowiedział ze smutkiem Tao.

Zwymiotował trzy tygodnie później, pośrodku Oceanu Spokojnego, skryty przed oczami innych ludzi w kapitańskiej kajucie. Gdy z wysiłkiem stanął na nogi, wytarł resztki wymiocin, przepłukał usta, zmienił zakrwawioną koszulę na czystą, zapalił fajkę i wyszedł na dziób statku. Uniósł głowę, spoglądając po raz ostatni na gwiazdy mrugające na czarnym, aksamitnym niebie. Spostrzegło go kilku marynarzy i stanęli w pewnej odległości, z czapkami w dłoniach. Gdy dopalił się tytoń w fajce, kapitan John Sommers przełożył nogi przez burtę i ześliznął się bezszelestnie do morza.

Severo del Valle poznał Lynn Sommers w roku 1872, kiedy to ze swoim ojcem odbył podróż z Chile do Kalifornii, żeby odwiedzić ciotkę Paulinę i wuja Feliciano, bohaterów najbarwniejszych rodzinnych opowieści. Ciotkę Paulinę Severo spotkał już dwukrotnie, podczas jej sporadycznych przyjazdów do Valparaíso, ale dopiero widząc ją w środowisku amerykańskim, zrozumiał rodzinne aluzje pełne chrześcijańskiego zgorszenia. Z dala od konserwatywnego i katolickiego świata Chile, z dala od dziadka Agustina, przykutego paralizem do fotela, od babki Emilii smętnie dziergającej koronki i robiącej sobie lewatywy z wywaru z nasienia lnu, z dala od reszty zżeranej zazdrością i bogobojnej rodziny, Paulina jawiła się w całej krasie jako silna i niezależna kobieta. W czasie pierwszego pobytu u krewnych Severo del Valle był jeszcze zbyt młody, by ocenić potęgę albo majątek swych znakomitych wujostwa, ale już wtedy nie umknęły jego uwadze różnice między tą parą a całą resztą klanu del Valle. Dopiero kiedy przyjechał do nich po kilku latach, zdał sobie sprawę, że należą do najbogatszych rodzin w San Francisco, obok takich potentatów jak właściciele kolei, banków i linii żeglugowych. Ale to właśnie podczas pierwszych odwiedzin, kiedy jako piętnastolatek siedział w nogach polichromowanego łoża ciotki Pauliny i przysłuchiwał się, jak planuje strategię swych handlowych potyczek, podjął decyzję co do własnej przyszłości.

- Powinieneś zostać adwokatem, żeby pomagać mi niszczyć moich wrogów w

majestacie prawa - poradziła mu któregoś dnia Paulina między jednym a drugim kęsem francuskiego ciasta z karmelem.

- Dobrze, ciociu. Dziadek Agustin mówi, że w każdej szanującej się rodzinie powinien być adwokat, lekarz i biskup - odpowiedział bratanek.

- Przydaje się także ktoś z głową do interesów.

- Dziadek uważa, że szlachcic nie powinien paruć się handlem.

- Powiedz mu, że ze szlachectwa trudno wyżyć i żeby je sobie wsadził w tyłek.

Chłopiec słyszał już przedtem to brzydkie wyrażenie z ust domowego woźnicy, pewnego madrytczyka, który uciekł z więzienia na Teneryfie i z niezrozumiałych powodów kazał się czasem całować w tyłek albo radził innym, by mówili tak samo.

- Nie ma co się gorszyć, mały, widzisz przecież, że wszyscy mamy tyłki! - dodała Paulina, krztusząc się ze śmiechu na widok miny chłopca.

Tego samego dnia po południu zabrała go do cukierni Elizy Sommers. San Francisco zachwyliło chłopca od razu, gdy tylko ujrzał je z pokładu statku: połyskujące w słońcu miasto położone wśród zielonych, porośniętych drzewami wzgórz, opadających łagodnymi stokami ku brzegowi spokojnej zatoki. Z daleka wydawało się ascetyczne z wytyczoną na modłę hiszpańską siatką równoległych i prostopadłych ulic, ale oglądane z bliska miało w sobie urok niespodzianki. Przyzwyczajony do ospałego portu w rodzinnym Valparaíso, chłopiec patrzył oszołomiony na szaleństwo domów i budowli w najróżniejszych stylach, na bogactwo i nędzę, wszystko tak wymieszane, jakby miasto wznoszono w pośpiechu. Przed eleganckim sklepem ze skrzypcami i fortepianami ujrzał końską padlinę, w której roiło się od much. Po ulicach, gdzie bez przerwy słychać było parskanie zwierząt i stukot kół powozów, przetaczał się tłum stanowiący mieszaninę wielu narodów: Amerykanie, Hiszpanie i Latynosi, Francuzi, Irlandczycy, Włosi, Niemcy, czasami jacyś Indianie i Murzyni, jeszcze niedawno niewolnicy, a teraz ludzie wolni, choć nadal odtrąceni i biedni. Wjechali do Chinatown i w okamgnieniu znaleźli się jakby w innym kraju, zamieszkanym przez „niebiański lud”, jak nazywano Chińczyków. Woźnica kierował powóz w stronę Plaza de la Unión, rozganiając przechodniów na boki strzelaniem z bata. Zatrzymał się przed domem w stylu wiktoriańskim, skromnym w porównaniu ze spotykanymi tu na każdym kroku budynkami zdobnymi w wymyślne gzymsy, płaskorzeźby i rozetowe okna.

- To jest herbaciarnia pani Sommers, jedyna w tych stronach – wyjaśniła Paulina. - Kawy możesz napić się wszędzie, ale na filizankę herbaty trzeba przyjść tutaj. Jankesi czują wstręt do tego szlachetnego naparu od czasów wojny o niepodległość, która rozpoczęła się, kiedy buntownicy zatopili herbatę Anglików w Bostonie.

- Ale czy od tamtego czasu nie minęło już sto lat?

- Sam widzisz, Severo, jaki głupi może być patriotyzm.

Powodem częstych odwiedzin Pauliny w tym miejscu nie była jednak herbata, lecz słynna cukiernia Elizy Sommers, dzięki której w całej herbaciarni unosiła się smakowita woń karmelu i wanilii. Budynek, jeden z wielu, jakie w początkach istnienia miasta sprowadzano w częściach z Anglii, wraz z instrukcją, jak należy je do siebie dopasować, składał się z dwóch pięter zwieńczonych wieżyczką i wyglądem przypominał wiejski kościółek. Dwa pokoje na parterze połączono ze sobą, powiększając w ten sposób jadalnię, w której stało kilka giętych krzeseł i pięć stoliczków przykrytych białymi obrusami. Na pierwszym piętrze sprzedawano pudełka z cukierkami domowej roboty z najlepszej belgijskiej czekolady,

migdałowy marcepan i najróżniejsze kreolskie słodycze z Chile, za którymi przepadała Paulina. Gości obsługiwały dwie Meksykanki z włosami splecionymi w długie warkocze, ubrane w białe fartuchy i wykrochmalone czepki, nadzorowane na odległość przez niepozorną panią Sommers, która prawie nikła obok przytłaczającej postaci Pauliny. Moda na suknie wcięte w talii i składające się z wielu leciutkich jak mgielka spódnic była korzystna dla tej pierwszej, a w przypadku tej drugiej podkreślała dodatkowo jej obfite kształty; Paulina del Valle nie oszczędzała na materiale, lubiła też frędzle, pompony i zakładki. Tego dnia wystrojona w żółto-czarną suknię, ozdobiony piórami kapelusz i prążkowany, bardzo prążkowany, zakiecik przypominała pszczelą królową. Wypełniała sobą salon, pochłaniała całe powietrze, a przy każdym jej kroku pobrzękiwały filizanki i trzeszczały cienkie drewniane ściany. Gdy służące ujrzały ją w drzwiach wejściowych, rzuciły się biegiem, by zastąpić jedno z delikatnych giętych krzesel solidniejszym fotelem, w którym dama usadowiła się z wdziękiem. Jej ruchy były powściągliwe, bo uważała, że nic bardziej nie szpeci niż pośpiech; nie pozwalała sobie także na wydawanie dźwięków charakterystycznych dla starych ludzi, nigdy nie sapała w miejscach publicznych, nie wymknęło jej się żadne kasznięcie ani ciężkie, spowodowane zmęczeniem westchnienie, choćby nawet padała z nóg. Nie chce mieć głosu jak gruba baba, mawiała, i codziennie płukała sobie gardło sokiem z cytryny zmieszany z miodem, aby zachować głos osoby szczupłej. Drobną i prostą jak trzcina Eliza Sommers, ubrana w ciemnoniebieską spódnicę i w zapiętą pod szyję bluzkę w kolorze melona, z długimi, zapiętymi także przy mankietach rękawami, z dyskretnym sznurkiem pereł jako jedyną ozdobą, sprawiała wrażenie znacznie młodszej, niż była w rzeczywistości. Jej hiszpańszczyzna brzmiała nieco chropowato z powodu rzadkiego posługiwania się tym językiem, po angielsku mówiła z brytyjskim akcentem. Obie z Pauliną przerzucały się podczas rozmowy z jednego języka na drugi. Majątek pani del Valle oraz jej błękitna krew stawiały ją pod względem statusu społecznego znacznie wyżej od pani Sommers. Kobieta pracująca dla przyjemności mogła sobie co najwyżej zyskać miano herod-baby, jednak Paulina wiedziała, że Eliza nie należy już do tego samego środowiska, w którym dorastała w Chile, i że nie pracuje dla przyjemności, lecz. z. potrzeby. Doszły ją także słuchy, że żyje z jakimś Chińczykiem, ale mimo właściwego sobie tupetu nigdy nie odważyła się bezpośrednio jej o to zagadnąć.

- Pani Eliza Sommers i ja poznałyśmy się w Chile w 1940 roku. Ona miała wówczas osiem lat, a ja szesnaście, ale teraz jesteśmy w tym samym wieku - wyjaśniła Paulina bratankowi.

Służące podawały herbatę, a Eliza Sommers słuchała rozbawiona ciągłego paplania Pauliny, ledwie przerywanego na kolejne kęsy. Severo zapomniał o nich obu, gdy przy innym stoliku dostrzegł śliczną dziewczynkę. Wklejała obrazki do albumu przy świetle gazowych lamp, oświetlona złocistym blaskiem delikatnego światła dnia wpadającego przez witraże w oknach. Była to Lynn Sommers, córka Elizy, osóбка tak niezwyklej urody, że już wówczas, jako dwunastoletnie dziecko, pozowała różnym fotografom w mieście: jej twarz ozdabiała pocztówki, afisze i kalendarze z aniołami grającymi na harfie i z psotnymi nimfami pływającymi pośród tekturowych drzew. Severo był jeszcze w takim wieku, kiedy dziewczynki stanowią dla chłopców raczej odpychającą tajemnicę, a jednak uległ fascynacji. Stanął obok i przyglądał się jej z otwartymi ustami, nie pojmując, dlaczego czuje ucisk w piersi i chce mu się płakać. Eliza Sommers wyrwała go z tego transu, wołając oboje, by

przyszli wypić czekoladę. Dziewczynka zamknęła album i nie spojrzawszy nawet na chłopca, jakby w ogóle go nie było, wstała i leciutko podeszła do stolika, niemal płynąc w powietrzu. Bez słowa i nie podnosząc wzroku, zasiadła przy swojej filiżance czekolady. Nie zwracała uwagi na natarczywe spojrzenia młodzieńca, w pełni świadoma tego, że wygląd wyróżnia ją wśród całej reszty śmiertelników. Traktowała własną urodę jako swego rodzaju upośledzenie i w cichości ducha ufała, że z czasem minie.

Kilka tygodni później Severo wszedł wraz z ojcem na pokład statku zabierającego ich w drogę powrotną do Chile. Wyjeżdżał pod wrażeniem ogromu Kalifornii i z mocno odcisniętym w sercu obrazem Lynn Sommers.

Severo del Valle spotkał się znowu z Lynn dopiero po kilku latach. Przyjechał ponownie do Kalifornii pod koniec 1876 roku, aby zamieszkać u ciotki Pauliny, ale nie nawiązał znajomości z Lynn aż do pewnej zimowej środy 1879 roku, za późno dla nich obojga. Podczas drugiego pobytu w San Francisco młodzieniec osiągnął swój ostateczny wzrost, był jednak jeszcze chudy, blady, niezgrabny i źle się czuł we własnej skórze, jakby miał w nadmiarze łokci i kolan. Trzy lata później, gdy ze ściśniętym gardłem witał się z Lynn, był już dorosłym mężczyzną o szlachetnych, odziedziczonych po hiszpańskich przodkach, rysach twarzy, zwinnym ciele andaluzyjskiego toreadora i ascetycznym wyglądzie seminarzysty. Od pierwszego spotkania z Lynn wiele się zmieniło w jego życiu. Obraz tej milczącej i sennej niczym kot dziewczynki nie opuszczał go przez trudne lata dorastania ani w bólu żałoby. W Chile zmarł przedwcześnie jego ukochany ojciec, a matka, niepewna jak postępować z rozgarniętym ponad wiek i samodzielny głową, wysłała go do katolickiej szkoły w Santiago, żeby kontynuował tam naukę. Szybko odesłano go stamtąd do domu wraz z oschłym listem wyjaśniającym, że od jednego zepsutego jabłka może zgnić cały ich kosz czy coś w tym sensie. Ofiarna matka udała się wówczas na kolanach do pewnej słynącej z cudów groty, gdzie pomysłowa jak zawsze Przenajświętsza Panienka podszeptała jej rozwiązanie: wysłać chłopaka do wojska, żeby jakiś sierżant wziął na siebie ten problem. Przez cały rok Severo uczył się wraz z innymi żołnierzami musztry, znosił rygory i bezsens pułkowego życia i zakończył służbę w stopniu oficera rezerwy, z silnym postanowieniem, by już nigdy w życiu nawet nie zbliżyć się do koszar. Ledwie wrócił do życia w cywilu, a już odnowił stare przyjaźnie i zaczął popadać w zmienne nastroje. Tym razem sprawę wzięli w swoje ręce wujowie młodzieńca. Zgromadzili się na naradzie w ascetycznej jadalni domu dziadka Agustina, pod nieobecność samego zainteresowanego i jego matki, którzy nie mieli nic do powiedzenia w tym patriarchalnym gronie. Trzydzieści pięć lat wcześniej w tym samym pomieszczeniu Paulina del Valle z ogoloną głową, na której błyszczał drogocenny diadem, rzuciła wyzwanie mężczyznom ze swojej rodziny, wychodząc za mąż za Feliciana Rodrigueza de Santa Cruz, którego sama wybrała sobie na męża. Teraz przedstawiano tu seniorowi rodu dowody świadczące przeciw Severowi: odmawiał chodzenia do spowiedzi i przyjmowania komunii, włóczył się z jakimiś artystami, w jego pokoju odkryto zakazane książki, krótko mówiąc, podejrzewano, że został skaptowany przez masonów albo, co byłoby jeszcze gorsze, przez liberałów. Chile przeżywało okres niekończących się sporów politycznych i w miarę jak liberałowie obejmowali coraz więcej stanowisk w rządzie, narastała złość ogarniętych mesjanistyczną gorączką ultrakonserwatystów, takich jak rodzina

del Valle, którzy usiłowali zaszcześcić innym swoje poglądy, grożąc klątwą i rozlewem krwi. Chcieli rozprawić się z masonami i antyklerykałami, a także skończyć raz na zawsze z liberałami. Mężczyźni z rodziny del Valle nie mieli zamiaru tolerować czarnej owcy na łonie rodziny. Pomysł, by wysłać go do Stanów Zjednoczonych, wyszedł od dziadka Agustina: „Jankesi wyleczą go ze skłonności do gardłowania” - zawyrokował. Nie pytając młodzieńca o zdanie, wsadzili go na statek płynący do Kalifornii. Wypłynął ubrany w żałobną czerń, ze złotym zegarkiem swego zmarłego ojca w kieszonce kamizelki, zabierając skromny bagaż, a w nim figurkę Chrystusa w cierniowej koronie oraz zalakowaną kopertę z listem przeznaczonym dla wuja Feliciana i ciotki Pauliny.

Severo protestował wyłącznie dla zachowania pozorów, ponieważ ta podróż pokrywała się całkowicie z jego własnymi planami. Było mu tylko ciężko rozstać się z Niveą. Wszyscy spodziewali się, że pewnego dnia ożeni się z tą dziewczyną, zgodnie z powszechnym wśród chilijskiej oligarchii obyczajem zawierania małżeństw między kuzynami. W Chile brakowało mu powietrza. Dorastał w dusznej atmosferze dogmatów i przesądów i dopiero kontakt z innymi uczniami w szkole w Santiago pobudził jego wyobraźnię i patriotyczne uczucia. Przedtem żył w przekonaniu, że istnieją tylko dwie klasy społeczne: ta, do której sam należy, oraz klasa biedaków, a rozdziela je jakaś nieokreślona szara strefa składająca się z urzędników i innych „maluczkich”, jak nazywał ich dziadek Agustin. Służąc w wojsku, zdał sobie sprawę, że należący do jego klasy biali, niezależni finansowo ludzie stanowią zaledwie garstkę i że ogromna większość Chilijczyków to Metysi i biedacy. W Santiago odkrył, że istnieje silna i liczna klasa średnia, wykształcona, o sprecyzowanych ambicjach politycznych, i że to ona stanowi w istocie kościół całego kraju, a należą do niej imigranci, którzy uciekli ze swoich krajów przed wojnami lub nędzą, naukowcy, nauczyciele, filozofowie, księgarze, ludzie o postępowych poglądach. Wypowiedzi jego nowych przyjaciół wprawiły go w osłupienie. Czuł się oszołomiony jak ktoś, kto zakochuje się po raz pierwszy. Pragnął odmienić Chile, wyrzucić wszystko do góry nogami, oczyścić. Doszedł do wniosku, że konserwatyści - z wyjątkiem jego własnej rodziny, której nie podejrzewał o nikczemność, lecz o mylne rozpoznanie sytuacji - należą do zastępów szatana, jeśli założyć, że szatan nie jest tylko barwnym wytworem wyobraźni, i rzucił się w wir polityki, choć nie był jeszcze człowiekiem w pełni samodzielnym. Wiedział, że musi kilka lat poczekać na niezależność, dlatego właśnie przyjął wyjazd do Stanów Zjednoczonych jak powiew świeżego powietrza. Przyjrzy się z bliska pozazdrosczenia godnej amerykańskiej demokracji i będzie od niej uczył, będzie czytał wszystko, na co mu przyjdzie ochota, nie przejmując się katolicką cenzurą, i dowie się, jakich postępów dokonuje nowoczesny świat. Gdzie indziej obalano monarchie, tworzono nowe państwa, kolonizowano całe kontynenty i wymyślano prawdziwe cuda, a w Chile parlament debatował nad tym, czy cudzołożnicy powinni mieć prawo do pochówku w poświęconej ziemi. W obecności dziadka nie pozwalał sobie wspominać o teorii Darwina, która zrewolucjonizowała ludzką wiedzę, potrafił natomiast cały wieczór wieść spory na temat cudów dokonywanych ponoć przez świętych i męczenników. Inną zachętą do odbycia podróży było wspomnienie małej Lynn Sommers, które w sposób zdumiewający i uporczywy mąciło jego czyste uczucie dla Nivei, choć nigdy by się do tego nie przyznał, nawet w skrytości ducha.

Severo del Valle sam nie wiedział, kiedy zrodził się pomysł małżeństwa z Niveą. Może nie oni oboje tak zdecydowali, lecz rodzina, a żadne z nich nie sprzeciwiło się temu

wyborowi, bo znali się i kochali od lat dziecińczych? Nivea należała do tej części rodziny, której dobrze się powodziło, dopóki żył ojciec dziewczyny. Po jego śmierci wdowa zubożała. Pewien zamożny wuj, który miał odegrać znaczącą rolę w czasach wojny, don Jose Francisco Vergara, pomógł siostrzeńcom zdobyć wykształcenie. „Trudno o większą nędzę niż nędza ludzi, którzy utracili majątek, bo muszą udawać kogoś, kim nie są” - wyznała kiedyś Nivea kuzynowi Severo z właściwą sobie przenikliwością. Była od niego cztery lata młodsza, lecz dużo dojrzała, to ona nadawała ton ich dziecięcej przyjaźni i sprawiła, że ich uczucie przerodziło się w romantyczny związek, jaki łączył ich w chwili, kiedy Severo wyjeżdżał do Stanów Zjednoczonych. W rozległych domostwach, w jakich toczyło się ich życie, nie brakowało sprzyjających miłości zakamarków. Po omacku, w półmroku odkrywali niezdarnymi, szczenięcymi ruchami tajemnice swoich ciał. Z zaciekawieniem oddawali się pieszczotom, odkrywali różnice, nie wiedząc, dlaczego on ma to, a ona co innego, oszołomieni wstydem i poczuciem winy, pogrążeni zawsze w całkowitym milczeniu, bo zdawało im się, że jeśli czegoś nie wyrażą w słowach, to jakby wcale się nie wydarzyło i było mniejszym grzechem. Pełni strachu, dotykali się pospiesznie, pamiętając, że nawet w konfesjonale nie mogą się przyznać do tych zabaw między kuzynostwem, choćby mieli przez to skazać się na wieczne potępienie. Szpiegowało ich tysiąc oczu. Stare służące, pamiętające ich przyjście na świat, chroniły te niewinne zaloty, ale ciotki - stare panny - krążyły wokół nich niczym wrony, nic nie umykało ich świdrującym oczom, rejestrującą każdą sekundę życia rodziny. Rozповідаły zawsze tajemnice i plotkami wywoływały mnóstwo kłótni, choć zawsze wszystko pozostawało w rodzinie. Nic nie przenikało poza cztery ściany. Pierwszym obowiązkiem każdego było dbać o honor i dobre imię rodziny.

Nivea późno osiągnęła dojrzałość i w wieku piętnastu lat miała jeszcze ciało dziecka i niewinną twarz, wygląd nie zdradzał siły jej charakteru: była niska, pulchna, miała wielkie, ciemne, intrygujące oczy, lecz w zasadzie nie przyciągała szczególnej uwagi, dopóki nie zaczynała mówić. Jej siostry starały się zasłużyć na niebo, czytając pobożne książki, a ona oddawała się po kryjomu lekturze artykułów i książek, które dawał jej pod stołem kuzyn Severo, oraz czytała klasyków, których pożyczał jej wuj Jose Francisco Vergara. W czasach gdy w jej środowisku nikt nigdy nie wspominał o prawach wyborczych dla kobiet, ona nagle wyciągnęła tę kwestię niczym magik królika z cylindra. Kiedy napomknęła o tym po raz pierwszy podczas rodzinnego obiadu w domu don Agustina del Valle, sprowokowała potworną awanturę. „Kiedy wreszcie kobiety i biedacy będą mogli głosować w tym kraju?” - spytała znienacka, zapominając, że w obecności dorosłych dzieciom nie wolno było zabierać głosu. Stary patriarcha del Valle uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły kieliszki, i kazał jej natychmiast iść do spowiedzi. Nivea wypełniła bez słowa pokutę zadaną przez księdza i ze zwykłą sobie pasją zapisała w dzienniku, że nie spocznie, dopóki nie wywalczy podstawowych praw dla kobiet, choćby rodzina miała się jej wyrzec. Dobry los pozwolił jej napotkać na swej drodze wyjątkową nauczycielkę, zakonnicę skrywającą pod habitem dzielne serce, siostrę Marię od Szkaplerza, która od razu zwróciła uwagę na inteligencję Nivei. Łapczywie pochłaniająca wiedzę uczennica, podająca w wątpliwość sądy, których ona sama, zakonnica, nigdy by się nie odważyła kwestionować, zaskakująca niezwykłą w jej wieku logiką rozumowania, tryskająca energią i siłą, które niemal rozsadały jej obrzydliwy mundurek szkolny, dawała swej nauczycielce poczucie zawodowego spełnienia. Dla jednej takiej uczennicy warto było przez lata męczyć się z całą rzeszą bogatych panienek o ptasich

móżdżkach. Siostra Maria odnosiła się do Nivei z wielką czułością i z tego względu wykraczała często poza sztywne ramy regulaminu, którego naczelnym celem było wykształcenie w uczennicach nawyku posłuszeństwa. Prowadziła z nią rozmowy, które sprawiłyby w przerażenie matkę przełożoną i dyrektora szkoły.

- Kiedy ja byłam w twoim wieku, miałam do wyboru tylko małżeństwo albo habit - powiedziała siostra Maria.

- Dlaczego wybrała siostra habit?

- Bo gwarantuje mi większą swobodę. Chrystus jest tolerancyjnym małżonkiem...

- My, kobiety, nie mamy nic do gadania, siostrzo. Możemy tylko rodzić dzieci i być we wszystkim posłuszne, nic więcej - westchnęła Nivea.

- Tak, nie musi być. Ty możesz to zmienić - odpowiedziała zakonnica.

- Ja, sama?

- Nie sama. Jest więcej dziewcząt takich jak ty, które mają trochę oleju w głowie. Czytałam w gazecie, że są już dzisiaj kobiety lekarki. Możesz to sobie wyobrazić?

- Gdzie?

- W Anglii.

- To bardzo daleko.

- No pewnie, ale skoro tam im się udało, to pewnego dnia uda się i w Chile. Nie zniechęcaj się, Niveo.

- Mój spowiednik mówi, że za dużo myślę, a za mało się modlę, siostrzo.

- Bóg dał ci rozum, żebyś robiła z niego użytek, ale ostrzegam, że droga buntu jest usiana niebezpieczeństwami i pełna bólu, trzeba wiele odwagi, aby nią kroczyć. Nie zaszkodzi poprosić opatrzność boską o trochę wsparcia... - poradziła siostra Maria od Szkaplerza.

Nivea czuła tak wielką determinację, że w zapiskach czynionych w dzienniku przyrzekła nigdy nie wyjść za mąż, aby móc poświęcić się bez reszty walce o prawa wyborcze dla kobiet. Nie wiedziała, że los nie zażąda od niej takiej ofiary i że wyjdzie za mąż za człowieka, który będzie podzielał i wspierał jej przekonania polityczne.

Severo wszedł na pokład okrętu ze zboląłą miną, żeby krewni nie domyślili się, z jaką radością wyjeżdża z Chile, bo mogliby przecież zmienić zdanie. Postanowił sobie jak najlepiej wykorzystać tę podróż. Skradzionym ukradkiem pocałunkiem pożegnał się z kuzynką Niveą, przysięgłszy uprzednio uroczyście, że będzie jej wysyłał ciekawe książki za pośrednictwem kolegi, co pozwoli uniknąć rodzinnej cenzury, i że co tydzień będzie do niej pisał listy. Ona pogodziła się z perspektywą rocznego rozstania, nie podejrzewając, że on planuje zostać w Stanach Zjednoczonych tak długo, jak to będzie możliwe. Severo nie chciał powiększać goryczy rozstania ujawnieniem swych zamiarów, postanowił, że wytłumaczy wszystko Nivei w liście. W każdym razie oboje byli jeszcze zbyt młodzi na małżeństwo. Patrzył na nią, jak stoi na moło w Valparaiso, otoczona resztą rodziny, w oliwkowej sukience i szkolnym berecie, i macha mu na pożegnanie ręką, siłąc się na uśmiech. „Nie płacze ani nie narzeka, dlatego ją kocham i zawsze będę kochał” - powiedział głośno sam do siebie, zdecydowany zwalczać wytrwale zmienność serca i odrzucać pokusy świata. „Spraw, Najświętsza Panienko, by wrócił do mnie w zdrowiu i bezpiecznie” - modliła się zakochana po uszy Nivea, zagryzając wargi. Całkiem zapomniała, że w dzienniku ślubowała zachować celibat, dopóki nie wypełni swej powinności sufrażystki.

Od chwili wypłynięcia z Valparaiso aż do Panamy młody del Valle ścisnął w dłoni list swego dziadka Agustina. Desperacko pragnął otworzyć kopertę, ale nie miał śmiałości tego uczynić, bo w dzieciństwie wbijano mu do głowy kijem i tłumaczono po dobroci, że szlachcic nigdy nie zagląda do cudzych listów ani nie przykładą ręki do robienia pieniędzy. Koniec końców ciekawość okazała się silniejsza niż wierność zasadom. Chodzi przecież o moją przyszłość, wytłumaczył sobie, i brzytwą przeciął delikatnie zalakowaną pieczęć, potem potrzymał kopertę nad wydobywającą się z czajnika parą, wreszcie otworzył list przy zachowaniu wszelkich możliwych środków ostrożności. W ten sposób dowiedział się, że dziadek planuje wysłanie go do jakiejś amerykańskiej szkoły wojskowej. To wielka szkoda, dodawał dziadek, że Chile nie prowadzi teraz wojny z żadnym ościennym krajem, bo wówczas jego wnuk mógłby stać się mężczyzną, walcząc z bronią w ręku, jak należy. Severo wyrzucił list do morza i napisał inny, wedle własnego zamysłu. Włożył list do koperty i zalał złamaną pieczęć stopionym lakiem. W San Francisco ciotka Paulina czekała na niego na moło w towarzystwie dwóch lokajów i Williama, swego ceremonialnego majordomusa. W pretensjonalnym kapeluszu i sukni obfitującej w powiewające na wietrze falbanki z pewnością uniosłaby się w powietrze, gdyby nie była taka ciężka. Gdy ujrzała bratanek, jak schodzi po trapie, trzymając w rękach krucyfiks, roześmiała się głośno, a potem przycisnęła go do siebie tak mocno, że o mało się nie udusił zanurzony w jej obfitych piersiach, odurzony silnymi perfumami o zapachu gardenii.

- Najpierw będziemy musieli pozbyć się tego okropieństwa - powiedziała, wskazując na ukrzyżowanego Chrystusa. - Trzeba też będzie kupić ci jakieś ubranie, bo tu nikt nie nosi takich cudacznych łachów - dodała.

- To był garnitur mojego taty - wyjaśnił Severo upokorzony.

- To widać, wyglądasz w nim jak grabarz - odparła Paulina, lecz ledwie zdążyła to powiedzieć, przypomniała sobie, że chłopiec niedawno stracił ojca. - Wybacz mi, Severo, nie chciałam cię urazić. Twój ojciec był moim ukochanym bratem, z całej rodziny tylko z nim mogłam się dogadać.

- Kilka jego garniturów przerobiono dla mnie, żeby się nie zmarnowały - wyjaśnił łamiącym się głosem Severo.

- Nie udał nam się ten początek. Wybaczysz mi?

- Już dobrze, ciociu.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji młodzieniec wręczył ciotce podmieniony list dziadka Agustina. Przeczytała go z roztargnieniem i pospiesznie.

- A co było napisane w tym drugim? - spytała.

Severo z płonącymi ze wstydu uszami zaczął przekonywać ją, jak bardzo się myli, ale ona nie dała mu czasu na płatanie się w kłamstwach.

- Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo, drogi bratanku. Chcę wiedzieć, co mój ojciec napisał w liście, nie dlatego, bym chciała się do tego zastosować, lecz po to, żeby mu odpisać.

- Pisał, żeby mnie ciocia posłała do szkoły wojskowej albo na wojnę, gdyby jakaś toczyła się w pobliżu.

- Przybywasz za późno, wojna już się skończyła. Za to teraz masakrują Indian, gdyby cię to interesowało. Indianie całkiem dobrze sobie radzą, wyobraź sobie, że dopiero co zabili generała Custer'a i ponad dwustu żołnierzy z siódmego oddziału kawalerii w Wyoming.

Ludzie o niczym innym nie mówią. Podobno Indianin zwany Deszczowa Twarz, zwróć uwagę, jakie to poetyckie, poprzysiągł zemstę za to, co zrobił brat generała Custer, i podczas tej bitwy wyrwał generałowi serce i pożarł je. Nadal masz ochotę być żołnierzem? - zaśmiała się ironicznie Paulina del Valle.

- Nigdy nie chciałem służyć w wojsku, to pomysł dziadka Agustina.

- W swoim liście piszesz, że chcesz zostać adwokatem. Widzę, że moje dawne rady nie poszły na marne. To mi się podoba, chłopcze. Prawodawstwo amerykańskie nie jest podobne do chilijskiego, ale to najmniejszy kłopot. Będiesz adwokatem. Wyślę cię na naukę do najlepszej kancelarii adwokackiej w Kalifornii, ostatecznie mam tu jakieś wpływy - zapewniła go Paulina.

- Będę miał wobec cioci dług wdzięczności do końca życia - odparł oszołomiony Severo.

- Pewnie. Mam nadzieję, że o tym nie zapomnisz, bo życie jest długie i nigdy nie wiadomo, kiedy będę musiała poprosić cię o przysługę.

- Może ciocia na mnie liczyć.

Następnego dnia Paulina del Valle zaprowadziła Severa do kancelarii swoich adwokatów, którzy pracowali dla niej od dwudziestu lat, pobierając za to ogromną prowizję, i oświadczyła im bez większych ceregieli, że życzy sobie, aby od najbliższego poniedziałku jej bratanek uczył się u nich zawodu. Nie mogli jej odmówić. Ciotka ulokowała młodzieńca u siebie w domu, przydzielając mu słoneczny pokój na drugim piętrze, kupiła mu dobrego konia, ustaliła miesięczną kwotę, jaką miał otrzymywać na drobne wydatki, wynajęła dla niego nauczyciela angielskiego i zaczęła wprowadzać go w towarzystwo, przekonana, że najlepszym kapitałem są odpowiednie koneksje.

- Oczekuję od ciebie dwóch rzeczy: lojalności i dobrego humoru.

- Nie oczekuje ciocia pilnej nauki?

- To już jest twój kłopot, chłopcze. Od ciebie zależy, co zrobisz z własnym życiem.

W następnych miesiącach Severo miał się jednak przekonać, że uważnie śledzi jego postępy w kancelarii adwokackiej, kontroluje zawierane przez niego znajomości, zapisuje wydatki i wie o każdym jego kroku, zanim jeszcze ten krok zdoła zrobić. Pozostawało jej tajemnicą, jak zdobywała te wszystkie informacje. Możliwe, że to Williams, nie przenikniony majordomus, zorganizował jakąś sieć pilnujących go obserwatorów. Williams zawiadował całą armią służących, którzy wykonywali swoje zadania bezszelestnie niczym cienie, mieszkali w oddzielnym budynku położonym w głębi otaczającego dom parku i mieli zakazane odzywać się w obecności państwa, jeśli sami nie zostaną o coś zapytani. Nie mogli także osobiście rozmawiać z majordomusem, lecz korzystali w tym względzie z pośrednictwa ochmistrzyni. Severo z trudnością pojmował hierarchiczność tych stosunków, bo w Chile załatwiano to dużo prościej. Chlebodawcy, nawet tacy despoci jak jego dziadek, byli dla swoich podwładnych surowi, ale opiekuńczy, zaspokajali ich potrzeby i traktowali ich jak część rodziny. Nigdy nie widział, by zwolniono jakąś służącą; kobiety przychodziły na służbę, gdy były dorastającymi dziewczynami, i zostawały aż do śmierci. Pałacyk w Nob Hill bardzo się różnił od rozległych domów przypominających klasztory, gdzie upłynęło jego dzieciństwo, domów o grubych murach z wypalanej gliny, z posepnymi, okutymi żelazem drzwiami i meblami ustawionymi z rzadka pod pustymi ścianami. Sporządzenie inwentarza wszystkich rzeczy znajdujących się w domu jego ciotki Pauliny - poczynając od kołatek i

kranów z litego srebra, aż po kolekcje porcelanowych figurek, rosyjskich pudełek z laki, chińskie marmury i wszelkie inne dzieła sztuki, które akurat były w modzie - granoczyło z niemożliwością. Feliciano Rodriguez de Santa Cruz kupował to wszystko, by wywrzeć wrażenie na gościach, ale nie był przecież barbarzyńcą jak inni zaprzyjaźnieni z nim magnaci, którzy książki kupowali na kilogramy, a obrazy wedle kolorów, żeby dobrze pasowały do foteli. Paulina ze swej strony nie czuła żadnego przywiązania do tych skarbów. Jedyнным meblem, jaki w życiu zamówiła, było łóżko, a i tak zrobiła to z powodów zgoła odmiennych aniżeli estetyczne, nie kierowała się też skłonnością do przepychu. Interesowały ją pieniądze, zwyczajnie i po prostu; miała ambicję, by wykazać się przebiegłością przy ich zarabianiu, wytrwałością w ich gromadzeniu i mądrością w inwestowaniu. Nie zwracała specjalnej uwagi na przedmioty, które kupował jej mąż, ani na to, gdzie je umieszczał, w wyniku czego powstał wystawny dom, w którym gospodarze czuli się jak goście. Na ścianach wisiały ogromne, oprawione w masywne ramy płótna, przedstawiające wielkich bohaterów - *Aleksander Wielki podbijający Persję* - ale tuż obok nich znajdowały się setki mniejszych obrazów pogrupowanych tematycznie, od których brały się nazwy poszczególnych pomieszczeń: salon myśliwski, salon marynarski, pokój akwarelowy. W oknach wisiały ciężkie zasłony z aksamitu, a weneckie lustra odbijały w nieskończoność marmurowe kolumny, wysokie dzbany z Sevres, rzeźby z brązu, podłużne naczynia wypełnione owocami i kwiatami. Były dwa salony muzyczne ze wspaniałymi włoskimi instrumentami - chociaż nikt w rodzinie nie potrafił na nich grać, a i sama muzyka przyprawiała Paulinę o ból głowy -- jak również zajmująca dwa piętra biblioteka. W każdym kącie stały srebrne spluwaczki ze złotymi inicjałami, ponieważ w tym pogranicznym mieście spluwanie w miejscu publicznym było czymś naturalnym. Feliciano i jego żona mieli swoje apartamenty na tym samym piętrze, lecz w przeciwległych krańcach domu. Łączył te apartamenty długi szeroki korytarz; po obu jego stronach znajdowały się pokoje ich synów i pokoje gościnne. Wszystkie te pomieszczenia stały puste prócz pokoju zajmowanego przez Severa i drugiego, w którym mieszkał Matías, najstarszy z synów wujostwa. Severo del Valle, przyzwyczajony do niewygód i do zimna, które - wedle powszechnie wyznawanej w Chile teorii - jest korzystne dla zdrowia, dopiero po kilku tygodniach przekonał się do miękkiego, zapadającego się pod jego ciężarem materaca i puchowych poduszek, do letniej temperatury utrzymywanej na niezmiennym poziomie dzięki piecom i przestał się dziwić, gdy po odkręceniu kurka w łazience czuł na dłoniach strumień gorącej wody. W domu dziadka ubikacje mieściły się w cuchnących drewnianych budkach w głębi patia, a w zimowe poranki mgiełka lodu pokrywała wodę do mycia w miednicach.

W porze sjeisty jego niepospolita ciotka leżała zwykle w swoim monumentalnym łożu, mając z jednej strony księgi rachunkowe, a z drugiej słodycze, a on siadywał w nogach łóżka, między posążkiem nimfy a rzeźbą przedstawiającą delfina, i prowadzili rozmowy o sprawach rodzinnych i o interesach. Tylko Severo był dopuszczony do takiej komitywy, bardzo niewiele osób miało wstęp do prywatnych pokoi Pauliny, przy nim czuła się całkiem swobodnie nawet w koszuli nocnej. Bratanek przysparzał jej wiele radości, której nigdy nie dali jej synowie. Dwaj młodszy wiedli beztrudnie życie zamożnych dziedziców, piastując obarczone symbolicznymi obowiązkami funkcje w zarządach firm należących do rodziny, jeden w Londynie, a drugi w Bostonie. Pierworodny syn Matias był przez rodziców

przeznaczony na przywódcę klanu Rodriguezów de Santa Cruz y del Valle, ale nie czuł do tego najmniejszego powołania, nie miał ochoty iść w ślady swych przedsiębiorczych rodziców, nie go nie obchodziły interesy przez nich prowadzone, nie zamierzał też płodzić potomków płci męskiej, żeby zagwarantować przetrwanie nazwiska. Z hedonistycznego życia uczynił rodzaj sztuki. „To tylko dobrze ubrany głupiec” - określiła go kiedyś Paulina w rozmowie z Severem, gdy jednak dostrzegła, że jej syn i bratanek przypadli sobie do gustu, zaczęła dyskretnie wspierać tę kiełkującą przyjaźń. „Moja matka niczego nie robi bez kozery, pewnie sobie zaplanowała, że przy tobie nie zejdem na psy” - dowcipkował Matias. Severo nie zamierzał zmieniać kuzyna, wprost przeciwnie, wolałby sam upodobnić się do niego, bo w porównaniu z Matiasem czuł się sztywnym ponurakiem. Wszystko w Matiasie wprawiało go w podziw: nienaganne maniery, cięta ironia jego wypowiedzi, rozrzutność w wydawaniu pieniędzy.

- Życzę sobie, byś się zapoznał z prowadzonymi przeze mnie interesami. Żyjemy w materialistycznie nastawionej i prymitywnej społeczności, w której kobiety darzy się małym szacunkiem. Liczą się tylko majątek i znajomości i dlatego właśnie mi się przydasz. Będziesz moimi oczami i uszami - zapowiedziała bratankowi Paulina kilka miesięcy po jego przyjeździe.

- Nie znam się na interesach.

- Ale ja się znam. Nie wymagam od ciebie, żebyś myślał, bo to moja rola. Masz być cicho, nadstawiać ucha i o wszystkim mi mówić. Potem masz robić to, co ci każę, bez zadawania pytań. Rozumiemy się?

- Niech ciocia ode mnie nie oczekuje, że będę się dopuszczał matactw - zaproponował z godnością Severo.

- Widzę, że nasłuchałeś się o mnie różnych plotek... Posłuchaj, chłopcze, prawo wymyślili silni, żeby panować nad słabymi, a tych nie brakuje. Nie mam obowiązku szanować takiego prawa. Potrzebny mi całkowicie oddany adwokat, żebym mogła robić to, na co mam ochotę, bez pakowania się w kłopoty.

- Mam nadzieję, że w uczciwy sposób... - nie poddawał się Severo.

- Oj, dziecko, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Twój honor nie ucierpi, pod warunkiem, że nie będziesz przesadzał - odparła Paulina.

W ten sposób zawarli pakt tak ścisły, jak łączące ich więzy krwi. Paulina, która zgodziła się wziąć do siebie bratanka bez większych oczekiwań co do jego osoby, przekonana, że to jeszcze jeden niebieski ptak i dlatego właśnie wyprawili go z Chile, czuła się mile zaskoczona, stwierdziwszy, że chłopak jest bystry i szlachetny. W ciągu kilku lat Severo opanował angielski z łatwością, jakiej nie wykazał nikt inny w rodzinie, uzyskał znakomitą orientację w prowadzonych przez ciotkę interesach, dwa razy przejechał Stany Zjednoczone pociągiem - jedna z tych podróży została dodatkowo urozmaicona przez napaść meksykańskich *bandoleros* - i starczyło mu jeszcze czasu, żeby zostać adwokatem. Co tydzień pisywał listy do Nivei i z biegiem lat ich korespondencja stawała się bardziej rzeczowa, a nawet intelektualna, niż romantyczna. Ona pisała mu o rodzinie i o polityce w Chile, on kupował dla niej książki i wycinał artykuły z gazet o sukcesach sufrażystek w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Oboje uczcili uroczyście, choć z dala od siebie, wiadomość o tym, że w Kongresie amerykańskim zgłoszono poprawkę przyznającą kobietom prawo głosu w wyborach, choć dobrze wiedzieli, że tylko ktoś chory umysłowo mógłby spodziewać się

podobnego obrotu spraw w Chile. „Co z tego, że tyle czytam i tyle się uczę, kuzynie, skoro w życiu kobiety nie ma miejsca na żadną działalność? Moja matka mówi, że nie będzie mnie można wydać za mąż, bo wystraszam mężczyzn, i że jeśli chcę mieć męża, powinnam troszczyć się o ładny wygląd i nie otwierać ust. Rodzina jest zachwycona, gdy moi bracia wykażą się choćby odrobiną wiedzy na jakikolwiek temat - piszę tak, bo przecież sam wiesz, jakie z nich osły - ale każdy przejaw wiedzy z mojej strony jest uważany za popisywanie się. Tylko wuj Jose Francisco mnie toleruje, ponieważ jestem wdzięczną słuchaczką jego peror o nauce, astronomii i polityce, na temat których lubi się wymądrzać, ale już moje opinie w tym względzie wcale go nie obchodzą. Nie wyobrażasz sobie, jak zazdroszczę takim mężczyznom jak ty, bo świat stoi przed wami otworem” - pisała dziewczyna. W swoich listach Nivea nie poświęcała ich miłości więcej niż kilka linijek, Severo w swoich nie więcej niż kilka słów, jakby zawarli niepisane porozumienie o puszczeniu w niepamięć pospiesznych i namiętnych pieszczot w zakamarkach domu. Dwa razy do roku Nivea posyłała mu swoje zdjęcie, żeby zobaczył, jak powoli staje się kobietą, on obiecywał wysłać jej swoje, ale ciągle o tym zapomniał, tak jak zapomniał napisać, że w najbliższe święta Bożego Narodzenia znowu nie przyjedzie do domu. Inna, bardziej niecierpliwie czekająca zamążpójścia, zaczęłaby na miejscu Nivei rozglądać się za jakimś bardziej rzeczywistym narzeczonym, ona jednak nigdy nie zwątpiła, że to właśnie Severo del Valle zostanie jej mężem. Dzięki tej pewności nie przejmowała się specjalnie ich długoletnią rozłąką: była gotowa czekać do końca świata. Severo zaś nosił w sercu wspomnienie kuzynki jako symbolu dobra, szlachetności i czystości.

Wygląd Matiasa uzasadniał przekonanie jego matki, że ubiera się ze smakiem, choć myliła się, mówiąc, że był głupcem. Odwiedził wszystkie najważniejsze muzea w Europie, znał się na sztuce, recytował z pamięci wybrane strofy klasyków i jako jedyny z całej rodziny korzystał z domowej biblioteki. Jego styl bycia - ni to artysty, ni to dandysa - zbliżył go do środowiska artystycznej bohemy, z którym łączyło go niewątpliwie upodobanie do nocnego życia. Dzięki wielkiej dbałości o szczegóły stroju wyrobił zaś sobie opinię eleganta. Uważano go za najlepszą partię w San Francisco, jako że trwał z uporem w stanie kawalerskim. Wolał spędzać czas na banalnej rozmowie z najgorszym wrogiem, niż umówić się na spotkanie z najbardziej pociągającą wśród zakochanych w nim pańien. Jedyne, co łączy nas z kobietami, to prokreacja, cel sam w sobie nonsensowny, mawiał. Dla zaspokojenia naturalnych potrzeb w tym względzie wybierał zawsze profesjonalistkę, jedną z wielu, jakie były w zasięgu ręki. W tym kręgu ludzi nie wyobrażano sobie, by męskie spotkanie mogło zakończyć się inaczej niż wypiciem kieliszka brandy w barze i wizytą w burdelu. W kraju było ponad ćwierć miliona prostytutek. Znakomita ich część zarabiała na życie w San Francisco, poczynając od nędznych *sing song girls* w Chinatown, a skończywszy na eleganckich panienkach z Południa, które pchnęła ku najstarszej profesji wojna secesyjna. Młody dziedzic, wykazując tak mało zrozumienia dla kobiecych słabości, znosił jednak z anielską cierpliwością grubiaństwa swych przyjaciół artystów i było to kolejne z jego dziwactw, podobnie jak nawyk palenia cienkich czarnych cygaretek sprowadzanych z Egiptu oraz fascynacja zbrodnią, zarówno w literaturze, jak i w życiu realnym. Mieszkał w należącej do rodziców rezydencji w Nob Hill, miał ponadto do swojej dyspozycji położony w centrum miasta luksusowy apartament z przestronną mansardą, który nazywał *la garconniere*. Malował tam od czasu do czasu i często

urządzał zabawy. Artyści, z którymi się zadawał, byli biedakami ledwie wiążącymi koniec z końcem, poetami, dziennikarzami, fotografami, kandydatami na pisarzy i malarzy, ludźmi bez rodzin, ciągle męczyły ich jakieś choroby, gruźlica i chroniczny kaszel. Prowadzili niekończące się rozmowy, żyli na kredyt i nigdy nie używali zegarka, bo czas został wymyślony dla innych. Za plecami chilijskiego arystokraty wyśmiewali się z jego strojów i manier, ale chętnie przebywali w jego towarzystwie, bo zawsze można było liczyć, że pożyczycy kilka dolarów, zaprosi na szklaneczkę whisky albo pozwoli spędzić u siebie w mansardzie ponurą i mglistą noc.

- Zauważyłeś, że Matias zachowuje się jak pedał? - zagadnęła Paulina swego męża.

- Co też ci przychodzi do głowy, żeby wygadywać takie brednie o własnym synu! Ani w mojej, ani w twojej rodzinie nigdy nie było pedałów! - oburzył się Feliciano.

- Uważasz, że normalny mężczyzna dopasowuje kolor szalika do tapet na ścianach? - parsknęła Paulina.

- Tam do diabła! Jesteś jego matką i do ciebie należy wyszukanie mu narzeczonej! Chłopak ma już trzydzieści lat i ciągle jest kawalerem. Lepiej się z tym uwiń, nim wpadnie w alkoholizm, nabawi się gruźlicy albo i czegoś gorszego - napomniał żonę Feliciano, nie wiedząc, że było już za późno na podjęcie środków zaradczych.

Pewnej nocy, gdy na dworze szalała lodowata zawierucha, typowa dla letnich miesięcy w San Francisco, ubrany we frak majordomus Williams zastukał do drzwi pokoju Severa del Valle. - Proszę wybaczyć, że pana niepokoję - szepnął, dyskretnie chrząkając i wchodząc do pokoju z trójramiennym świecznikiem w okrytej rękawiczką dłoni.

- Co się dzieje, Williams? - spytał zaniepokojony Severo, bo po raz pierwszy ktoś w tym domu zakłócał mu sen.

- Obawiam się, że mamy drobny kłopot. Chodzi o don Matiasa - odpowiedział Williams z tą nieznaną w Kalifornii pompatyczną brytyjską uprzejmością, w której pobrzmiwa więcej ironii niż szacunku.

Mimo późnej pory doręczono właśnie wiadomość od pewnej damy o wątpliwej reputacji, którą panicz zwykł odwiedzać, niejakej Amandy Lowell, osoby z „innej sfery”, wyjaśnił. Severo przeczytał kartkę przy świetle świec: były to tylko trzy linijki z prośbą o niezwłoczną pomoc dla Matiasa.

- Trzeba zawiadomić moich wujostwa, Matias mógł stać się ofiarą jakiegoś wypadku - przeraził się.

- Zechce pan zwrócić uwagę na adres, to sam środek Chinatown. Mam wrażenie, że byłoby wskazane, by państwo się o tym nie dowiedzieli - zasugerował majordomus.

- Co ja słyszę! Myślałem, że nie ma pan tajemnic przed moją ciotką Pauliną.

- Staram się oszczędzać jej przykrości, proszę pana.

- Co według pana mamy zrobić?

- Jeśli nie poczyna mi pan tego za zbyt dużą śmiałość, proszę się ubrać, wziąć ze sobą broń i iść za mną.

Williams obudził chłopaka stajennego i kazał mu zaprząć konie do jednego z powozów, ponieważ jednak pragnął zachować całą sprawę w dyskrekcji, sam chwycił za lejce i ruszył bez wahania ciemnymi i wyludnionymi ulicami w kierunku chińskiej dzielnicy, zdając się na instynkt koni, bo wiatr co chwila gasił płomień przyczepionych do powozu lamp. Severo odniósł wrażenie, że mężczyzna nie po raz pierwszy jechał tymi ponurymi uliczkami.

Wkrótce zostawili powóz i skierowali się w przejście, które zaprowadziło ich na pogrążone w mroku patio, przesiąknięte dziwnym, słodkawym zapachem, jakby palonych orzechów. Nie było tam żywego ducha, świstał tylko wiatr, a jedyna smużka światła sączyła się przez wąskie szczeliny dwóch przypominających okna otworów umieszczonych na poziomie ulicy. Williams zapalił zapalną, przeczytał jeszcze raz adres zapisany na kawałku papieru, a potem bez zbędnych ceregieli otworzył pchnięciem ręki jedno z wychodzących na patio drzwi. Severo ruszył za nim, ściskając w dłoni rewolwer. Weszli do małego pokoiku, pozbawionego wentylacji, ale schludnego i uporządkowanego. Trudno tu było oddychać z powodu unoszącego się w powietrzu ciężkiego zapachu opium. Pośrodku stał stół, a wokół niego, wzdłuż ścian, ustawione były - niczym koje na statku - piętrowe prycze, przykryte słomianą matą, z kawałkiem drewna z wyłobionym zagłębieniem na głowę zamiast poduszki. Prycze zajmowali Chińczycy; leżeli na boku, czasem po dwóch na jednej pryczy, mieli przed sobą tacki z czarną pastą i płonąca lampeczka. Godzina była późna, więc większość znajdowała się już w narkotycznym transie; leżeli otepiali, pogrążeni w sennym letargu, tylko dwóch albo trzech nabierało jeszcze opium na metalową pałeczkę; rozgrzewali narkotyk nad ogniem, napelniali nim mikroskopijny cybuch fajki i zaciągali się przez bambusową rurkę.

- Mój Boże! - szepnął Severo, który słyszał o palarniach opium, ale ich nigdy nie widział na własne oczy.

- Jeśli pan pozwoli, to lepsze niż alkohol - odezwał się Williams. - Nie wywołuje agresji i nie wyrządza krzywdy innym, tylko temu, który pali. Proszę zauważyć, o ile czystsze i spokojniejsze jest to miejsce od każdego baru.

Na spotkanie wyszedł im, utykając, stary Chińczyk ubrany w tunikę i szerokie bawełniane spodnie. Z przeoranej głębokimi zmarszczkami twarzy ledwo wyzierały zaczerwienione oczy. Jego obwisłe szare wąsy niczym niemal nie różniły się od cienkiego, opadającego na plecy warkoczyka, paznokcie u rąk, oprócz palca wskazującego i kciuka, miał takie długie, że aż się podwijały, jak ogon jakiegoś pradawnego mięczaka, usta przypominały czarną dziurę, a nieliczne pozostałe mu jeszcze zęby były pożółkłe od tytoniu i opium. Staruch odezwał się do przybyszów po chińsku, a angielski majordomus, ku zdumieniu Severa, odpowiedział mu serią szczeknięć w tym samym języku. Zapadła długa cisza, nikt nie zrobił najmniejszego ruchu. Chińczyk utkwilił spojrzenie w Williamsie, jakby go badał wzrokiem, a wreszcie wyciągnął dłoń, na której tamten położył kilka dolarów. Staruch schował je pod tuniką na piersi, chwycił ogarek świecy i dał im znak, by szli za nim. Weszli do drugiej sali, a zaraz potem do trzeciej i do czwartej, wszystkich podobnych do pierwszej, pokonali długi, kręty korytarz, zeszli po kilku stopniach w dół i znaleźli się w kolejnym przedsionku. Przewodnik wytłumaczył im na migi, że mają zaczekać, i zniknął na kilka minut, które ciągnęły się w nieskończoność. Spocony jak mysz Severo cały czas trzymał palec na spuście i nie odzywał się ani słowem. Staruch wreszcie wrócił i poprowadził ich istnym labiryntem korytarzy, aż znaleźli się przed zamkniętymi drzwiami. Wtedy stanął, przyglądając się drzwiom jak ktoś, kto odcyfrowuje niewyraźną mapę. Otworzył je dopiero wtedy, gdy Williams dał mu jeszcze kilka dolarów. Weszli do pomieszczenia jeszcze mniejszego niż poprzednie. Było ciemne, bardzo zadymione i przygnębiające, ponieważ mieściło się w suterenie i brakowało w nim jakiegokolwiek wentylacji, tak jak we wszystkich poprzednich. Na drewnianych pryczach leżało pięcioro białych Amerykanów, czterech mężczyzn i jedna kobieta w dojrzałym już wieku, ale nadal wspaniała, z opadającą wokół

głowy kaskadą rudych włosów, niczym z wyzywającą peleryną. Wnosząc z eleganckich ubrań, jakie mieli na sobie, byli to ludzie dobrze sytuowani. Znajdowali się w stanie radosnego oszołomienia, z wyjątkiem jednego mężczyzny w podartej koszuli, który leżał na plecach i z trudem oddychał, miał rozrzucone w bok ramiona, twarz bladą jak kreda i oczy wywrócone białkami do góry. To był Matias Rodriguez de Santa Cruz.

- Niech mi pan pomoże - powiedział Williams, zwracając się do Severa del Valle.

Chwycili go we dwóch, każdy zarzucił sobie na szyję jedno ramię nieprzytomnego mężczyzny i unieśli go z wysiłkiem, z głową zwisającą na pierś, bezwładnym ciałem i nogami ciągnącymi się po ubitej ziemi. Przeszli długą drogę powrotną przez wąskie korytarze i minęli jeden po drugim wszystkie duszne pokoje, aż wyszli oszołomieni na świeże powietrze, w cudownie czystą noc i mogli wreszcie odetchnąć pełną piersią. Ułożyli Matiasa w powozie najwygodniej, jak było można, a potem Williams zawiózł ich do garsoniery. Severo nie przypuszczał, że podwładny jego ciotki wie o istnieniu tego miejsca. Zdumiał się jeszcze bardziej, gdy Williams wyjął z kieszeni klucz, otworzył bramę budynku, a potem wyjął następny, żeby otworzyć nim poddasze.

- Nie pierwszy raz przychodzi pan z pomocą memu kuzynowi. Prawda, Williams?

- Powiedzmy, że nie będzie to po raz ostatni - odpowiedział tamten.

Położyli Matiasa na stojącym w rogu pokoju łóżku, za japońskim parawanem. Severo przemywał mu twarz wilgotnymi ściereczkami i potrząsał nim, starając się sprowadzić go na ziemię z nieba, w którym na dobre się zadomowił. Williams wyszedł, żeby sprowadzić rodzinnego lekarza, uprzedziwszy przedtem Severa, że i o tym. zdarzeniu nie należy zawiadamiać wujostwa.

Przez pięć dni Matias walczył o życie wstrząsany agonijnymi spazmami, zatruty aż do szpiku kości. Williams sprowadził na poddasze pielęgniarza, żeby się nim opiekował, i wymyślił jakąś historyjkę, aby wytłumaczyć jego nieobecność w domu. W wyniku tego zdarzenia między Severem i Williamsem nawiązała się dziwna więź, rodzaj cichego współnictwa, choć nigdy nie przyjęło to formy słów ani gestów. Gdyby chodziło o kogoś mniej oficjalnego niż majordomus, Severo pomyślałby, że łączy ich przyjaźń lub co najmniej sympatia, jednak Anglik skrył się za nieprzeniknionym murem powściągliwości. Młodzieniec zaczął mu się uważniej przyglądać. Podległych sobie ludzi traktował z tą samą zimną i nienaganną uprzejmością, z jaką zwracał się do swych chlebobawców, lecz wyrobił sobie u nich posłuch oparty na strachu. Nic nie umykało jego uwadze - ani niedokładnie wyczyszczone sztuce z polerowanego srebra, ani tajemnice mieszkańców tego ogromnego domu. Nie było sposobu, by odgadnąć jego wiek albo pochodzenie, niezmiennie wyglądał na czterdzieści lat i żaden szczegół nie zdradzał jego pochodzenia oprócz wyraźnie brytyjskiego akcentu. Trzydzieści razy dziennie zmieniał białe rękawiczki, jego czarny garnitur wyglądał zawsze na świeżo odprasowany, biała koszula z holenderskiego płótna była na sztywno wykrochmalona, a buty lśniły niczym lustro. Dla odświeżenia oddechu ssał miętowe pastylki, używał także wody kolońskiej, ale tak dyskretnie, że Severo tylko raz poczuł od niego zapach mięty i lawendy, gdy otarli się o siebie, podnosząc nieprzytomnego Matiasa w palarni opium. Również wtedy zauważył, że pod marynarką skrywa twarde mięśnie, mocny kark i zwinne ciało, co nijak nie pasowało do obrazu zubożałego lorda, za jakiego chciał uchodzić.

Kuzynów Severa i Matiasa łączyło jedynie podobieństwo rysów twarzy oraz upodobanie do sportów i do literatury, poza tym nic nie wskazywało, że są tej samej krwi. O ile pierwszy był uosobieniem rycerskości, odwagi i prostoduszności, o tyle drugi był cynicznym i nie czułym libertynem. Jednak zaprzyjaźnili się mimo tak skrajnie różnych temperamentów i dzielącej ich różnicy wieku. Matias dołożył starań, by nauczyć Severa szermierki, choć ruchom chłopaka brakło elegancji i szybkości, nieodzownych w tej sztuce walki, postawił sobie także za punkt honoru, by wprowadzić kuzyna w świat uciech San Francisco, ale ten okazał się kiepskim kompanem do zabawy, bo zasypiał na stojąco - w kancelarii adwokackiej pracował po czternaście godzin na dobę, a w wolnych chwilach czytał i uczył się. Często pływali nago w domowym basenie i siłowali się. Rozpoczynali od tanecznych skoków naprzeciwko siebie, gotując się do skoku, a potem przypuszczali atak, przepychali się spleceni uściskiem, obracali, aż wreszcie jeden drugiego przewracał i rozciągał na ziemi. Kończyli, dysząc ciężko, spoceni i podnieceni. Severo natychmiast odsuwał się zmieszany, jakby walka na pięści zmuszała ich do niedopuszczalnej bliskości. Rozmawiali o książkach i komentowali dzieła klasyków. Matias kochał poezję i kiedy byli sami, deklamował wiersze z pamięci i tak wzruszał się pięknem recytowanych strof, że po policzkach płynęły mu łzy. Severo czuł się zakłopotany, bo wielkie wzruszenie kuzyna zdawało mu się znowu formą takiej bliskości, na jaką nie powinni sobie pozwalać mężczyźni. Sam interesował się żywo postępem w nauce i nowymi odkryciami. Daremnie starał się zaciekawić tym Matiasa, bo jedynymi wiadomościami, które przebijały się przez pancierz obojętności kuzyna, były informacje o popełnionych w okolicy przestępstwach. Matiasa łączyła dziwna przyjaźń, obficie podlewana litrami wspólnie wypitej whisky, z Jacobem Freemontem, pozbawionym skrupułów dziennikarskim wygą, który nigdy nie miał grosza przy duszy i podobnie jak Matias był chorobliwie zafascynowany zbrodnią. Freemont pisał jeszcze czasem reportaże do kroniki kryminalnej, jednak stracił dobrą reputację przed wieloma laty, kiedy w czasach gorączki złota wymyślił historię o Joaquinie Muriecie, rzekomym meksykańskim bandycie. Swoimi artykułami stworzył wówczas postać legendarną, potęgując nienawiść białych do ludności hiszpańskojęzycznej. Dla uspokojenia nastrojów władze wynajęły niejakiego kapitana Harry'ego Love'a i zleciły mu zabicie Muriety. Przez trzy miesiące kapitan Love przemierzał Kalifornię w poszukiwaniu złoczyńcy, wreszcie zdecydował się na szybkie i proste rozwiązanie: zabił w zasadzce siedmiu Meksykanów i wrócił z wyprawy, przywożąc na znak zwycięstwa jedną uciętą rękę i głowę. Nikt nie mógł zidentyfikować tych ludzkich szczątków, ale wyczyn Love'a uspokoił miejscowych białych. Makabryczne trofea nadal można było oglądać w muzeum, choć wszyscy dawno już zrozumieli, że Joaquin Murieta został powołany do życia za sprawą nieodpowiedzialnych wybryków prasowych, a już Jacoba Freemonta w szczególności. Swoimi artykułami zapracował sobie uczciwie na miano oszusta, przed którym należy zamykać drzwi. Dzięki dziwacznej komitywie z reporterem kryminalnym Freemontem Matias Rodriguez de Santa Cruz mógł oglądać ciała zamordowanych, nim zabrano je z miejsca zbrodni, i asystować przy sekcjach zwłok w kostnicy. Oba spektakle wzbudzały w nim obrzydzenie, ale równocześnie go podniecały. Z tych wypraw w głąb świata zbrodni wracał pijany przerażeniem, szedł wprost do łaźni tureckiej i spędzał tam wiele godzin, wypacając przyklejony do skóry odór śmierci, a potem zamykał się w garsonierze, żeby malować straszliwe obrazy przedstawiające pokrojonych na kawałki ludzi.

- Co to ma znaczyć? - spytał Severo, gdy po raz pierwszy ujrzał te potworności.

- Ciebie śmierć nie fascynuje? Zabójstwo to niezwykła przygoda, a samobójstwo to praktyczne rozwiązanie. Bawię się myślą o jednym i o drugim. Są ludzie, którzy zasługują na to, by ich zabić, nie sądzisz? A co do mnie, to cóż, kuzynie, nie zamierzam umrzeć jako zniedołężniały starzec, wolę sam położyć kres swojemu życiu i zrobię to z równą starannością, z jaką codziennie wybieram sobie ubranie. Studiuję fenomen zabijania, żeby samemu nabrać wprawy.

- Jesteś stuknięty, a poza tym nie masz talentu - zawyrokował Severo.

- Żeby być artystą, nie trzeba talentu, lecz odwagi. Słyszałeś o impresjonistach?

- Nie, ale jeśli ci biedacy malują podobne rzeczy, to daleko nie zajdą. Nie mógłbyś sobie znaleźć czegoś przyjemniejszego? Na przykład pięknej dziewczyny?

Matias wybuchnął śmiechem, a potem wyjąwił, że w środę przyjdzie do jego garsoniery naprawdę ładna dziewczyna. Najpiękniejsza w San Francisco, wedle powszechnej opinii, dodał. Jest modelką, o której względy rywalizują wszyscy jego przyjaciele, bo każdy chciałby uwiecznić ją w glinie, na płótnie albo na kliszy fotograficznej, w nadziei, że przy okazji uda mu się zaciągnąć ją do łóżka. Robili zakłady o to, komu przypadnie palma pierwszeństwa, ale jak na razie nikomu nie udało się nawet dotknąć jej dłoni.

- Ta dziewczyna ma pewien obrzydliwy defekt: jest cnotliwa. To jedyna dziewczyna w całej Kalifornii, choć jest na to szybkie lekarstwo. Chciałbyś ją poznać?

W ten sposób Severo del Valle ponownie spotkał Lynn Sommers. Do tej chwili ograniczał się do potajemnego kupowania w sklepach dla turystów pocztówek z jej podobizną. Chował potem te pocztówki między kartkami swoich prawniczych ksiąg, niczym wstydlivy skarb. Wiele razy włóczył się ulicami wokół herbaciarni przy Plaza de la Unión, żeby ujrzeć dziewczynę z daleka, i wypytywał o nią dyskretnie za pośrednictwem woźnicy, który codziennie jeździł tam po słodycze dla ciotki Pauliny, nigdy jednak nie odważył się stanąć uczciwie przed Elizą Sommers i poprosić, by pozwoliła mu odwiedzić swoją córkę. Podjęcie jakichkolwiek kroków wydawało mu się zdradą Nivei, jego słodkiej narzeczonej, z którą czuł się związany na zawsze. Czym innym byłoby przypadkowe spotkanie z Lynn, tłumaczył sobie, bo wówczas to los spletałby mu figła i nikt nie mógłby mu czynić wyrzutów. Nie przyszło mu do głowy, że spotka ją w pracowni swego kuzyna Matiasa, w bardzo dziwnych okolicznościach.

Lynn Sommers była przykładem bardzo udanego pomieszania ras, Powinna się była nazywać Lin Chi'en, ale rodzice postanowili nadać dzieciom imiona o angielskim brzmieniu oraz nazwisko po matce, Sommers, żeby ułatwić im życie w Stanach Zjednoczonych, gdzie Chińczycy byli traktowani jak psy. Starszego syna nazwali Ebanizer, na cześć dawnego przyjaciela ojca, ale wołali na niego Lucky - szczęściarz - bo nie było w całym Chinatown chłopca, któremu los bardziej by sprzyjał. Młodszej o sześć lat córce dali imię Lin na pamiątkę pierwszej żony ojca, zmarłej wiele lat wcześniej w Hongkongu, ale rejestrując dziewczynkę, kazali zapisać jej imię wedle angielskiej ortografii: Lynn. Pierwszą, ukochaną żoną Tao Chi'ena była krucha istota o maleńkich stopach owiniętych na stałe bandażami. Odeszła w bardzo młodym wieku pokonana przez gruźlicę. Eliza Sommers nauczyła się żyć ze stale obecnym wspomnieniem Lin i w końcu zaczęła uważać ją za jeszcze jednego członka

rodziny, za swego rodzaju niewidzialną opiekunkę, która dba o pomyślność domowego ogniska. Dwadzieścia lat wcześniej, gdy odkryła, że ponownie zaszła w ciążę, prosiła Lin, by pomogła jej donosić tę ciążę do końca, bo miała już za sobą kilka poronień i nie było wielkiej nadziei, że wyczerpana tymi doświadczeniami zdoła tym razem urodzić dziecko. Tak jej to, w każdym razie, tłumaczył Tao Chi'en, który starał się podtrzymać każdą ciążę, stosując wszelkie znane mu środki medycyny chińskiej, a także wożąc żonę do najlepszych specjalistów zachodniej medycyny w Kalifornii.

- Tym razem urodzi się zdrowa dziewczynka - zapewniła go Eliza.

- Skąd wiesz? - spytał ją mąż.

- Prosiłam o to Lin.

Eliza zawsze była przekonana, że pierwsza żona Tao Chi'ena czuwała nad nią podczas ciąży, dodała jej sił przy porodzie, a potem, niczym dobra wróżka, nachyliła się nad kołyską, by podarować maleńkiej dar urody. „Będzie się nazywała Lin”, powiedziała wyczerpana matka, gdy wreszcie wzięła córkę w ramiona, ale Tao Chi'en przestraszył się: nie powinniśmy dawać jej imienia kobiety, która zmarła w tak młodym wieku. W końcu oboje przystali na to, że zmienią pisownię imienia, by nie kusić złego. „Wymawiać będzie się tak samo, a tylko to jest ważne” - orzekła Eliza.

Po matce Lynn Sommers miała w swych żyłach krew angielską i chilijską, po ojcu odziedziczyła geny szlachetnej chińskiej rasy z północy. Dziadek Tao Chi'ena, ubogi znachor, przekazał swym męskim potomkom wiedzę na temat roślin i magicznych zaklęć leczących choroby ciała i umysłu. Tao Chi' en, ostatni z rodu, wzbogacił wiedzę odziedziczoną po ojcu, kształcąc się na *zhong yi* u pewnego uczonego męża w Kantonie oraz pilnie studiując nie tylko tradycyjną medycynę chińską, lecz także wszystko, co wpadło mu w ręce na temat medycyny zachodniej. Zdobył sobie duży prestiż w San Francisco, konsultowali się z nim lekarze amerykańscy, szukali u niego porady pacjenci różnych ras, ale nie pozwalano mu pracować w szpitalach i jego praktyka lekarska ograniczała się do chińskiej dzielnicy. Kupił tam przestronny dom, przeznaczając parter na klinikę, a pierwsze piętro na pomieszczenia mieszkalne. Dobra sława chroniła go także przed zemstą za pomoc, jakiej starał się udzielać *sing song girls*, jak nazywano w Chinatown małeletnie w większości ofiary handlu kobietami, zmuszane do świadczenia usług seksualnych. Tao Chi'en postawił sobie za cel uwolnienie jak największej liczby tych dziewczyn z burdeli. *Tong*, czyli kontrolujące społeczeństwo chińskie i sprzedające swoje ochroniarskie usługi bractwa, dobrze wiedziały, że wykupuje młodzieńskie prostytutki, żeby dać im szansę na nowe życie daleko od Kalifornii. Ludzie ci dwukrotnie podjęli próbę zastraszenia go, ale nie zdecydowali się na zastosowanie bardziej drastycznych metod, bo wiedzieli, że wcześniej czy później każdy z nich może potrzebować pomocy znakomitego *zhong yi*. Tolerowali jego działalność, bo Tao Chi' en nie informował o procedurze władz amerykańskich, działał bez rozgłosu i pracując cierpliwie jak mrówka, wykupywał tylko pojedyncze dziewczynki, więc nie powodował poważniejszego uszczerbku w ogromnych dochodach. Jedyną osobą traktującą Tao Chi'ena jako wroga publicznego była Ah Toy, najlepiej prosperująca stręczycielka w San Francisco, właścicielka kilku salonów wyspecjalizowanych w usługach świadczonych przez dorastające dziewczynki z Azji. Każdego roku sprowadzała setki tych nieszczęsnych istot przy beczynnej obojętności przekupionych wcześniej urzędników amerykańskich. Ah Toy nienawidziła Tao Chi'ena i, jak wielokrotnie mówiła, wolałaby umrzeć, niż prosić go o pomoc w chorobie. Uczyniła to

tylko raz, z powodu uporczywego kaszlu, ale przy tej okazji oboje zrozumieli bez słów, że na zawsze pozostaną śmiertelnymi wrogami. Każda *sing song girl* uratowana przez Tao Chi'ena była jak igła wbita pod paznokiec Ah Toy, choćby nawet dziewczyna nie należała do niej. Bo dla niej, tak jak i dla niego, była to kwestia zasad.

Tao Chi'en wstawał o świcie i wychodził do ogrodu, gdzie ćwiczył walki wschodnie, żeby mieć sprawne ciało i jasny umysł. Zaraz potem pogrążał się w półgodzinnej medytacji, a później rozpalał ogień i parzył herbatę. Budził Elizę pocałunkiem i filiżanką zielonej herbaty, którą ona wypijała bez pośpiechu w łóżku. To była dla nich obojga uświęcona chwila: wypijana wspólnie filiżanka herbaty przypieczętowywała spędzoną w miłosnych uściskach noc. To, co działo się między nimi za zamkniętymi drzwiami sypialni, wynagradzało cały dzienny trud.

Ich miłość była początkowo tylko nieśmiałą przyjaźnią, a potem rozwijała się powoli i pokonywała wiele przeszkód, poczynając od konieczności porozumiewania się po angielsku, uprzedzeń kulturowych i rasowych, a skończywszy na dużej różnicy wieku. Ponad trzy lata mieszkali i pracowali pod jednym dachem, nim wreszcie odważyli się przekroczyć dzielącą ich niewidzialną barierę. Eliza musiała przemierzyć tysiące mil w niekończącej się podróży śladem złudnego kochanka, który wymykał jej się niczym ulotny cień, by wymazać z pamięci swoją przeszłość i niewinność. Dzięki temu w dniu, gdy spojrzała na uciętą, wymoczoną w dżinie głowę legendarnego bandyty Joaquina Muriety, potrafiła przezwyciężyć swoją obsesję i wreszcie zrozumiała, że jej przeznaczeniem jest życie u boku Tao Chi'ena. *Zhong yi* natomiast wiedział to od dawna i czekał na nią ze spokojną wytrwałością dojrzałej miłości.

Tego wieczoru, kiedy Eliza odważyła się w końcu pokonać osiem metrów korytarza dzielącego ją od pokoju Tao Chi'ena, ich życie całkiem się odmieniło, jakby jednym cięciem noża odcięli całą przeszłość. Po tamtej namiętnej nocy nawet przez chwilę nie chcieli ani nie mogli się już wycofać, podjęli wyzwanie i starali się stworzyć dla siebie niszę w świecie, który nie tolerował mieszanych rasowo związków.

Eliza przyszła boso, w nocnej koszuli, posuwając się w ciemnościach po omacku. Pchnęła drzwi do pokoju Tao Chi'ena pewna, że nie są zamknięte, bo domyślała się, że on pragnie jej tak samo jak ona jego, ale mimo tej pewności czuła się przestraszona nieodwracalnością swej decyzji. Długo wahała się, czy uczynić ten krok, bo *zhong yi* był jej opiekunem, jej ojcem, jej bratem, jej najlepszym przyjacielem, jej jedyną rodziną na tym dziwnym lądzie. Bała się, że go straci, gdy zostaną kochankami; stała już jednak przed jego progiem i nieodparta chęć dotknięcia go przeważyła nad wszelkimi podsuwanymi przez rozsądek racjami. Weszła do pokoju i w świetle stojącej na stole świecy ujrzała go siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, ubranego w tunikę i spodnie z białej bawełny. Czekał na nią. Eliza nie zastanowiła się nawet, ile nocy musiał już tak czekać, nasłuchując jej kroków w korytarzu, ponieważ czuła się oszołomiona własną śmiałością, drżała ze wstydu i z niecierpliwości. Tao Chi'en nie pozwolił jej się wycofać. Ruszył naprzeciw i otworzył ramiona. Podeszła niepewnie, a gdy dotknęła jego piersi, przytuliła do niej twarz i poczuła w nozdrzach dobrze znany zapach tego mężczyzny, słony zapach morskiej wody. Kolana się pod nią ugięły, więc obiema rękami chwyciła się jego tuniki, z jej ust popłynęły ciche wyjaśnienia, które mieszały się z szeptanymi przez niego po chińsku słowami miłości. Kiedy uniósł ją w ramionach i delikatnie położył na łóżku, i poczuła ciepły oddech na szyi i ciepło trzymających ją dłoni, opanował ją nagły niepokój i zaczęła dygotać, pełna wyrzutów

sumienia i przestraszona.

Po śmierci swej żony w Hongkongu Tao Chi'en szukał czasami ukojenia w objęciach płatnych kochanek. Nie kochał się z miłości od ponad sześciu lat, a mimo to nie pozwolił sobie na niecierpliwość. Tyle razy przebiegał w myślach całe ciało Elizy i tak dobrze je znał, że teraz posuwał się po jego łagodnych wgłębieniach i małych pagórkach, jakby posługiwał się mapą. Jej się zdawało, że poznała miłość w ramionach pierwszego kochanka, ale to miłosne spotkanie z Tao Chi'enem wykazało, jak bardzo się myliła. Namiętność, która oszołomiła ją jako szesnastolatkę, z powodu której przewędrowała pół świata i wiele razy narażała życie, była tylko uludą i teraz wydała jej się niedorzeczna: zakochała się wówczas, zadowolając się ledwie okruszkami miłości, jakie dawał jej tamten mężczyzna, myśląc bardziej o wyjeździe niż o zostaniu z nią na zawsze. Szukała go cztery lata, przekonana o tym, że młody marzyciel, jakiego znała w Chile, przedzierzgnął się w Kalifornii w legendarnego bandytę, znanego jako Joaquin Murieta. Przez cały ten czas Tao Chi'en czekał na nią, nie tracąc cierpliwości i spokoju, pewien, że wcześniej czy później ona przekroczy oddzielający ich próg. Towarzyszył jej, gdy poszła obejrzyć głowę Joaguina Muriety, wystawioną na widok publiczny ku uciesze Amerykanów i ku przestrodze dla Latynosów. Bał się, że Eliza nie znieśnie tej odrażającej sceny, ale ona stanęła przed naczyniem, w którym tkwiła głowa rzekomego zbrodniarza, i tak długo przyglądała się jej beznamiętnie, jakby chodziło o główkę kapusty w marynacie, aż nabrała całkowitej pewności, że nie jest to głowa mężczyzny, którego szukała przez tyle lat. W gruncie rzeczy nie miało to już znaczenia, bo w beznadziejnej pogoni za złudną namiętnością Eliza zyskała coś równie cennego jak miłość: zdobyła wolność. „Jestem już wolna” - to było wszystko, co powiedziała, patrząc na uciętą głowę bandyty. Tao Chi'en zrozumiał wtedy, że uwolniła się wreszcie od dawnego kochanka, że jest jej obojętne, czy żyje, czy też umarł, szukając złota na zboczach Sierra Nevada, w każdym razie nic będzie go więcej szukała, a gdyby ten mężczyzna pojawił się pewnego dnia w jej życiu, będzie umiała na niego spojrzeć trzeźwym wzrokiem. Tao Chi'en wziął ją za rękę i wyszli z miejsca makabrycznego pokazu. Na zewnątrz odetchnęli świeżym powietrzem i ruszyli przed siebie spokojni, każde gotowe rozpocząć w swoim życiu nowy etap.

Noc, kiedy Eliza przyszła do pokoju Tao Chi'ena, bardzo różniła się od tamtych nocy wypełnionych ukradkowymi i pospiesznymi pieszczotami z pierwszym kochankiem w Chile. Teraz zaznała prawdziwej rozkoszy, zanurzyła się w miłość, która miała być jedyna na resztę życia. Tao Chi'en spokojnie starał się odpędzić nagromadzony w niej strach i niepotrzebne wspomnienia, pieścił ją z nie strudzoną wytrwałością, aż przestała dygotać i otworzyła oczy, aż odprężyła się pod dotykiem jego mądrych palców, aż poczuła, że faluje, rozwiera się, rozświecła od wewnątrz; usłyszał, jak jęczy, wzywa go, zaklina, staje się uległa i wilgotna, gotowa, by się oddać i przyjąć go w siebie; aż wreszcie żadne z nich nie wiedziało, gdzie się znajduje ani kim jest, ani gdzie kończy się on, a zaczyna ona. Tao Chi'en poprowadził ją dalej niż miłosny spazm, ku tajemniczemu wymiarowi, gdzie miłość i śmierć stają się do siebie podobne. Poczuli, że ich dusze ulatują w przestrzeń, że wszelkie pragnienia i pamięć znikają, a oni zatracają się w bezmiarze jasności. Wzięli się w objęcia, rozpoznając się nawzajem w tej niezwyklej przestrzeni, bo może byli tam już razem w poprzednich wcieleniach i będą jeszcze wiele razy we wcieleniach, które nadejdą, jak powiedział Tao Chi'en. Są wiecznymi kochankami, ich karmą jest szukanie się i odnajdywanie, dodał z uniesieniem; ale Eliza roześmiała się, mówiąc, że po co opowiadać o czymś tak wzniosłym jak karma, gdy chodzi

przecież o zwyczajną ochotę na to, żeby się kochać, że Bogiem a prawdą od kilku dobrych lat umierała z ochoty, żeby być z nim tak blisko, a teraz ma nadzieję, że Tao nigdy nie zbraknie entuzjazmu, bo dla niej ich miłość będzie najważniejsza w życiu. Oddawali się pieszczotom całą noc i dużą część następnego dnia, aż wreszcie pokonały ich głód i pragnienie. Upojeni sobą i szczęśliwi, potykając się co krok, wyszli z pokoju, nadal trzymając się za ręce ze strachu, że nagle wszystko może się okazać tylko snem.

Pielegnowali troskliwie namiętność, która połączyła ich tamtej nocy, szukali w niej schronienia i wsparcia w chwilach, gdy dane im było doświadczać nieuniknionych przeciwności losu. Z czasem namiętność zmieniła się w tkliwość i serdeczność, zaprzestali wypróbowywania kolejnych z dwustu dwudziestu jeden sposobów uprawiania miłości, bo wystarczały im trzy albo cztery dobrze już znane i nie czuli potrzeby, by się nawzajem zaskakiwać. Im bardziej się poznawali, tym większa łączyła ich sympatia. Począwszy od pierwszej miłosnej nocy, zawsze spali spleceni w uścisku, oddychając jednym oddechem i śniąc te same sny. Ich życie nie było usłane różami, bo w tym świecie, w którym przeżyli ze sobą ponad trzydzieści lat, nie było miejsca dla takich par jak oni dwoje. Z biegiem czasu wszyscy w Chinatown przyzwyczaili się do widoku drobnej białej kobiety i wysokiego Chińczyka, jednak nigdy nie zaakceptowali ich do końca. To i Eliza pamiętali, by nie dotykać się wzajemnie w miejscach publicznych, by siadać oddzielnie w teatrze i chodzić w odległości kilku kroków jedno od drugiego. Nie mogli być razem w niektórych restauracjach i hotelach, a gdy wybrali się do Anglii - ona w odwiedziny do swej przybranej matki, Rose Sommers, a on żeby wygłosić kilka wykładów na temat akupunktury w klinice Hobbsa - nie mogli odbyć podróży statkiem pierwszą klasą ani zamieszkać we wspólnej kajucie, chociaż nocami Eliza dyskretnie wymykała się do Tao. Wzięli cichy ślub w obrzędzie buddyjskim, ale ich związek nie miał mocy prawnej. Lucky i Lynn zostali wpisani do rejestru cywilnego jako dzieci z nieprawego łoża uznane przez ojca. Tao Chi'en uzyskał obywatelstwo amerykańskie po ciągnących się w nieskończoność formalnościach i przekupieniu wielu urzędników. Należał do nielicznych szczęśliwców, którym udało się obejść ustawę wykluczającą Chińczyków z życia publicznego, jedno z wielu praw dyskryminujących kolorowych w Kalifornii. Żywił wielki podziw dla swej przybranej ojczyzny i był wobec niej bezwarunkowo lojalny, jak dowiódł tego podczas wojny domowej, gdy przemierzył cały kontynent, by na ochotnika zgłosić się na front i pracować przez cztery wojenne lata jako pomocnik jankeskich lekarzy. Odczuwał jednak dojmująco swoją obcość i pragnął, by po śmierci jego ciało pochowano w Hongkongu, nawet jeśli cała reszta życia upłynie mu na amerykańskiej ziemi.

Zamieszkali w przestronnym i wygodnym domu, solidniejszym i porządniej zbudowanym niż inne domy w Chinatown. Dookoła ludzie mówili głównie w dialekcie kantońskim i wszystko było chińskie, począwszy od jedzenia, a kończąc na gazetach. Kilka przecznic dalej zaczynała się La Misióń, dzielnica latynoska, po której Eliza Sommers lubiła spacerować dla przyjemności mówienia po kastylijsku, jednak zazwyczaj dzień upływał jej wśród Amerykanów w okolicach przylegających do Plaza de la Unión, gdzie znajdowała się jej elegancka herbaciarnia. Sprzedając wypiekane przez siebie ciasta, w znacznym stopniu przyczyniała się do utrzymania rodziny, bo duża część dochodów Tao Chi'ena trafiała w obce

ręce; wspomagał w chorobie i nieszczęściu biednych chińskich peonów, potajemnie wykupywał zmuszane do nierządu dziewczynki. Ratowanie tych istot od życia w hańbie stało się świętym posłannictwem Tao Chi'ena. Eliza rozumiała to od początku i zaakceptowała jako kolejną cechę charakteru swego męża i jeszcze jeden z wielu powodów, aby go kochać. Zajęła się wypiekami i sprzedażą ciast, żeby nie prosić go ciągle o pieniądze; chciała być niezależna i zapewnić dzieciom najlepsze amerykańskie wykształcenie. Pragnęła, żeby oboje całkowicie przystosowali się do życia w Stanach Zjednoczonych i nie czuli się dyskryminowani jako Chińczycy lub ludzie pochodzenia latynoskiego. W przypadku Lynn odniosła sukces, ale w przypadku Lucky'ego jej plany spaliły na panewce, bo chłopak był dumny ze swego pochodzenia i nie zamierzał wyprowadzić się z Chinatown.

Lynn uwielbiała ojca - trudno było nie kochać tego delikatnego i szczodrośliwego człowieka - ale wstydziła się swego pochodzenia. Jako bardzo młoda dziewczyna zdała sobie sprawę, że jedynym miejscem dla Chińczyków jest ich dzielnica, bo w innych częściach miasta ludzie odnoszą się do nich z pogardą. Ulubionym sportem białych chłopców było ciskanie kamieniami w „niebiańskich” lub atakowanie ich kijami i obcinanie warkoczy. Podobnie jak matka, Lynn kultywowała równocześnie obyczaje chińskie i amerykańskie, obie mówiły tylko po angielsku, czesały się i ubierały wedle amerykańskiej mody, ale w domu nosiły zazwyczaj jedwabną tunikę i spodnie. Lynn odziedziczyła po ojcu tylko wysoki wzrost i orientalne oczy, po matce jeszcze mniej, i nikt nie wiedział, skąd wzięła się jej oryginalna uroda. Nigdy nie pozwalano jej bawić się na ulicy, jak zwykł to robić Lucky, bo kobiety i dziewczynki z zamożniejszych rodzin w Chinatown żyły w całkowitym odosobnieniu. Podczas nielicznych wyjść z domu przemierzała dzielnice, trzymając ojca pod rękę i spuściwszy oczy ku ziemi, żeby nie prowokować składającego się niemal wyłącznie z mężczyzn tłumu. Oboje zwracali na siebie uwagę - ona z powodu swej urody, a on dlatego, że ubierał się jak jankes. Tao Chi'en już wiele lat wcześniej pozbył się charakterystycznego chińskiego warkoczka, miał krótkie, zaczesane do tyłu i napomadowane włosy, nosił nieskazitelny czarny garnitur, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i cylinder. Poza Chinatown Lynn poruszała się z całkowitą swobodą, jak każda biała dziewczyna. Nauki pobierała w szkole prezbiteriańskiej, gdzie poznała podstawy chrześcijaństwa, i wiedza ta, w połączeniu z buddyjskimi praktykami ojca, doprowadziła ją do przekonania, że Chrystus był kolejnym wcieleniem Buddy. Sama chodziła na zakupy, na lekcje gry na fortepianie i w odwiedziny do szkolnych koleżanek, popołudniami zasiadała w herbaciarni matki, gdzie odrabiała lekcje i spędzała czas na czytaniu romantycznych powieści, kupowanych po dziesięć centów za sztukę albo przysyłanych jej z Londynu przez cioteczną babkę Rose. Na nic zdały się wysiłki Elizy Sommers, by obudzić w niej zainteresowanie kuchnią lub prowadzeniem domu: jej córka nie była stworzona do codziennych prac domowych.

Dojrzewając, Lynn zachowała twarz niebiańskiego anioła, a jej sylwetka nabrała intrygującej krągłości. Przez całe lata rozpowszechniano jej pocztówkowe zdjęcia, bo była wdzięcznym, ślicznym dzieckiem, ale wszystko się zmieniło, gdy w piętnastym roku życia nabrała kobiecych kształtów i zdała sobie sprawę, jak bardzo pociąga mężczyzn. Jej matka, przerażona możliwymi konsekwencjami takiego obrotu rzeczy, starała się zapanować nad uwodzicielską siłą córki. Wbijała jej do głowy zasady skromności i uczyła chodzenia krokiem żołnierza, bez poruszania ramionami i biodrami, ale zabiegi te okazywały się nieskuteczne: wszyscy mężczyźni, niezależnie od wieku, rasy i pozycji społecznej, wodzili za nią

zachwyconymi oczami. Gdy Lynn zrozumiała, jaką siłę daje jej uroda, przestała nad nią biadać i postanowiła pozować artystom jako modelka i czekać cierpliwie, aż zjawi się książę na skrzydlatym koniu, by powieść ją przed ołtarz. Rodzice godzili się, by w dzieciństwie pozowała do zdjęć przedstawiających dobrą wróżkę lub kołyszącego się na huśtawce elfa, traktując to jak niewinny kaprys, jednak uważali za nadzwyczaj ryzykowne, by stała przed obiektywem fotografa w swej nowej, w pełni kobiecej postaci. „Całe to pozowanie nie jest uczciwym zajęciem, może być przyczyną zguby” - orzekła ze smutkiem Eliza Sommers, bo zdała sobie sprawę, że nie uda jej się wyperswadować córce marzeń ani uchronić przed pułapką, jaką jest uroda. Podzieliła się swym niepokojem z Tao Chi'enem podczas jednej z tych cudownych chwil, gdy odpoczywali zmęczeni miłością, a on odpowiedział, że każdy człowiek ma swoją karwę, że nie można kierować cudzym życiem, że czasami można jedynie skorygować bieg własnego. Jednak Eliza nie zamierzała czekać spokojnie, aż zdarzy się nieszczęście. Gdy Lynn pozowała do zdjęć, zawsze jej towarzyszyła, nawet gdy córka była dzieckiem, i dbała o ich przyzwoitość - nie było mowy o odsłanianiu łydek dla rzekomego efektu artystycznego. Teraz, gdy dziewczyna miała już dziewiętnaście lat, matka postanowiła podwoić czujność.

- Pewien malarz nagabuje Lynn, żeby mu pozowała do obrazu Salome - oświadczyła pewnego dnia mężowi.

- Kogo? - spytał Tao Chi'en, nie odrywając wzroku od *Encyklopedii medycyny*.

- Salome, tej od tańca siedmiu zasłon, Tao. Przeczytaj w Biblii.

- Skoro to postać z Biblii, to musi być w porządku - mruknął z roztargnieniem.

- Wiesz, jak nosiły się kobiety w czasach świętego Jana Chrzciciela? Jeśli nie będę czujna, namalują twoją córkę z gołymi piersiami!

- Więc bądź czujna - uśmiechnął się Tao, obejmując żonę w talii, sadzając ją na księdze, którą trzymał na kolanach, i przekonując, by nic dała się ponieść wodom wyobraźni i że strach ma wielkie oczy.

- Ach, Tao. Co my pocniemy z Lynn?

- Nic, Elizo. Wyjdzie za mąż i obdarzy nas wnukami.

- To jeszcze dziecko!

- W Chinach byłaby już za stara, żeby znaleźć narzeczonego.

- Jesteśmy w Ameryce i nie wyjdzie za mąż za Chińczyka - oświadczyła.

- A to dlaczego? Nie podobają ci się Chińczycy? - żartował sobie *zhong yi*.

- Nie ma na świecie drugiego takiego mężczyzny jak ty, Tao, ale myślę, że Lynn wyjdzie za mąż za białego.

- Amerykanie nie są ponoć dobrymi kochankami.

- Ty byłbyś świetnym nauczycielem - zarumieniła się Eliza, przytulając nos do szyi męża.

Lynn pozowała do portretu Salome pod czujnym okiem matki, ubrana w tiulowe chusty narzucone na jedwabną koszulę w cielistym kolorze. Eliza Sommers nie mogła jednak zachować się równie stanowczo, gdy jej córka dostąpiła wielkiego zaszczytu, otrzymując propozycję pozowania do posągu przedstawiającego Republikę, który zamierzano wznieść pośrodku Plaza de la Unión. Przez wiele miesięcy trwała akcja zbierania funduszy, każdy dokładał się, ile mógł, uczniowie po kilka centów, wdowy po kilka dolarów, a tacy bogacze jak Feliciano Rodriguez de Santa Cruz przekazywali czeki opiewające na pokaźne sumy.

Gazety podawały codziennie wysokość zgromadzonych do poprzedniego dnia środków, aż wreszcie zebrano dość pieniędzy, by zlecić wykonanie pomnika pewnemu słynnemu rzeźbiarzowi, sprowadzonemu w tym celu specjalnie z Filadelfii. Najszacowniejsze rodziny w mieście współzawodniczyły ze sobą, organizując przyjęcia i bale, a wszystko po to, by stworzyć artyście okazję poznania ich córek, wszyscy bowiem wiedzieli, że modelka pozująca do posągu Republiki stanie się symbolem San Francisco, i wszystkie panny marzyły o takim wyróżnieniu. Rzeźbiarz, człowiek nowoczesny i o postępowych poglądach, szukał przez wiele tygodni idealnej dziewczyny, ale żadna nie pasowała do jego wyobrażeń. Ogłosił, że szuka panny, w której żyłach płynie krew różnych ras, bo to będzie najlepsza przedstawicielka potężnego narodu amerykańskiego, ukształtowanego przez mężnych imigrantów pochodzących z czterech stron świata. Deklaracja ta wprawiła w przerażenie ludzi finansujących projekt oraz władze miejskie. Biali mieszkańcy miasta nie uważali ludzi o innym kolorze skóry za pełnoprawne istoty ludzkie i nie chcieli nawet słyszeć o tym, by jakaś Metyska górowała nad miastem, spoglądając z wysokości umieszczonego na Plaza de la Unión obelisku, jak tego chciał ów człowiek. Prasa uważała, że chociaż Kalifornia należy do awangardy w dziedzinie sztuki, to jednak Metyska jest tu przesadą. Rzeźbiarz był już bliski kapitulacji i zaakceptowania modelki wywodzącej się z rodziny duńskich imigrantów, gdy przypadek przywiódł go do cukierni Elizy Sommers, gdzie chciał poprawić sobie nastrój czekoladową eklerką. Zobaczył Lynn Sommers. To była kobieta, jakiej szukał od dawna: wysoka, kształtna, doskonale proporcjonalna, z twarzą o klasycznych rysach, emanowało z niej nie tylko królewskie dostojeństwo, lecz miała w sobie także ten egzotyczny rys, o który mu chodziło. Jej postać była więcej niż harmonijna, miała w sobie coś szczególnego, jakieś pomieszanie Wschodu i Zachodu, zmysłowości i niewinności, siły i delikatności, i tym całkowicie go zniewoliła. Kiedy w przekonaniu, że czyni wielki honor skromnej rodzinie cukierników, poinformował matkę o swym pragnieniu, by jej córka pozowała do posągu, napotkał na stanowczy opór. Eliza Sommers miała już dość siedzenia godzinami i pilnowania Lynn w pracowniach fotografów, których cała praca sprowadzała się do naciśnięcia guziczka. Czuli się wyczerpani na samą myśl, że miałyby to teraz robić w pracowni tego niepozornego człowieczka, który zamierzał wykonać posąg z brązu kilkumetrowej wysokości. Lynn była jednak taka dumna i przejęta perspektywą symbolizowania Republiki, że Eliza nie odważyła się oponować. Rzeźbiarz musiał się bardzo natrudzić, przekonując matkę, że krótka tunika będzie w tym przypadku odpowiednim odzieniem, bo Eliza nie widziała związku między północnoamerykańską republiką i greckim strojem. Koniec końców ustalili, że Lynn będzie pozowała z odsłoniętymi nogami i ramionami, ale z zakrytymi piersiami.

Lynn nie zdawała sobie sprawy z niepokoju matki ani z tego, ile wkładała wysiłku, by stać na straży jej cnoty. Żyła pogrążona bez reszty w romantycznych fantazjach. Gdyby nie zachwycający wygląd, niczym specjalnym by się nie wyróżniała. Była zwykłą młodą dziewczyną, jakich wiele, przepisywała wiersze do zeszytu o różowych kartkach i zbierała porcelanowe figurki. Jej powściągliwość nie wynikała z eleganckich manier, lecz z lenistwa, a jej melancholia nie skrywała w sobie żadnej tajemnicy, lecz pustkę. „Dajcie jej spokój, póki ja żyję, niczego Lynn nie zabraknie” - powtarzał wielokrotnie Lucky, bo tylko on jeden zdawał sobie jasno sprawę, jaka głupiutka jest jego siostra.

Kilka lat starszy od Lynn Lucky był Chińczykiem z krwi i kości. Oprócz rzadkich okazji, gdy musiał załatwić jakąś formalność albo zrobić sobie zdjęcie, ubierał się w długi do

kolan luźny kaftan, szerokie spodnie, przewiązywał się w talii szerokim pasem, a na nogi wkładał buty na drewnianej podeszwie. Tyle że na głowie nosił zawsze kowbojski kapelusz. Nie miał wytwornych manier swego ojca, delikatności matki ani urody siostry. Był mały, miał krótkie nogi, wielką głowę i zielonkawożółty odcień skóry, jednak zjednywał sobie ludzi zniewalającym uśmiechem i zaraźliwym optymizmem biorącym się z przekonania, że los mu sprzyja. Nie mogło go spotkać nic złego, myślał, szczęście i fortunę ma zapewnione, bo urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Odkrył to, mając dziewięć lat, gdy grał w *fan tan* na ulicy z innymi chłopcami: wrócił owego dnia do domu i zapowiedział, że odtąd będzie się nazywał Lucky, zamiast Ebanizer - i przestał reagować, gdy zwracano się do niego inaczej. Szczęście towarzyszyło mu na każdym kroku, wygrywał zawsze we wszystkich grach losowych i choć był nie zależny i zuchwały, nigdy nie miał żadnych kłopotów z *tong* ani z białą władzą. Nawet irlandzcy policjanci nie mogli oprzeć się jego bezpretensjonalnemu urokowi i kiedy jego kompani dostawali razy pałkami, on zawsze wychodził bez szwanku ze wszystkich awantur, wymigując się jakimś żarcikiem albo magiczną sztuczką, których wiele potrafił wyczarować zręcznymi rękoma prestidigitatora. Tao Chi'en nie mógł się pogodzić z lekkomyślnością jedyne go syna i złorzeczył jego dobrej gwiazdzie, bo z jej powodu chłopak nie poznał trudu i znoju zwykłych śmiertelników. Nie pragnął dla niego szczęścia, lecz transcendencji. Smuciło go, że przemierza świat niczym beztroski ptak, ponieważ uważał, że taki stosunek do życia zniszczy mu karmę. Wierzył, że dusza zbliża się do nieba dzięki doświadczaniu cierpienia i współczucia, pokonując szlachetnie i wspaniałomyślnie wszelkie przeszkody, ale skoro zmiana zawsze przychodziła Lucky'emu łatwo, jak miał przezwyciężyć samego siebie? Obawiał się, że w następnym wcieleniu Lucky może być robakiem. Tao Chi'en pragnął, by jego pierworodny syn, którego powinnością było pomaganie ojcu na starość i czczenie jego pamięci po śmierci, kontynuował szlachetną rodzinną tradycję leczenia ludzi, marzył nawet, że pewnego dnia stanie się pierwszym dyplomowanym lekarzem chińsko-amerykańskim. Jednak Lucky'ego wprawiały w przerażenie cuchnące napary i igły do akupunktury, nic nie budziło w nim większego wstrętu niż cudze choroby i nie rozumiał, jaką przyjemność może odczuwać ojciec, zajmując się czymś chorym pęcherzem moczowym albo obsypaną pryszczami twarzą. Nim skończył szesnaście lat i zaczął chodzić własnymi drogami, musiał asystować Tao Chi'enowi w przychodni, gdzie ten zanudzał go nazwami lekarstw i przepisami na ich stosowanie oraz usiłował go nauczyć trudnej do wytłumaczenia sztuki mierzenia pulsu, wyrównywania energii i rozpoznawania złych nastrojów, czyli przekazać mu swoje sekrety; młodzieniec słuchał ich z roztargnieniem, choć nie budziły w nim aż takiej odrazy jak studiowane gorliwie przez ojca naukowe księgi o medycynie zachodniej. Zamieszczone tam ilustracje, przedstawiające pozbawione skóry ciała, z widocznymi na zewnątrz mięśniami, żyłami i kośćmi, choć zawsze dla przyzwoitości ubrane w majtki, podobnie jak opisane w najdrobniejszych szczegółach operacje chirurgiczne, przerażały go. Wynajdywał tysiące pretekstów, żeby wychodzić z przychodni, zawsze jednak można było na niego liczyć, gdy ojciec przyprowadzał do domu kolejną biedną *sing song girl* i potrzebował pomocy, aby ją ukryć. Takie potajemne i niebezpieczne działanie było jego żywiołem. Nikt sprawniej niż on nie wykradłby ledwie żywych dziewczynek spod nosa *tong*, a gdy tylko odzyskały trochę sił, nikt zręczniej nie wywiózłby ich z chińskiej dzielnicy, nikt nie miałby lepszych pomysłów na to, jak zatrzeć za nimi ślady na wolności. Nie robił tego powodowany współczuciem, jak Tao Chi'en, ale podniecony ryzykiem i chęcią wystawienia na próbę swego

szczęścia.

Lynn Sommers odrzuciła kilku konkurentów do swej ręki, zanim jeszcze ukończyła dziewiętnaście lat. Nawykła do męskich hołdów i przyjmowała je z królewską pogardą, bo żaden z wielbicieli nie pasował do ideału romantycznego księcia, o jakim marzyła, żaden nie przemawiał do niej słowami, jakich używała w swoich romansach jej cioteczna babka Rose, więc uważała że wszyscy są pospolici i niegodni jej uwagi. Gdy poznała Matiasa Rodrigueza de Santa Cruz, jedynego mężczyznę, który nie zatrzymał na niej wzroku, zdało jej się, że spotyka oto ideał mężczyzny, który jest jej przeznaczony. Widziała go z daleka przy kilku okazjach, na ulicy albo w powozie z Pauliną del Valle, nigdy jednak nie zamienili słowa. Był od niej znacznie starszy, poruszał się w kręgach, do których Lynn nie miała dostępu, i gdyby nie posąg Republiki, może nigdy by się na siebie nie natknęli.

Do pracowni rzeźbiarza przychodzili politycy i zamożni przedsiębiorcy finansujący posąg, pod pretekstem nadzorowania kosztownego projektu. Artysta kochał sławę i wystawne życie, więc - choć na pozór całkowicie pochłonięty tworzeniem formy, w którą zostanie wylany brąz - korzystał ze stałej obecności męskiego towarzystwa, popijał szampana, jadł świeże ostrygi i palił drogie cygara, które przynosili goście. Na podium oświetlonym wpadającymi przez świetlik w dachu promieniami słońca stała Lynn Sommers, balansując na palcach i wyciągając w górę ramiona, w pozycji, w której trudno jest ustać nieruchomo dłużej niż kilka minut. W jednej ręce trzymała wieniec laurowy, a w drugiej rulon pergaminu z amerykańską konstytucją, ubrana w lekką plisowaną tunikę opadającą luźno z jednego ramienia aż do kolan. Strój ten bardziej uwypuklał jej kształty, niż je skrywał. W San Francisco kobiece akty cieszyły się dużym powodzeniem. W każdym barze wisiały obrazy przedstawiające krągłe odaliski albo fotografie kurtyzan z gołą pupą, można też było podziwiać gipsowe freski, a na nich nimfy uciekające przed nienasyconymi satyrami. Całkowicie naga modelka wzbudziłaby mniejsze zaciekawienie niż ta odmawiająca rozebrania się dziewczyna, stale pilnowana czujnym wzrokiem matki. Spięta, ubrana na czarno Eliza Sommers siedziała na krześle obok podium, na którym pozowała córka, i czuwała nad wszystkim, odmawiając jedzenia ostryg i picia szampana, którymi to smakołykami próbowano odwrócić jej uwagę. Ci obłeśni starcy przychodzili tu z lubieżności, a nie z miłości do sztuki, to było jasne jak słońce. Nie była władna zabronić im tych wizyt, ale mogła przynajmniej zadbać o to, by córka nie przyjmowała zaproszeń i, w miarę możliwości, nie śmiała się z żartów ani nie odpowiadała na bzdurne pytania. „Na tym świecie nie ma nic za darmo. Zapłacisz wysoką cenę za te nic niewarte drobiazgi” - przestrzegala, gdy dziewczyna dąsała się wobec zakazu przyjęcia jakiegoś prezentu. Pozowanie rzeźbiarzowi okazało się niemiłosiernie długie i nudne, Lynn cierpły nogi i całe ciało kostniało jej z zimna. Był początek stycznia i narażone piece nie wystarczały, by ogrzać wysokie i nękanie przeciągami pomieszczenie. Artysta rzeźbił ubrany w płaszcz i pracował w zdumiewająco wolnym tempie, codziennie przerabiając to, co zrobił poprzedniego dnia, jakby nie miał jasnej wizji posągu mimo setek szkiców Republiki przyczepionych do ścian.

W pewien fatalny wtorek zjawił się w pracowni Feliciano Rodriguez de Santa Cruz ze swym synem Matiasem. Doszły go wieści o egzotycznej modelce i zapragnął ją poznać osobiście, nim pomnik stanie na placu, gazety opublikują nazwisko dziewczyny, a ona sama stanie się nieosiągalna, przy założeniu, że pomnik rzeczywiście zostanie ukończony. Biorąc pod uwagę tempo pracy, mogło się równie dobrze zdarzyć, że nim zostanie odlany w brązie,

przeciwnicy projektu wygrają bitwę i cały zamiar spełnie na niczym. Wiele osób nie akceptowało decyzji, by Republika miała mieć tak mało anglosaską twarz. Na myśl o możliwości nowego podboju stare serce zbereźnika Feliciano zaczynało bić szybciej i dlatego przyszedł. Miał już sześćdziesiąt lat, a jednak fakt, że modelka nie ukończyła jeszcze dwudziestu, nie wydawał mu się przeszkodą nie do pokonania, bo żył w przekonaniu, że mało jest takich rzeczy, których nie można by kupić za pieniądze. Wystarczyła mu jedna chwila, widok Lynn Sommers na podium, młodziutkiej i wrażliwej, dygocącej z zimna pod nieprzyzwoitą tuniką w pracowni wypełnionej gotowymi pożreć ją samcami, by natychmiast połapać się w sytuacji. Porzucił zamiar rozkochania w sobie dziewczyny nie dlatego, że powodowało nim współczucie lub obawa przed rywalizacją z resztą potencjalnych ludożerców, lecz dlatego, że spostrzegł Elizę Sommers. Rozpoznał ją od razu, choć widział ją przedtem zaledwie kilka razy. Nie przypuszczał, że wzbudzająca tyle komentarzy modelka jest córką znajomej jego żony.

Lynn Sommers zauważyła obecność Matiasa dopiero po półgodzinie, kiedy to rzeźbiarz zakończył sesję, a ona mogła odłożyć wieniec laurowy i pergaminowy rulon i zejść z podium. Matka zarzuciła jej na ramiona koc, podała filiżankę gorącej czekolady i poprowadziła za parawan, żeby dziewczyna mogła się ubrać. Matias stał zamyślony przyoknie i wpatrywał się w ulicę. Tylko on jeden nie wlepił w tej chwili wzroku w Lynn. Ona od razu dostrzegła męską urodę, młodość i wykwiłtne maniery tego mężczyzny, jego wysmakowany strój, wyniosłość, kosmyk kasztanowych włosów opadający w starannym nieładzie na czoło, doskonały kształt dłoni i złote obrączki na małych palcach. Zdumiona jego obojętnością, udala potknięcie, aby zwrócić na siebie uwagę. Wiele rąk pospieszyło z pomocą, by ją podtrzymać, tylko dandys przyoknie omiótł ją zaledwie wzrokiem z całkowitą obojętnością, jakby była meblem. Wówczas Lynn, z głową rozgorączkowaną mrzonkami, zadecydowała, nie mając po temu żadnych podstaw, że ten właśnie mężczyzna jest owym urodziwym zalotnikiem, o którym od lat czytała w romansach. Nareszcie spotkała swoje przeznaczenie. Ubierając się za parawanem, miała sutki twarde jak kamyczki.

Matias wcale nie udawał obojętności, naprawdę nie zauważył dziewczyny. Tym, co sprowadziło go do pracowni, nie były lubieżne zamiary, lecz konieczność porozmawiania z ojcem, do czego nie nadarzyła się przedtem sposobna okazja. Tkwił po uszy w długach i pilnie potrzebował czeku, aby zwrócić pieniądze przegrane w szulerni w Chinatown. Ojciec dawno mu już zapowiedział, że nie zamierza nadal finansować tego rodzaju rozrywek, i gdyby nie chodziło o sprawę życia lub śmierci, jak mu to przedstawili wierzyciele, sam by to jakoś załatwił, wyciągając po trochu konieczne kwoty od matki. Tym razem jednak „niebiańscy” nie byli skłonni czekać, a Matias trafnie przewidział, że wizyta w pracowni rzeźbiarza wprawi ojca w dobry nastrój, więc łatwo będzie uzyskać od niego to, czego chciał. Dopiero kilka dni później, podczas bibki z przyjaciółmi z artystycznego świata bohemy, dowiedział się, że przebywał w obecności Lynn Sommers, dziewczyny najbardziej pożądanej przez wszystkich jego kompanów. Przypomniał ją sobie z wysiłkiem, nie był nawet pewien, czy rozpoznałby ją na ulicy. Kiedy doszło do zakładów oto, komu pierwszemu uda się ją uwieść, przyłączył się z rozpędu, a potem, ze zwykłym sobie tupetem, zapowiedział, że uwiedzie ją w trzech etapach. Pierwszy etap, powiedział, to przekonanie jej, aby przyszła sama do jego garsoniery - w celu przedstawienia jej koleżkom, drugi to skłonienie dziewczyny do pozowania nago w obecności wszystkich, trzeci to zaciągnięcie jej do łóżka, a

wszystko w ciągu jednego miesiąca. Kiedy zaprosił kuzyna Severa del Valle na środowy wieczór, mówiąc mu, że pozna najpiękniejszą kobietę w San Francisco, wypełniał pierwszą część zakładu. Bez trudu przywołał Lynn dyskretnym gestem z okna herbaciarni jej matki, poczekał na rogu, by wyszła pod jakimś pretekstem z domu, potem przespacerował się z nią kilka przecznic dalej, powiedział kilka komplementów, które bardziej doświadczoną kobietę tylko by rozśmieszyły, i umówił się z nią w garsonierze, zastrzegając, że ma przyjść sama. Czuł się rozczarowany, bo zakładał, że wyzwanie okaże się trudniejsze. Nie musiał się nawet szczególnie wysilać, by ją namówić na randkę, wystarczyło kilka powłóczyстых spojrzeń, muśnięcie wargami policzka, kilka westchnień i oklepanych komplementów, żeby całkowicie oszołomić dziewczynę, która drżała obok niego owładnięta namiętnością. To kobiece pragnienie, by oddać się i cierpieć, wydawało się zawsze Matiasowi żalosne, tego właśnie najbardziej u kobiet nie znosił i dlatego tak dobrze się rozumiał z Amandą Lowell, która miała do uczuć podobnie cyniczny stosunek i równie wysoko ceniła sobie przyjemność. Lynn, zahipnotyzowana niczym mysz wpatrzona w kobrę, miała wreszcie kogoś, do kogo mogła wysyłać pisane kwiecistym językiem liściki miłosne i obrazki przedstawiające smutne panny i napomadowanych zalotników. Nie podejrzewała, że Matias pokazuje te romantyczne listy koleżkom. Kiedy chciał je pokazać Severowi del Valle, ten odmówił. Nie wiedział jeszcze, że ich autorką jest Lynn Sommers, ale napawało go wstrętem wyśmiewanie się z uczucia jakiejś naiwnej dziewczyny. „Widać nadal jesteś szlachetnym człowiekiem, kuzynie, ale nic się nie martw, można się z tego łatwo wyleczyć, tak samo jak i z dziewictwa” - zawyrokował Matias.

Tamtej pamiętnej środy Severo del Valle skorzystał z zaproszenia kuzyna, aby poznać najpiękniejszą, jak mu powiedziano, kobietę San Francisco. Na miejscu zobaczył, że nie jest jedynym gościem zaproszonym z tej okazji, w garsonierze było przynajmniej pół tuzina pijących i palących hulaków i ta sama rudowłosa kobieta, na której zatrzymał wzrok na kilka sekund dwa lata wcześniej, kiedy pojechał z Williamsem do palarni opium, aby ratować Matiasa. Wiedział, kim jest, bo kuzyn mu o niej opowiadał, a ona sama była znana w kręgach bawiących się na frywolnych spotkaniach i korzystających z uroków nocnego życia. To była Amanda Lowell, wielka przyjaciółka Matiasa. Często wyśmiewali się razem ze skandalu, jaki wywołała w czasach, gdy była kochanką Feliciano Rodrigueza de Santa Cruz. Matias obiecał Amandzie, że po śmierci rodziców podaruje jej łożo z Neptunem, zamówione ze złości przez Paulinę del Valle we Florencji. Panna Lowell nie gustowała już w urokach życia kurtyzany; gdy stała się dojrzałą kobietą, stwierdziła, że mężczyźni są w większości pyszałkowaci i nudni, jednak z Matiasem łączyło ją, mimo zasadniczych różnic, głębokie podobieństwo. Tamtego wieczoru trzymała się na uboczu, leżąc na sofie i popijając szampana, świadoma tego, że tym razem nie ona jest ośrodkiem zainteresowania. Zaproszono ją, aby Lynn Sommers nie znalazła się podczas pierwszej randki w otoczeniu samych mężczyzn, bo mogłaby się wówczas przestraszyć i wycofać.

Po kilku minutach oczekiwania rozległo się pukanie do drzwi i okryta peleryną z ciężkiej wełny i w kapturze na głowie weszła słynna modelka. Gdy zdjęła pelerynę, ujrzeli twarz dziewczęcia zwieńczoną koroną czarnych włosów, rozdzielonych przedziałkiem pośrodku głowy i spiętych z tyłu w prosty kok. Severo del Valle poczuł, że serce skacze mu do gardła, a krew gwałtownie uderza do głowy i wali w skroniach niczym wojskowy bęben.

Nie przyszło mu do głowy, że ofiarą zakładu kuzyna miała być Lynn Sommers. Nie mógł wydusić z siebie ani słowa, nawet nie przywitał się z nią, jak pozostali: wycofał się w kąt garsoniery i sparaliżowany trwożą pozostał tam przez całą godzinę, tyle, ile trwała wizyta dziewczyny, nie mogąc oderwać wzroku od Lynn. Nie było cienia wątpliwości co do rozstrzygnięcia zakładu poczynionego przez mężczyzn. Widział, że Lynn Sommers jest niczym baranek ofiarny, nieświadoma, co ją czeka. Poczul przyływ nienawiści do Matiasa i jego kompanów i głuchy gniew do Lynn. Nie rozumiał, jak mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, co się dzieje, jak mogła nie dostrzegać fałszu pochlebstw. Ciągłe od nowa napelniano jej kieliszek szampanem, Matias wpiął jej we włosy wspaniałą czerwoną różę, wszystko było takie oczywiste i wulgarne, że aż się zbierało na mdłości. Musi być beznadziejnie głupia, pomyślał Severo zbrzydzonej dziewczyną i całą resztą. A mimo to czuł się oszołomiony, owładnięty miłością, od której nie było ucieczki i która od lat czekała na okazję, by wybuchnąć.

- Coś ci dolega, kuzynie? - spytał rozbawiony Matias, podając mu kieliszek.

Nie czuł się na siłach, by odpowiedzieć, i musiał odwrócić twarz, żeby ukryć wściekłość, ale tamten odgadł, co czuje, i skierował swoje żarciki w inną stronę. Kiedy Lynn Sommers powiedziała, że musi wyjść, obiecawszy uprzednio, że przyjdzie znowu w następnym tygodniu, aby pozować "artystom" do zdjęć, Matias poprosił swego kuzyna, by ją odprowadził. Tak oto Severo del Valle znalazł się sam na sam z kobietą, która nieświadomie postawiła pod znakiem zapytania jego upartą miłość do Nivei. Kilka przecnie oddzielających garsonierę Matiasa od herbaciarni Elizy Sommers przeszedł z Lynn w stanie takiego pomieszania, że nie potrafił nawet nawiązać żadnej banalnej rozmowy. Sprawy zaszły za daleko, by wyjawic jej prawdę o zakładzie, wiedział, że uczucie, jakim Lynn darzy Matiasa, jest równie bezkrytyczne, jak jego miłość do niej. Nie uwierzyłaby mu, odebrałaby to jak zniewagę, i choćby nawet wyjaśnił jej, że jest dla Matiasa tylko zabawką, i tak poszłaby wprost na rzeź, zaślepiona miłością. Ona przerwała wreszcie uciążliwe milczenie, pytając, czy to on jest tym chilijskim kuzynem, o którym wspominał Matias. Severo zrozumiał w lot, że nie zachowała w pamięci najmniejszego nawet wspomnienia ich pierwszego spotkania przed laty, gdy wklejała obrazki do albumu przy świetle wpadającym przez witraże okna, nie przypuszczała, że kocha ją od tamtego czasu z wytrwałością nowicjusza, nie zwróciła także uwagi na to, że Severo kręci się wokół cukierni i że często mijają się na ulicy. Jej oczy po prostu go nie zauważały. Przy pożegnaniu wręczył jej swój bilet wizytowy, pochylił się, aby ucałować jej dłoń, i wybąkał, że gdyby kiedykolwiek potrzebowała jego pomocy, może wezwać go bez wahania. Od tego dnia unikał Matiasa, pogrążył się w nauce i w pracy, byle tylko oddalić od siebie myśli o Lynn Sommers i o upokarzającym zakładzie. Gdy kuzyn zaprosił go do siebie na środę następnego tygodnia, kiedy to dziewczyna miała się rozebrać do naga, zwymyślał go. Przez kilka tygodni nie mógł napisać ani linijki do Nivei, nie potrafił także zdobyć się na czytanie listów od niej, chował je, nie otwierając, przygnieciony poczuciem winy. Czuł się podle, jakby on także brał udział w wygłupie prowadzącym do zszargania honoru Lynn Sommers.

Matias Rodriguez de Santa Cruz wygrał zakład bez wysiłku, ale w trakcie całego przedsięwzięcia zawiódł go zwykły dla niego cynizm i niechęć poznać stan ducha, którego obawiał się najbardziej na świecie: uczuciową rozterkę. Nie posunął się tak daleko, by zakochać się w pięknej Lynn Sommers, ale poruszyła go jej niewinność i bezwarunkowa

miłość, z jaką mu się oddała. Dziewczyna powierzyła mu siebie z pełnym zaufaniem, gotowa zrobić wszystko, czego od niej zażąda, nie wdając się w ocenę jego zamiarów ani nie bacząc na konsekwencje. Kiedy Matias ujrzał ją nagą w pracowni na poddaszu, zdał sobie sprawę, że posiada nad nią władzę absolutną. Z rumieńcem wstydu na twarzy przykrywała rękoma wzgórek łonowy i piersi, stała otoczona kołem jego kompanów, którzy udawali, że robią jej zdjęcia, nie ukrywając nawet, że ta bezlitosna zabawa podnieca ich niczym psy w rui. Figura Lynn nie przypominała tak modnego wówczas kształtu klepsydry, brak jej było rozłożystych bioder oddzielonych od obfitych piersi talią osy. Lynn była szczupła i krągła, miała długie nogi, okrągłe piersi z ciemnymi brodawkami, skórę koloru dojrzałej brzoskwini i gęstwinę czarnych, prostych włosów, które sięgały jej do połowy pleców. Matias patrzył na nią z podziwem jak na wiele innych kolekcjonowanych przez siebie dzieł sztuki, wydała mu się wspaniała, ale równocześnie stwierdził z zadowoleniem, że wcale go nie pociąga. Nie bacząc na jej uczucia, a chcąc raczej wykazać swą władzę nad nią przed kolegami i popisać się okrucieństwem, pokazał jej, że ma odsunąć ręce. Lynn patrzyła na niego przez kilka sekund, a potem powoli wykonała polecenie, choć po policzkach spływały jej łzy wstydu. Wobec tego niespodziewanego szlochu w pomieszczeniu zaległa śmiertelna cisza, mężczyźni odwrócili wzrok i na moment, który wydał się bardzo długi, zastygli z aparatami fotograficznymi w dłoniach, nie wiedząc, co robić. Wówczas Matias, zakłopotany po raz pierwszy w życiu, wziął płaszcz i okrył nim Lynn, tuląc ją w ramionach. "Wychodź! Koniec tego" - rozkazał swoim gościom, którzy zmieszani zaczęli żegnać się jeden po drugim.

Gdy zostali sami, posadził ją sobie na kolanach i zaczął kołysać jak dziecko, prosząc ją w myślach o wybaczenie, choć nie potrafił wyrazić tego słowami. Dziewczyna płakała bezgłośnie. W końcu poprowadził ją łagodnie za parawan do łóżka i położył się razem z nią, przytulił w braterskim uścisku, gładząc ją po głowie, całując w czoło, czując, jak narasta w nim nieznane i wszechmocne uczucie, którego nie potrafił nazwać. Nie pragnął jej, chciał ją tylko ukołysać i pozostawić jej cnotę w nienaruszonym stanie, ale nie zdołał się oprzeć niezwyklej jedwabistej skórze i wiosennej świeżości Lynn, jej oplatającym go włosom. Zaskoczyło go bezwarunkowe oddanie dojrzałego do miłości ciała, które otwierało się przy każdym dotknięciu jego rąk, i sam nie wiedząc kiedy, zaczął dotykać ją całą, całował z takim pożądaniem, jakiego nie wzbudziła w nim nigdy żadna kobieta, wpychał jej język do ust, do uszu, wszędzie, przygniatał ją, wchodził w nią w spazmie niepowstrzymanej namiętności, dosiadał jej bez litości, zaślepiony, bezwstydnym, dopóki nie eksplodował w niej w potężnym orgazmie. Przez jedną króciutką chwilę znaleźli się w innym wymiarze, złączeni ciałem i duszą. Matias doznał bliskości, której dotąd unikał, nie wiedząc nawet, że istnieje, przekroczył ostatnią granicę i bezwolny znalazł się po drugiej stronie. Miewał przedtem kochanków - kobiety i mężczyzn - którzy pozostali mu w pamięci, nigdy jednak nie stracił do tego stopnia panowania nad sobą, ironicznego dystansu, poczucia własnej i nietykalnej osobności, by stać się jednym z inną istotą ludzką. On także utracił na swój sposób dziewictwo w tym miłosnym akcie. Podróż trwała zaledwie chwilę, ale wystarczająco długo, by się przeraził. Wrócił do swego ciała wyczerpany i natychmiast skrył się za swoją maską sarkazmu. Kiedy Lynn otworzyła oczy, on nie był już tym mężczyzną, z którym przed chwilą się kochała. Znowu był taki jak dawniej, ale zbrakło jej doświadczenia, by to dostrzec. Obolała, poplamiona krwią i szczęśliwa, zatraciła się w złudnej miłości, podczas gdy Matias trzymał ją w ramionach nieobecny już duchem. Leżeli tak, aż światło dnia zgasło zupełnie, a

ona zrozumiała, że powinna wracać do matki. Matias pomógł jej się ubrać i odprowadził ją w pobliże herbaciarni. "Czekaj na mnie, jutro przyjdę o tej samej porze" - szepnęła mu na pożegnanie.

Dopiero po trzech miesiącach Severo del Valle dowiedział się o tym, co wydarzyło się owego dnia i co stało się potem. W kwietniu 1879 roku Chile wypowiedziało wojnę swoim sąsiadom, Peru i Boliwii, z powodu zatargu o ziemię i o saletrę oraz z czystej pychy. Wybuchła wojna o Pacyfik. Kiedy wieści o wojnie dotarły do San Francisco, Severo oświadczył wujostwu, że wyjeżdża, by zaciągnąć się do wojska.

- Czy nie umówiliśmy się, że twoja noga nie postanie nigdy więcej w koszarach? - przypomniała mu ciotka Paulina.

- Tym razem to co innego, moja ojczyzna jest w niebezpieczeństwie.

- Przecież jesteś cywilem.

- Jestem sierżantem rezerwy - wyjaśnił.

- Zanim zdołasz dotrzeć do Chile, już będzie po wojnie. Zobaczmy, co będą pisać gazety i co o tym sądzi rodzina. Nie bądź w gorącej wodzie kąpany - doradzała ciotka.

- To mój obowiązek - odpowiedział Severo, myśląc o swym dziadku, patriarsze Agustinie del Valle, który zmarł niedawno, skurczywszy się uprzednio do rozmiarów szympansa, ale zachowując do ostatniego tchnienia taki sam zły charakter jak zawsze.

- Twoim obowiązkiem jest być tu, ze mną. Podczas wojny robi się dobre interesy. To jest właściwy moment na spekulację cukrem - odparła Paulina.

- Cukrem?

- Żaden z trzech wojujących krajów nie produkuje cukru, a w złych czasach ludzie jedzą więcej słodyczy - zapewniła go Paulina.

- Skąd ciocia wie?

- Z własnego doświadczenia, chłopcze.

Severo poszedł do swego pokoju pakować walizki, jednak na statek do Chile wsiadł nie kilka dni później, jak zamierzał, lecz dopiero pod koniec października. Tamtego wieczoru ciotka uprzedziła go, że spodziewa się wizyty dziwnych gości i oczekuje, że on będzie jej towarzyszył, bo Feliciano jest w podróży, a może się okazać, że sprawa wymaga pomocy dobrego adwokata. O siódmej wieczorem Williams, przybierając pogardliwy wyraz twarzy jak zawsze, gdy czuł się zmuszony obsługiwać ludzi z niższej sfery, wprowadził wysokiego Chińczyka o szpakowatych włosach, ubranego na czarno od stóp do głów, i małą kobietę o młodzieńczym i dobrotliwym wyglądzie, jednak zachowującą się równie wyniośle jak Williams. Tao Chi'en i Eliza Sommers znaleźli się w tak zwanym salonie bestii, otoczeni przez lwy, słonie i inne afrykańskie zwierzęta, które przyglądały im się z wiszących na ścianach obrazów w złotych ramach. Paulina często widywała Elizę w cukierni, ale nigdy nie spotykały się gdzie indziej, bo należały do innych światów. Nie знаła też tego mężczyzny z "niebiańskiego ludu", który musiał być mężem lub kochankiem Elizy, sądząc ze sposobu, w jaki trzymał ją pod ramię. Patrząc na tę parę skromnych ludzi, którzy przywitali ją z rezerwą, ale i z prostotą, poczuła się śmieszna w swojej czterdziestopięciopokojowej rezydencji, wystrojona w czarną satynową suknię i obwieszona diamentami. Zwróciło jej uwagę, że Matias wita gości spieszony, skłaniając tylko głowę i nie podając im ręki, a potem wycofuje

się, siada za biurkiem z drzewa *jacaranda* z dala od wszystkich i udaje, że pochłania go bez reszty czyszczenie fajki. Severo del Valle odgadł od razu, jaki jest powód wizyty rodziców Lynn Sommers, i zapragnął znaleźć się o tysiąc mil stamtąd. Zaintrygowana i czujna Paulina nie traciła czasu na proponowanie gościom czegoś do picia, tylko gestem nakazała Williamsowi, by zostawił ich samych i zamknął za sobą drzwi. "W czym mogę państwu pomóc?" - spytała. Tao Chi'en przystąpił do wyjaśnień i powiedział bez cienia zmieszania, że ich córka Lynn jest w ciąży, że sprawcą tego stanu rzeczy jest Matias i że oczekują jedyne go możliwego zadośćuczynienia. Po raz pierwszy w życiu despotyczna Paulina del Valle zaniemówiła. Opadła na fotel, łapiąc otwartymi ustami powietrze niczym wyciągnięty na brzeg wieloryb, a kiedy w końcu wydobyła z siebie głos, był to przeciągły skrzek.

- Nie mam nic wspólnego z tymi ludźmi, matko. Nie znam ich, nie wiem, o czym mówią - odezwał się zza biurka Matias, obracając w palcach fajkę z kości słoniowej.

- Lynn wszystko nam opowiedziała - przerwała mu Eliza, zrywając się na nogi. Głos jej się łamał, ale nie pozwoliła sobie na łzy.

- Jeśli chodzi państwu o pieniądze... - zaczął mówić Matias, ale matka spiorunowała go wzrokiem.

- Proszę państwa o wybaczenie - zwróciła się do Tao Chi'ena i do Elizy Sommers. - Mój syn jest równie zaskoczony jak ja. Jestem pewna, że możemy załatwić to uczciwie, jak należy ...

- Lynn pragnie, oczywiście, wziąć ślub. Powiedziała nam, że państwo, pan i ona, kochają się - powiedział Tao Chi'en, również na stojąco i zwracając się do Matiasa. Ten odpowiedział mu krótkim wybuchem śmiechu, który zabrzmiał jak szczeknięcie psa.

- Sprawiają państwo wrażenie porządnych ludzi - powiedział Matias. - Jednak państwa córka nie jest porządną dziewczyną, jak może zaświadczyć każdy z moich przyjaciół. Nie wiem, który z nich jest winien jej nieszczęścia, ale na pewno nie jestem to ja.

Eliza Sommers śmiertelnie pobladła, jej twarz przybrała odcień gipsu, drżała na całym ciele i ledwie trzymała się na nogach. Tao Chi'en ujął ją zdecydowanym ruchem pod ramię i podtrzymując, jakby była inwalidką, poprowadził w kierunku drzwi. Severo del Valle o mało nie umarł ze wstydu i z bezsilnego gniewu, jakby sam był jedynym winowajcą tego, co się stało. Podeszedł, żeby otworzyć im drzwi, i odprowadził ich aż do wyjścia, gdzie czekał wynajęty powóz. Nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby im powiedzieć. Kiedy wrócił do salonu, zdołał jeszcze usłyszeć koniec gwałtownej kłótni matki i syna.

- Nie zamierzam tolerować, żebyś rozsiewał dookoła bękarty mojej krwi! - krzyczała Paulina.

- Zdecyduj, po czyjej jesteś stronie, matko. Komu chcesz wierzyć? Własnemu synowi czy właścicielce cukierni i jakiemuś Chińczykowi? - odparł Matias i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Tej nocy doszło do ostrego starcia między Severem del Valle i Matiasem. Severo wiedział dostatecznie dużo, by domyślić się faktów, i zamierzał zmusić kuzyna do wyznania prawdy, zadając mu szczegółowe pytania. Ta wojownicza dociekliwość okazała się jednak zbyt duża, bo Matias sam natychmiast wyrzucił z siebie wszystko. Czuł się wpłątany w absurdalną sytuację, za którą nie ponosi odpowiedzialności, powiedział. To Lynn Sommers narzuciła się mu, podała mu samą siebie na tacy, bo w rzeczywistości on nigdy nie zamierzał jej uwieść, zakład był zwykłą fanfaronadą. Od dwóch miesięcy starał się od niej uwolnić, nie

powodując zarazem rozpacz dziewczyny, cały czas obawiał się, że po rozstaniu ona może zrobić jakieś głupstwo, należy do tych historycznych młodych panien zdolnych z miłości rzucić się do morza, wyjaśnił. Przyznał, że Lynn jest niemal dzieckiem i że była dziewicą, gdy wziął ją w ramiona, nabijała sobie do głowy cukierkowych wierszyków o miłości i nie ma bladego pojęcia o podstawowych sprawach związanych z seksem, ale, powtórzył, nie poczuwa się wobec niej do żadnych zobowiązań, nigdy nie mówił jej, że ją kocha, a tym bardziej nie obiecywał małżeństwa. Takie dziewczyny jak ona zawsze są powodem komplikacji, dodał, dlatego unika ich jak ognia. Nigdy mu przez myśl nie przeszło, że krótkie spotkanie z Lynn wywoła takie konsekwencje. Kochali się tylko kilka razy, powiedział, on zawsze jej radził, żeby robiła sobie potem płukanki z octu i musztardy, skąd mógł wiedzieć, że jest tak niewiarygodnie płodna. W każdym razie jest gotówłożyć na utrzymanie dziecka, pieniądze nie mają tu znaczenia, nie zamierza jednak dawać mu swego nazwiska, bo nie ma żadnego dowodu na to, że jest jego ojcem. "Nigdy się nie ożenię, Severo. Znasz kogoś, kto gustowałby mniej ode mnie w mieszczańskim życiu?".

Tydzień później Severo del Valle zjawił się w klinice Tao Chi'ena, spędziwszy wcześniej wiele godzin na rozmyślaniach nad najlepszym sposobem wywiązania się z nieprzyjemnej misji, którą zlecił mu kuzyn. *Zhong yi* pożegnał właśnie ostatniego tego dnia pacjenta i przyjął go w opustoszałej poczekalni swojej przychodni na parterze. Wysłuchał z niewzruszoną twarzą propozycji Severa.

- Lynn nie potrzebuje pieniędzy, ma przecież rodziców - powiedział, nie zdradzając żadnych emocji. - Ale wdzięczny jestem za troskę, panie del Valle.

- Jak się miewa panna Sommers? - spytał Severo upokorzony godnym zachowaniem tamtego.

- Moja córka uważa, że zaszło jakieś nieporozumienie. Jest przekonana, że wkrótce pan Rodriguez de Santa Cruz przyjdzie poprosić ją o rękę, nie z obowiązku, lecz z miłości.

- Panie Chi'en, wiele bym dał za to, by zmienić tę sytuację. Prawda jest taka, że mój kuzyn podupadł na zdrowiu, nie może się ożenić. Nieskończenie tego żałuję... - mruknął Severo del Valle.

- My żałujemy jeszcze bardziej. Dla pana kuzyna Lynn jest tylko zabawką; dla Lynn on jest całym życiem - powiedział łagodnie Tao Chi'en.

- Chciałbym to wytłumaczyć pańskiej córce, panie Chi'en. Czy mógłbym ją zobaczyć?

- Muszę spytać Lynn. Na razie nie chce nikogo widywać, ale powiadomię pana, jeśli zmieni zdanie - odparł *zhong yi*, odprowadzając go do wyjścia.

Severo del Valle czekał na jakieś wieści od Lynn trzy tygodnie, wreszcie nie mógł już opanować niecierpliwości i poszedł do herbaciarni ubłagać Elizę Sommers, by pozwoliła mu porozmawiać z córką. Spodziewał się napotkać nieugięty opór, jednak ona, pachnąc jak zwykle cukrem i wanilią, przyjęła go z takim samym spokojem, jak przedtem zrobił to Tao Chi'en. Początkowo Eliza obwiniała siebie o to, co się stało: zaniedbała swoje obowiązki, nie potrafiła ochronić córki, a teraz jej życie legło w gruzach. Długo płakała, uspokajana przez męża, dopóki nie przypomniał jej, że gdy sama miała szesnaście lat, przeżyła podobne doświadczenie: bezgraniczną miłość, porzucenie przez kochankę, ciężę i strach. Różnica polega zaś na tym, mówił Tao Chi'en, że Lynn nie jest pozostawiona samej sobie, nie musi

uciekać z domu ani płynąć w ładowni statku na drugi koniec świata w poszukiwaniu człowieka niegodnego jej miłości. Lynn opowiedziała wszystko rodzicom, a oni mają to wielkie szczęście, że mogą jej pomóc. W Chinach albo w Chile ich córka byłaby zgubiona, społeczeństwo nie miałoby dla niej litości, ale w Kalifornii, w tym kraju pozbawionym tradycji, jest dla wszystkich miejsce. *Zhong yi* zebrał całą swoją małą rodzinę i wyjaśnił, że dziecko jest darem niebios i należy oczekiwać na nie z radością. Łzy nie są dobre dla karmy, wyrządzają krzywdę maleństwu w łonie matki i sprowadzają na nie życie pełne niepewności. Ten chłopczyk lub ta dziewczynka będą mile widziani, ich wuj Lucky, a także on sam, ich dziadek, zastąpią im godnie nieobecnego ojca. A jeśli chodzi o nieszczęśliwą miłość Lynn, no cóż, później się nad tym zastanowią, mówił dalej. Sprawiał wrażenie tak uradowanego perspektywą zostania dziadkiem, że Eliza zawstydzila się swoich myśli, otarła łzy i przestała robić sobie wyrzuty. Jeśli dla Tao Chi'ena ważniejsze jest współczucie dla córki niż honor rodziny, ona będzie miała do tego taki sam stosunek, postanowiła. Jej obowiązkiem jest chronienie Lynn, a reszta nie ma znaczenia. Tak też to przedstawiła Severowi del Valle owego dnia w herbaciarni. Nie rozumiała, dlaczego Chilijczyk tak nalega na rozmowę z jej córką, ale wstawiła się za nim i w końcu dziewczyna się zgodziła. Lynn prawie go nie pamiętała, ale przyjęła w nadziei, że przychodzi jako wysłannik Matiasa.

W następnych miesiącach wizyty Severa del Valle u rodziny Chi'enów stały się codziennym zwyczajem. Przyjeżdżał, skończywszy pracę, o zmierzchu, przywiązywał konia przy bramie i wchodził, trzymając w jednej ręce kapelusz, a w drugiej jakiś podarunek, tak że pokój Lynn powoli zapełnił się zabawkami i ubrankami dla dziecka. Tao Chi'en nauczył go gry w madzonga i całymi godzinami bawili się tym we czwórkę razem z Elizą i Lynn, przesuając piękne tabliczki z kości słoniowej. Lucky nie brał w tym udziału, bo granie bez obstawiania wydawało mu się stratą czasu. Tao Chi'en grywał tylko z rodziną, gdyż w młodości wyrzekł się gry na pieniądze i był pewien, że gdyby złamał dane wówczas słowo, spotkałoby go nieszczęście. Chi'enowie tak się przyzwyczaili do obecności Severa, że gdy nie zjawiał się o zwykłej godzinie, zerkali zaniepokojeni na zegarek. Eliza Sommers ćwiczyła z nim język hiszpański, wspominała Chile, odległy kraj, w którym nie była od z górą trzydziestu lat, ale który nadal uważała za swoją ojczyznę. Rozprawiali o toczącej się wojnie i o zmianach politycznych. Po kilku dziesięcioleciach rządów konserwatystów tryumf odnieśli liberałowie, a kłótnie o miejsce Kościoła i o reformy wybuchały w każdej chilijskiej rodzinie. Mężczyźni, choć byli katolikami, pragnęli unowocześnienia kraju, ale dużo bardziej religijne kobiety występowały przeciw własnym ojcom i mężom, broniąc Kościoła. Nivea pisała w listach, że nawet pod rządami liberałów los biedaków nie poprawiał się, i dodawała, że jak zwykle ton życia kraju nadawały kobiety z zamożnych rodzin i duchowni. "Oddzielenie Kościoła od państwa było niewątpliwie wielkim krokiem naprzód, ale sytuację w kraju kontrolują ciągle te same rodziny" - pisała dziewczyna w tajemnicy przed klanem del Valle, w którym podobnych poglądów nie tolerowano. - "Założmy nową partię, Severo, partię walczącą o sprawiedliwość i równość" - wzywała zachęcona potajemnymi rozmowami z siostrą Marią.

Na południu kontynentu wojna o kontrolę nad Pacyfikiem stawała się coraz bardziej okrutna. Wojska chilijskie przygotowywały się pospiesznie do rozpoczęcia kampanii na pustynnej północy, na terenach tak dzikich i niegościnnych jak księżyc, gdzie zaopatrywanie wojska wymagało tytanicznego wysiłku. Żołnierzy można tam było przewieźć tylko drogą

morską, ale szlak morski kontrolowała eskadra peruwiańskich statków.

Severo del Valle uważał, że wojna rozwijała się pomyślnie dla Chile, bo był przekonany, że zdolności organizacyjne i waleczność Chilijczyków nie mają sobie równych.

- Na wyniku tego konfliktu zaważy nie tylko uzbrojenie i zdyscyplinowanie wojska - tłumaczył Elizie Sommers - lecz także bohaterstwo poszczególnych żołnierzy, którzy swym przykładem zagrzewają naród do walki. Myślę, że losy tej wojny zostały rozstrzygnięte w maju, proszę pani, podczas bitwy morskiej pod Iquique. Stara chilijska fregata stoczyła tam walkę z przeważającymi siłami peruwiańskimi. Fregatą dowodził Arturo Prat, młody, bardzo religijny i raczej nieśmiały kapitan, stroniący od hulanek i awantur panów oficerów i tak mało się wyróżniający, że jego przełożeni nie wierzyli w jego umiejętności ani odwagę. Tamtego dnia zdobył sobie miano bohatera i rozbudził ducha walki wśród Chilijczyków.

Eliza знаła szczegóły tej historii, przeczytała o tym w jakimś starym numerze londyńskiego "Timesa", gdzie potyczka została opisana jako... "jedna z najślawniejszych walk, jakie kiedykolwiek się odbyły; stary, drewniany, niemal rozpadający się okręt utrzymał się w akcji przez trzy i pół godziny, mając przeciwko sobie baterie dział na lądzie i potężny pancernik". Okręt peruwiański, dowodzony przez admirała Miguela Graua, również bohatera swego kraju, natarł pełną parą na chilijską fregatę, rozdzierając ją dziobem. Kapitan Prat wykorzystał tę chwilę, aby wraz z jednym ze swoich marynarzy dokonać abordażu. Po kilku minutach obaj poległi, zasypani gradem kul na nieprzyjacielskim pokładzie. Przy drugim uderzeniu dzioba kilku następnych marynarzy poszło w ślady swego kapitana, oni też zginęli podziurawieni kulami jak sito. Nim fregata poszła na dno, poległo trzy czwarte załogi. To absurdalne bohaterstwo wywarło wielkie wrażenie na Chilijczykach, a ich wrogów wprawiło w osłupienie, tak że admirał Grau powtarzał z podziwem: "Ale ci Chilijczycy się biją!".

- Grau to szlachetny człowiek. Szpadę i rzeczy Prata osobiście oddał wdowie - powiedział Severo i dodał, że począwszy od tamtej bitwy uświęconym zawołaniem wojennym w Chile stało się "walcz do zwycięstwa albo zgiń", jak uczynili to tamci śmiałkowie.

- A pan, Severo, nie myśli iść na wojnę? - spytała Eliza.

- Uczynię to już wkrótce - odpowiedział zawstydzony młodzieniec, nie wiedząc właściwie, dlaczego zwleka z wypełnieniem tego obowiązku. Lynn tymczasem stawała się coraz grubsza, nie tracąc ani odrobiny ze swego wdzięku ani urody. Przestała ubierać się w sukienki, bo już się w nie mieściła, i wkładała obszerne jedwabne tuniki kupione w Chinatown. Bardzo rzadko wychodziła z domu, choć ojciec nalegał, by dużo spacerowała. Czasami Severo del Valle przyjeżdżał po nią powozem i zabierał na spacer do Parque Presidio albo na plażę, gdzie zasiadali na szalu rozłożonym na piasku, by zjeść podwieczorek i poczytać, on gazety i książki prawnicze, a ona romanse, w których fabuły już nie wierzyła, ale szukała w nich ukojenia. Severo żył z dnia na dzień, od wizyty do wizyty w domu Chi'enów, a jedynym jego celem było widywanie Lynn. Nie pisał już do Nivei. Wiele razy chwycił za pióro, by wyznać jej, że kocha inną, ale dał te listy przed wysłaniem, bo nie potrafił znaleźć właściwych słów, by zerwać z narzeczoną, nie raniąc jej śmiertelnie. Poza tym Lynn nigdy nie dała mu żadnego znaku, który pozwoliłby mu żywić nadzieję na wspólną przyszłość. Nie rozmawiali o Matiasie, tak jak i Matias nigdy nie wspominał Lynn, ale to pytanie zawsze wisiało w powietrzu. Severo pilnował się, by w domu wujostwa nie napomknąć o swej nowej przyjaźni z rodziną Chi'enów, i przypuszczał, że nikt tego nie podejrzewa z wyjątkiem nadętego majordomusa Williamsa, któremu nie trzeba było tego

mówić, bo i tak wiedział o wszystkim, co działo się w rezydencji. Severo już od dwóch miesięcy wracał późno do domu, a na jego twarzy zawsze malował się ten sam głupawy uśmiech. Pewnego wieczoru Williams zaprowadził go na strych i przy świetle spirytusowej lampy pokazał owinięty prześcieradłami pakunek. Po rozwinięciu okazało się, że to mieniąca się blaskiem kołyska.

- Jest zrobiona z litego srebra, a srebro pochodzi z kopalni Rodriguezów de Santa Cruz w Chile. Spały w niej wszystkie dzieci z tej rodziny. Proszę ją wziąć, jeśli ma pan ochotę.

To było wszystko, co powiedział.

Paulina del Valle ze wstydu nie pojawiała się w herbaciarni. Nie czuła się na siłach, by odbudować długoletnią, a teraz zrujnowaną przyjaźń z Elizą Sommers. Była zmuszona wyrzec się chilijskich słodczy, swej wielkiej słabości, i przystać na wypiekane przez swego kucharza ciasta francuskie. Jej apodyktyczność, tak przydatna przy pokonywaniu przeszkód i osiaganiu wytyczonego celu, obróciła się teraz przeciwko niej, bo skazana na bezczynność, spalała się z niecierpliwości, a serce łomotało jej w piersi. "Wykończę się z tego zdenerwowania, Williams" - narzekała, czując po raz pierwszy w życiu, że niedomaga. Tłumaczyła sobie, że mając niewiernego męża i trzech synów nicponi, dorobiła się już najpewniej całkiem pokaźnej gromadki potomków z nieprawego łoża, zatem nie należało aż tak się zadreczać. Jednakże ci przypuszczalni potomkowie jej krwi nie mieli konkretnego imienia ani konkretnej twarzy, a ten urodzi się jej pod samym nosem. Gdyby to przynajmniej nie chodziło o Lynn Sommers! Nie mogła wymazać z pamięci wizyty Elizy i tego Chińczyka, którego imienia i nazwiska nie pamiętała. Ciężko jej wspomnienie tych pełnych godności dwojga ludzi i rozmowy z nimi w jej salonie. Matias uwiódł dziewczynę, od pierwszej chwili intuicyjnie w to uwierzyła i żadne wykręty tego nie zmieniają. Zaprzeczenia syna i jego sarkastyczne uwagi na temat wątpliwego prowadzenia się Lynn tylko wzmocniły w niej to przekonanie. Dziecko, które dziewczyna nosiła w sobie, wywoływało w niej huragan sprzecznych uczuć, z jednej strony ślepą złość na Matiasa, z drugiej zaś naturalną czułość dla tego pierwszego wnuka lub pierwszej wnuczki. Gdy tylko Feliciano wrócił do domu z podróży, opowiedziała mu, co się stało.

- Takie rzeczy zdarzają się często, Paulino, nie należy robić z tego tragedii. Połowa dzieciaków w Kalifornii to bękarty. Ważne, żeby uniknąć skandalu i stać murem przy Matiasie. Rodzina musi być zawsze na pierwszym miejscu - wyraził swój pogląd Feliciano.

- To dziecko należy do naszej rodziny - nie ustępowała.

- Jeszcze się nie urodziło, a już należy do rodziny! Znam tę całą Lynn Sommers. Widziałem, jak pozowała niemal naga w pracowni pewnego rzeźbiarza, wystawiając swe wdzięki na pokaz przed całą gromadą mężczyzn. Każdy z nich mógł być jej kochankiem. Sama tego nie rozumiesz?

- To ty niczego nie rozumiesz, Feliciano.

- Mogą nas tym szantażować w nieskończoność. Zabraniam ci jakichkolwiek kontaktów z tymi ludźmi, a jeśli tu przyjdą, sam się nimi zajmę - zdecydował w okamgnieniu Feliciano.

Od tego dnia Paulina nie poruszała już tego tematu w obecności syna lub męża, nie mogła się jednak powstrzymać i w końcu uczyniła swym powiernikiem wiernego Williamsa,

który odznaczał się umiejętnością wysłuchiwania jej do końca i niewyrażania własnego zdania, jeśli go o to zdanie nie zapytała. Gdyby mogła pomóc jakoś Lynn Sommers, poczułaby się lepiej, myślała, ale tym razem cała jej fortuna nie mogła się na nic przydać.

Dla Matiasa to były fatalne miesiące. Nie tylko chodził stale poirytowany z powodu awantury z Lynn, nasiliły się także dolegliwości stawów, co uniemożliwiło mu uprawianie szermierki i kazało wyrzec się także wszystkich innych sportów. Budził się rankami tak obolały, że zaczął się zastanawiać, czy aby nie nadchodzi już czas, by popełnić samobójstwo, do czego szykował się od chwili, gdy dowiedział się o swej chorobie. Kiedy jednak wstawał z łóżka i zaczynał się ruszać, czuł się lepiej i wracała mu znowu chęć do życia. Puchły mu nadgarstki i kolana, dłonie drżały, a palenie opium w Chinatown przestało być rozrywką, stając się koniecznością. To Amanda Lowell, niestrudzona towarzyszka jego hulanków i jedyna powiernica, przekonała go do zalet morfiny, środka skuteczniejszego, czystszeo i bardziej eleganckiego niż fajka opium: wystarcza minimalna dawka, a natychmiast znikają trwoga i niepokój. Skandal z mającym przyjść na świat bękartem ostatecznie pozbawił go animuszu i w połowie lata zapowiedział niespodziewanie, że w najbliższych dniach wyjeżdża do Europy, by sprawdzić, czy zmiana powietrza, ciepłe źródła we Włoszech i angielscy medycy zdołają ulżyć jego cierpieniom. Nie wyjawiał, że w Nowym Jorku czeka Amanda Lowell, aby razem z nim ruszyć w podróż przez ocean; w rodzinnym gronie nigdy nie wymawiano nazwiska tej rudowłosej Szkotki, gdyż na samo jej wspomnienie Feliciano dostawał niestrawności, a Paulina ataku furii. Prócz złego stanu zdrowia i chęci oddalenia się od Lynn Sommers, do pospiesznego wyjazdu skłoniły Matiasa nowe długi w jakie popadł, uprawiając gry hazardowe. Wyszło to na jaw wkrótce po jego wyjeździe, kiedy dwóch przezornych Chińczyków zjawilo się w gabinecie Feliciano, by ostrzec go jak najuprzejmiej, że albo zapłaci kwotę, jaką był im winien jego syn, albo coś prawdziwie niemiłego przydarzy się komuś z jego szacownej rodziny. Ten w odpowiedzi kazał ich siłą wyprowadzić ze swego biura i wyrzucić na ulicę, a potem wezwał Jacoba Freemonta, dziennikarza dobrze zorientowanego w miejskim półświatku. Mężczyzna najpierw wysłuchał go z sympatią, bo był dobrym znajomym Matiasa, a potem bezzwłocznie zaprowadził do szefa policji, Australijczyka, którego uczciwość budziła wątpliwości, a który miał wobec Freemonta pewne zobowiązania, i poprosił go, żeby rozwiązał tę sprawę według własnego uznania. "Znam tylko jeden sposób. Trzeba zapłacić" - odpowiedział policjant i wyjaśnił, że nikt nie zadziera z *tong* z Chinatown. W swojej karierze znajdował już nieboszczyków z ciałami rozprutymi od góry do dołu i wnętrznościami spakowanymi schludnie do stojącej obok skrzynki. Były to, rzecz jasna, ofiary porachunków między żóltkami, dodał, bo gdy zabijają białych, starają się przynajmniej, żeby wszystko wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. "Zwrócił pan kiedyś uwagę na to, ile osób ginie w niewytłumaczalnych pożarach, tonie w spokojnych wodach zatoki albo dostaje w głowę cegłą, która spada z trudnych do wyjaśnienia przyczyn ze wznoszonego właśnie budynku?" - zapytał. Feliciano Rodriguez de Santa Cruz zapłacił.

Kiedy Severo del Valle zawiadomił Lynn Sommers, że Matias wyjechał do Europy, nie planując powrotu w bliskiej przyszłości, dziewczyna dostała spazmów i płakała bez przerwy przez pięć dni, mimo podawanych jej przez Tao Chi'ena środków uspokajających, aż wreszcie matka wymierzyła jej dwa siarczyste policzki i zmusiła, by stawiała czoło rzeczywistości. Zachowała się lekkomyślnie, więc teraz nie pozostaje jej nic innego, jak ponieść tego konsekwencje. Nie jest już małą dziewczynką, wkrótce zostanie matką i powinna być

wdzięczna, że ma rodzinę gotową jej pomagać, bo inne w podobnej sytuacji wylądowałyby na bruku i musiałyby zarabiać na życie na ulicy, a rodzone przez nie bękarty trafiłyby do sierocińców; już czas, żeby przyjęła do wiadomości, że jej kochanek odszedł w siną dal, będzie musiała być dla dziecka i matką, i ojcem i podchodzić do życia bardziej dojrzałe, bo w tym domu wszyscy już mają po dziurki w nosie jej kaprysów; od dwudziestu lat spełniają wszystkie jej zachcianki, nie myśli chyba, że można przeżyć całe życie, leżąc w łóżku i uskarżając się na własny los: a teraz ma wytrzeć nos i ubrać się, bo zaraz wychodzą na spacer i od tej pory będą wychodzić przynajmniej dwa razy dziennie, nieważne czy leje deszcz, czy zbiera się na burzę. Słyszała? Tak, Lynn słyszała wszystko aż do końca, że zdumienia oczy niemal wychodziły jej z orbit, a policzki płonęły żywym ogniem od pierwszego w życiu uderzenia w twarz. Ubrała się i bez słowa wyszła na spacer. Od tego dnia nabrała nagle rozumu, pogodziła się ze swym losem ze zdumiewającym spokojem, nie narzekała już. Łykała środki podawane jej przez Tao Chi'ena, chodziła na długie przechadzki z matką, a nawet potrafiła wybuchnąć śmiechem na wiadomość, że pomnik Republiki diabli wzięli; jak powiedział jej brat Lucky, i nie z powodu braku modelki, lecz dlatego, że rzeźbiarz zwał z forszą do Brazylii.

Pod koniec sierpnia Severo del Valle odważył się wreszcie wyznać Lynn Sommers swe uczucia. W owym czasie ona czuła się już ociężała jak słonica i nie rozpoznawała własnej twarzy w lustrze, ale w oczach Severa była piękniejsza niż kiedykolwiek. Wracali zarumienieni z przechadzki i on wyjął chusteczkę, by osuszyć z kropelek potu jej czoło i szyję, lecz zamiast tego, nie wiedząc dobrze, co czyni, pochylił się nagle, mocno chwycił dziewczynę w ramiona i zaczął całować w usta na środku ulicy. Poprosił, by za niego wyszła, a ona odpowiedziała mu z prostotą, że nigdy nie pokocha żadnego mężczyzny poza Matiasem Rodriguezem de la Cruz.

- Nie proszę, by mnie pani kochała, Lynn. Uczucie, jakie żywię do pani, wystarczy dla nas obojga - odparł Severo w nieco ceremonialny sposób, w jaki zawsze się do niej zwracał. - Dziecku potrzebny jest ojciec. Proszę dać mi sposobność służenia pani i dziecku ochroną, a obiecuję, że z czasem stanę się godzien pani uczucia.

- Ojciec mówi, że w Chinach ludzie pobierają się, nie znając się wcześniej, i dopiero później uczą się siebie kochać, ale jestem pewna, że w moim przypadku tak się nie stanie, Severo. Bardzo żałuję... - odpowiedziała.

- Nie będzie pani musiała ze mną żyć, Lynn. Zaraz po porodzie wyjadę do Chile. Mój kraj prowadzi wojnę i już zanadto zwlekam z wypełnieniem mego obowiązku.

- A jeśli nie wróci pan z wojny?

- Pani dziecko będzie przynajmniej nosiło moje nazwisko i otrzyma w spadku to, co jeszcze mi zostało po ojcu. Nie jest tego wiele, ale wystarczy, by zapewnić mu wykształcenie. A pani, droga Lynn, będzie otoczona szacunkiem...

Jeszcze tego samego wieczoru Severo del Valle napisał do Nivei list, którego nie potrafił napisać wcześniej. Powiadomił ją o wszystkim w czterech krótkich zdaniach, bez wielkich wstępów i usprawiedliwień, bo wiedział, że ona nie zniósłaby, gdyby postąpił inaczej. Nie odważył się nawet prosić jej, by wybaczyła mu nieudaną miłość i zmarnowany czas, jakim były dla niej cztery lata listownego narzeczeństwa, bo takie małostkowe zakłęcia byłyby niegodne jego wielkodusznej kuzynki. Wezwał służącą, by następnego dnia zaniósła list na pocztę, a sam padł w ubraniu na łóżko, całkiem wyczerpany. Po raz pierwszy od

długiego czasu nic mu się nie śniło. Miesiąc później Severo del Valle i Lynn Sommers pobrali się podczas krótkiej uroczystości, w obecności rodziców dziewczyny i Williamsa, jedynej osoby, którą Severo zaprosił z domu, w którym gościł. Wiedział, że majordomus opowie o wszystkim ciotce Paulinie, i postanowił poczekać, aż ona pierwsza go o to zapyta. Nikogo nie zawiadomił, ponieważ Lynn poprosiła go o zachowanie wszystkiego w dyskrekcji aż do czasu, gdy urodzi się dziecko, a ona odzyska swą normalną figurę. Powiedziała, że nie ma śmiałości pokazywać się z brzuchem niczym dynia i z twarzą upstrzoną plamami. Tamtego wieczoru Severo pożegnał się ze swą świeżo poślubioną żoną pocałunkiem w czoło i wyszedł, by jak zwykle spędzić noc w swym kawalerskim pokoju.

W tym samym tygodniu na wodach Pacyfiku rozgorzała następna bitwa morska i chilijska flota zniszczyła dwa nieprzyjacielskie pancerniki. Miguel Grau, ten sam szlachetny admirał peruwiański, który parę miesięcy wcześniej zwrócił wdowie po kapitanie Pracie jego szpadę, zginął tak samo bohatersko jak tamten. To była klęska dla Peru, bo po utracie kontroli nad szlakami morskimi jego siły zbrojne zostały pozbawione wsparcia i zaopatrzenia. Chilijczycy stali się panami morza, mogli przewieźć wojsko do newralgicznych punktów na północy i wykonać plan wdarcia się na terytorium wroga, a wreszcie zająć Limę. Severo del Valle śledził wszystkie wiadomości z frontu równie przejęty jak pozostali jego rodacy w Stanach Zjednoczonych, ale miłość do Lynn brała górę nad jego patriotyzmem i opóźniała powrót do ojczyzny.

W drugi poniedziałek października Lynn obudziła się o brzasku w mokrym łóżku i krzyknęła z przerażeniem, pewna, że nie zdołała utrzymać moczu. "Niedobrze, wody odeszły zbyt wcześnie" - powiedział Tao Chi'en do żony, ale wobec córki zachował spokój i uśmiech na twarzy. Po dziesięciu godzinach, gdy skurcze były nadal ledwie wyczuwalne, a rodzina nie miała już siły zabawiać Lynn grą w madzonga, Tao Chi'en postanowił sięgnąć po zioła. Przyszła matka żartowała sobie, wyzywając los: To mają być te bóle porodowe, o których tyle się nasłuchała? Łatwiej je wytrzymać niż skurcze żołądka po chińskim jedzeniu, powiedziała. Czuła się bardziej znudzona niż obolała i chciało jej się jeść, ale ojciec pozwolił jej tylko pić wodę i napary z leczniczych ziół, poddając ją równocześnie akupunkturze w celu przyspieszenia akcji porodowej. Łączne zastosowanie ziół i złotych igieł przyniosło skutek i o zmierzchu, gdy - jak każdego dnia - przyszedł Severo del Valle, spotkał w drzwiach zmienionego na twarzy Lucky'ego i usłyszał, że cały dom wypełniają jęki Lynn i krzątania chińskiej akuszerki, która coś wykrzykiwała i biegała z ręcznikami i dzbankami z wodą. Tao Chi'en wezwał akuszerkę, bo miała większe od niego doświadczenie przy porodach, nie pozwolił jednak, by pastwiła się nad Lynn, siadając na niej albo waląc ją pięściami po brzuchu, jak zamierzała. Severo del Valle został w salonie, przyklejony niemal do ściany, starając się, by nikt go nie zauważył. Każdy jęk Lynn rozdzierał mu duszę, pragnął uciec jak najdalej, ale nie mógł ruszyć się ze swojego kąta ani wydobyć z siebie słowa. Wtedy zobaczył, że do salonu wchodzi Tao Chi'en z kamienną twarzą i ubrany ze zwykłą sobie starannością.

- Mogę tu poczekać? Nie przeszkadzam? Jak mógłbym pomóc? - wykrztusił Severo, wycierając spływający mu po szyi pot.

- Wcale pan nie przeszkadza, młody człowieku, ale w niczym nie może pan Lynn pomóc, musi dokończyć swego dzieła sama. Można natomiast pomóc zaniepokojonej trochę

Elizie.

Eliza Sommers przeżyła trud rodzenia i jak każda kobieta wiedziała, że jest to przedsiwonek śmierci. Znała ten fascynujący i tajemniczy proces, podczas którego. ciała rozwiera się, by otworzyć drogę nowemu życiu. Pamiętała tę chwilę, kiedy zaczyna się pulsowanie i niekontrolowana chęć parcia, niczym przy szaleńczej jeździe w dół stromego zbacza, pamiętała przerażenie, cierpienie i nieopisane zdumienie, gdy w końcu dziecko pojawia się na świecie. Tao Chi'en, choć jako *zhong yi* posiadał ogromną wiedzę, nie zauważył równie szybko jak ona, że sprawy przybierają zły obrót. Chińskie specyfiki wywołały silne skurcze, ale dziecko była źle ułożone i nie mogło się wydostać, bo drogę zagradzały mu kości matki. To suchy i trudny poród, tłumaczył Tao Chi' en, ale jego córka jest silna i chodzi tylko o to, by Lynn zachowała spokój i nie męczyła się bardziej niż to konieczne, to nie jest wyścig, lecz próba wytrzymałości, dodał. W chwili przerwy Eliza Sommers, niemal równie wyczerpana jak Lynn, wyszła z pokoju i w korytarzu spotkała Severa. Przywołała go gestem, więc poszedł za nią zbity z tropu aż do pokoiku z ołtarzem, w którym nigdy wcześniej nie był. Na niskim stałe stał prosty krzyż, posążek chińskiej bogini współczucia, a pośrodku zwykły rysunek tuszem przedstawiający kobietę w zielonej tunice i z dwoma kwiatami zatkniętymi za uszy. Spozrzegł dwie palące się świece i talerzyki z wodą, ryżem i płatkami kwiatów. Eliza uklękła przed ołtarzem na pomarańczowej jedwabnej poduszce i zaczęła się modlić do Chrystusa, do Buddy i do ducha Lin, pierwszej żony Tao Chi'ena, prosząc, by przyszedli z pomocą jej rodzącej córce. Severo stał z tyłu, mamrocząc bezmyślnie jakieś wyuczane w dzieciństwie katolickie modlitwy. Modlili się tak przez dłuższą chwilę, złączeni strachem i miłością do Lynn, aż Tao Chi'en zawołał żonę do pomocy, bo odprawił właśnie położną i szykował się, by odwrócić dziecka i wyciągnąć je ręką. Severa i Lucky zostali przy drzwiach, paląc jednego. papierosa za drugim, gdy tymczasem Chinatown powoli budziło się ze snu.

Maleństwo urodziło się we wtorek o świcie. Spocona i drżąca ze zmęczenia matka walczyła dzielnie, aby je wypchnąć, ale już nie krzyczała, dyszała tylko, stosując się do wskazówek ojca. Zaciśnęła wreszcie zęby, uczepliła się prętów łóżka i zaczęła przec z potworną determinacją, i wtedy pojawił się kosmyk ciemnych włosów. Tao Chi'en chwycił główkę i pociągnął delikatnie, choć zdecydowanie, aż pokazały się ramiona, a wtedy jednym ruchem wydobył resztę małego ciała, drugą ręką odwodząc skręcaną wokół szyi dziecka pępowinę. Eliza Sommers odebrała zakrwawianą istotkę, dziewczyneczkę ze spłaszczoną twarzą i niebieskawym odcieniem skóry. Tao Chi'en przeciął pępowinę i zajął się córką, a babka obmyła wnuczkę gąbką i klepnęła ją po plecach, żeby zaczęła oddychać. Kiedy rozległ się krzyk obwieszczający przyjście na świat, a skóra zaczęła nabierać normalnej barwy, położyła małą matce na brzuchu. Wyczerpana Lynn uniosła się na łokciu, choć jej ciało nadal dygotało ze zmęczenia, i położyła ją sobie na piersi, całując i szepcząc na powitanie sława w dziwnym języku, który był mieszanką angielskiego, hiszpańskiego. i chińskiego. Godzinę później Eliza zawołała Severa i Lucky'ego, żeby zobaczyli dziewczynkę. Maleńka spokojnie spała w kołysce z litego srebra, należącej kiedyś do rodziny Rodriguezów de Santa Cruz. Miała na sobie żółte jedwabne śpioszki i czerwoną czapczkę i wyglądała jak krasnoludek. Lynn przysypiała w świeżej pościeli, blada i spokojna, a siedzący obok niej Tao Chi'en mierzył jej puls.

- Jak ją państwa nazwą? - spytał wzruszany Severo del Valle.

- Musicie o tym zdecydować, Lynn i pan - odparła Eliza.

- Ja?

- Czyżby nie był pan ojcem? - zdziwił się Tao Chi'en, puszczając do niego oczko.

- Będzie się nazywała Aurora, bo urodziła się o brzasku - mruknęła Lynn, nie otwierając oczu.

- Po chińsku będzie to brzmiało Lai-Ming, czyli "ta, która przychodzi o świcie" - dodał Tao Chi'en.

- Witaj na świecie, Lai-Ming, Auroro del Valle... - Severo ucałował z uśmiechem czołko maleństwa. Był pewien, że to najszczęśliwszy dzień jego życia, a ta pomarszczona istotka ubrana jak chińska laleczka jest naprawdę jego córką. Lucky wziął siostrzenicę na ręce i chuchnął jej prosto w twarz oddechem przesiąkniętym zapachem tytoniu i sosu sojowego.

- Co ty wyprawiasz! - krzyknęła babka, starając się zabrać mu z rąk dziecko.

- Chucham na nią, żeby jej przekazać swoje szczęście w życiu. Czy mógłbym dać Lai-Ming coś cenniejszego? - roześmiał się wuj.

Kiedy Severo del Valle wrócił do posiadłości Nob Hill i w porze kolacji obwieścił, że przed tygodniem ożenił się z Lynn Sommers i że dzisiejszego dnia urodziła mu się córka, jego wujostwo wpadło w taką konsternację, jakby ktoś im położył na stole w jadalni zdechłego psa.

- A wszyscy obwiniali Matiasa! Zawsze wiedziałem, że nie jest ojcem dziecka, ale nie przypuszczałem, że ono jest twoje - wyrzucił z siebie Feliciano, gdy tylko ochłonął nieco ze zdumienia.

- Nie jestem biologicznym ojcem, ale jestem ojcem w świetle prawa. Dziewczynka nazywa się Aurora del Valle - wyjaśnił Severo.

- To niewybaczalna zuchwałość! Zdradziłeś rodzinę, która przyjęła cię jak syna! - ryczał wuj.

- Nikogo nie zdradziłem. Ożeniłem się z miłości. Przecież ta kobieta była ponoć zakochana w Matiasie.

- Ta kobieta ma na imię Lynn i jest moją żoną. Żądam, by ją traktować z należyтым szacunkiem - odparł sucho Severo, wstając z krzesła.

- Jesteś idiotą, Severo, kompletnym idiotą! - zwymyślał go Feliciano i energicznym krokiem wyszedł wściekły z jadalni.

Nieprzenikniony Williams, który w tej właśnie chwili wchodził, by nadzorować podawanie deserów, nie zdołał powstrzymać krótkiego porozumiewawczego uśmiechu, nim dyskretnie wycofał się z jadalni. Paulina z niedowierzaniem słuchała słów Severa o tym, że za kilka dni wyjeżdża na wojnę do Chile, Lynn zostanie w domu swych rodziców w Chinatown, a on, jeśli dopisze mu szczęście, powróci w przyszłości, by podjąć się roli małżonka i ojca.

- Siadaj, bratanku, porozmawiajmy jak ludzie. Matias jest ojcem dziewczynki, prawda?

- Proszę spytać jego, ciociu.

- Już rozumiem. Ożeniłeś się, żeby postąpić honorowo, w zastępstwie Matiasa. Mój syn jest cynikiem, a ty jesteś romantykiem. Zrzuń sobie życie przez taką donkiszoterię! - krzyknęła z politowaniem Paulina.

- Myli się ciocia. Nie zrzuńowałem sobie życia, przeciwnie, uważam, że to jest moja

jedyna szansa na szczęście.

- Z kobietą, która kocha innego? Z nie swoją córką?

- To kwestia czasu. Jeśli wrócę z wojny, Lynn nauczy się mnie kochać, a dziecko będzie przekonane, że jestem jego ojcem.

- Matias może wrócić przed tobą - zauważyła.

- To niczego nie zmieni.

- Wystarczy jedno słowo Matiasa, żeby Lynn Sommers poszła za nim na koniec świata.

- To nieuniknione ryzyko - odparł Severo.

- Straciłeś głowę, bratanku. T o nie są ludzie z naszej sfery - zawyrokowała Paulina del Valle.

- Nie znam porządniejszej rodziny, ciociu - odparł Severo.

- Widzę, że niczego się przy mnie nie nauczyłeś. Na tym świecie sukces odnoszą tylko ci, którzy potrafią przeprowadzić kalkulację, zanim przystąpią do działania. Jesteś adwokatem, masz przed sobą świetną przyszłość i nosisz jedno z najstarszych chilijskich nazwisk. Uważasz, że twoje środowisko zaakceptuje twoją żonę? A kuzynka Nivea? Nie czeka przypadkiem na ciebie? - pytała Paulina.

- To już skończone - powiedział Severo.

- No cóż, widzę, że poszedłeś na całego, Severo, podejrzewam, że wyrażenie żalu nie tu nie pomoże. Spróbujemy poskładać to jakoś w miarę możliwości. Pieniądze i pozycja społeczna liczą się bardzo i tu, i w Chile. Pomogę ci, w czym tylko będę mogła, przecież jestem babką tej dziewczynki. Mówiłeś, że jak się nazywa?

- Aurora, ale dziadkowie nazywają ją Lai-Ming.

- Nosi nazwisko del Valle, jestem zobowiązana jej pomóc, zważywszy, że w całej tej pożałowania godnej sprawie Matias umył ręce .

- To nie będzie konieczne, ciociu. Załatwiłem wszystko, aby Lynn dostała odziedziczone przeze mnie pieniądze.

- Pieniądzy nigdy za dużo. Chyba będę mogła zobaczyć wnuczkę, prawda?

- Zapytam o to Lynn i jej rodziców - obiecał Severo del Valle.

Siedzieli nadal w jadalni, gdy pojawił się Williams. przynosząc pilną wiadomość, że Lynn dostała krwotoku, obawiano się o jej życie i Severo powinien natychmiast przyjść. Młodzieniec ruszył pędem do Chinatown, a przyszedłszy do domu Chi'enów, zastał całą rodzinę zgromadzoną wokół łóżka Lynn. Byli tak nieruchomi, jakby pozowali do jakiegoś tragicznego portretu. Gdy ujrzał, że wszystko jest czyste i posprzątane, nie ma śladów porodu ani żadnych brudnych ręczników i nie czuć zapachu krwi, na chwilę ogarnęła go szaleńcza nadzieja, ale zaraz dostrzegł wyraz bólu na twarzach Tao, Elizy i Lucky'ego. Powietrze w pokoju stało się lekkie, Severo odetchnął głęboko, czując, że się dusi, jakby stał na szczycie góry. Podszedł drżący do łóżka i ujrzał Lynn. Leżała z rękami na piersi, powieki miała opuszczone, a twarz niemal przezroczystą: piękny alabastrowy posąg w popielatym kolorze. Wziął ją za rękę, twardą i chłodną niczym z metalu, pochylił się i zauważył, że jej oddech jest ledwie wyczuwalny, a wargi i palce nabrały niebieskawego koloru. Zalewając się łzami, zaczął całować wnętrze jej dłoni w niemym geście rozpacz. Ona zdołała tylko wykrztusić imię Matiasa, a zaraz potem westchnęła dwa razy i odeszła z taką samą zwiwną lekkością, z jaką przemierzała ten świat. Tajemnicy śmierci towarzyszyło całkowite milczenie zebranych,

przez chwilę trwali nieruchomo, podczas gdy duch Lynn wędrował ku górze. Severo poczuł, jak gdzieś we wnętrzu ziemi rodzi się przeciągły lament, przenika go od stóp do głowy, ale nie może wydostać się ustami. Krzyk żałości wybrzmiał do wewnątrz, rozlał się po wszystkich zakamarkach ciała. Młodzieniec trwał na klęczkach przy łóżku i wzywał bezgłośnie Lynn, nie mogąc uwierzyć, że oto los zabrał mu niespodziewanie kobietę, o której śnił całe lata, i że stało się to w chwili, gdy sądził, że właśnie udało mu się ją zdobyć. Upłynęła cała wieczność, nim poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia, i ujrzał zmienione oczy Tao Chi'ena, "już dobrze, już dobrze", zdawał się szeptać, Z tyłu zobaczył Elizę Sommers i Lucky'ego, objętych i szlochających, i zrozumiał, że jest intruzem wśród tej pogrążonej w bólu rodziny. Wtedy przypomniał sobie o dziecku. Zataczając się niczym pijany, podszedł do kołyski, wziął małą Aurorę na ręce, przyniósł do łóżka i przysunął do twarzy Lynn, żeby pożegnała się z matką. Potem usiadł z małą na rękach i kołysał ją bezradnie.

Gdy Paulina del Valle dowiedziała się o śmierci Lynn Sommers, uczuła przypływ radości i wydała triumfalny okrzyk, ale natychmiast zawstydzila się własnej niegodziwości. Zawsze pragnęła mieć córkę. Odkąd po raz pierwszy zaszła w ciążę, marzyła o córce, która nosiłaby imię Paulina, tak jak ona, byłaby jej najlepszą przyjaciółką i towarzyszką. Czula zawód, kiedy rodzili się po kolei jej trzej synowie, ale teraz, w dojrzałym wieku, dostała od niebios podarunek: wnuczkę, którą może wychować jak córkę, stworzyć jej wszystkie szanse, jakie dają miłość i pieniądze, i która będzie jej towarzyszką na starość. Teraz, gdy Lynn Sommers sama się usunęła, ona może dostać dziecko w zastępstwie Matiasa. Piła właśnie filiżankę czekolady i zjadła trzecie już ciastko z kremem, aby uczcić tę nieoczekiwaną odmianę losu, kiedy Williams przypomniał jej, że w świetle prawa mała jest córką Severa del Valle i tylko on ma prawo decydować o jej przyszłości. To nawet lepiej, zawyrokowała, bo jej bratanek jest przynajmniej na miejscu, podczas gdy sprowadzenie Matiasa z Europy i przekonanie go, by upomniał się o dziecko, zajęłoby z pewnością wiele czasu. Nawet jej do głowy nie przyszło, jak zareaguje Severo, dowiedziawszy się o jej planach.

- \V świetle prawa ty jesteś ojcem, a więc możesz przywieźć małą do naszego domu choćby jutro - powiedziała Paulina.

- Nie zrobię tego, ciociu. Rodzice Lynn zajmą się wnuczką, gdy ja będę na wojnie. Chcą się nią opiekować i ja się na to zgadzam - odpowiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu, którego nigdy u niego nie słyszała.

- Oszalałeś? Nie możemy zostawić mojej wnuczki w rękach Elizy Sommers i tego Chińczyka! - zawołała Paulina.

- Dlaczego nie? Są jej dziadkami.

- Ma się wychowywać w Chinatown? My możemy zapewnić jej wykształcenie, luksus, szanowane nazwisko, otworzyć przed nią wiele możliwości. Od nich niczego nie dostanie.

- Dadzą jej miłość - odparł Severo.

- Ja też! Pamiętaj, ile mi zawdzięczasz, bratanku. Masz właśnie okazję, aby się zrewanżować i zrobić coś dla tego dziecka.

- Żałuję, ciociu, ale to już postanowione. Aurora pozostanie u swoich dziadków ze strony matki.

Paulina del Valle dostała ataku szału, co już nieraz jej się w życiu zdarzało. Nie mogła uwierzyć, że ten bratanek, którego uważała za swego oddanego sojusznika, za jeszcze jednego

syna, mógł ją tak niegodziwie zdradzić. Krzyczała, miotała wyzwiska, bezskutecznie przytaczała argumenty, aż wreszcie zabrakło jej tchu i Williams musiał wezwać lekarza, by podał jej środki uspokajające w dawce odpowiedniej do jej wagi, które przy okazji uspiły ją na pewien czas. Gdy zbudziła się po trzydziestu godzinach, jej bratanek znajdował się już na pokładzie wiozącego go do Chile parowca. Mąż wspólnie z wiernym Williamsem zdołali przekonać ją, że nie należy w tej sprawie uciekać się do przemocy, jak chciała uczynić, bo chociaż wymiar sprawiedliwości w San Francisco jest przeżarty korupcją, to nie istnieje żadna furtka prawna, dzięki której mogłaby odebrać dziecko dziadkom ze strony matki, zważywszy, że rzekomy ojciec na piśmie scedował im opiekę nad maleństwem. Tłumaczyli także, że nie powinna stosować tak pospolitych metod jak proponowanie pieniędzy w zamian

za dziecko, bo krok taki mógłby obrócić się przeciwko niej i spowodować brutalną reakcję. Radzili, by podczas nieobecności Severa stosowała wyłącznie środki dyplomatyczne, które pozwolą obu stronom dojść do jakiegoś porozumienia. Ona jednak nie chciała słuchać żadnych argumentów i dwa dni później zjawiała się w herbaciarni Elizy Sommers z propozycją, której - była tego pewna - tamta nie może odrzucić. Eliza przyjęła ją ubrana na czarno na znak żałoby po córce, ale z twarzą rozjaśnioną miłością do śpiącej obok wnuczki.

Paulina aż podskoczyła na widok srebrnej kołyski swoich synów ustawionej pod oknem, ale natychmiast przypomniała sobie, że sama prosiła Williamsa o przekazanie jej Severowi, więc ugryzła się w język, bo przecież nie przyszła, żeby kłócić się o jakąś kołyskę, choćby nie wiadomo jak cenną, ale żeby negocjować oddanie wnuczki. Aby wygrać, nie wystarczy mieć rację. Trzeba się lepiej targować, zwykła była mówić. A w tym konkretnym przypadku była przekonana, że racja jest po jej stronie i że nikt nie potrafi targować się lepiej niż ona.

Eliza podała jej dziecko, wyjąwszy je uprzednio z kołyski. Paulina wzięła na ręce malusieńkie zawiniątko, tak leciutkie, że zdawało się samym tylko tobołkiem z pieluszek, i poczuła, że zaraz jej serce pęknie od przepełniającego je nieznanego uczucia. "Mój Boże, mój Boże" - westchnęła przestraszona tą obcą jej tkliwością, od której uginały się jej kolana, a w piersi wzbierał szloch. Usiadła z wnuczką w fotelu i kołysała ją, przytulając do pulchnego ciała, przy którym maleństwo wydawało się jeszcze mniejsze. Eliza Sommers kazała w tym czasie przynieść herbatę i ciasta, jakie zwykła była podawać jej w czasach, gdy tamta regularnie bywała w cukierni. Tych kilka minut wystarczyło, by Paulina odzyskała panowanie nad sobą i wytoczyła wszystkie gotowe do ataku działa. Zaczęła od wyrażenia kondolencji z powodu śmierci Lynn, a potem przyznała, że jej syn Matias jest niewątpliwie ojcem Aurory, wystarczy jeden rzut oka na maleńką: jest taka sama jak wszyscy Rodriguezowie de Santa Cruz y del Valle. Powiedziała, jak bardzo żałuje, że Matias przebywa ze względów zdrowotnych w Europie i nie może jeszcze zgłosić się po dziewczynkę. Potem wyraziła pragnienie zaopiekowania się wnuczką, ponieważ Eliza jest bardzo zapracowana, ma mniej czasu i mniej środków, niewątpliwie nie zdoła zapewnić Aurorze takiego poziomu życia, na jakim mała będzie żyła w jej domu w Nob Hill. Powiedziała to tonem osoby wyświadczającej komuś uprzejmość, ukrywając dławiący ją niepokój i drżenie rąk. Eliza Sommers odparła, że jest wdzięczna za tak wspaiałomyślną propozycję, ale ona i Tao Chi'en dadzą sobie radę z wychowaniem Lai-Ming, tak jak prosiła ich o to córka przed śmiercią. Paulina będzie zawsze przyjmowana z otwartymi ramionami, ilekroć zechce pojawić się w życiu dziewczynki.

- Nie powinniśmy stwarzać zamieszania co do tego, kto jest ojcem Lai-Ming - dodała

Eliza Sommers. - Przecież pani i pani syn zapewnili nas przed kilkoma miesiącami, że nie miał on nic wspólnego z Lynn. Z pewnością pani pamięta, że syn oświadczył wówczas wyraźnie, że ojcem dziewczynki mógł być każdy z jego przyjaciół.

- W ferworze dyskusji mówi się różne rzeczy, Elizo. Matias powiedział to bez zastanowienia ... - wykrztusiła Paulina.

- Małżeństwo Lynn z panem Severem del Valle dowodzi, że syn pani mówił prawdę, Paulino. Moja wnuczka nie jest z panią złączona więzami krwi, powtarzam jednak, że może ją pani widywać. kiedy tylko zechce. Im więcej osób będzie ją otaczać miłością, tym dla niej lepiej.

W ciągu następnej pół godziny dwie kobiety starły się niczym lwice, walcząc każda na swój sposób. Paulina del Valle przechodziła od pochlebstw do nalegania, od prośby do rozpaczliwej próby przekupstwa, a kiedy zawiodły wszystkie metody, zaczęła grozić. Druga babcia nawet się nie poruszyła, jeśli nie liczyć chwili, w której wzięła małą od Pauliny i ułożyła ją ponownie w kołysce. Paulina nie zauważyła nawet, kiedy wściekłość uderzyła jej do głowy, całkowicie straciła panowanie nad sobą i zaczęła wrzeszczeć, że Eliza Sommers jeszcze zobaczy, kim są Rodriguezewie de Santa Cruz, jaką mają władzę w mieście i jak łatwo mogą ją zrujnować, razem z jej głupią cukiernią i z tym Chińczykiem, że nikomu nie opłaca się zadzierać z Pauliną del Valle i że prędzej czy później odbierze małą, tego może być zupełnie pewna, bo jeszcze się taki nie urodził, kto by z nią wygrał. Jednym ruchem ręki strąciła ze stołu delikatne porcelanowe filiżanki i chilijskie ciasta, które spadły na ziemię, wzbijając ulotny obłok cukru, i wyszła, parskając niczym rozjuszony byk. Kiedy znalazła się w powozie, czując, jak ze wzburzenia krew pulsuje jej w skroniach, a serce łomocze jak oszalałe pod wciśniętymi w gorset zwałami tłuszczu, zaniósła się głośnym szlochem. Nie płakała tak rozpaczliwie, odkąd założyła zasuwkę w drzwiach do sypialni i została sama w swoim ogromnym łóżu. Teraz, tak jak i wówczas, zawiodła jej najlepsza broń: właściwa arabskim handlarzom umiejętność targowania się, która przyniosła jej tyle sukcesów w innych dziedzinach życia. Chciała zdobyć zbyt wiele i straciła wszystko.

Część druga
1880-1896

Mam swoje zdjęcie jako trzy- albo może czteroletniej dziewczynki, jedyne z tamtego okresu, które przetrwało burzliwe koleje losu i którego nie zdołała wykryć Paulina del Valle, choć upadła się, by zatrzeć ślady wskazujące na moje pochodzenie. To zniszczony kawałek papieru w etui z aksamitu i metalu, czyli w bardzo modnej w ubiegłym wieku ramce, jakich dziś nikt już nie używa. Na zdjęciu widać małą osóbkę, wystrojoną jak chińska panna młoda. Ubrana jest w długą tunikę z haftowanego jedwabiu i spodnie w innym kolorze; na nogach ma delikatne buciki na cienkiej drewnianej platformie, wyścielane białym filcem; ciemne włosy zebrano jej w kok trochę za wysoko i podpięto dwiema grubymi szpilkami, może ze złota lub ze srebra, połączonymi króciutką girlandą kwiatów. Dziewczynka trzyma w dłoni otwarty wachlarz i chyba się uśmiecha, ale trudno rozróżnić rysy twarzy przywodzącej na myśl jasny księżyc z dwiema czarnymi plamkami oczu. Za dziewczynką niewyraźnie rysuje się wielka głowa papierowego smoka i rozbłyskują sztuczne ognie. Zdjęcie zrobiono podczas uroczystości chińskiego Nowego Roku w San Francisco. Nie pamiętam tej chwili i nie rozpoznaję dziewczynki na tym jedynym portrecie z dzieciństwa.

Moją matkę, Lynn Sommers, można natomiast zobaczyć na wielu różnych zdjęciach, które ocalałam od zapomnienia dzięki memu uporowi i umiejętności nawiązywania kontaktów z ludźmi. Przed kilkoma laty pojechałam do San Francisco, żeby poznać mojego wuja Lucky'go. Obeszłam wówczas wiele starych księgarń i zakładów fotograficznych w poszukiwaniu kalendarzy i pocztówek, do których matka pozowała. Wuj Lucky nadal przysyła mi nowe zdjęcia, ilekroć na nie natrafi. Moja matka była bardzo ładna, tylko tyle mogę o niej powiedzieć, bo i jej nie rozpoznaję na zdjęciach. To oczywiście, że jej nie pamiętam, ponieważ umarła przy moim urodzeniu, ale kobieta z kalendarzy jawi mi się jako ktoś całkiem obcy, nie odnajduję w sobie żadnego do niej podobieństwa, nie potrafię dostrzec w niej swojej matki, jest dla mnie tylko grą światła i cienia na papierze. Nie wygląda także na siostrę mojego wuja Lucky'ego. On jest Chińczykiem o krótkich nogach i wielkiej głowie, ma pospolity wygląd, który skrywa bardzo dobre serce. Ja przypominam bardziej mego ojca, odziedziczyłam po nim hiszpańską urodę, niewiele natomiast odziedziczyłam w swym wyglądzie po moim nie zwykłym dziadku Tao Chi'enie. Gdyby nie to, że jest najjaśniejszym i najtrwalszym wspomnieniem mego dzieciństwa, moją pierwszą i największą miłością, której nie dorównała jeszcze miłość do żadnego innego mężczyzny, nie uwierzyłabym, że w moich żyłach płynie chińska krew. Tao Chi'en stale jest przy mnie. Mam go ciągle przed oczyma, jest wysoki, przystojny, zawsze nienagannie ubrany, ma szpakowate włosy, okrągłe okulary i niezmiennie dobrotliwe spojrzenie migdałowych oczu. W moich wspomnieniach zawsze się uśmiecha, czasami słyszę, jak śpiewa mi piosenki po chińsku. Krąży wokół mnie, towarzyszy mi, prowadzi mnie, bo przyrzekł babce Elizie, że nie opuści mnie po śmierci. Jest taki dagerotyp przedstawiający moich dziadków, kiedy byli młodzi, jeszcze przed ślubem. Ona siedzi na krześle z wysokim oparciem, a on stoi za nią, oboje ubrani są wedle ówczesnych amerykańskich zwyczajów, patrzą wprost w obiektyw i wyglądają na lekko przestraszonych. Ten portret trafił w końcu w moje ręce, stoi na stoliku przy moim łóżku i spoglądam na niego każdego wieczoru przed zgaszeniem lampy. Żałuję, że nie towarzyszył mi w dzieciństwie, kiedy brak dziadków tak dotkliwie dawał mi się we znaki.

Odkąd pamiętam, męczy mnie pewien senny koszmar. Obrazy z uporczywie powracającego snu zatruwają mi życie i mącą spokój, pozostają przed oczyma przez wiele godzin po przebudzeniu. We śnie pojawia się zawsze ta sama historia: przemierzam puste ulice jakiegoś nieznanego i egzotycznego miasta, idę, trzymając za rękę kogoś, czyjej twarzy nigdy nie udaje mi się zobaczyć, widzę tylko jego nogi i czubki błyszczących butów. Nagle otaczają nas dzieci ubrane w czarne piżamy, podskakując w dziwnym, szaleńczym tańcu. Jakaś ciemna plama, może krew, powiększa się na ulicznym bruku, a krąg dzieci zacieśnia się nieubłaganie, coraz groźniej, wokół kogoś, kto trzyma mnie za rękę. Otaczają nas, napierają na nas, szarpia, rozdzielają nas; szukam znajomej dłoni, ale napotykam pustkę. Krzyczę bezgłośnie, upadam bezszelestnie i wtedy budzę się z rozdanyim sercem. Po nocy z tym koszmarem pograżam się czasem na kilka dni w milczeniu, nie mogę myśleć o niczym innym, staram się przeniknąć spowijającą sen zasłonę tajemnicy i dostrzec w końcu jakiś pomijany dotąd szczegół, który pozwoliłby mi wszystko zrozumieć. Moim ciałem wstrząsają wówczas dreszcze, a myśli błędzą wśród jakichś lodowatych pustkowi. W stanie takiego właśnie paraliżu tkwiłam przez pierwsze tygodnie pobytu w domu Pauliny del Valle. Miałam pięć lat, gdy przyprawiono mnie do posiadłości w Nob Hill i nikt nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić mi, dlaczego w moim życiu dochodzi nagle do tak dramatycznego zwrotu, gdzie podzieli się moi dziadkowie Eliza i Tao, kim jest ta posągowa pani obwieszona biżuterią, przyglądająca mi się z wysokości swego tronu oczyma pełnymi łez. Opowiedziano mi potem, że ukryłam się pod stołem i tkwiłam tam niczym zbity pies. W tamtych czasach Frederick Williams był majordomusem u Rodriguezów de Santa Cruz - naprawdę trudno to sobie wyobrazić - i to on wpadł następnego dnia na pomysł, by podać mi posiłek na tacy uwiązanej na sznurku; skracano po trochu sznurek, pociągając tacę, a ja wychylałam się spod stołu tym dalej, im bardziej dokuczał mi głód. Wreszcie udało się wywabić mnie z kryjówki, jednak ilekroć wracał do mnie senny koszmar, po przebudzeniu biegłam natychmiast, by znowu skryć się pod stołem. Trwało to cały rok, aż do wyjazdu z San Francisco. Podniecenie wywołane podróżą i urządzaniem się w Santiago położyło kres tym moim zwyczajom.

Mój koszmar jest czarno-biały, bezgłośny i nie ma przed nim ucieczki, będzie trwał wiecznie. Przypuszczam, że mam już wystarczająco dużo informacji, by zrozumieć jego znaczenie, jednak nie przestał mnie dręczyć. To sny sprawiły, że jestem inna niż ludzie, którzy z powodu wrodzonej choroby lub jakiejś deformacji muszą na nowo stale podejmować wysiłek, aby prowadzić normalne życie. Oznaki ich stanu są widoczne, znamion mojej przypadłości nie widać: przypomina napady epilepsji, które przychodzą nagle i wszystkich wprawiają w zakłopotanie. Wieczorami kładę się z lękiem, nie wiem, co się zdarzy, gdy będę spała, ani jakie mnie czeka przebudzenie. Chwytałam się różnych środków, żeby odegnąć nocne demony, począwszy od pomarańczowego likieru doprawionego kilkoma kroplami opium, poprzez hipnotyczny trans, aż do wywoływania duchów, ale nic nie zapewnia mi spokojnego snu oprócz dobrego towarzystwa. Jedynym pewnym dla mnie środkiem zaradczym jest sen w czyichś objęciach. Powinnam wyjść za mąż, jak doradzają mi wszyscy wokół, ale raz to już zrobiłam z fatalnym skutkiem, więc nie mogę znowu kusić losu. Mając trzydzieści lat i nie mając męża, uchodzę za dziwoląga, moje znajome przyglądają mi się ze współczuciem, choć może niektóre zazdroszczą mi niezależności. Nie jestem samotna, mam sekretne kochankę, z którym nie łączą mnie żadne zobowiązania, i wszędzie wywołałoby to skandal, a już na pewno w miejscu, w którym przyszło nam mieszkać. Nie

jestem panną ani wdową, ani rozwódką, tkwię w otchłani "tych, co żyją w separacji". Trafiają tu kobiety, które wolą narażać się na szyderstwa, niż żyć z mężczyzną, którego nie kochają. Czyż mogłoby być inaczej w Chile, gdzie instytucja małżeństwa jest wieczna i nierozzerwalna? Gdy o promiennym brzasku budzimy się przytuleni do siebie, mój kochanek i ja, oboje wilgotni od potu i zanurzeni jeszcze we wspólnych snach, ni to na jawie, ni we śnie, przepełnieni czułością, szczęśliwi i ufni jak dzieci, ulegamy czasem pokusie, by porozmawiać o ślubie. Można przecież wyjechać gdzieś, dajmy na to do Stanów Zjednoczonych, gdzie jest tyle przestrzeni i gdzie nikt nas nie zna, więc moglibyśmy zamieszkać tam jak normalna para. Szybko jednak wracamy do rzeczywistości, całkowicie rozbudzeni przez wpadające oknem promienie słońca, i nie wracamy już do tej rozmowy, bo oboje wiemy, że nie potrafilibyśmy zamieszkać w innym miejscu, że na zawsze jest nam przeznaczone wstrząsane sejsmicznymi kataklizmami i pełne ludzkiej małostkowości Chile, pełne groźnych wulkanów i ośnieżonych górskich szczytów, niezapomnianych szmaragdowych jezior, spienionych rzek i pachnących lasów. To kraj wąski jak wstażka, ojczyzna biednych i niewinnych jeszcze ludzi, wyzyskiwanych na najrozmaitsze sposoby. Ani on nie mógłby stąd wyjechać, ani ja nie przestanę uwieczniać tego kraju na fotografiach. Chciałabym mieć dzieci, to pewne, ale pogodziłam się już z tym, że nigdy nie będę matką; nie jestem bezpłodna, lecz moja płodność objawia się inaczej. Nivea del Valle mówi, że człowieka nie określa jego zdolność reprodukcyjna, co brzmi dość ironicznie w ustach kogoś takiego jak ona, która wydała na świat ponad tuzin maluchów. Ale nie powinnam pisać tu o dzieciach, których nie będę miała, ani o moim kochanku, lecz raczej o zdarzeniach, które mnie ukształtowały. Wiem, że pisząc te wspomnienia, zdradzam z pewnością tajemnice innych, to nieuniknione. "Pamiętaj, że brudy pierze się w domu", powtarza mi Severo del Valle, bo wychowano go, jak i nas wszystkich, w taki właśnie sposób. "Pisz szczerze i nie przejmuj się uczuciami innych, bo wszystko jedno co napiszesz, i tak cię będą nienawidzić", radzi mi natomiast Nivea. Idźmy więc dalej.

Wobec niemożności pozbycia się koszmarów staram się przynajmniej mieć z nich jakiś pożytek. Przekonałam się, że po takiej burzliwej nocy umysł mam jasny i przenikliwy, jestem rozdygotana i wrażliwa na wszystkie bodźce, a to idealny wprost stan twórczy. Najlepsze zdjęcia robię w te dni, gdy napada mnie przemożna chęć ukrycia się pod stołem, jak w pierwszych miesiącach pobytu w domu mojej babki Pauliny.

Sen o dzieciach w czarnych piżamach pchnął mnie ku fotografii, jestem tego pewna. Kiedy Severo del Valle dał mi w prezencie aparat fotograficzny, od razu pomyślałam, że gdyby udało mi się uchwycić te demony na zdjęciu, pokonałabym je. W wieku trzynastu lat próbowałam wiele razy tego dokonać. Wymyśliłam skomplikowany system kółeczek i sznurków, który miał mi pozwolić uruchomić aparat podczas snu, szybko się jednak przekonałam, że te demony są odporne na ataki najnowszej techniki. Przedmioty lub ciała o całkiem zwyczajnym wyglądzie obserwowane bardzo uważnie przeobrażają się w coś niezwykłego. Obiektyw może odsłonić tajemnice, których nie dostrzega się gołym okiem ani których nie pojmuje umysł, wszystko bowiem znika prócz tego, co mieści się w kadrze. Fotografia to ćwiczenie zmysłu obserwacji, a wynik zawsze zależy od łutu szczęścia; wśród tysięcy negatywów zalegających szuflady w mojej pracowni bardzo niewiele jest wyjątkowych. Mój wuj Lucky Chi'en poczułby się trochę zawiedziony, gdyby wiedział, jak niewiele pomaga mi w pracy otrzymane od niego tchnienie szczęścia. Aparat fotograficzny to

bardzo prosta maszyna, nawet tępak potrafi się nim posługiwać, a cała trudność polega na umiejętności wyczarowania za jego pomocą owego dziwnego połączenia prawdy i piękna, które nazywa się sztuką. Moje poszukiwanie ma przede wszystkim wymiar duchowy. Szukam prawdy i piękna w przejrzystości jesiennego liścia, w doskonałym kształcie ślimaka na plaży, w płynnej linii kobiecych pleców, w fakturze kory wiekowego drzewa, ale również w innych ulotnych formach rzeczywistości. Czasami, gdy pracuję w ciemni nad jakimś zdjęciem, udaje mi się wydobyć duszę uwiecznionej na fotografii osoby, emocje wywołane jakimś zdarzeniem albo istotę jakiegoś przedmiotu. Przepelnia mnie wówczas wdzięczność, a z głębi piersi dobywa się szloch, nic nie mogę na to poradzić. Celem mego zawodu jest objawienie.

Podczas kilku tygodni żeglugi Severo del Valle opłakiwał Lynn Sommers i rozmyślał nad tym, co począć z resztą swego życia. Czuł się odpowiedzialny za małą Aurorę, więc przed wejściem na pokład statku spisał testament, aby na wypadek jego śmierci mogła otrzymać skromny spadek, jaki zostawił mu ojciec, oraz jego własne oszczędności. Tymczasem miała co miesiąc dostawać odsetki. Wiedział, że rodzice Lynn otoczą dziecko najlepszą opieką, przypuszczał też, że mimo całej swej władzy i wpływów ciotka Paulina nie podejmie prób odebrania im małej siłą, ponieważ mąż nie pozwoli jej wywołać publicznego skandalu.

Siedząc na dziobie statku i błędząc wzrokiem po nieskończonym przestworze oceanu, Severo doszedł do wniosku, że nic nigdy nie ukozi jego żalu po utracie Lynn. Po jej śmierci życie straciło dla niego sens. Zginąć na wojnie to było najlepsze rozwiązanie, jakie mogła mu przynieść przyszłość: pragnął znaleźć szybką śmierć, tylko o to się modlił. Miłość do Lynn i niesienie jej pomocy przez wiele miesięcy wypełniały jego życie i pochłaniały całą uwagę. Z tego powodu odkładał dzień powrotu, choć inni Chilijczycy w jego wieku zgłaszali się masowo na front. Na pokładzie znajdowało się kilku innych młodzieńców, którzy zamierzali zaciągnąć się do wojska, bo przywdzianie munduru było kwestią honoru. Spotykał się z nimi, by omawiać informacje z wojny, nadchodzące drogą telegraficzną. Podczas czterech lat spędzonych w Kalifornii nabrał dystansu do własnego kraju, zgłoszenie się na front było z jego strony sposobem na ucieczkę od własnego bólu, bo nie czuł przecież żadnego wojennego zapału. W miarę jednak jak statek żeglował na południe, zarażał się entuzjazmem od innych. Wróciły myśli o służbie krajowi, jakie wypełniały mu głowę w latach szkolnych, gdy w kawiarniach prowadził dysputy z kolegami o polityce. Przypuszczał, że jego dawni towarzysze walczyli już od wielu miesięcy, podczas gdy on tkwił w San Francisco, wyczekując na kolejne odwiedziny u Lynn Sommers i na partię madżonga. Jak wytłumaczy podobne tchórzostwo przyjaciółom i krewnym? Podczas tych rozmyślań prześladowało go wspomnienie Nivei. Jego kuzynka nigdy nie zrozumie odwlekania powrotu, gdy ojczyzna znajduje się w niebezpieczeństwie, i gdyby była mężczyzną, sama z pewnością pierwsza wyruszyłaby na front. Dobrze przynajmniej, że nie trzeba jej będzie już niczego wyjaśniać, miał nadzieję, że wcześniej zginie podziurawiony kulami, niż znowu ją zobaczy; spotkanie z Niveą po tej krzywdzie, jaką jej wyrządził, wymagało od niego dużo większej odwagi niż walka z najbardziej zajadłym nieprzyjacielem. Statek płynął irytująco powoli, w tym tempie dotrze do Chile, gdy wojna będzie już dawno skończona, myślał udręczony. Był pewny, że jego kraj odniesie zwycięstwo mimo liczebnej przewagi wroga i aroganckiej nieporadności

chilijskiego dowództwa. Głównodowodzący sił lądowych i admirał marynarki wojennej byli starcami, którzy nie potrafili się ze sobą dogadać w najprostszych sprawach, jednak chilijskie oddziały wykazywały większe zdyscyplinowanie niż Peruwiańczycy i Boliwijczycy. "Trzeba było śmierci Lynn, żebym zdecydował się wrócić do Chile i wypełnić swój patriotyczny obowiązek, jestem nędznym robakiem" - wyrzucał sobie ze wstydem.

Port w Valparaiso błyszczał w jasnych promieniach grudniowego słońca, gdy parowiec zacumował u nabrzeża. Gdy wpłynęli na wody terytorialne Peru i Chile, mogli dostrzec w oddali manewry okrętów obu krajów, ale dopóki nie dochodziło do starć, w Valparaiso nie czuło się wojny. Wygląd portu bardzo się zmienił w porównaniu z obrazem, jaki zachował w pamięci Severo. Miasto było zmilitaryzowane, kwaterowały w nim oddziały oczekujące na transport, na wielu budynkach powiewały chilijskie flagi i rzucał się w oczy wzmożony ruch łodzi i holowników wokół okrętów marynarki wojennej, natomiast mało wpływało do portu statków pasażerskich. Młodzieniec powiadomił matkę o dacie swego przyjazdu, jednak nie oczekiwał, że zobaczy ją w porcie - od dwóch lat mieszkała z młodszymi dziećmi w Santiago, a podróż ze stolicy była uciążliwa. Z tego powodu nie zadał sobie nawet trudu, by przyjrzeć się oczekującym na molo ludziom lub wypatrywać wśród nich kogoś znajomego, jak czyniła to większość pasażerów. Chwycił podręczną walizkę, dał kilka monet jakiemuś marynarzowi, by zajął się zniesieniem na ląd jego kufrów podróżnych, a potem zszedł w dół po trapie i pełną piersią odetchnął słonym powietrzem rodzinnego miasta. Gdy postawił stopę na lądzie, zatoczył się jak pijany, bo w ciągu tyłu tygodni żeglugi przywykł do ciągłego kołysania się statku i teraz trudno mu było zachować równowagę. Gwizdnięciem przywołał tragarza i zaczął rozglądać się za jakimś powozem, który zawiózłby go do domu babki Emilii, gdzie chciał spędzić kilka dni przed zaciągnięciem się do wojska. Nagle poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Odwrócił się zdumiony i znalazł się twarzą w twarz z ostatnią na świecie osobą, jaką pragnąłby teraz spotkać: ze swoją kuzynką Niveą. Minęło kilka sekund, nim ją rozpoznał i otrząsnął się z zaskoczenia. Dziewczyna, którą opuścił cztery lata wcześniej, zmieniła się w nieznaną mu kobietę, nadal niską, ale dużo szczuplejszą i o kształtnej figurze. Nie zmienił się tylko inteligentny i skupiony wyraz jej twarzy. Miała na sobie letnią sukienkę z niebieskiej tafty i słomkowy kapelusz z szeroką wstążką z białej organdy, zawiązaną pod brodą. Kapelusz osłaniał owalną twarz o delikatnych rysach, w której błyszczały czarne oczy, niespokojne i wesołe. Była sama. Severo nie był zdolny się przywitać, wpatrywał się w kuzynkę z otwartymi ustami, aż w końcu zebrał myśli i zapytał zmieszany, czy otrzymała jego ostatni list, w którym zawiadamiał ją o swym ślubie z Lynn Sommers. Później już do niej nie pisał, więc nie sądził, by wiedziała o śmierci Lynn albo o narodzinach Aurory. Nivea nie mogła się przecież spodziewać, że został wdowcem i ojcem, nie będąc nigdy mężem.

- Porozmawiamy o tym później, teraz pozwól, że cię powitam. Mam tu powóz, który na nas czeka - przerwała mu.

Kiedy załadowano kufry, Nivea kazała woźnicy wieźć ich powoli wzdłuż nabrzeża, dzięki czemu zyskiwali czas na rozmowę przed przyjazdem do domu, gdzie oczekiwała reszta rodziny.

- Potraktowałem cię bezdusznie, Niveo. Jedyne, co mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, to to, że nigdy nie chciałem przysporzyć ci cierpienia - wymamrotał Severo, nie mając odwagi na nią spojrzeć.

- Przyznaję, że byłam na ciebie wściekła, Severo, musiałam gryźć się w język, żeby ci nie złorzeczyć, ale nie chowam już urazy. Myślę, że ty wycierpiałeś więcej niż ja. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu śmierci twojej żony.

- Skąd o tym wiesz?

- Wiadomość przysłał mi telegramem niejaki Frederick Williams.

W pierwszej chwili Severo zachnął się, że majordomus śmiał do tego stopnia ingerować w jego prywatne życie. Potem jednak nie mógł powstrzymać uczucia wdzięczności, bo przecież telegram oszczędził mu teraz wielu bolesnych wyjaśnień.

- Nie spodziewam się, że mi wybaczysz, lecz że o mnie zapomnisz, Niveo. Ty właśnie, bardziej niż ktokolwiek inny, zasługujesz na to.

- A kto ci powiedział, że chcę być szczęśliwa? To ostatni przymiotnik, jakiego bym użyła, by określić przyszłość, jakiej pragnę. Chcę życia ciekawego, pełnego przygód i namiętności, krótko mówiąc, bardziej niż szczęścia oczekuję wielu innych rzeczy.

- Ach, kuzynko, jak cudownie jest się przekonać, że nic się nie zmieniłaś! W każdym razie za kilka dni wyruszam z wojskiem do Peru i naprawdę mam nadzieję, że zginę z bronią w ręku, bo moje życie utraciło wszelki sens.

- A twoja córka?

- Widzę, że William poinformował cię o wszystkim szczegółowo. Czy wspomniał także, że to nie ja jestem ojcem tej dziewczynki? - spytał Severo.

- Kto nim jest?

- Nieważne. W świetle prawa jest moją córką. Zostawiłem ją pod opieką dziadków ze strony matki i nie zabraknie jej pieniędzy, bo zadbałem o to, by ją dobrze zabezpieczyć.

- Jak jej na imię?

- Aurora.

- Aurora del Valle... jak ładnie to brzmi. Postaraj się wrócić zdrów i cały z wojny, Severo, bo kiedy weźmiemy ślub, ta dziewczynka na pewno stanie się naszą pierwszą córką - powiedziała Nivea, rumieniąc się.

- Co powiedziałaś?

- Czekałam na ciebie całe życie, więc mogę poczekać jeszcze trochę. To nie jest kłopot, mam jeszcze wiele do zrobienia, zanim wyjdę za mąż. Pracuję.

- Pracujesz?! Dlaczego? - wykrzyknął zgorzony Severo, bo żadna kobieta z jego rodziny ani z innych znajomych mu rodzin nigdy nie pracowała.

- Żeby się czegoś nauczyć. Mój wuj Jose Francisco zatrudnił mnie w celu uporządkowania mu biblioteki i pozwala mi czytać wszystko, co zechcę. Pamiętasz go?

- Mało go znam. Czy to ten, który ożenił się z dziedziczką wielkiej fortuny i ma pałac w Vina del Mar?

- Ten sam, to krewny mojej matki. Nie znam równie mądrego i dobrego człowieka. Poza tym to przystojny mężczyzna, choć nie tak przystojny jak ty - roześmiała się.

- Nie żartuj sobie, Niveo.

- Czy twoja żona była ładna? - spytała dziewczyna.

- Bardzo ładna.

- Będziesz musiał uporać się ze swoim bólem. Severo. Może wojna ci w tym pomoże. Podobno pięknej kobiety nie można zapomnieć. Ufam, że nauczysz się bez niej żyć, nie zapominając jej. Będę się modliła, byś ponownie się zakochał i żeby to ja była tą wybraną -

szepnęła Nivea, biorąc go za rękę.

Wówczas Severo del Valle poczuł w piersi tak straszliwy ból, jakby przeszła go lanca, a z jego ust wydobył się niepohamowany szloch, wstrząsając całym ciałem. Powtarzał z łkaniem imię Lynn, Lynn, po tysiącokroć Lynn. Nivea przytuliła go do piersi i objęła szczupłymi ramionami, gładząc na pocieszenie po plecach jak małego chłopca.

Wojna o Pacyfik wybuchła na morzu, a następnie przeniosła się na ląd, gdzie na najbardziej wyschniętych i bezlitosnych pustyniach świata, w prowincjach, które dzisiaj stanowią północną część Chile, ale przed wojną należały do Peru i Boliwii, rozgorzała walka wręcz na bagnety i zakrzywione noże. Armie peruwiańska i boliwijska były słabo przygotowane do takiego starcia; liczyły niewielu żołnierzy, były źle uzbrojone, a ich system zaopatrzenia działał tak niemrawo, że do niektórych bitew i potyczek dochodziło w chwili, gdy zaczynało brakować pitnej wody albo kiedy koła wozów wyładowanych skrzyniami z amunicją grzęzły w piasku. Chile prowadziło politykę ekspansjonistyczną, było krajem o solidnej gospodarce, dysponowało najlepszą marynarką wojenną w całej Ameryce Południowej i armią liczącą kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Na kontynencie rządzonym przez nieokrzesanych kacyków, zżeranym przez korupcję i wstrząsanym przez krwawe rewolucje cieszyło się opinią państwa prawa; surowość charakteru mieszkańców Chile i trwałość jego instytucji budziły zazdrość sąsiednich krajów, a jego szkoły i uniwersytety przyciągały zagranicznych wykładowców i studentów. Obecność angielskich, niemieckich i hiszpańskich emigrantów nieco złagodziła wybuchowy kreolski temperament. Wojsko, w którym utrzymywano pruską dyscyplinę, nie wiedziało, co to pokój, gdyż w latach poprzedzających wojnę o Pacyfik prowadziło zbrojne walki z Indianami na południu kraju, w przygranicznym rejonie zwanym La Frontera, aż tam sięgnęło bowiem ramię cywilizacji (dalej zaś zaczynało się niezbadane terytorium Indian, na które niewiele wcześniej zapuścili się jezuicy misjonarze). Znakomici araukańscy wojownicy, którzy od czasów konkwisty prowadzili nieustanne walki, nigdy nie prosząc o zawieszenie broni, nie ustępowali przed kulami ani siłą wroga, ale jeden po drugim padali jak muchy powaleni przez alkohol. Walcząc z nimi, żołnierze chilijscy wyćwiczyli się w zawziętości. Wkrótce Peruwiańczycy i Boliwijczycy nauczyli się bać Chilijczyków, swoich krwiożerczych wrogów, dobijających bezlitośnie rannych i jeńców i zdolnych do największych okrucieństw. W miarę jak przemieszczały się ich wojska, Chilijczycy budzili taką nienawiść i strach, że ściągnęli na siebie gwałtowną niechęć ze strony wielu narodów, konsekwencją czego była niekończąca się seria protestów i sporów sądowych; to tylko podsycalo w ich przeciwnikach wolę walki na śmierć i życie, gdyż poddanie się nie wchodziło w rachubę. Armie peruwiańska i boliwijska dysponowały ledwie garstką oficerów, a w ich skład obok regularnego wojska wchodziła masa Indian wcielanych na siłę, którzy nie mieli pojęcia, o co walczą, i dezertowali przy pierwszej nadarzącej się sposobności. Natomiast szeregi chilijskie złożone były w większości z cywilów, którzy w starciach odznaczeni się dorównującą żołnierzom zapalczywością, walczyli z pobudek patriotycznych i nie poddawali się. Warunki polowe często przypominały piekło. Zrozpaczeni żołnierze zaciskali dłonie na karabinach i wlekli się przez pustynię w tumanach słonego kurzu, w bezlitosnym słońcu wypalającym im czaszki, umierając z pragnienia, grzęznąc w piachu do połowy uda, uginając się pod ciężarem amunicji i plecaków przerzuconych przez

ramię. Ospa, tyfus i gorączka dziesiątkowały ich; w szpitalach wojskowych więcej było chorych niż rannych w boju.

Kiedy Severo del Valle zaciągnął się do wojska, jego ziomkowie okupowali Antofagastę - jedyną boliwijską prowincję nadmorską - oraz prowincje peruwiańskie: Tarapakę, Arikę i Tacnę. W połowie roku 1880 w trakcie przemarszu przez pustynię minister wojny i marynarki zmarł na udar mózgu, czym wywołał totalne zamieszanie w rządzie. W końcu prezydent mianował na jego miejsce cywila, Josego Francisca Vergarę, wuja Nivei, nie strudzonego podróżnika i mola książkowego, któremu w wieku czterdziestu sześciu lat przyszło zacisnąć dłoń na szabli i pokierować wojną. Jako jeden z pierwszych zauważył, że podczas gdy Chilijczycy posuwają się na północ, Argentyńczycy, nie robiąc hałasu, powoli odbierają im Patagonię na południu. Jednak nikt nie zwrócił na to uwagi, ponieważ terytorium owo uważano za równie bezużyteczne jak księżyc. Vergara był człowiekiem błyskotliwym, o znakomitych manierach i doskonałej pamięci, interesował się wszystkim, poczynając od botaniki, a na poezji kończąc, był nieskorumpowany i pozbawiony jakichkolwiek ambicji politycznych, Strategie bitewne planował z taką samą spokojną pieczołowitością, z jaką prowadził swoje interesy. Pomimo nieufności ze strony mundurowych i ku zaskoczeniu reszty społeczeństwa poprowadził chilijskie oddziały prosto na Limę. Jak stwierdziła jego siostrzenica Nivea: "Wojna to zbyt poważna sprawa, żeby powierzać ją wojskowym". Zdanie to wydostało się poza krąg rodziny i przerodziło w jeden z owych lapidarnych sądów, które wchodzą do kolekcji historycznych anegdot stanowiących dziedzictwo kraju.

Z końcem roku Chilijczycy przygotowywali się do ostatecznego zajęcia Limy. Unurzany w brudzie, krwi i najbardziej bezlitosnym barbarzyństwie Severo del Valle od jedenastu miesięcy walczył na froncie. Przez ten czas wspomnienia o Lynn Sommers rozwiały się jak dym; już nie śnił o niej, w jego snach pojawiały się rozszarpane ciała mężczyzn, z którymi poprzedniego dnia dzielił się prowiantem. Wojna sprowadzała się do uciążliwego marszu i długich postojów, w tej monotonii ciągłego wyczekiwania potyczki zdawały się przynosić ulgę.

Przerwy na papierosa wykorzystywał Severo na napisanie kilku linijek do Nivei, utrzymanych w tym samym koleżeńskim tonie co dawniej. Nie mówił o miłości, ale powoli zaczynał rozumieć, że to ona jest jedyną kobietą jego życia i że uczucie, jakim darzył Lynn Sommers, było tylko długotrwałą iluzją. Nivea pisywała do niego regularnie (choć nie wszystkie jej listy docierały do adresata) i opowiadała mu o rodzinie, o życiu w mieście, o rzadkich spotkaniach z wujkiem Jose Franciskiem i o książkach, które podsuwał jej do czytania. Mówiła mu również o przemianie duchowej, jaka się w niej dokonywała, o tym, jak oddala się od pewnych katolickich obrzędów, które wydawały się jej przejawami pogaństwa, i szuka korzeni chrześcijaństwa pojmowanego w sposób bardziej filozoficzny niż dogmatyczny. Martwiła się, czy Severo, pogrążony w tym tak prymitywnym i okrutnym świecie, nie odmieni przypadkiem swojej duszy i nie stanie się dla niej kimś obcym. Świadomość, że mógłby być zmuszony do zabijania, była dla niej nie do zniesienia. Starła się o tym nie myśleć, ale nie mogła zamknąć uszu na opowieści o żołnierzach przeszywanych na wylot nożami, o ciałach bez głów, o gwałconych kobietach i dzieciach nadziewanych na bagnety. Czy Severo brał udział w tych okropnościach? Czy mężczyzna, który jest świadkiem takich czynów, potrafi powrócić do życia w czasie pokoju, zostać mężem i ojcem rodziny? Czy ona - na przekór wszystkiemu - będzie w stanie go jeszcze kochać? Severo del Valle

zadawał sobie te same pytania, a tymczasem jego pułk, stojący kilka kilometrów od stolicy Peru, szykował się do ataku.

Pod koniec grudnia oddziały chilijskie, zajmujące pozycje w dolinie na południe od Limy, mogły przystąpić do akcji. Chilijczycy przygotowali się starannie, posiadali liczną armię, mulice i konie, amunicję, prowiant i wodę, kilka żaglowców do przewozu wojska, ponadto cztery lazarety na sześćset łóżek każdy i dwa statki przerobione na szpitale, pływające pod banderą Czerwonego Krzyża. Jeden z dowódców, przedarłszy się pieszo przez niezliczone bagna i góry, niczym jakiś mongolski książę przybył na czele swej nietkniętej świty liczącej tysiąc pięciuset Chińczyków z żonami, dziećmi i zwierzętami. Widząc ich, Severo del Valle pomyślał, że padł ofiarą jakiejś halucynacji, w której całe Chinatown opuściło San Francisco, zamierzając polec w tej samej wojnie co on. Malowniczy ów dowódca wcielił Chińczyków do wojska w trakcie przemarszu; byli to emigranci pracujący w niewolniczych warunkach, którzy - znalazłszy się między dwiema armiami, a nie mając szczególnych zobowiązań wobec żadnej ze stron - postanowili przyłączyć się do sił chilijskich. Podczas gdy chrześcijanie przed przystąpieniem do walki odprawiali mszę, Azjaci organizowali własną ceremonię, po czym kapelani wszystkich jak leci kropili święconą wodą. "To jakiś cyrk"- napisał tego dnia Severo do Nivei, nie podejrzewając, że będzie to jego ostatni list. Minister Vergara, na nogach od szóstej rano do późnych godzin nocnych, osobiście zagrzewał żołnierzy do walki i kierował załadunkiem tysięcy mężczyzn, zwierząt, armat i prowiantu.

Peruwiańczycy zorganizowali dwie linie obrony w odległości kilku kilometrów od miasta, w miejscach trudno dostępnych dla szturmujących. Na stromych piaszczystych wzgórzach przygotowali forty, umocnienia, stanowiska ogniowe i okopy, w których strzelcy mogli się schować za workami z piaskiem. Ponadto porozmieszczali miny, które wybuchały po kontakcie z detonatorem. Obie linie obrony były połączone ze sobą oraz z samą Limą linią kolejową dla zapewnienia transportu oddziałów wojska, rannych i prowiantu. Zgodnie z tym, co Severo del Valle i jego towarzysze przewidywali na długo przed przystąpieniem do ataku w połowie stycznia 1881 roku, zwycięstwo - o ile by do niego doszło - miało być okupione życiem wielu ludzi.

Owego styczniowego popołudnia oddziały były gotowe do marszu na stolicę Peru. Po spożyciu posiłku i zlikwidowaniu obozowiska podzielono się na trzy grupy, tak aby korzystając z gęstej mgły zaatakować z zaskoczenia linie obronne nieprzyjaciela. Żołnierze posuwali się w ciszy; każdy dźwigał na plecach ciężki ekwipunek i dwa karabiny, gotów do ataku "otwarcie i po chilijsku", jak zdecydowali generałowie, świadomi, że najpotężniejsza broń, jaką dysponują, to brawura i dzika agresywność żołnierzy upajających się własnym okrucieństwem. Severo del Valle widział krążące z rąk do rąk manierki z wódką zmieszaną z prochem; dla wnętrzości była to mieszanka piekielna, dawała jednak nieposkromioną siłę. Raz jej spróbował, ale przez dwa dni męczyły go potem wymioty i bóle głowy, tak więc wolał przeżyć bitwę na trzeźwo. Mimo iż robiono krótkie przystanki, marsz w milczeniu i ciemnościach pampy wydawał się nie mieć końca. Gdy minęła północ, nieprzebrany tłum żołnierzy zatrzymał się na godzinny odpoczynek. Przed nastaniem świtu zamierzano zaatakować pewne kąpielisko w pobliżu Limy, ale sprzeczne rozkazy i nieporozumienia

wśród dowódców obróciły ów plan wniwecz. Niewiele wiadomo było o sytuacji na pierwszej linii, gdzie najwidoczniej walka już się rozpoczęła, co zmusiło wyczerpane wojsko do kontynuowania marszu bez wytchnienia. Za przykładem innych Severo pozbył się plecaka, płaszcza i reszty ekwipunku, nałożył bagnet na karabin i na oślepie rzucił się przed siebie, wrzeszcząc jak zarzynane zwierzę, bo nie chodziło tylko o to, aby podejść nieprzyjaciela z zaskoczenia, ale przede wszystkim żeby go wystraszyć. Peruwianczycy już na nich czekali i ledwo Chilijczycy zbliżyli się na odległość strzału, powitali ich gradem ołowiu. Do mgły doszedł dym i kurz, zasnuwając horyzont nieprzeniknionym tumanem, zewsząd słychać było krzyki trwogi zmieszane z dźwiękami trąbek wzywających do broni, okrzyki wojenne, jęki rannych, rżenie koni i huk armat. Ziemia była zaminowana, jednak Chilijczycy, nie zważając na nic, parli do przodu z dzikim wrzaskiem: "Bij zabij!". Severo del Valle widział, jak dwaj jego towarzysze, nadepnawszy na detonator, wylatują w powietrze nieopodal niego, rozerwani na kawałki. Nie zdążył sobie uświadomić, że następny wybuch może wywołać on sam, nie było czasu na myślenie, gdyż pierwsi huzarzy już wskakiwali do okopów wroga, spadali do fos, trzymając zakrzywione noże w zębach i bagnety na sztorc, masakrując przeciwnika i ginąc w morzu krwi. Niedobitki Peruwianczyków wycofały się, a napastnicy zaczęli się wspinać po wzgórzach, forsując stanowiska obrony rozlokowane schodkowo na zboczach. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Severo del Valle stwierdził nagle, że z szablą w dłoni kładzie trupem jakiegoś mężczyznę, po czym z bliska strzela w kark innemu, próbującemu uciec. Furia i groza zawładnęły nim bez reszty; podobnie jak pozostali jego towarzysze stał się potworem. Mundur miał podarty i pokryty krwią, z rękawa zwisał mu strzęp cudzych wnętrzności, od krzyku i miotanych przekleństw nie był już w stanie wydobyć głosu, opuścił go strach i świadomość, kim jest, był tylko maszyną do zabijania, rozdawał ciosy na prawo i lewo, nie patrząc, kogo trafiają, a jego jedynym celem było dotrzeć na szczyt wzgórza.

O siódmej rano, po dwóch godzinach walki, pierwsza chilijska chorągiew załopotiała na jednym z pagórków, a Severo, klęcząc na jego szczycie, patrzył na tłum Peruwianczyków, którzy najpierw wycofywali się bezładnie, a po pewnym czasie zgromadzili się na patio jakiejś hacjendy, gdzie uformowawszy się w szyki, odparli frontalny atak chilijskiej jazdy. W ciągu kilku minut rozpętało się piekło. Biegając tam, Severo del Valle widział błysk szabli migających w powietrzu, słyszał świst kul i jęki bólu. Kiedy dotarł do hacjendy, wróg już uciekał w popłochu, ścigany przez wojsko chilijskie. W tym momencie usłyszał głos dowódcy, nakazującego przegrupować członków oddziału i zaatakować pobliską miejscowość. Krótka przerwa, podczas której ustawiano się w szyki, pozwoliła mu złapać oddech; upadł twarzą na ziemię, dysząc ciężko i dygocząc, z dłońmi zaciśniętymi na broni. Uznał, że posuwanie się naprzód to szaleństwo, ponieważ jego oddział nie jest w stanie stawić czoła przeważającej liczbą sile wroga, w dodatku ukrytej w domach i budynkach; żeby tych ludzi pokonać, trzeba by walczyć, idąc od drzwi do drzwi. Jednak jego zadaniem nie było myślenie; miał tylko słuchać rozkazów zwierzchnika i sprawić, żeby z peruwiańskiego miasteczka zostały jedynie ruiny, zgliszcza i trupy.

W kilka minut później biegł truchcikiem na czele oddziału, a dokoła ze świstem przelatowały kule. Weszli w dwóch kolumnach, po jednej z każdej strony głównej ulicy. Na wieść o zbliżaniu się Chilijczyków większość mieszkańców uciekła, za to ci, którzy zostali, byli zdecydowani walczyć tym, co mieli pod ręką, od kuchennych noży po rondle z wrzącym

olejem, który wylewali z balkonów. Oddział Severa otrzymał polecenie przejścia wszystkich domów, jednego po drugim, aż opróżni całą miejscowość, co nie było wcale zadaniem łatwym, gdyż roilo się w niej od peruwiańskich żołnierzy, którzy czaili się na dachach, drzewach, w oknach i na progach domów. Severo miał wyschnięte gardło i płonący wzrok, z trudem widział cokolwiek na odległość większą niż metr; powietrze, gęste od dymu i prochu, nie nadawało się do oddychania, panowało takie zamieszanie, że nikt nie wiedział, co robić, każdy naśladował tego, który szedł przed nim. Nagle usłyszał wokół siebie świst kul i zrozumiał, że nie może iść dalej, musi poszukać schronienia. Jednym uderzeniem kolby karabinu otworzył najbliższe drzwi i z uniesioną w górę szablą wdarł się do jakiegoś pomieszczenia, oślepiony kontrastem między palącym słońcem na zewnątrz a półmrokiem panującym wewnątrz. Na załadowanie karabinu potrzebował kilku minut, ale nie zostały mu dane: uszu jego dobiegł niespodziewanie czyjś rozdzierający krzyk, od którego stanął jak wryty, a przed oczami zamajaczyła mu jakaś postać skulona w kącie, która teraz poderwała się z miejsca i stanęła przed nim z siekierą w dłoni. Zdążył tylko osłonić głowę ramionami i całym ciałem rzucić się w tył. Siekiera niczym piorun opadła na jego lewą stopę, przybijając ją do ziemi. Severo del Valle nie zrozumiał, co się stało, jego reakcja była całkowicie instynktowna. Całym ciężarem ciała pchnął karabin z nabitym bagnetem, zagłębiając go w brzuchu napastnika, po czym z ogromnym wysiłkiem wyciągnął bagnet. Strumień krwi trysnął mu prosto w twarz. I w tym momencie zdał sobie sprawę, że jego przeciwnikiem jest dziewczyna. Rozplątał ją na pół, a ona przytrzymała sobie wnętrzości, które zaczęły z niej wypływać na podłogę z drewnianych desek. Spojrzenia obojga spotkały się i przez chwilę, która zdawała się trwać wiecznie, patrzyli na siebie zaskoczeni, zadając sobie pytanie, kim są, dlaczego zmagają się w ten sposób, dlaczego się wykrwawiają, dlaczego muszą umrzeć. Severo chciał ją podtrzymać, ale nie mógł się ruszyć i dopiero teraz poczuł w stopie straszliwy ból, który niczym jęzor ognia piał się w górę aż do jego piersi. W tym momencie do mieszkania wpadł inny chilijski żołnierz, szybkim spojrzeniem ocenił sytuację i bez wahania strzelił do kobiety, która i tak była już martwa, po czym chwycił siekierę i jednym zgrabnym pociągnięciem uwolnił od niej Severa. "Chodźmy, poruczniku, trzeba się stąd zabierać, zaraz zaczną walić artyleria!" - przekonywał, ale Severo wykrwawiał się, mdlał, znowu odzyskiwał świadomość i po chwili zapadał się w ciemność. Żołnierz przyłożył mu manierkę do ust i zmusił do wypicia dużego łyka alkoholu, następnie chustką skrupował mu nogę pod kolanem, zarzucił sobie rannego na plecy i wyciągnął go z chaty. Na zewnątrz pomogły mu czyjeś ręce i w czterdzieści minut później, podczas gdy chilijska artyleria armatnią salwą zmiatała z powierzchni ziemi owo spokojne kąpielisko, pozostawiając w jego miejscu gruzy i powykręcane żelastwo, Severo, leżąc na szpitalnym dziedzińcu pośród setek porozrywanych trupów i tysięcy rannych, porzuconych w kałużach krwi i nekanych przez natarczywe muchy, czekał na przyście śmierci albo na cudowne ocalenie. Od cierpienia i strachu był jak zamroczony, chwilami pogrążał się w litościwym omdleniu, a kiedy wracał do siebie, widział, że się ściemnia. Po palącym upale dnia nastąpił wilgotny chłód, jaki niosła ze sobą nadsiadająca mgła *camanchaca*, która otuliła noc grubym płaszczem. W chwilach przytomności przypominał sobie wyuczone w dzieciństwie modlitwy i błagał o rychłą śmierć, a przed oczami niczym anioł stawała mu Nivea; zdawało mu się, że pochyla się nad nim, podtrzymuje go, ociera mu twarz wilgotną chusteczką i przemawia do niego pełnymi słodczy słowami miłości. Powtarzał imię Nivei, błagając bezgłośnie o szklanekę wody.

Bitwa o Limę skończyła się o szóstej wieczorem. W następnych dniach, kiedy policzono już zabitych i rannych, okazało się, że w ciągu kilku godzin po obu stronach zginęło dwadzieścia procent walczących. Później, w wyniku infekcji i odniesionych ran, miało ich umrzeć znacznie więcej. Rannych po stronie chilijskiej było ponad dwa i pół tysiąca, natomiast po stronie peruwiańskiej tylko tych, którzy przeżyli, było co najmniej siedem tysięcy. W jakiejś szkole i w rozsianych po okolicy namiotach zaimprovizowano szpitale polowe. Wiatr roznosił trupi fetor w promieniu wielu kilometrów. Lekarze i sanitariusze ledwo trzymali się na nogach, a rannych ciągle przybywało. Składano ich na ziemi na korytarzach i dziedzińcach, gdzie czekali na swoją kolej.

Jako pierwsi byli przyjmowani najciężej pokrzywdzeni, a Severo de Valle - mimo że stracił ogromnie dużo sił, krwi i nadziei - jeszcze nie dogorywał, tak więc noszowi raz i drugi pochylali się nad nim i przesuwali go na dalszy plan. Ten sam żołnierz, który przerzucił sobie Severa przez ramię, żeby go zanieść do szpitala, rozciął mu nożem but, ściągnął przepoconą koszulę i zrobił z niej prowizoryczny opatrunek, gdyż nie było pod ręką ani bandażu, ani leków, ani fenolu do dezynfekcji, ani opium, ani chloroformu, wszystko się wyczerpało albo zaginęło w bitewnym zamieszaniu. "Niech pan od czasu do czasu poluzuje sobie zacisk, żeby się panu gangrena nie wdała, poruczniku" poradził mu żołnierz. Przed odejściem życzył mu szczęścia i podarował to, co miał najcenniejszego: paczkę tytoniu i manierkę z resztką alkoholu.

Severo del Valle nie wiedział, jak długo przeleżał na owym patio, może dzień, może dwa. Kiedy wreszcie doczekał się swojej kolejki, był nieprzytomny i odwodniony, ale gdy go podniesiono, poczuł tak straszliwy, przeszywający ból, że ocknął się, wyjąc. "Niech się pan trzyma, poruczniku, najgorsze jeszcze przed panem" - odezwał się jeden z noszowych. Znalazł się w jakiejś wielkiej sali. Dwaj sanitariusze co chwila wysypywali na podłogę nowe kubły piachu i trocin, wchłaniających krew, po czym w tych samych kubłach wynosili amputowane części ciał na zewnątrz, na ogromny płonący stos, co powodowało, że cała dolina była przesycona zapachem palonego mięsa. Na czterech drewnianych stołach pokrytych metalowymi płytami operowano nieszczęsnych żołnierzy, na ziemi stały wiadra z zabarwioną na czerwono wodą, w których moczono gąbki do obmywania ciętych ran, oraz leżały sterty podartych na paski szmat, służących jako bandaże; wszystko to było brudne, zapiaszczone i pokryte trocinami. Na ustawionym z boku stole rozłożono przerażające narzędzia tortur - szczypce, nożyce, piły, igły - poplamione zaschniętą krwią. W całym pomieszczeniu rozlegały się jęki operowanych, a smród gnijących ciał, wymiocin i ekskrementów nie pozwalał oddychać. Lekarz okazał się emigrantem z Bałkanów; jego zachowanie zdradzało niezłomność, zdecydowanie i szybkość doświadczonego chirurga. Miał dwudniowy zarost i czerwone ze zmęczenia oczy. ubrany był w grubą skórzaną fartuch zachlapany świeżą krwią. Zdjął prowizoryczny opatrunek ze stopy Severa, zwolnił zacisk i wystarczyło mu jedno spojrzenie, żeby stwierdzić gangrenę i zdecydować o amputacji. Nie było wątpliwości, że w tych dniach odciął wiele kończyn, gdyż teraz nawet nie mrugnął.

- Ma pan jakiś alkohol, żołnierzu? – zapytał z wyraźnym cudzoziemskim akcentem.

- Wody ... - jęknął Severo, czując, że ma wyschnięty język.

- Potem napije się pan wody. Teraz potrzebuje pan czegoś, co pana trochę oszołomi, a nie mamy tutaj ani kropli alkoholu - odrzekł lekarz.

Severo wskazał na manierkę. Doktor zmusił go do wypicia trzech solidnych łyków,

tłumacząc mu, że nie mają żadnego znieczulenia, reszty zaś użył do namoczenia jakichś szmat i umycia narzędzi, po czym dał znak sanitariuszom, którzy stanęli po obu stronach stołu, żeby przytrzymać pacjenta.

Oto nadeszła moja godzina prawdy, zdołał pomyśleć Severo i próbował wyobrazić sobie Niveę, żeby nie umrzeć z obrazem dziewczyny, którą wypatroszył pchnięciem bagnetu. Pielęgniarsz założył mu nową opaskę uciskową, a nogę na wysokości uda przytwierdził do stołu. Chirurg wziął do ręki skalpel, zagłębił go w nodze dwadzieścia centymetrów poniżej kolana i jednym zgrabnym, okrągłym ruchem przeciął ciało aż do goleni i kości strzałkowej. Severo del Valle ryknął z bólu i stracił przytomność, ale sanitariusze z jeszcze większą determinacją przytrzymywali go na stole, podczas gdy lekarz palcami odrzucał za siebie skórę i mięśnie, odsłaniając kości, które następnie odpiłował trzema pewnymi pociągnięciami piły. Pielęgniarsz wyciągnął z kikuta przecięte naczynia krwionośne, a doktor z niewiarygodną zręcznością zamykał je kolejno, jedno po drugim, po czym stopniowo zwolnił ucisk opaski, okrywając jednocześnie amputowaną kość ciałem i skórą, którą na koniec zszył. Zaraz potem pospiesznie Severa zabandażowano i przeniesiono w kąt sali, aby zwolnić miejsce dla kolejnego rannego, który wyjąć z bólu znalazł się na stole chirurga. Cała operacja nie trwała nawet sześciu minut.

W dniach, jakie nadeszły po owej bitwie, chilijskie wojska zajęły Limę. Wedle oficjalnych doniesień podawanych przez gazety w Chile, dokonały tego z zachowaniem ładu i porządku. Zgodnie z tym, co przechowało się w zbiorowej pamięci jej mieszkańców, była to prawdziwa rzeź, do której doszły jeszcze wybryki pokonanych i rozwścieczonych żołnierzy peruwiańskich, którzy poczuli się zdradzeni przez swoich dowódców. Część ludności cywilnej uciekła, a zamożne rodziny szukały schronienia na statkach stojących w porcie, w konsulatach i na strzeżonej przez cudzoziemską flotę plaży, na której korpus dyplomatyczny porozstawiał namioty, aby przyjmować uchodźców pod flagami państw neutralnych. Ci, którzy zostali, chcąc bronić swego majątku, do końca życia mieli zapamiętać dantejskie sceny z udziałem pijanych i oszalałych od rozbewstwienia żołdaków, którzy gwałcili, kradli, podpalali domy, bili i mordowali każdego, kto im się nawinał pod rękę, nie oszczędzając kobiet, starców i dzieci. W końcu część oddziałów peruwiańskich złożyła broń i poddała się, jednak wielu żołnierzy rozpierzchło się bezładnie i ruszyło w stronę gór. Peruwiański generał Andres Caceres, z pomocą swojej żony i paru wiernych oficerów, opuścił zajęte miasto ranny w nogę, po czym przepadł w skalistych górach. Poprzysiągł, że będzie walczył do ostatniego tchu.

W porcie Callao peruwiańscy kapitanowie rozkazali załogom opuścić statki i podpalili arsenał, zatapiając całą swoją flotę. Odgłosy wybuchów obudziły Severa del Valle i uświadomił sobie, że leży w kącie sali operacyjnej na obrzydliwym piachu, obok innych mężczyzn, którzy - podobnie jak on - przeżyli mękę amputacji. Ktoś okrył go derką, a obok niego postawił manierkę z wodą; Severo sięgnął po nią, ale ręka tak bardzo mu drżała, że nie mógł jej otworzyć i zastygł nieruchomo, przyciskając ją do piersi i jęcząc. W końcu podeszła jakaś młoda podkuchenna z kantyny, otworzyła manierkę i pomogła mu zbliżyć do niej wyschnięte wargi. Wypił całą zawartość jednym łykiem, po czym idąc za radą kobiety, która od miesięcy walczyła ramię w ramię z mężczyznami i o pielęgnowaniu rannych wiedziała tyle samo co lekarze, wrzucił do ust garść tytoniu i zaczął go chciwie przeżuwać, żeby złagodzić skurcze wywołane szokiem pooperacyjnym. "Zabić jest łatwo, przeżyć znacznie trudniej,

chłopcze. Jak się nie będziesz pilnował, śmierć cię zabierze podstępem" - ostrzegła go dziewczyna. "Boję się" - próbował powiedzieć Severo, a ona może nawet nic nie zrozumiała z jego bełkotania, ale domyśliła się, że jest przerażony, bo zdjęła z szyi srebrny medalik i włożyła mu go do rąk. "Niech ci Najświętsza Panienska dopomoże" - wymamrotała i pochyliwszy się, pocałowała go przelotnie w usta, po czym odeszła. Severo został z muśnięciem owych warg i medalikiem w zaciśniętej dłoni. Dygotał, szczękał zębami i płonął od gorączki; chwilami zasypiał albo mdlał, a kiedy odzyskiwał przytomność, z bólu popadał w zamroczenie. Po kilku godzinach ta sama dziewczyna z ciemnymi warkoczami wróciła i podała mu wilgotne szmatki, żeby otarł sobie pot i zaschniętą krew, oraz mosiężny talerz z kukurydzianą papką, kawałek czerstwego chleba i kubek kawy zbożowej, letniego i ciemnego płynu, którego nawet nie spróbował, gdyż uniemożliwiły mu to słabość i mdłości. Rzucony na żer cierpieniu, naciągnął koc na głowę i zaczął jęczeć i płakać jak dziecko, aż znowu zmorzył go sen. "Straciłeś dużo krwi, mój synu, jeśli nie będziesz jadł, umrzesz" - obudził go krząjący w pobliżu kapelan, który niósł pociechę rannym i ostatnie namaszczenie umierającym. Wtedy Severo del Valle przypomniał sobie, że poszedł na wojnę, żeby umrzeć. Taki był jego cel po stracie Lynn Sommers, ale teraz, kiedy śmierć była tuż-tuż, pochyłona nad nim jak sęp, i tylko czekała, żeby zadać mu ostateczny cios, instynkt życia odezwał się w nim z całą mocą. Pragnienie, by się uratować, było silniejsze od dojmującego bólu; jaki go przeszywał, poczynając od nogi aż do ostatniego włókienka ciała; silniejsze od trwogi, niepewności i przerażenia. Pojął, że rozpaczliwie pragnie pozostać na tym świecie, w jakimkolwiek stanie, w jakimkolwiek sposób, choćby nawet kulawy i pokonany, nic nie było ważne, tylko to, żeby nadal żyć. Dobrze wiedział, że zaledwie jeden żołnierz na dziesięciu, którzy przeszli amputację, powracał do zdrowia; inni umierali od upływu krwi czy w wyniku gangreny; to było nieuniknione, wszystko było kwestią szczęścia. Postanowił, że będzie jednym z tych, którzy przeżyją. Pomyślał, że jego cudowna kuzynka Nivea zasługuje na mężczyznę całego i zdrowego, a nie jakiegoś kalekę, nie chciał, żeby zobaczyła go w takim oplakanyim stanie, nie zniósłby jej współczucia. Niemniej jednak kiedy zamykał oczy, znowu widział pochyłoną nad nim Niveę, której nie dosięgły ani gwałt i przemoc wojny, ani brzydota świata; zobaczył jej inteligentną twarz, czarne oczy i swawolny uśmiezek, a wtedy jego duma rozwiła się jak dym. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że mimo iż stracił połowę nogi, będzie go kochała tak samo jak przedtem. Zaciśnął palce na łyżce, spróbował opanować dygotanie, zmusił się do otwarcia ust i przełknął łyk owej ohydnej kukurydzianej papki, która tymczasem zdążyła już ostygnąć i pokryć się muchami.

Zwycięskie oddziały chilijskie wkroczyły do Limy w styczniu 1881 roku i stamtąd próbowały narzucić pokonanemu Peru wymuszony pokój. Stłumiwszy dzikie zamieszki pierwszych tygodni, do kontrolowania okupowanego państwa dumni zwycięzcy pozostawili kontyngent dziesięciu tysięcy żołnierzy, pozostałe oddziały zaś ruszyły na południe, żeby zebrać zasłużone laury, z olimpijskim spokojem przyjmując fakt, że tysiącom pokonanym udało się uciec w góry, skąd planowali prowadzić dalszą walkę. Zwycięstwo było tak przytłaczające, że generałom nawet nie przyszło do głowy, iż Peruwiańczycy będą ich nękać przez następne trzy długie lata. Duszą owego nieustającego oporu był legendarny generał Caceres, który cudem uszedł śmierci i odniósłszy straszliwą ranę, zbiegł w góry, gdzie udało

mu się wskrzesić ducha męstwa i odwagi wśród obdartego wojska, złożonego z przypominających zjawy żołnierzy i indiańskich rekrutów, przy pomocy których prowadził krwawą wojnę podjazdową, pełną zasadzek i ciągłych potyczek. Żołnierze Caceresa - w mundurach w strzępach, często bosy, niedożywieni i zrozpaczeni - uzbrojeni byli w noże, lance, kije, kamienie i kilka przestarzałych karabinów, ale mieli tę przewagę, że znali teren. Dobrze wybrali pole bitwy, gdyż otaczające ich strome wzgórza były łatwo dostępne jedynie dla kondorów; tylko tam mogli się zmierzyć z przeciwnikiem zdyscyplinowanym i dobrze uzbrojonym, chociaż nie zawsze odpowiednio zaopatrzonym w prowiant. Partyzanci ukrywali się na ośnieżonych szczytach, w pieczarach i zagłębieniach, na smaganych wiatrem wysokich zboczach, gdzie powietrze było tak rzadkie, a pustka tak przeogromna, że tylko oni, ludzie gór, potrafili tam przeżyć. Żołnierzom chilijskim pękały i broczyły krwią bębunki w uszach, mdleli z braku tlenu albo zamarzali w lodowatych gardzielach Andów. Podczas gdy Chilijczycy z trudem pięli się pod górę, gdyż ich serca nie wytrzymały takiego wysiłku, Indianie z płaskowyżu dreptali niczym lamy, niosąc na plecach ładunek ważący tyle, co oni sami, za całe pożywienie mając jedynie gorzkie mięso orłów i zieloną kulkę z liści koki, którą obracali w ustach. Były to trzy lata wojny prowadzonej bez zawieszenia broni i bez brania jeńców, za to z tysiącami trupów. Siły peruwiańskie wygrały tylko jedną frontalną bitwę w wiosce, która nie miała żadnego znaczenia strategicznego, zajętej przez siedemdziesięciu siedmiu żołnierzy chilijskich, z których wielu złożonych było tyfusem. Mieli zaledwie po sto kul na osobę, ale całą noc z taką brawurą stawiali opór setkom żołnierzy i Indian, że kiedy nastał świt, a przy życiu zostało zaledwie trzech obrońców, peruwiańscy oficerowie błagali ich, żeby się poddali, gdyż zabicie ich wydawało im się hańbą. Nie zrobili tego, walczyli dalej i zginęli z bagnietami na sztorc i z imieniem ojczyzny na ustach. Były z nimi trzy kobiety, które indiańscy żołdacy wywlekli na środek zbryzganego krwią placu, zgwałcili i rozszarpali na kawałki. Jedna z nich poprzedniej nocy, podczas gdy jej mąż walczył zaciekle, urodziła w kościele dziecko, które również poćwiartowano. Zwłoki zostały okaleczone, ofiarom porozcinano brzuchy i wyjęto wnętrzności, które - jak opowiadano w Santiago - Indianie upiekli i zjedli. Owo bestialstwo nie było wyjątkiem; podczas tej podjazdowej wojny do aktów barbarzyństwa w równym stopniu dochodziło po obu stronach. Ostateczne poddanie się i podpisanie traktatu pokojowego z Peru nastąpiło w październiku 1883 roku po zwycięstwie nad oddziałami Caceresa; była to krwawa bitwa na noże i bagnety, która pozostawiła po sobie dziesięć tysięcy zabitych, porzuconych na polu bitwy. Chile odebrało Peru trzy prowincje. Boliwia utraciła dostęp do morza i musiała zgodzić się na bezterminowy rozejm, który miał potrwać dwadzieścia lat, aż do chwili kiedy ostatecznie zawarła pokój z Chile.

Severo del Valle został odwieziony statkiem do Chile wraz z tysiącami innych rannych. W zaimprovizowanych szpitalikach wojskowych wielu z nich umierało z powodu gangreny, tyfusu lub dyzenterii. Severowi udało się powrócić do zdrowia dzięki Nivei, która gdy tylko dowiedziała się, co się stało, natychmiast nawiązała kontakt ze swym wujem, ministrem Vergarą, i tak długo nie dawała mu spokoju, aż wydał rozkaz szukania rannego. Wyciągnął Severa z jakiegoś lazaretu, spośród tysięcy chorych przetrzymywanych w opłakanych warunkach i pierwszym nadarzącym się transportem sprowadził do Valparaiso. Wydał również swojej siostrzenicy specjalne pozwolenie, aby w porcie mogła wejść na teren wojskowy, i wyznaczył jej do pomocy pewnego porucznika. Kiedy Severa na noszach zniesiono ze statku, nie poznała go; schudł dwadzieścia kilogramów, był brudny, wyglądał jak

żółty i rozczochrany trup, miał wielotygodniową brodę oraz przerażone i nieprzytomne oczy szaleńca. Nivea dzięki swej - godnej Amazonki - sile woli, która podtrzymywała ją we wszystkich trudnych momentach życia, otrząsnęła się z przerażenia i powitała go wesołym "Cześć, kuzynie, jak miło cię widzieć!", na co Severo nie był w stanie odpowiedzieć. Ujrzawszy ją, poczuł taką ulgę, że zasłonił twarz dłońmi, by nie widziała, jak płacze. Porucznik zarządził transport i zgodnie z otrzymanymi rozkazami zawiózł rannego i Niveę prosto do pałacu Vergary w Vina del Mar, gdzie żona ministra przygotowała im pokoje. "Mój mąż mówi, że zostaniesz tutaj tak długo, aż będziesz mógł chodzić, synu" - oznajmiła. Lekarz rodziny Vergara użył wszelkich medycznych sposobów, żeby go wyleczyć, jednak kiedy minął miesiąc, a rana nawet nie zaczęła się zablizniać i Severo ciągle walczył z przyłykami gorączki, Nivea pojęła, że to okropności wojny dręczą jego chorą duszę i że jedynym lekarstwem na takie przeżycia jest miłość, w związku z czym uciekła się do środków ostatecznych.

- Zamierzam poprosić rodziców o zgodę na nasz ślub - oznajmiła Severowi.

- Ja umieram, Niveo - westchnął.

- Zawsze znajdziesz jakąś wymówkę, Severo! Umieranie nie stanowi przeszkody w zawarciu małżeństwa.

- Chcesz zostać wdową, nie będąc żoną? Nie chcę, żeby ci się przytrafiło to, co ja przeszedłem z Lynn.

- Nie będę wdową, bo ty nie umrzesz. Mógłbyś mnie uprzejmie poprosić, żebym została twoją żoną, kuzynie? Powiedz mi, na przykład, że jestem kobietą twojego życia, twoim aniołem, muzą albo czymś w tym stylu. Wymyśl coś, człowieku! Powiedz, że nie możesz beze mnie żyć, przynajmniej to jedno jest prawdą, czyż nie? Przyznaję, że wcale mnie nie bawi bycie jedyną romantyczną osobą w tym związku.

- Oszalałaś. Nawet nie jestem w pełni mężczyzną, tylko nędznym kaleką.

- Czy oprócz kawałka nogi brakuje ci jeszcze czegoś? - spytała zaniepokojona.

- A czy to mało?

- Jeżeli resztę masz na swoim miejscu, sądzę, że nie straciłeś zbyt wiele - roześmiała się.

- A więc wyjdź za mnie, proszę - wymamrotał z głęboką ulgą, tłumiąc w gardle szloch, czując się zbyt słabym, żeby ją objąć.

W trzy dni później podczas krótkiej ceremonii w obecności obu rodzin wzięli ślub w jednym z pięknych salonów rezydencji ministra. Z uwagi na okoliczności ślub miał charakter prywatny, ale samych najbliższych krewnych zebrały się dziewięćdziesiąt cztery osoby. Blady i wychudzony Severo z włosami przystrzyżonymi a la Byron i wygolonymi policzkami, ubrany w strój galowy - koszulę z wykrochmalonym kołnierzem i złotymi guzikami oraz jedwabny krawat - siedział w fotelu na kółkach. Nie było czasu na uszycie sukni ślubnej ani przygotowanie odpowiedniego wiana dla Nivei, jednak jej siostry i kuzynki wypełniły dwa kufry bielizną, którą przez lata haftowały z przeznaczeniem na swoje własne posagi. Ubrała się w sukienkę z białej satyny i włożyła diadem z pereł i diamentów, wszystko pożyczone przez żonę wuja. Na ślubnym zdjęciu stoi rozpromieniona obok fotela męża. Wieczorem odbyła się rodzinna kolacja, w której Severo del Valle nie uczestniczył, gdyż przeżycia owego dnia zbyt go wyczerpały. Po wyjściu gości ciotka zaprowadziła Niveę do przygotowanego dla niej pokoju. "Przykro mi bardzo, że twoja pierwsza noc małżeńska będzie taka..." -

wymamrotała zacna kobieta, oblewając się rumieńcem. "Niech się ciocia nie martwi, na pociechę odmówię sobie różaniec" - odparła dziewczyna. Odczekała, aż cały dom zaśnie, i upewniwszy się, że odgłosy życia wydaje jedynie wiatr od morza, hulający pośród gałęzi drzew w ogrodzie, wstała, w nocnej koszuli przebiegła długie korytarze tego nieznanego pałacu i weszła do pokoju Severa. Zakonnica, wynajęta do czuwania nad snem chorego, siedziała w fotelu z szeroko rozłożonymi nogami, pogrążona w głębokim śnie, ale Severo nie spał i czekał. Nivea uniosła palec do ust, nakazując, żeby był cicho, pogasiła gazowe lampy i wsunęła się do łóżka.

Nivea wychowywała się u zakonnic i pochodziła ze staroświeckiej rodziny, gdzie nigdy nie wspomniano o funkcjach ciała, a już zwłaszcza o tych mających cokolwiek wspólnego z rozmnażaniem, ale miała dwadzieścia lat, serce targane namiętnością i dobrą pamięć. Doskonale przypominała sobie potajemne igraszki ze swym kuzynem w zakamarkach domu, kształt ciała Severa, swoją wiecznie niezaspokojoną tęsknotę za rozkoszą i fascynację grzechem. W owym czasie poczucie wstydu i winy powstrzymywało ich i oboje opuszczali zakazane kąty wyczerpani, drżąc i płonąc z pożądania. W ciągu tych lat, jakie upłynęły im z dala od siebie, Nivea miała dość czasu, żeby rozpamiętywać każdą chwilę spędzoną z kuzynem, oraz na to, aby jej dziecinne zaciekawienie przerodziło się w prawdziwą miłość. Ponadto zrobiła dobry użytek z biblioteki wuja Josego Francisca Vergary, człowieka o liberalnych i nowoczesnych przekonaniach, który w kwestii zainteresowań intelektualnych nie przyjmował do wiadomości ograniczeń ani tym bardziej nie tolerował cenzury kościelnej. W trakcie porządkowania książek o tematyce naukowej, artystycznej i wojennej przypadkiem dotarła do ukrytej półki, gdzie natknęła się na pokaźną liczbę książek z kościelnej "czarnej listy" oraz na teksty erotyczne, a nawet na zabawną kolekcję japońskich i chińskich rycin przedstawiających pary kochanków wymachujące w powietrzu nogami w pozycjach niemożliwych do przyjęcia z punktu widzenia anatomii, za to mogących posłużyć za inspirację nawet największemu ascecie, a cóż dopiero osóbcie o tak wybujałej wyobraźni jak ona. Niemniej jednak najbardziej pouczające okazały się powieści pornograficzne niejkiej "Anonimowej damy", w bardzo słabym przekładzie z angielskiego na hiszpański, które dziewczyna jedną po drugiej wynosi ukradkiem w torebce, dokładnie przestudiowała, po czym po kryjomu umieściła na swoim miejscu; ta ostrożność jednak była całkiem zbyteczna, gdyż jej wuj miał głowę zaprzątniętą działaniami wojennymi, a w pałacu nikt poza nim do biblioteki nie zaglądał. Kierując się wskazówkami zaczerpniętymi z owych książek, zbadała swe własne ciało, nauczyła się podstaw najstarszej sztuki w historii ludzkości i przygotowała się na dzień, w którym będzie mogła zastosować teorię w praktyce. Wiedziała, oczywiście, że popełnia straszliwy grzech (rozkosz zawsze jest grzechem), ale wolała nie dyskutować o tym ze swoim spowiednikiem, gdyż uznała, że przyjemność, jaką sobie sprawia i jaką miała nadzieję sprawiać sobie w przyszłości, jest warta tego, aby zaryzykować dla niej piekło. Modliła się, by śmierć nie przyszła po nią niespodziewanie, tak aby - zanim wyda ostatnie tchnienie - mogła się wypowiedzieć z tych godzin rozkoszy, jaką przyniosła jej owa lektura. Nigdy nie przypuszczała, że ten samotny trening pomoże jej przywrócić do życia ukochanego mężczyznę, ani tym bardziej że będzie musiała to robić w odległości trzech metrów od śpiącej zakonnicy.

Począwszy od tej pierwszej nocy spędzonej z Severem, Nivea zawsze pamiętała, aby - żegnając się z mężem po kolacji przed odejściem do swego pokoju - przynieść siostrzyczce

filiżankę gorącej czekolady i kilka ciasteczek. Czekolada kryła w sobie dawkę waleriany, która mogłaby uspić wielbłąda. Severowi del Valle nigdy by nie przyszło do głowy, że jego niewinna kuzyneczka jest zdolna do tylu tak niewiarygodnych czynów. Rana w nodze, wywołująca przeszywający ból, gorączka i osłabienie skazywały go na rolę bierną, jednak w to, do czego jemu brakowało sił, ona wkładała swoją inicjatywę i wiedzę. Severo nie miał pojęcia, że takowe wygibasy są w ogóle możliwe, za to był pewien, że nie są chrześcijańskie, co nie przeszkadzało mu czerpać z nich rozkoszy w całej pełni. Gdyby nie znał Nivei od dziecka, mógłby pomyśleć, że kuzynka szkolili się w jakimś tureckim seraju, ale nawet jeśli niepokoił go sposób, w jaki owa dobrze urodzona panienska opanowała tak różnorodne sztuczki metresy, był na tyle inteligentny, aby o to nie pytać. Potulnie ruszył za nią w podróż zmysłów, na ile pozwalało mu ciało, oddając się jej po drodze wszystkimi, aż do ostatniego, zakamarkami duszy. Szukali się w pościeli, przyjmując pozycje opisane przez pornografów z biblioteki zacnego ministra wojny oraz inne, które sami wymyślali, do czego popychały ich pożądanie i miłość, a powstrzymywały zabandażowany kikut i pochrupająca w fotelu zakonnica. Świt zastawał ich z sercami bijącymi w jednym rytmie w gnieździe ze splecionych ramion, z ustami oddychającymi unisono jednym i tym samym oddechem, a kiedy w okno zaglądał pierwszy promień dnia, Nivea niczym cień przemykała z powrotem do swego pokoju. Dawne igraszki zamieniły się w prawdziwe maratony wyuzdania; pieścili się z nienasyconym apetytem, całowali się, lizali i penetrowali z każdej strony, a wszystko to w ciemnościach i w absolutnej ciszy, połykając westchnienia i gryząc poduszki, żeby zdusić wesołą lubieżność, która podczas owych zbyt krótkich nocy raz po raz unosiła ich ku niebu. Zegar pędził: ledwie Nivea niczym duch zjawiała się w pokoju, żeby wśliznąć się do łóżka Severa, a już był ranek. Żadne z nich nie chciało zmrużyć oka, bali się stracić bodaj minutę z owych błogosławionych spotkań. Nazajutrz on jak nowo narodzony spał do południa, ale ona wstawała wcześniej i swe rutynowe obowiązki wypełniała z zamętem w głowie jak lunatyczka. Popołudniami Severo del Valle w fotelu na kółkach wypoczywał na tarasie, podziwiając zachód słońca nad morzem, podczas gdy siedząca obok żona przysypiała, udając, że haftuje serwetki. W obecności innych zachowywali się niczym rodzeństwo, nie dotykali się i niemalże na siebie nie patrzyli, ale atmosfera wokół nich była ciężka od pożądania. Dzień upływał im na liczeniu godzin, na gorączkowym, obłąkańczym wyczekiwaniu, aż przyjdzie pora, kiedy wreszcie znajdą się w łóżku i obejmą się od nowa.

To, co wyczyniali po nocach, przejęłoby grozą lekarza, obie rodziny i całe towarzystwo, nie mówiąc już o zakonniczy. Tymczasem krewni i przyjaciele komentowali oddanie Nivei, tej jakże czystej dziewczyny, prawej katoliczki skazanej na platoniczną miłość, oraz siłę moralną Severa, który stracił nogę i zrujnował sobie życie w obronie ojczyzny. Okoliczne kumoszki rozgłaszały plotkę, że na polu bitwy utracił nie tylko nogę, ale także swoje atrybuty męskości. "Biedactwa" - mamrotały pośród westchnień, nie przypuszczając, jak dobrze owa para lekkoduchów się bawi. W tydzień po tym, jak uspiwszy zakonnice czekoladą pierwszy raz się kochali w egipskich ciemnościach, rana w nodze Severa zablizniła się, a gorączka spadła. Nie upłynęły dwa miesiące, jak Severo del Valle zaczął chodzić o kulach i napomykać o drewnianej protezie, gdy tymczasem Niveę, ukrytą w którejś z dwudziestu trzech łazienek pałacu wuja, szarpały mdłości. Kiedy nie było innej rady, jak tylko przyznać się przed rodziną, że spodziewa się dziecka, ogólne zaskoczenie było tak wielkie, że zaczęto mówić, iż do ciąży doszło jakimś cudownym sposobem. Najbardziej

wzburzona była niewątpliwie zakonnica, jednak Severo i Nivea zawsze podejrzewali, że pomimo ogromnych dawek waleriany owa święta kobieta miała sposobność sporo się nauczyć i tylko markowała sen, by nie tracić okazji podglądania ich. Jedyńm, który potrafił sobie wyobrazić, jak to zrobili, i ich przebiegłość uczył wybuchem szczerego śmiechu, był minister Vergara.

Kiedy Severo zaczął stawiać pierwsze kroki na swojej sztucznej nodze, brzucha Nivei zaś nie sposób było dłużej ukrywać, pomógł im zainstalować się we własnym domu i zatrudnił u siebie Severa. "Kraj i partia liberalna potrzebują takich odważnych mężczyzn jak ty" - powiedział, chociaż Bogiem a prawdą należałoby przyznać, że prawdziwą odwagą wykazała się Nivea.

Mojego dziadka, Feliciano Rodrigueza de Santa Cruz, nie znałam; umarł kilka miesięcy przed tym, jak zamieszkałam w jego domu. Dostał ataku apopleksji, kiedy - siedząc u szczytu stołu podczas bankietu w swojej rezydencji w dzielnicy Nob Hill - zakrztusił się kawałkiem pasztetu z jelenia, który popijał czerwonym winem. Biesiadnicy podnieśli umierającego z podłogi i ułożyli go na sofie, jego piękna głowa arabskiego księcia spoczęła na podołku Pauliny del Valle, a ona dla dodania mu odwagi powtarzała: "Nie umieraj, Feliciano, przecież wiesz, że wdów nigdzie się nie zaprasza... Oddychaj, chłopie ! Jeśli będziesz oddychał, obiecuję ci, że dzisiaj na pewno odsunę zasuwkę na drzwiach mego pokoju". Powiadają, że zanim krew rozerwała mu serce, Feliciano zdążył się jeszcze uśmiechnąć. Istnieją niezliczone zdjęcia tego krzepkiego i wesołego Chilijczyka; łatwo wyobrazić sobie, jaki był, bo na żadnym z nich nie pozuje malarzowi czy też fotografowi, za to na każdym sprawia wrażenie, jakby dał się zaskoczyć w jakimś spontanicznym geście. Kiedy się śmiał, pokazywał zęby rekina, kiedy mówił, wymachiwał rękami, a chodził z pewnością siebie i tupetem pirata. Po jego śmierci Paulina del Valle załamała się; wpadła w taką depresję, że nie była w stanie wziąć udziału w pogrzebie ani w żadnej z licznych uroczystości na jego cześć, jakie zorganizowało mu miasto. Odprawienie egzekwii spadło na majordomusa Williamsa i adwokatów rodziny, ponieważ trzech synowie zmarłego byli nieobecni. Dwaj młodsi przybyli w kilka tygodni później, ale Matias nie przyjechał, by pocieszyć matkę, krążył gdzieś po Niemczech, tłumacząc się złym stanem zdrowia. Pierwszy raz w życiu Paulina straciła całą swoją kokieterię, apetyt i zainteresowanie dla ksiąg rachunkowych, przestała wychodzić z domu i od rana do wieczora leżała w łóżku. Nie pozwoliła, aby ktokolwiek oglądał ją w takim stanie, jedynymi osobami, świadomymi tego, że płacze, były pokojówki i Williams, który udawał, że tego nie dostrzega, stojąc w bezpiecznej odległości, gotów do pomocy, gdyby go o nią poprosiła. Któregoś popołudnia zatrzymała się przypadkiem przed wielkim połączanym lustrem zajmującym połowę ściany w jej łazience i zobaczyła, co się z niej zrobiło: gruba i obszarpana wiedźma z żółwią główką zwieńczoną wiechciem siwych kudłów. Krzyknęła z przerażenia. Żaden mężczyzna na świecie - a już najmniej Feliciano - nie zasługuje na to, aby z jego powodu popadać w taką abnegację, pomyślała. Sięgnęła dna, teraz przyszła pora, aby się od niego odbić i ponownie wypłynąć na powierzchnię. Zadzwoiła na pokojówki, żeby pomogły jej się wykapać, i kazała sprowadzić fryzjera. Od tego dnia zaczęła się jej walka z depresją. Dzięki żelaznej sile woli udało się jej otrząsnąć z ciężaru żałoby, choć nie miała do pomocy nic innego, jak tylko góry słodczy i

długie kąpiele. Noc zastawała ją z pełnymi ustami i zanurzoną w wannie, ale już nie płakała. Na Boże Narodzenie wychyłała ze swego zamknięcia o kilka kilogramów cięższa, za to w doskonałej formie, a wówczas ku swemu zdumieniu stwierdziła, że pod jej nieobecność życie toczyło się nadal i nikt za nią nie tęsknił, co posłużyło jej jako ostateczny bodziec, żeby stanąć na nogach. Nie pozwoli, by ją ignorowano, postanowiła; właśnie skończyła sześćdziesiąt lat i zamierza żyć jeszcze trzydzieści, choćby tylko po to, żeby dręczyć bliźnich. Ponosi żałobę jeszcze przez parę miesięcy, przynajmniej tyle może zrobić przez szacunek dla Feliciano, jednak on z pewnością nie życzyłby sobie, aby upodobniła się do owych greckich wdów, które na resztę życia przywdziewają czarne szmaty. Na następny sezon sprawi sobie suknie w kolorach pastelowych oraz odbędzie podróż do Europy. Zawsze chciała pojechać do Egiptu, ale Feliciano uważał, że to kraj, w którym nie ma nic oprócz piasku i mumii i w którym wszystko, co najciekawsze, zdarzyło się przed trzema tysiącami lat. Teraz, kiedy jest sama, nareszcie może zrealizować swoje marzenie. Jednak prędko zdała sobie sprawę, jak dalece zmieniło się jej życie i jak niewielkim szacunkiem darzyła ją społeczność San Francisco; całej jej fortuny było mało, aby darowano jej latynoskie pochodzenie i akcent kucharki. Tak jak to żartem przepowiedziała, już nie zapraszano jej jako pierwszej na uroczystości, nie proszono, aby otworzyła jakiś szpital czy odsłoniła pomnik, jej nazwisko zeszło ze szpalt gazet, a w operze ledwo się jej kłaniano. Poczula się wyrzucona poza nawias. Jednocześnie bardzo trudno jej było prowadzić interesy, ponieważ po śmierci męża nie miała nikogo, kto by ją reprezentował w kręgach finansowych. Oszacowała dokładnie stan swego majątku i zdała sobie sprawę, że jej synowie szastają pieniędzmi w szybszym tempie, niż ona zdoła je zarobić, że wszędzie są zadłużeni i że przed śmiercią Feliciano dokonał kilku fatalnych inwestycji, bynajmniej ich z nią nie konsultując. Nie była tak bogata, jak myślała, jednak daleko jej było do tego, by poczuć się pokonaną. Wezwała Williamsa i kazała mu sprowadzić dekoratora, aby odnowić salony, szefa kuchni, żeby zaplanować szereg bankietów, jakie zamierzała wydać z okazji Nowego Roku, agenta podróży, żeby pomówić z nim o Egipcie, i krawca, żeby uszyć sobie nowe suknie. Właśnie podejmowała owe pilne działania, dzięki którym zamierzała otrząsnąć się ze strachu przed wdowieństwem, kiedy w jej domu pojawiła się dziewczynka w sukieneczce z białej popeliny, koronkowym bereciku i lakierowanych bucikach, którą przyprowadziła za rączkę jakaś kobieta w żałobie. Były to Eliza Sommers i jej wnuczka Aurora, których Paulina del Valle nie widziała od pięciu lat.

- Przyprowadzam pani małą, tak jak sobie pani życzyła, Paulino - odezwała się ze smutkiem Eliza.

- Boże święty, co się stało? - zapytała Paulina del Valle, nie posiadając się ze zdumienia.

- Mój mąż nie żyje.

- No to obieśmy wdowy ... - wymamrotała Paulina.

Eliza Sommers wyjaśniła jej, że nie może opiekować się wnuczką, ponieważ musi odwieźć ciało Tao Chi'ena do Chin, tak jak to mu obiecała. Paulina del Valle wezwała Williamsa i poleciła zaprowadzić małą do ogrodu i pokazać jej pawie, żeby ona i Eliza przez ten czas mogły porozmawiać.

- Kiedy zamierza pani wrócić, Elizo? - spytała Paulina.

- To może być bardzo długa podróż.

- Nie chciałabym, by było tak, że przywiążę się do małej, a za parę miesięcy będę

musiała ją pani oddać. Serce by mi pękło.

- Obiecuję pani, że do tego nie dojdzie, Paulino. Pani może zaoferować mojej wnuczce życie znacznie lepsze niż ja. Nigdzie nie jestem u siebie. Bez Tao nie ma sensu mieszkać w Chinatown, nie pasuję również do Amerykanów, a i w Chile nie mam nic do roboty. Wszędzie jestem cudzoziemką, ale chcę, żeby Lai-Ming miała korzenie, rodzinę i staranne wykształcenie. To Severo del Valle, jej formalny ojciec, powinien się nią zająć, ale jest daleko i ma inne dzieci. A ponieważ pani zawsze chciała mieć małą, pomyślałam, że ...

- Bardzo dobrze pani zrobiła, Elizo! - przerwała jej Paulina.

Paulina del Valle wysłuchiwała do końca opowieści o tragedii, jaka spotkała Elizę Sommers, ze szczegółami poznała wszystkie fakty związane z przyjściem Aurory na świat, włącznie z rolą, jaką w życiu tej rodziny odegrał Severo del Valle. Nie wiadomo kiedy ulotniły się uraza i duma i Paulina nagle spostrzegła, że wzruszona obejmuje ową kobietę, którą jeszcze kilka chwil wcześniej uważała za swojego najgorszego wroga, że dziękuje jej za niewiarygodną szlachetność, z jaką tamta powierza jej swoją wnuczkę, i przysięga, że będzie dla niej prawdziwą babcia, z pewnością nie tak dobrą jak ona, ale gotową poświęcić resztę swego życia na to, żeby dbać o Aurorę i uczynić ją szczęśliwą. To będzie najważniejsza misja jej życia.

- Lai-Ming to bystra dziewczynka. Wkrótce zapyta, kim jest jej ojciec. Jeszcze do niedawna myślała, że jej ojciec, dziadek, najlepszy przyjaciel i Bóg to jedna i ta sama osoba: Tao Chi'en - powiedziała Eliza.

- Co mam jej powiedzieć, kiedy zapyta? - zapytała Paulina.

- Proszę powiedzieć jej prawdę, to zawsze najłatwiej zrozumieć - poradziła Eliza.

- Że mój syn Matias jest ojcem biologicznym, a bratanek Severo formalnym?

- A czemuż by nie? I proszę jej powiedzieć, że jej matka nazywała się Lynn Sommers i że była dobrą i piękną dziewczyną - wyszeptwała Eliza łamiącym się głosem.

Obie babcie uzgodniły od razu, że aby wnuczce jeszcze bardziej nie pomieszało się w głowie, należy ostatecznie odseparować ją od rodziny ze strony matki, nie dopuścić, żeby znowu zaczęła mówić po chińsku czy też miała jakikolwiek kontakt z przeszłością. W wieku pięciu lat nie używa się jeszcze rozumu, uznały, z czasem mała Lai-Ming zapomni o swym rodowodzie i urazie, jakiego doznała w wyniku ostatnich wydarzeń. Eliza Sommers zobowiązała się nie podejmować najmniejszych prób skomunikowania się z małą, a Paulina del Valle - uwielbiać ją jak własną córkę, której tak pragnęła, a nigdy nie miała. Pożegnały się krótkim uściskiem i Eliza wyszła drzwiami dla służby, żeby wnuczka nie widziała, jak odchodzi.

Bardzo żałuję, że te dwie dobre kobiety, moje babcie, Eliza Sommers i Paulina del Valle, postanowiły o moim losie, odmawiając mi jakiegokolwiek w tym udziału. Z tą samą ogromną determinacją, z jaką w wieku osiemnastu lat z ogoloną głową uciekła z klasztoru, żeby związać się z narzeczoną, w wieku dwudziestu ośmiu zaś zbiła fortunę, przewożąc statkiem prehistoryczny łód, babcia Paulina zabrała się do wymazywania śladów mojego pochodzenia. I gdyby nie figiel losu, który w ostatniej chwili pokrzyżował jej plany, byłaby to osiągnięta. Bardzo dobrze pamiętam pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarła. Widzę siebie, jak wchodzę do pałacu wpasowanego w zbocze wzgórza, mijam marmurowe schody i dwa

brązowe lwy naturalnej wielkości po obu stronach, podwójne drzwi z ciemnego drewna i olbrzymi hall zalany światłem przenikającym przez kolorowe witraże majestatycznej kopuły wieńczącej sufit. Nigdy przedtem nie byłam w takim miejscu, w równym stopniu czułam fascynację i strach. Wkrótce znalazłam się przed połączanym fotelem, na którym - niczym królowa na tronie - siedziała Paulina del Valle. Ponieważ później wiele razy widywałam ją rozpartą w tym samym fotelu z oparciem w kształcie medalionu, nietrudno mi wyobrazić sobie, jak wyglądała owego pierwszego dnia: zapewne była obwieszona biżuterią, spowita w taką ilość materiału, że starczyłoby go na uszycie zasłon, i prezentowała się imponująco. Przy niej reszta świata zniknęła. Była naturalna w sposobie bycia, miała piękny głos oraz białe i równe zęby (efekt ten uzyskiwała dzięki doskonałej porcelanowej nakładce, jaką stale nosiła). W owym czasie musiała mieć już siwe włosy, ale farbowała je sobie na ten sam kasztanowy kolor, jaki miały w młodości, oraz zwiększała ich obfitość za pomocą kilku zręcznie zamocowanych trefek, które sprawiały, że jej kok przybierał kształt wieży. Nigdy przedtem nie widziałam osoby, która by tak doskonale pasowała do ogromu i wystawności swej rezydencji. Teraz, kiedy wreszcie dowiedziałam się, co się wydarzyło na kilka dni przed ową chwilą, rozumiem, że nie powinnam przypisywać swego przerażenia wyłącznie wyglądowi tej niezwyklej babci; gdy przyprowadzono mnie do jej domu, lęk stanowił część mojego bagażu, podobnie jak mała walizeczka i chińska lalka, które kurczowo przyciskałam do siebie.

Kiedy Williams przespacerował się już ze mną po ogrodzie i w ogromnej pustej jadalni poczęstował pucharem lodów, zaprowadził mnie do sali z akwarelami, gdzie - jak przypuszczałam - miała czekać babcia Eliza. Tymczasem zamiast babci ujrzałam Paulinę del Valle. Podeszła do mnie ostrożnie, jakby próbowała złapać wymykającego się kota, i powiedziała, że bardzo mnie kocha i że od tej pory zamieszkam w tym dużym domu i będę miała mnóstwo lalek, a także kucyka i mały powóz.

- Jestem twoją babcią - wyjaśniła.

- Gdzie jest moja prawdziwa babcia? - zapytałam podobno.

- Ja jestem twoją prawdziwą babcią, Auroro. Ta druga wyjechała w długą podróż - tłumaczyła mi Paulina.

Puściłam się biegiem, przecięłam hall z kopułą, wpadłam do biblioteki, a potem do jadalni i rzuciłam się pod stół, gdzie skuliłam się, oniemiała z przerażenia. Był to ogromny mebel z blatem z zielonego marmuru i nogami rzeźbionymi w kariatydy, tak ciężki, że nie sposób go było ruszyć z miejsca. Wkrótce nadbiegli Paulina del Valle, Williams i kilka służących, próbowali wyciągnąć mnie spod stołu siłą i pochlebstwami, ale ja wyslizgiwałam im się jak łasica, ledwo czyjaś ręka zbliżyła się do mnie. "Niech ją pani zostawi, sama wyjdzie" - zasugerował Williams, ale ponieważ upłynęło kilka godzin, a ja dalej tkwiłam pod stołem, przyniesiono mi kolejną porcję lodów, poduszkę i koc. "Wyciągniemy ją, kiedy uśnie" - powiedziała Paulina del Valle. Ja jednak nie zasnęłam, za to kuczniejszy zrobiłam siusiu, w pełni świadoma popełnianego wykroczenia, lecz zarazem zbyt przerażona, żeby szukać łazienki. Siedziałam pod stołem nawet podczas kolacji; z moich "okopów" widziałam grube nogi Pauliny, małe satynowe pantofelki, które zdawały się pękać na opuchniętych stopach, oraz czarne spodnie usługujących. Kilka razy Paulina z wielkim trudem pochyliła się, żeby puścić do mnie oko, ale ja wtedy chowałam twarz w dłoniach złożonych na kolanach. Umierałam z głodu i zmęczenia, chciałam pójść do łazienki, ale miałam w sobie tyle samo pychy, co Paulina del Valle, i łatwo się nie poddawałam. Williams wsunął pod stół

tacę z trzecią porcją lodów, ciasteczkami i wielkim kawałkiem czekoladowego tortu. Zaczekałam, aż odejdzie, i kiedy poczułam się bezpieczna, chciałam zabrać się do jedzenia, ale im bardziej wyciągałam rękę, tym dalej odjeżdżała taca, którą majordomus odciągał na sznurku. Kiedy wreszcie udało mi się chwycić ciasteczko, znajdowałam się już poza kryjówką, a że w jadalni nie było nikogo, zaczęłam spokojnie objadać się słodyczami i na pierwszy szmer błyskawicznie wracałam pod stół. To samo powtórzyło się kilka godzin później, wczesnym rankiem, aż w końcu, podążając za ruchomą tacą, dotarłam do drzwi, gdzie czekała na mnie Paulina del Valle z jakimś żółtawo umaszczonym szczeniakiem, którego włożyła mi w rękę.

- Masz, to dla ciebie, Auroro. Ten piesek też czuje się samotny i przestraszony - powiedziała.

- Mam na imię Lai-Ming.

- Nazywasz się Aurora del Valle - odparła kategorycznie.

- Gdzie jest łazienka? - wymamrotałam, krzyżując nogi.

Takie były początki stosunków między mną a ową babcią-kolosem, którą los postawił na mej drodze. Umieściła mnie w pokoju obok siebie i pozwoliła mi spać ze szczeniakiem, którego nazwałam Karmelek, gdyż był takiego właśnie koloru. O północy obudziłam się z koszmarne snu o jakichś dzieciach w czarnych piżamach, i nie zastanawiając się długo, jak na skrzydłach pobiegłam do wielkiego łóżka Pauliny del Valle, tak jak kiedyś przychodziłam do łóżka mego dziadka, żeby się poprzytulić. Byłam przyzwyczajona, że obejmowały mnie silne ramiona Tao Chi'ena, nic nie koło mnie tak jak bijący od niego zapach morskiej bryzy i litania słodkich słów wypowiedzianych po chińsku, jakimi na wpół śpiący dziadek do mnie przemawiał. Nie wiedziałam, że normalne dzieci nie przekraczają progu pokoi dorosłych ani tym bardziej nie wchodzi do nich do łóżka; wychowałam się w ścisłym kontakcie fizycznym, bez końca obcałowywana i kołysana przez moich dziadków, nie znałam innej formy pocieszenia czy wypoczynku jak pieszczoty. Na mój widok Paulina del Valle kazała mi się zabierać, a ja zaczęłam monotonnie jęczeć do wtóru z biednym psem i oboje musieliśmy przedstawiać sobą tak żalony widok, że dała nam znak, byśmy się zbliżyli. Wskoczyłam do jej łóżka i naciągnęłam kołdrę na głowę. Przypuszczam, że natychmiast zasnęłam, w każdym razie o świcie obudziłam się wtulona w jej wielkie piersi pachnące gardenią, ze szczeniakiem w nogach. Pierwsze, co zrobiłam po przebudzeniu, to zapytałam o moich dziadków, Elizę i Tao. Szukałam ich po całym domu i w ogrodach, potem usiadłam przy drzwiach, czekając, aż po mnie przyjdą. To samo powtarzało się przez resztę tygodnia, pomimo prezentów, spacerów i pieszczot Pauliny. W sobotę uciekłam.

Nigdy dotąd nie byłam na ulicy sama i nie potrafiłam zorientować się, gdzie jestem, ale instynkt podpowiedział mi, że powinnam zejść ze wzgórza, i w ten sposób znalazłam się w centrum San Francisco, po którym snułam się wystraszona przez kilka godzin, aż w końcu wypatrzyłam parę Chińczyków z wózekkiem wypełnionym bielizną do prania i trzymając się w bezpiecznej odległości, poszłam za nimi, gdyż wyglądali jak mój wujek Lucky. Podążali w kierunku Chinatown - tam mieściły się miejskie pralnie - i z chwilą gdy wkroczyłam do tej dobrze mi znanej dzielnicy, poczułam się pewnie, chociaż nie umiałabym podać nazw ulic ani adresu moich dziadków. Byłam onieśmielona i zbyt przestraszona, żeby prosić o pomoc, tak więc krążyłam bez celu, kierując się zapachami jedzenia, brzmieniem języka i wyglądem setek małych sklepików, które tylekroć odwiedzałam z dziadkiem Tao Chi'enem, trzymana za

rękę. W którymś momencie zmęczenie wzięło górę, ułożyłam się na progu jakiegoś starego domostwa i usnęłam. Obudziło mnie potrząsanie i chrząkanie jakiejś starej kobiety z cienkimi brwiami narysowanymi węglem pośrodku czoła, co nadawało jej wygląd maski. Krzyknęłam z przerażenia, ale na to, żeby się wyrwać było już za późno, gdyż trzymała mnie obiema rękami. Wierzgającą nogami w powietrzu zanosła mnie do jakiejś zaplutej nory i tam zamknęła. W pomieszczeniu okropnie śmierdziało, a ze strachu i głodu musiało mi się zrobić niedobrze, gdyż zaczęłam wymiotować. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Ledwo doszłam do siebie, z całych sił zaczęłam wzywać mojego dziadka, a wtedy kobieta wróciła i wymierzyła mi dwa policzki, które odebrały mi dech; nigdy nie byłam bita i sądzę, że bardziej mnie to zaskoczyło, niż zabołało. Mówiła po kantońsku. Kazała mi się zamknąć, bo inaczej spuści mi lanie bambusową witką, po czym rozebrała mnie do naga, obejrzała dokładnie, zwracając szczególną uwagę na usta, uszy i pupę, ubrała mnie w czystą koszulę i zabrała moje poplamione ubranie. Znowu zostałam sama w izdebce, która - w miarę jak w jedynym otworze wentylacyjnym, jaki się tam znajdował, ubywało światła - powoli pogrążała się w półmroku.

Myślę, że ta przygoda zostawiła we mnie jakiś ślad na całe życie. Od tamtej chwili upłynęło dwadzieścia pięć lat, a ja nadal drżę, ilekroć wspomnę owe niekończące się godziny. W tamtych czasach na ulicach Chinatown nie widywano samotnych dziewczynek, rodziny strzegły ich pilnie, gdyż wystarczyło na chwilę spuścić je z oka, aby przepadły w czeluściach dziecięcej prostytucji. Byłam za mała, żeby wiedzieć, iż dziewczynki w moim wieku bardzo często były porywane albo kupowane i od dzieciństwa poddawane wszelkiego rodzaju deprawacji.

Po kilku godzinach, kiedy było już całkiem ciemno, kobieta wróciła w towarzystwie młodszego od siebie mężczyzny. Przyjrzeni mi się w świetle lampy i zaczęli zażarcie dyskutować w swoim języku, który znałam, ale niewiele rozumiałam, gdyż byłam wyczerpana i umierałam ze strachu. Wydawało mi się, że słyszę, jak wielokrotnie wypowiadają imię mego dziadka Tao Chi'ena. Poszli i znowu zostałam sama, drżąc z zimna i przerażenia, nie wiem, na jak długo. Kiedy drzwi znowu się otworzyły, oślepiło mnie światło lampy, usłyszałam moje chińskie imię Lai-Ming i nieomylnie rozpoznałam głos wujka Lucky'ego. Wziął mnie na ręce i do tej pory nie wiem, co było dalej, gdyż poczułam taką ulgę, że byłam jak oszołomiona. Nie pamiętam drogi powozem ani chwili, kiedy znowu stanęłam przed babcią Pauliną w pałacu na Nob Hill. Nie pamiętam również, co się działo przez następne tygodnie; moje wspomnienia z tego okresu są niejasne i pełne sprzeczności.

Teraz, kiedy wiązę luźne wątki mojej przeszłości, bez cienia wątpliwości mogę zapewnić, że uratowało mnie tchnienie szczęścia wujka Lucky'ego. Kobieta, która mnie porwała, zwróciła się do przedstawiciela swojego bractwa, gdyż bez wiedzy i zgody *tong* nic w Chinatown nie mogło się wydarzyć. Cała społeczność podzielona była między te zamknięte i pilnie strzeżone organizacje, które od swoich członków wymagały lojalności i pobierały prowizję w zamian za ochronę, kontakty umożliwiające zdobycie pracy i obietnicę odwiezienia ich ciał do Chin, w przypadku gdyby umarli na ziemi amerykańskiej. Człowiek, do którego udała się kobieta, nieraz widywał mnie prowadzoną za rękę przez dziadka i szczęśliwym zbiegiem okoliczności należał do tego samego bractwa co Tao Chi'en i wezwał mojego wujka. W pierwszym odruchu Lucky chciał zabrać mnie do siebie, aby zajęła się mną jego żona, zamówiona z katalogu i świeżo sprowadzona z Chin, jednak po chwili uświadomił

sobie, że musi uszanować wolę rodziców. Zarówno babcia Eliza jak i Tao Chi'en zawsze uważali, że chińska dzielnica San Francisco jest dla mnie za ciasna, chcieli, abym czuła się Amerykanką. Mimo iż Lucky Chi'en nie podzielał tej opinii, nie mógł sprzeciwić się woli rodziców, dlatego zapłacił moim porwaczom uzgodnioną sumę i odwiózł mnie z powrotem do domu Pauliny del Valle. Wujka Lucky'ego zobaczyłam dopiero po dwudziestu latach, kiedy odnalazłam go, by uzupełnić ostatnie brakujące ogniwa mojej historii.

Dumna rodzina moich dziadków ze strony ojca przeżyła w San Francisco trzydzieści sześć lat, nie pozostawiając po sobie zbyt wielu śladów. Próbowalam je odszukać. W pałacu na Nob Hill jest dzisiaj hotel i nikt nie pamięta, kim byli jego pierwsi właściciele. Przeglądając w bibliotece stare czasopisma, w rubryce towarzyskiej znalazłam liczne wzmianki o mojej rodzinie, a także historię pomnika Republiki i nazwisko mojej matki. Jest także krótka informacja o śmierci dziadka Tao Chi'ena, bardzo pochlebne wspomnienie pióra niejakiego Jacoba Freemonta oraz nekrolog zamieszczony przez Towarzystwo Medyczne, zawierający podziękowania za wkład, jaki *zhong yi* Tao Chi'en wniósł do medycyny Zachodu. To rzadkość, gdyż ludność chińska była wówczas prawie niedostrzegana. Chińczycy rodzili się, żyli i umierali na marginesie amerykańskiej historii, jednak sława Tao Chi'ena przekroczyła granice Chinatown i Kalifornii i dotarła aż do Anglii, gdzie dziadek wygłosił wiele odczytów o akupunkturze. Bez tych śladów na piśmie większość bohaterów tej historii zginęłaby, zmieciona wichrem słabej pamięci.

Moja ucieczka z pałacu i wyprawa do Chinatown na poszukiwanie dziadków ze strony matki była jeszcze jednym z ważnych powodów, które zdecydowały o tym, że Paulina del Valle podjęła decyzję powrotu do Chile. Zrozumiała, że żadne wystawne przyjęcie ani inne podobne marnotrawstwo nie zdoła przywrócić jej takiej pozycji społecznej, jaką miała za życia męża. Starzała się w samotności, z dala od swych synów, krewnych, języka i ojczyzny. Pieniądze, które jej jeszcze zostały, nie wystarczały na utrzymanie takiego poziomu życia, jakie przyzwyczała się wieść w swojej czterdziestopięciopokojowej rezydencji, jednak w Chile, gdzie wszystko było znacznie tańsze, stanowiły ogromną fortunę. Ponadto spadła jej na głowę nieznana wnuczka, którą bezwzględnie musiała wyrwać z korzeniami z jej chińskiej przeszłości i uczynić z niej chilijską panienkę z dobrego domu. W obawie przed moją kolejną ucieczką Paulina zatrudniła angielską nianię, żeby pilnowała mnie we dnie i w nocy. Odwołała swoje podróże do Egiptu i noworoczne bankiety, ale przyspieszyła szycie nowej garderoby, po czym przystąpiła do metodycznego dzielenia swych pieniędzy między Stany Zjednoczone i Anglię, do Chile wysyłając jedynie to, co było niezbędne, żeby się tam urządzić, ponieważ sytuacja polityczna kraju wydawała się jej niestabilna. Pragnąc pogodzić się ze swym bratankiem Severem del Valle, napisała do niego długi list, w którym opowiedziała mu, co stało się z Tao Chi'enem oraz o tym, że Eliza Sommers postanowiła przekazać jej wnuczkę, szczegółowo informując o korzyściach płynących z faktu, że mała pozostaje pod jej opieką. Severo del Valle przyjął jej argumentację i przystał na propozycję, ponieważ miał już dwoje dzieci, a jego żona oczekiwała trzeciego, jednak odmówił całkowitego przekazania jej władzy rodzicielskiej, co zamierzała uzyskać.

Adwokaci Pauliny pomogli jej uregulować zobowiązania finansowe i sprzedać posiadłość, podczas gdy majordomus Williams wziął na siebie sprawy praktyczne, związane

ze zorganizowaniem przejazdu rodziny na południe świata i zapakowaniem wszelkiego dobytku swej pani, która niczego nie chciała sprzedać, żeby jakieś złe języki nie powiedziały przypadkiem, że robi to, bo musi. Zostało postanowione, że Paulina wsiądzie na statek ze mną, angielską nianią i resztą zaufanej służby, gdy tymczasem Williams nada bagaż do Chile, a potem po otrzymaniu sutej gratyfikacji w funtach szterlingach - będzie już wolny. Miało to być jego ostatnie zadanie w służbie u swej pani. Na tydzień przed jej wyjazdem majordomus poprosił ją o chwilę rozmowy na osobności.

- Przepraszam, senora, czy mogę zapytać, czym zasłużyłem sobie na jej niełaskę?

- O czym pan mówi, Williams! Wie pan, jak go cenię i jaka jestem panu wdzięczna za usługi.

- Jednak nie chce mnie pani zabrać do Chile ...

- Człowieku, na Boga! Nawet mi to do głowy nie przyszło. Co brytyjski majordomus miałby do roboty w Chile? Nikt z moich znajomych nie trzyma majordomusa. I pan, i ja zrobilibyśmy z siebie pośmiewisko. Widział pan mapę? Ten kraj jest bardzo daleko i nikt tam nie mówi po angielsku, nie miałby pan łatwego życia. Nie mam prawa prosić pana o takie poświęcenie, Williams.

- Jeśli wolno mi to powiedzieć, rozstanie z panią byłoby dla mnie jeszcze większym poświęceniem.

Paulina del Valle patrzyła na swego służącego oczami wybałuszonymi ze zdziwienia. Pierwszy raz zdała sobie sprawę, że Williams jest kimś więcej niż tylko automatem w czarnej liberii i białych rękawiczkach. Zobaczyła mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu lat, o szerokich barach i przyjemnym wyrazie twarzy, bujnych włosach barwy pieprzu i przenikliwym spojrzeniu; miał niezgrabne ręce i zęby pożółkłe od nikotyny, chociaż nigdy nie widziała, żeby palił czy żuł tytoń. Ucichli na chwilę, która zdawała się nie mieć końca, ona się mu przyglądała, a on wytrzymał jej spojrzenie, nie okazując zniecierpliwienia czy zmieszania.

- Senora, nie mogłem nie dostrzec trudności, jakie spowodowało na panią wdowieństwo - odezwał się w końcu Williams, wyrażając się nie wprost, tak jak to zawsze czynił.

- Czy pan sobie drwi? – uśmiechnęła się Paulina.

- Jestem od tego jak najdalszy, senora.

- Aha - odchrząknęła, chcąc przerwać długą ciszę, jaka zapadła po ostatniej odpowiedzi majordomusa.

- Zapewne chce pani wiedzieć, do czego zmierzam - ciągnął.

- Powiedzmy, że udało się panu mnie zaintrygować, Williams.

- Przyszło mi do głowy, że skoro nie mogę jechać do Chile jako pani majordomus, może nie byłby to znowu taki do końca zły pomysł, gdybym to zrobił jako pani mąż.

Paulinie del Valle wydało się, że podłoga się zarwała, a ona sama z krzesłem i całą resztą zapada się pod ziemię. Pierwszą jej myślą było, że temu mężczyźnie musiała się odkręcić w mózgu jakaś śrubka, inaczej nie dało się tego wyjaśnić, jednak w obliczu pełnej godności i spokoju postawy majordomusa przełknęła obelgi, jakie miała już na końcu języka .

- Pozwoli mi pani wyjaśnić sobie mój punkt widzenia, senora - dodał Williams. - Nie pretenduję do występowania w roli pani męża w uczuciowym znaczeniu tego słowa. Nie aspiruję również do pani majątku, który byłby całkowicie bezpieczny; w tym celu podjęłaby pani odpowiednie kroki prawne. Moja rola przy pani byłaby praktycznie taka sama jak dotąd:

pomagałbym pani we wszystkim co możliwe, z zachowaniem maksymalnej dyskrecji. Przypuszczam, że w Chile, podobnie jak gdziekolwiek indziej na świecie, samotna kobieta napotyka wiele trudności. Byłoby dla mnie zaszczytem móc się dla pani z nimi zmierzyć.

- A co pan zyskuje na takim dziwnym układzie? - zapytała Paulina, nie mogąc ukryć kaśliwego tonu.

- Z jednej strony zyskałbym szacunek. Z drugiej - przyznaję, że myśl, iż miałbym pani więcej nie zobaczyć, dręczy mnie od chwili, gdy zaczęła pani mówić o wyjeździe. Spędziłem przy pani połowę życia, przyzwyczailem się.

Paulina zaniemówiła na kolejną chwilę, która zdawała się wiecznością, rozważając jednocześnie dziwną propozycję swego służącego. Sądząc po tym, jak została przedstawiona, stanowiła dobry interes, korzystny dla obu stron: on mógłby cieszyć się wysokim poziomem życia, jakiego nie zaznałby nigdzie indziej, ona zaś kroczyłaby pod rękę z kimś, kto - jakby się mu dobrze przyjrzeć - wyglądał całkiem dystyngowanie. Rzeczywiście przypominał angielskiego szlachcica. Wystarczyło, że wyobraziła sobie wyraz twarzy swoich chilijskich krewnych oraz zazdrość sióstr, by wybuchnąć śmiechem.

- Ma pan przynajmniej dziesięć lat i trzydzieści kilo mniej ode mnie; nie obawia się pan narazić na śmieszność? - zapytała, podrygując z rozbawienia.

- Ja nie. A pani nie boi się, że ją zobaczą w towarzystwie człowieka niskiego stanu?

- Ja niczego się w tym życiu nie boję i uwielbiam wywoływać skandale wśród bliźnich. Jak panu na imię, Williams?

- Frederick.

- Frederick Williams... Dobrze brzmi, jak najbardziej arystokratycznie.

- Żałuję, jednak muszę panią uprzedzić, że jest to jedyna arystokratyczna rzecz, jaką posiadam, senora - uśmiechnął się Williams.

W ten oto sposób w tydzień później moja babcia Paulina del Valle, jej świeżo poślubiony małżonek, fryzjer, niańka, dwie pokojówki, lokaj, służący i ja z ładunkiem kufrów wyruszyliśmy pociągiem do Nowego Jorku, skąd przesiedliśmy się na brytyjski statek płynący do Europy. Zabraliśmy również Karmelka, będącego na tym etapie rozwoju, w którym psy kopulują ze wszystkim co popadnie; w jego przypadku była to babcina peleryna z lisów. Cały jej dół obsyty był lisimi ogonami zwisającymi niby frędzle, które Karmelek zniechęcony biernością, z jaką odbierały jego miłosne zapędy, rozszarpał zębami. Rozwścieczona Paulina del Valle była o krok od wyrzucenia za burtę i psa, i peleryny, jednak w obliczu sceny, jaką jej urządziłam, wrzeszcząc i tupiąc nogami, i psu, i lisom udało się ocalić skórę. Babcia zajmowała trzypokojowy apartament, Frederick Williams zaś podobny, tej samej wielkości, po drugiej stronie korytarza. Dni upływały Paulinie na ciągłym objadaniu się, przebieraniu na każdą okazję w nową suknię, w przerwach między tymi czynnościami uczyła mnie arytmetyki, abym w przyszłości mogła się zająć prowadzeniem jej ksiąg rachunkowych, i opowiadała mi historię rodziny, żebym wiedziała, skąd pochodzę, nie zdradziła jednak tożsamości mego ojca, tak jakbym w klanie del Valle pojawiła się samoistnie i spontanicznie. Kiedy pytałam o moją matkę czy ojca, odpowiadała mi, że umarli i że to nie ma znaczenia, bo posiadanie takiej babci jak ona zupełnie wystarczy, a nawet jest aż nadto. Tymczasem Frederick Williams grał w brydża i czytał angielskie gazety, podobnie jak pozostali dżentelmeni podróżujący pierwszą klasą. Zapuścił baczki i sumiaste wąsy, które na koniuszkach nacierał pomadą i które nadawały mu wygląd ważnej osobistości, palił fajkę i

kubańskie cygara. Wyznał mojej babci, że był zagorzałym palaczem i że w czasach, gdy pracował jako majordomus, najtrudniej mu było powstrzymać się od palenia przy ludziach; teraz nareszcie mógł delektować się swoim tytoniem i wyrzucić do śmieci nabywane hurtem miętowe pastylki, które zdążyły mu już podziurawić żołądek. W owych czasach, kiedy mężczyźni z pozycją obnosili swoje brzuchy i podwójne podbródki, dość szczupła i barczysta sylwetka Williama w dobrym towarzystwie należała do rzadkości, za to jego nienaganne manieri okazywały się znacznie bardziej przekonujące od manier mojej babci. Wieczorami, przed zejściem do sali balowej, oboje przychodzili do kajuty, którą dzieliłam z nianią, powiedzieć nam dobranoc. Razem stanowili ciekawą parę: ona - uczesana i umalowana przez swego własnego fryzjera, ubrana galowo i obwieszona klejnotami niczym opasły bożek, i on - w roli dystygowanego księcia małżonka. Czasami zakradałam się do sali balowej, żeby ich szpiegować, a tam nieuchronnie popadałam w zdumienie: Frederick Williams prowadził Paulinę del Valle po parkiecie pewną ręką kogoś nawykłego do przenoszenia ciężkich pakunków.

Do Chile dotarliśmy w rok później, kiedy nadszarpnięta fortuna mojej babci znowu się powiększyła - a to dzięki spekulacji cukrem, prowadzonej przez nią w czasach wojny o Pacyfik. Teoria Pauliny okazała się słuszna: w złych czasach ludzie jedzą więcej słodczy. Nasze przybycie zbiegło się z występami niezrównanej Sary Bernhardt, która w miejscowym teatrze zaprezentowała się w swojej życiowej roli w spektaklu *Dama kameliowa*. Sławnej aktorce nie udało się wzruszyć widowni, tak jak to miało miejsce w innych częściach świata, ponieważ świętoszkowate towarzystwo chilijskie nie poczuło do owej chorej na gruźlicę kurtyzany żadnej sympatii; wszystkim wydało się zupełnie normalne, że w obawie przed tym, "co ludzie powiedzą", poświęci się dla kochanka, i nie widzieli powodu, dla którego oni mieliby przeżywać ten dramat na widowni, a kamelie więdnąć. Sławna aktorka wyjechała w przekonaniu, że odwiedziła kraj ciężkich idiotów, którą to opinię Paulina del Valle podzielała w całej rozciągłości. Babcia z całym swym orszakiem odwiedziła wiele miast Europy, nie spełniła jednak swego marzenia o podróży do Egiptu, gdyż uznała, że nie znajdzie się tam żaden wielbłąd, który uniósłby jej ciężar, i w słońcu gorącym jak wrząca lawa musiałaby zwiedzać piramidy na piechotę.

W roku 1886 miałam sześć lat, mówiłam mieszaniną chińskiego, angielskiego i hiszpańskiego, ale znałam cztery podstawowe działania arytmetyczne i z niewiarygodną biegłością potrafiłam wymienić franki francuskie na funty szterlingi, te zaś na marki niemieckie albo włoskie liry. Przestałam płakać co chwila za dziadkiem Tao i babcią Elizą, jednak w dalszym ciągu regularnie nawiedzały mnie te same tajemnicze koszmary. W mojej pamięci była czarna dziura, coś stale obecnego i niebezpiecznego, czego nie umiałam określić, coś nieznanego, co napawało mnie przerażeniem, zwłaszcza kiedy otaczały mnie ciemności albo tłumy. Nie znosiłam wokół siebie ludzi, zaczynałam wtedy krzyczeć jak opętana i żeby mnie uspokoić, babcia Paulina musiała brać mnie w swoje niedźwiedzie objęcia. Przyzwyczyłam się, że ilekroć budziłam się przestraszona, szukałam schronienia u niej w łóżku. W ten sposób zrodziła się między nami dwiema zażyłość; to ona - jestem tego pewna - ocaliła mnie przed obłędem i lękami, w które inaczej nieuchronnie bym popadła. Zajmując się mną, Paulina del Valle zmieniła się w sposób niedostrzegalny dla wszystkich z wyjątkiem Fredericka Wil-

liamsa. Stała się bardziej tolerancyjna i czuła, a nawet nieco schudła, bo stale za mną biegła i była tak zajęta, że zapominała o słodyczach. Myślę, że mnie uwielbiała. Mówię to bez fałszywej skromności, ponieważ w owym czasie dała mi tego rozliczne dowody; nie ograniczając w niczym mojej swobody, pozwoliła mi dorosnąć, podsycając jednocześnie moją ciekawość i pokazując świat. Nie pozwalała mi na zbyt ni sentymentalizm czy narzekania, stwierdzenie: "Nie ma co patrzeć wstecz" stanowiło jedną z jej ulubionych maksym. Stroiła sobie ze mnie żarty, nieraz dosyć bolesne, aż nauczyłam się jej odpłacać pięknym za nadobne, co nadało specyficzny charakter naszym stosunkom. Pewnego razu znalazłam na patio rozjechaną kołem od powozu jaszczurkę, która przeleżała na patio kilka dni i była już wyschnięta, znieruchomiła na zawsze w formie wybebeszonego gada. Podniosłam ją i schowałam nie wiadomo po co, aż w końcu wpadłam na pomysł, do czego może się najlepiej przydać. Siedziałam przy biurku i odrabiałam zadania z matematyki, kiedy moja babcia zajrzała do pokoju. Udałam, że nagle dostałam napadu kaszlu, a wtedy ona podeszła, żeby klepnąć mnie w plecy. Z twarzą ukrytą w dłoniach zgłębiałam się w pół i ku przerażeniu tej biednej kobiety wyplułam jaszczurkę, która spadła mi na spódnicę. Na widok stworzenia, które rzekomo wyrzuciły moje płuca, babcia tak się przestraszyła, że aż przysiadła z wrażenia, jednak po chwili śmiała się tak samo jak ja, a wyschniętego gada schowała na pamiątkę między kartkami książki. Trudno zrozumieć, dlaczego ta silna kobieta bała się powiedzieć mi prawdę o mojej przeszłości. Dochodzę do wniosku, że wbrew przyjmowanej postawie, będącej wyzwaniem dla wszelkich konwenansów, nigdy nie uwolniła się od przesądów właściwych swojej klasie. Pragnąc uchronić mnie przed odrzuceniem, starannie ukryła fakt, iż jedna czwarta krwi płynącej w moich żyłach jest chińska i że rodzina mojej matki nie należała do zamożnych, a ja sama w rzeczywistości jestem bękartem. Jest to jedyne, co mam do zarzucenia tej wspaniałej osobie, jaką była moja babcia.

W Europie poznałam Matiasa Rodrigueza de Santa Cruz y del Valle. Paulina nie dotrzymała umowy, jaką zawarła z moją babcią Elizą Sommers, i zamiast powiedzieć mi prawdę i przedstawić go jako mego ojca, powiedziała, że to kolejny wujek, jeden z wielu, jakich ma każde chilijskie dziecko, jako że każdy krewny czy przyjaciel rodziny, będący w wieku odpowiednim do godnego noszenia owego tytułu, automatycznie staje się wujkiem lub ciocią, dlatego też do zacnego Williama zawsze mówiłam "wujku Fredericku". O tym, że Matias jest moim ojcem, dowiedziałam się wiele lat później, kiedy wrócił do Chile, żeby umrzeć, i sam mi to powiedział. Mężczyzna ten nie wywarł na mnie jakiegoś większego wrażenia, które warto by zapamiętać; był szczupły, blady i przystojny, na siedząco wyglądał młodo, ale znacznie starszej, kiedy próbował wykonać jakiś ruch. Chodził o lasce i stale miał przy sobie służącego, który otwierał mu drzwi, zakładał płaszcz, zapalał papierosa, podawał szklankę wody stojącą obok na stole, gdyż wyciągnięcie ręki byłoby dla niego zbyt wielkim wysiłkiem. Babcia Paulina wyjaśniła mi, że wujek cierpi na artretyzm, bardzo bolesną przypadłość, która sprawia, że jest kruchy jak szyba, dlatego zawsze powinnam zbliżać się do niego bardzo ostrożnie. W kilka lat później babcia miała umrzeć, nie wiedząc, że jej najstarszy syn cierpiał nie na artretyzm, lecz na syfilis.

Osłupienie rodziny del Valle wywołane przyjazdem babci do Santiago nie miało sobie równych. Podróż z Buenos Aires do Chile odbyliśmy drogą lądową; było to istne safari, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę objętość bagażu wiezionego z Europy oraz jednaście waliz

z zakupami, jakie poczyniono w Buenos Aires. Jechaliśmy powozem, za którym ciągnęła się karawana mulic z ładunkiem, w towarzystwie uzbrojonych strażników pod rozkazami wujka Fredericka, gdyż po obu stronach granicy grasowały bandy rozbójników; nas jednak, niestety, nie napadli, i dotarliśmy do Chile, nie mając nic ciekawego do opowiedzenia o naszej przeprawie przez Andy. Po drodze straciliśmy nianię, która zakochała się w jakimś Argentyńczyku i wołała zostać, oraz służącą, którą powalił tyfus, ale wujek Frederick na każdym etapie naszej pielgrzymki potrafił znaleźć i wynająć kogoś do pomocy. Paulina postanowiła osiedlić się w Santiago, w stolicy, gdyż przeżywszy tyle lat w Stanach Zjednoczonych, doszła do wniosku, że niewielki port Valparaiso, gdzie się urodziła, będzie dla niej za mały. Ponadto przyzwyczała się do życia z dala od swego klanu i sama myślała, że mogłaby codziennie widywać krewnych - który to zwyczaj cierpliwie znosi każda chilijska rodzina - wydawała jej się straszna. Jednakże nawet w Santiago nie udało się jej całkowicie od nich uwolnić, gdyż miała wiele siostr, których mężowie należeli do "dobrego towarzystwa", jak mawiali o sobie członkowie klasy wyższej, zakładając, jak sądzę, że cała reszta ludzkości zalicza się do towarzystwa gorszej kategorii. Ledwo zdążyliśmy przyjechać, jej bratanek Severo del Valle wraz z żoną, którzy również mieszkali w stolicy, przyszli się z nami przywitać. To pierwsze spotkanie z nimi pamiętam znacznie lepiej niż tamto z moim ojcem w Europie, ponieważ potraktowali mnie tak wylewnie i z taką przesadną czułością, że się przestraszyłam. Najbardziej uderzające u Severa było to, że pomimo swego kalectwa i laski wyglądał jak księżę z ilustracji bajek dla dzieci - rzadko zdarzało mi się spotkać przystojniejszego mężczyznę - u Nivei zaś uwagę przykuwał jej ogromny wydęty brzuch. W tamtych czasach prokreacja uważana była za coś nieprzyzwoitego, a ciężarne kobiety należące do burżuazji zamykały się w domach, ona jednak nie próbowała ukrywać swego stanu, obnosiła się z nim obojętna na konsternację, jaką wywołuje. Ludzie na ulicy starali się na nią nie patrzeć, jakby była zdeformowana albo naga. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam, a kiedy zapytałam, co się stało tej pani, babcia Paulina wyjaśniła mi, że biedaczka połknęła melon. W przeciwieństwie do swego przystojnego małżonka Nivea wyglądała jak mysz, jednak wystarczyło kilka minut z nią porozmawiać, aby ulec jej urokowi i zniewalającej energii.

Santiago było pięknym miastem, położonym w żyznej dolinie otoczonej wysokimi górami, ciemnofioletowymi latem i pokrytymi śniegiem zimą; miastem spokojnym i sennym, nad którym unosiła się mieszanka zapachu kwitnących ogrodów i końskich sików. Pełne wiekowych drzew, placów, mauretańskich fontann, bram i uliczek, eleganckich kobiet i wytwornych sklepów, w których sprzedawano wszystko co najlepsze, a co sprowadzono z Europy i ze Wschodu, z mnóstwem alei i miejsc spacerowych, gdzie bogacze pysznili się swymi pojazdami i wspaniałymi końmi - miało w sobie coś, co przypominało Francję. Po ulicach krążyli sprzedawcy, zachwalając skromny towar, który nosili w koszach, biegały sfory bezpańskich psów, a na dachach wiły gniazda gołębie i wróble. Dzwony kościelne wybijały godziny jedną po drugiej, z pominięciem pory sjeisty, kiedy ulice pustoszały, a ludzie odpoczywali. Było to wielkopańskie miasto, zupełnie inne niż San Francisco, noszące na sobie nieomylnie znamię miasta przygranicznego, o wielobarwnym tłumie i kosmopolitycznej atmosferze. Paulina del Valle nabyła dom przy najbardziej arystokratycznej ulicy Ejercito Libertador, w pobliżu Alameda de las Delicias, którą każdej wiosny w otoczeniu gwardii honorowej przejeżdżał istic napoleoński powóz zaprzężony w konie w pióropuszech, wioząc

prezydenta republiki na paradę wojskową organizowaną na Parque de Marte z okazji święta narodowego. Pod względem wystawności dom nie umywał się do pałacu w San Francisco, ale w Santiago drażnił przepychem. Jednakże to nie olśniewające bogactwo ani brak taktu Pauliny del Valle wprawiły niewielkie stołeczne towarzystwo w niebotyczne zdumienie, ale jej małżonek z rodowodem, którego - jak powiadano - "sobie kupiła", oraz plotki krążące wokół jej ogromnego pozłacanego łoża z mitologicznymi ozdobami o morskiej tematyce, na którym ta para staruszków popełniała Bóg raczy wiedzieć jakie grzechy. Williamsowi przypisywano szlacheckie tytuły i złe intencje. Jaki powód mógłby mieć brytyjski lord, tak elegancki i przystojny, żeby ożenić się z kobietą znaną ze swego złego charakteru, i to w dodatku sporo starszą od siebie? Musiał być jakimś zrujnowanym księciem, łowcą fortuny pragnącym pozbawić ją majątku, a następnie porzucić. W gruncie rzeczy wszyscy pragnęli, aby tak się właśnie stało i żeby moja arogancka babcia dostała nauczkę i przestała zadzierać nosa, jednak nikt - wierny chilijskiej tradycji gościnności wobec cudzoziemców - nie zrobił jej mężowi najmniejszego afrontu. Ponadto Frederick Williams zyskał sobie powszechny szacunek dzięki swym doskonałym manierom, prostocie, z jaką podchodził do życia, oraz monarchistycznym poglądom; uważał, że wszelkie zło toczące społeczeństwo bierze się z braku dyscypliny i szacunku dla hierarchii. Dewiza człowieka, który przez tyle lat był służącym, brzmiała: "Niechaj każdy będzie na swoim miejscu i niechaj będzie miejsce dla każdego". Wszedłszy w rolę męża mojej babci i oligarchy, pełnił ją z taką samą naturalnością, z jaką kiedyś pracował jako służący; przedtem nigdy nie próbował mieszać się z tymi na górze, teraz zaś nawet nie musnął tych na dole, podział klasowy uważał za niezbędny do uniknięcia chaosu i pospolitości. W owej rodzinie targanych namiętnościami barbarzyńców, jaką stanowił klan del Valle, swoją przesadną grzecnością i niezmaconym spokojem - co zostało mu z czasów, które przeżył jako majordomus - Williams budził zdumienie i podziw. Po hiszpańsku potrafił powiedzieć cztery słowa na krzyż i jego wymuszone milczenie brano za mądrość, dumę i tajemniczość. Jedyńm, który mógłby zdemaskować rzekomego brytyjskiego szlachcica, był Severo del Valle, jednak nigdy tego nie zrobił, ponieważ cenił dawnego służącego i podziwiał ciotkę, która kpiła z całego świata, kłując wszystkich w oczy swym wytwornym małżonkiem.

Dla złagodzenia zazdrości i złořeceń, jakie wywoływała jej fortuna, babcia Paulina rzuciła się w wir działalności charytatywnej. Umiała to robić, ponieważ przez pierwsze lata życia wychowywała się w owym kraju, gdzie pomoc ubogim jest obowiązkowym zadaniem kobiet z wyższych sfer. Im bardziej poświęcają się dla biednych, odwiedzając szpitale, przytułki, sierocińce i dzielnice nędzy, tym większym powszechnym szacunkiem są otaczane, dlatego o rozdawanych przez siebie jałmużnach trąbią na cztery strony świata. Ignorowanie tego obowiązku, ściągą na winowajcę tyle krzywych spojrzeń i księzowskich napomnień, że nawet Paulina del Valle nie potrafiłaby uniknąć poczucia winy i strachu przed wiecznym potępieniem. Wciągnęła mnie do tych litościwych zajęć, jednak wyznam, że zawsze czułam się zażenowana, przyjeżdżając do jakiejś ubogiej dzielnicy naszym luksusowym powozem wypełnionym prowiantem, z dwoma lokajami, którzy rozdawali podarunki nędznie ubranym ludziom, ci zaś dziękowali nam z pokorą i uniżeniem, lecz zarazem z błyskiem gorącej nienawiści w oczach.

Babcia musiała zadbać o moją edukację sama, w domu, ponieważ uciekałam ze wszystkich zakładów prowadzonych przez zakonnice, do których mnie zapisała. Rodzinie del Valle udało się ją przekonać, że internat jest jedynym sposobem na zrobienie ze mnie normalnego dziecka, bo dla pokonania mojej chorobliwej nieśmiałości potrzebuję towarzystwa rówieśników, a do okiełznania - silnej ręki zakonnice. "Za bardzo rozpieściłaś tę małą, Paulino, robisz z niej potwora" - mówiono i w końcu babcia uświadomiła sobie to, co było przecież oczywiste: spałam z Karmelkiem w łóżku, jadłam i czytałam, na co miałam ochotę, całymi dniami wymyślałam sobie różne zabawy, nie czując nad sobą żadnej dyscypliny, gdyż nikt z mojego otoczenia nie zatroszczył się o to, żeby mi ją narzucić, innymi słowy - rozkoszowałam się całkiem szczęśliwym dzieciństwem.

Nie znosiłam internatów, prowadzonych przez wąsate zakonnice, ani tłumu uczennic, który przypominał mi mój koszmarny sen o dzieciach w czarnych piżamach; nie wytrzymywałam również reguł, monotonii rozkładu dnia i chłodu panującego w owych klasztorach wzniesionych w czasach Kolonii. Nie wiem, ile razy powtarzał się ten sam schemat: Paulina del Valle ubierała mnie od stóp do głów na biało, groźnym tonem wydawała mi polecenia, praktycznie ciągnęła siłą i zostawiała wraz z kuframi w rękach jakiejś krzepkiej nowicjuszki, po czym, ścigana wyrzutami sumienia, uciekała tak szybko, na ile pozwalała jej tusza. W owych pensjach dla dziewczynek z zamożnych rodzin królowały posłuszeństwo i brzydota, a ostatecznym celem było nauczenie nas czegokolwiek, żebyśmy nie były zupełnymi ignorantkami, gdyż blichtr kultury miał na rynku matrymonialnym swoją wartość, jednakże owo wykształcenie miało być na tyle powierzchowne, abyśmy nie zadawały zbyt wielu pytań. Chodziło o złamanie woli jednostki i złożenie jej na ołtarzu wspólnego dobra, uczynienie z nas dobrych katoliczek, pełnych poświęcenia matek i posłusznych żon. Zakonnice zaczynały od przejęcia władzy nad naszymi ciałami, będącymi źródłem próżności i innych grzechów; nie pozwalały nam śmiać się, biegać, przebywać na świeżym powietrzu. Kapałyśmy się raz w miesiącu, ubrane w długie koszule, aby nie wystawiać naszych grzesznych ciał przed oczy wszechobecnego Boga. Siostry wychodziły z założenia, że "najlepiej zapamiętane, co na skórze zapisane", w związku z czym nie skąpiły nam kar cielesnych. Nauczyły nas bać się Boga, diabła, wszystkich dorosłych, linijki, którą były nas po palcach, kamyków, na których musiałyśmy klęczeć za karę, naszych własnych myśli i pragnień oraz samego strachu. Nie chcąc dopuścić do tego, abyśmy miały o sobie zbyt dobre mniemanie, nigdy nie powiedziały nam słowa pochwały, za to nie szczędziły kar i nagan, co miało hartować nasze charaktery. Moje koleżanki, umundurowane, z warkoczami zaplecionymi tak ciasno, że czasami krwawiła im skóra na głowie, i wiecznie odmrożonymi rękoma, za grubymi murami walczyły o przetrwanie. Kontrast z ich rodzinnymi domami, gdzie podczas wakacji były rozpieszczane jak księżniczki, wystarczyłby, aby doprowadzić do oblędu najtrzeźwiej myślącą. Nie mogłam się z tym pogodzić. Któregoś dnia udało mi się namówić do pomocy ogrodnika, przeskoczyłam przez parkan i uciekałam. Nie wiem, jak dotarłam sama na ulicę Ejercito Libertador, gdzie Karmelek przywitał mnie oszalały z radości, za to Paulina del Valle, widząc mnie utyłaną i z podpuchniętymi oczami, omal nie dostała zawału. Spędziłam w domu kilka miesięcy, dopóki naciski z zewnątrz nie zmusiły babci do powtórzenia eksperymentu. Tym razem na całą noc schowałam się w krzakach na patio, zamierzając umrzeć z zimna i głodu. Wyobrażałam sobie twarze zakonnice i mojej rodziny w chwili, gdy znajdą moje zwłoki, i płakałam z żalu nad sobą, biedną męczennicą,

zmarłą w tak młodym wieku. Następnego dnia szkoła powiadomiła o moim zniknięciu Paulinę del Valle, która nadciągnęła niczym trąba powietrzna, żądając wyjaśnień. Podczas gdy nowicjuszka cała w pasach prowadziła babcię i Fredericka Williama do biura matki przełożonej, ja prześliznęłam się między zaroślami, w których się ukrywałam, do czekającego na nich na patio powozu, wsiadłam niezauważona przez stangreta i przycupnęłam pod siedzeniem. Frederick Williams, stangret i matka przełożona wspólnymi siłami wsadzili babcię do powozu, ta zaś wrzeszczała, że jeśli się szybko nie znajdę, to już ona im pokaże, kim jest Paulina del Valle! Zanim dotarliśmy do domu, wyłoniłam się z mojego ukrycia, a wtedy babcia zapomniała o swoich łzach, złapała mnie za kark i spuściła mi lanie, które trwało tak długo, że zdążyliśmy przejechać kilka przecznic, aż w końcu wujkowi Frederickowi udało się ją uspokoić. Jednakże przestrzeganie dyscypliny nie należało do mocnych stron tej dobrej kobiety; dowiedziawszy się, że od poprzedniego dnia nic nie miałam w ustach, a noc spędziłam pod gołym niebem, okryła mnie pocałunkami i zabrała na lody. W trzeciej instytucji, do której chciała mnie zapisać, z miejsca mnie odrzucono, ponieważ na spotkaniu z dyrektorką zapewniłam ją, że widziałam diabła i wiem, że ma zielone kopyta. W końcu babcia dała za wygraną. Severo del Valle przekonał ją, że nie ma powodu mnie torturować, jako że mając prywatnych nauczycieli, mogę się nauczyć tego samego w domu.

Przez moje dzieciństwo przewinęła się cała galeria nauczycielek angielskich, francuskich i niemieckich, które jedna po drugiej padały ofiarą zanieczyszczonej chilijskiej wody i ataków wściekłości Pauliny del Valle; nieszczęsne kobiety wracały do swych rodzinnych krajów z chroniczną biegunką i złymi wspomnieniami. Tak prowadzona domowa edukacja mojej osoby była dość przypadkowa aż do chwili, gdy w moje życie wkroczyła wyjątkowa chilijska nauczycielka, panna Matilde Pineda, która nauczyła mnie prawie wszystkiego, co wiem, z wyjątkiem zdrowego rozsądku, gdyż ona sama również go nie miała. Była pasjonatką i idealistką, pisała filozoficzne wiersze, których nigdy nie zdołała opublikować, cierpiała na nienasycony głód wiedzy i - jak to zwykle bywa u osób zbyt inteligentnych - była nieprzejednana wobec cudzych słabości. Nie tolerowała lenistwa; w jej obecności stwierdzenie "nie potrafię" było zakazane. Babcia zatrudniła ją, ponieważ przedstawiła się jako agnostyczka, socjalistka i zwolenniczka ruchu równouprawnienia kobiet, a były to trzy powody więcej niż wystarczające, aby żadna instytucja oświatowa nie chciała jej zatrudnić. "Zobaczmy, czy zdoła pani choć w jakimś stopniu stawić czoło konserwatywnej i patriarchalnej świętoszkowatości tej rodziny" - zwróciła się do niej Paulina del Valle podczas pierwszego spotkania, mając poparcie Fredericka Williama i Severa del Valle, którzy jako jedyni dostrzegli talem panny Pinedy, podczas gdy wszyscy pozostali zapewniali, że owa kobieta tylko obudzi potwora, który i tak już się we mnie zalał. Ciotki natychmiast okrzyknęły ją mianem "zepsutej buntownicy" i ostrzegły babcię przed ową kobietą niższego stanu, która "wkręciła się między ludzi", jak to określiły. Natomiast Williams, największy zwolennik społeczeństwa klasowego, jakiego znałam, nabrał do niej sympatii. Sześć dni w tygodniu, bez wyjątku, o siódmej rano nauczycielka zjawiała się w salonie babci, gdzie czekałam na nią w białym, wykrochmalonym mundurku, z czystymi paznokciami i świeżo zaplecionymi warkoczami. Podczas śniadania, które spożywałyśmy w małej jadalni, używanej na co dzień, komentowałyśmy ważniejsze wiadomości z dzienników, potem przez kilka godzin panna Pineda prowadziła ze mną regularne lekcje, a pozostała część dnia upływała nam na wizytach w muzeach i w księgarni "Złoty Wiek", gdzie kupowałyśmy

książki i piłyśmy herbatę w towarzystwie jej właściciela, don Pedra Teya; poza tym odwiedzałyśmy artystów, wyjeżdżałyśmy za miasto obserwować przyrodę, przeprowadzałyśmy doświadczenia chemiczne, czytałyśmy bajki, pisałyśmy wiersze i wystawiałyśmy sztuki z repertuaru klasycznego z postaciami wyciętymi z kartonu. To ona podsunęła babci pomysł stworzenia klubu dla dam z towarzystwa, dzięki któremu można by zrationalizować działalność charytatywną i zamiast rozdawać biednym używaną odzież albo żywność, której zbywało w kuchniach bogaczy, stworzyć fundusz, zarządzać nim jak bankiem i udzielać pożyczek kobietom, które chciałyby założyć jakąś własną małą firmę, hodowlę kur czy też zakład krawiecki, albo żeby mogły kupić kilka bali i przyjmować bieliznę do prania, czy wózek do rozwożenia zakupów, innymi słowy, dopomóc im wyjść z ubóstwa, w jakim żyły one i ich dzieci. Nie ma sensu zajmować się mężczyznami, mówiła panna Pineda, bo pieniądze wydaliby na wino, a tak czy inaczej obejmują ich rządowe programy opieki socjalnej, podczas gdy o los kobiet i dzieci nikt poważnie się nie troszczy. "Ludzie nie chcą prezentów, wolą z godnością zarabiać na życie" - wyjaśniała mojej babci nauczycielka. Paulina del Valle pojęła w lot sens jej słów i przystąpiła do realizacji projektu z takim samym entuzjazmem, z jakim pieściła w myślach najbardziej zachłanne plany zrobienia majątku. "Jedną ręką zagarniam, co mogę a drugą rozdaję, i tym sposobem piekę dwie pieczenie przy jednym ogniu: zabawiam się i zaskarbiaм sobie niebo" - śmiała się do rozpuku moja oryginalna babcia. Inicjatywę tę rozwinęła jeszcze bardziej i nie tylko założyła Klub Dam, któremu z właściwą sobie energią przewodziła - inne panie wprost się jej bały - ale także finansowała szkoły i objazdowe przychodnie lekarskie; wymyśliła też i zorganizowała nową formę pomocy biednym: zbierano to, czego nie udało się sprzedać na targu i w piekarniach, a co było jeszcze w dobrym stanie, i rozdzielano po sierocińcach i przytułkach.

Kiedy przychodziła z wizytą Nivea (nieodmiennie w ciąży i w towarzystwie licznych nian, kołyszących w ramionach jej małe dzieci), panna Matilde Pineda odchodziła od tablicy i podczas gdy służące zajmowały się stadkiem maluchów, piłyśmy herbatę, a one dwie snuły marzenia o społeczeństwie sprawiedliwym i szlachetnym. Mimo iż Nivea nie miała zbyt wiele czasu ani środków finansowych i była najmłodsza, okazała się najaktywniejsza ze wszystkich pań należących do klubu mojej babci. Czasami odwiedzałyśmy jej dawną nauczycielkę, siostrę Marię od Szkaplerza, która prowadziła przytułek dla starych zakonnic, gdyż nie pozwalano jej już oddawać się pasji szerzenia oświaty; kongregacja uznała, że ze swymi postępowymi poglądami mniejsze zło wyrządzi opiekując się zdzieciniałymi staruszkami, niż siejąc zamęt w młodych umysłach. Siostra Maria miała do swej dyspozycji niewielką celę w jakimś walącym się budynku, posiadającym za to czarodziejski ogród, w którym zawsze z wdzięcznością przyjmowała gości, ponieważ lubiła intelektualne rozmowy, co w owym przytułku było przyjemnością nieosiągalną. Przynosiłyśmy jej zamówione przez nią książki z zakurzonej księgarni "Złoty Wiek", a także ciasteczka albo tort do herbaty, którą przygotowywała na naftowej kuchence i podawała w powyszczerbianych filiżankach. Zimą zwykle zostawałyśmy w celi; zakonnica siadała na jedynym krześle, Nivea i panna Matilde Pineda na pryczy, a ja na podłodze, ale jeśli tylko pogoda na to pozwalała, spacerowałyśmy też po cudownym ogrodzie pośród stuletnich drzew, jaśminów, róż, kamelii i tylu innych gatunków kwiatów rosnących w tak cudownym nieładzie, że mieszanina ich zapachów zwykła przyprawiać mnie o zawrót głowy. Staralam się nie uronić z owych rozmów ani słowa, chociaż rozumiałam z nich bardzo niewiele; nigdy potem nie słyszałam równie

gorących dyskusji. Opowiadały sobie na ucho sekrety, pękały ze śmiechu i rozmawiały o wszystkim z wyjątkiem religii, a to przez szacunek dla przekonań panny Matilde Pinedy, która utrzymywała, że Bóg został wymyślony przez mężczyzn, żeby mogli kontrolować innych, a przede wszystkim kobiety. Siostra Maria i Nivea były katoliczkami, ale żadna z nich nie wyglądała na fanatyczkę, w przeciwieństwie do większości osób z mojego ówczesnego otoczenia. W Stanach Zjednoczonych nikt nie wspominał o religii, natomiast w Chile był to temat obecny nawet przy stole. Babcia i wujek Frederick od czasu do czasu zabierali mnie na mszę, żeby nas tam widziano, gdyż nawet Paulina del Valle, przy całym swoim sprycie i fortunie, nie mogła sobie pozwolić na to, by w nich nie uczestniczyć. Rodzina i towarzystwo nie tolerowałyby czegoś podobnego.

- Babciu, czy ty jesteś katoliczką? - pytałam za każdym razem, ilekroć musiałam zrezygnować ze spaceru, albo odłożyć książkę, żeby iść do kościoła.

- Sądzisz, że w Chile można nią nie być? - odpowiadała.

- Panna Pineda nie chodzi na mszę.

- No i widzisz, jak się jej wiedzie, biedaczce. Przy swojej inteligencji mogłaby zostać dyrektorką szkoły, gdyby choć czasem się tam pokazała ...

Frederick Williams, wbrew wszelkiej logice, bardzo szybko zaaklimatyzował się w Chile i przystosował do ogromnej rodziny del Valle. Musiał mieć strusi żołądek, gdyż jako jedyny nie dostał robaków od wody pitnej i mógł zjeść całą furę *empanadas*, nie przepalając sobie przetyku. Żaden ze znanych nam Chilijczyków, poza Severem del Valle i Jose Franciskiem Vergarą, nie mówił po angielsku (mimo iż w Valparaiso mieszkała liczna kolonia brytyjska, drugim językiem ludzi wykształconych był francuski), tak więc Williamsowi nie pozostało nic innego, jak nauczyć się hiszpańskiego. Lekcje udzielała mu panna Pineda i po kilku miesiącach potrafił się już jako tako porozumieć, choć nie przychodziło mu to łatwo; jego hiszpańszczyzna była dość kulawa, niemniej okazała się na tyle wystarczająca, aby mógł czytać gazety i prowadzić życie towarzyskie w Klubie Związkowym, gdzie zwykł grywać w brydża z Patrickiem Eganem, szefem poselstwa amerykańskiego. Do klubu został przyjęty dzięki mojej babci, która niedwuznacznie zasugerowała, iż jego arystokratyczny rodowód sięga ni mniej, ni więcej angielskiego dworu; nikt nie zadał sobie trudu, by to sprawdzić, gdyż szlacheckie tytuły zostały zniesione z chwilą uzyskania niepodległości, a poza tym wystarczyło na niego spojrzeć, aby w to uwierzyć. Członkowie Klubu Związkowego z definicji należeli do "znanych rodów" i byli "dobrze urodzeni"; gdyby któryś z owych zadufanych w sobie mężczyzn (kobiety nie mogły nawet przekroczyć klubowego progu) odkrył tożsamość Fredericka Williamsa, zapadłby się pod ziemię ze wstydu, że wystrychnął go na dudka dawny majordomus z Kalifornii, uchodzący za najbardziej wyrafinowanego, eleganckiego i wykształconego członka klubu, najlepszego gracza w brydża i właściciela jednej z niewątpliwie największych fortun. Williams był na bieżąco z interesami, aby móc służyć radą babci Paulinie, oraz z polityką, stanowiącą obowiązkowy temat rozmów w towarzystwie. Jak prawie wszyscy członkowie mojej rodziny głosił poglądy zdecydowanie konserwatywne i żałował, że w Chile nie istniała monarchia na wzór brytyjskiej, gdyż demokracja wydawała mu się wulgarna i mało skuteczna. Podczas obowiązkowych niedzielnych obiadów w domu mojej babci spierał się z Niveą i Severem, jedynymi liberałami w naszym klanie. Różnili się zapatrywaniami, ale wszyscy troje się szanowali i sądzę, że w duchu podśmiewali się z pozostałych członków prymitywnego plemienia del Valle. W

rzadkich chwilach, kiedy znajdowaliśmy się w towarzystwie don Josego Francisca Vergary, z którym miałby sposobność porozmawiać po angielsku, Frederick Williams zachowywał pełen szacunku dystans; Vergara jako jedyny onieśmielał go swą wyższością intelektualną i prawdopodobnie był jedyną osobą, która w jednej chwili potrafiłaby dopatrzeć się w nim byłego służącego.

Przypuszczam, że wiele osób pytało Paulinę, kim jestem i dlaczego mnie adoptowała, jednak przy mnie tego tematu nie poruszano. Niedzielne obiady w rodzinnym gronie gromadziły około dwudziestu kuzynów w różnym wieku i żaden z nich nigdy nie zapytał o moich rodziców; żeby mnie zaakceptować, wystarczyło im, że noszę to samo nazwisko co oni.

Mimo iż nazwisko i fortuna mojej babci otwierały przed nią wszystkie drzwi, dostosowanie się do życia w Chile przyszło jej trudniej niż mężowi. Dusiła ją małostkowość i świętoszkowatość tego środowiska, tęskniła za dawną swobodą - nie bez powodu przeżyła w Kalifornii ponad trzydzieści lat - jednak gdy tylko otworzyła drzwi swej rezydencji, natychmiast zaczęła przewodzić śmietance towarzyskiej Santiago, przyjmowała bowiem gości z wielką klasą i w dobrym stylu, wiedząc, jak się w Chile nienawidzi bogaczy, zwłaszcza jeśli się zbytnio wynoszą nad innych. Żadnych lokajów w liberjach, jakich zatrudniała w San Francisco, tylko dyskretne służące w czarnych sukienkach i białych fartuszkach; żadnych wystawnych przyjęć, tylko skromne spotkania w rodzinnym gronie, aby nie przyklejono jej etykiety nadętej nuworyszki, co było epitetem najgorszym z możliwych. Oczywiście miała do dyspozycji bogato zdobione powozy, budzące zazdrość konie i prywatną lożę w Teatrze Miejskim z małą salką i bufetem, gdzie częstowała gości lodami i szampanem. Pomimo wieku i tuszy Paulina del Valle narzucała styl bycia, ponieważ przybyła bezpośrednio z Europy i zakładano, że jest na bieżąco z modą i ostatnimi nowinkami. W surowej i skostniałej społeczności Santiago stała się przekaźnikiem obcych wpływów, była jedyną kobietą w owym gronie, która mówiła po angielsku, dostawała czasopisma i książki z Nowego Jorku i Paryża, zamawiała materiały, buty i kapelusze w Londynie i publicznie paliła te same egipskie papierosy co jej syn Matias. Kupowała dzieła sztuki. Na stół podawała nieznanne potrawy, podczas gdy nawet w najlepszych i najbardziej snobistycznych domach odżywiano się wzorem najwykleszych kapitanów z czasów konkwisty: jadano zupę, gulasz, pieczeń, fasolę i ciężkie kolonialne desery. Pierwszy raz, kiedy babcia podała *foie gras* i talerz serów sprowadzonych z Francji, tylko dżentelmeni, którzy kiedyś odwiedzili Europę, byli w stanie je zjeść. Pewna dama, powąchawszy sery *camembert* i *port-salut*, dostała mdłości i szybko musiała udać się do łazienki. Dom mojej babci był miejscem spotkań artystów i młodych literatów obu płci, którzy - jeżeli tylko należeli do "właściwej" klasy społecznej - zbierali się, aby pokazać swoje dzieła; o ile zainteresowany nie był biały i nie nosił znanego nazwiska, musiał mieć bardzo wielki talent, by go zaakceptowano; pod tym względem Paulina nie różniła się od reszty chilijskiej klasy wyższej. W Santiago spotkania intelektualistów odbywały się w kawiarniach i klubach; uczestniczyli w nich wyłącznie mężczyźni, gdyż wychodzono z założenia, że kobiety lepiej się czują, mieszając zupę, niż pisząc wiersze. Inicjatywę babci, która zapraszała do swego salonu również kobiety artystki, uznano za dość śmiałą nowość.

Moje życie w domu przy ulicy Ejercito Libertador uległo zmianie. Pierwszy raz od śmierci dziadka Tao Chi'ena miałam poczucie stabilizacji, wrażenie, że żyję w czymś, co się nie rusza i nie zmienia, jest rodzajem forticy z korzeniami tkwiącymi głęboko w stałym łądziej. Szturmem wzięłam cały budynek, nie było pomieszczenia, którego bym nie zbadała, ani zakątka, do którego bym nie dotarła, włączając w to dach, gdzie spędzałam całe godziny, obserwując gołębnie, oraz pokoje dla służby, chociaż zakazano mi tam postawić choćby stopę. Ogromna posiadłość rozciągała się między dwiema ulicami i miała dwie bramy, jedną główną od ulicy Ejercito Libertador, i drugą dla służby od tyłu, mieściła dziesiątki sal, pokoi, ogrodów, tarasów, schowków, poddaszy i schodów. Jeden salon był czerwony, drugi niebieski, a jeszcze inny złoty, używany tylko na wielkie okazje; była także cudowna przeszklona weranda, gdzie pośród doniczek z chińskiej porcelany, paprotek i klatek z kanarkami toczyło się życie rodzinne. Główną jadalnię zdobił pompejański fresk na wszystkich czterech ścianach, wiele serwantek z kolekcją porcelany i sreber, kryształowy żyrandol i wykusz z mauretańską fontanną, w której bez przerwy ciurkała woda.

Kiedy babcia porzuciła już myśl o posłaniu mnie do szkoły i lekcje z panną Pinedą stały się rutyną, byłam bardzo szczęśliwa. Ilekroć o coś pytałam, moja wspaniała nauczycielka zamiast mi odpowiedzieć, wskazywała drogę ku odpowiedzi. Nauczyła mnie porządkować myśli, badać, czytać i słuchać, szukać alternatyw, rozwiązywać stare problemy nowymi metodami, spierać się, wykorzystując do tego logikę. Przede wszystkim nauczyła mnie nie wierzyć we wszystko na ślepo, wątpić i kwestionować nawet to, co wydawało się niepodważalną prawdą, na przykład wyższość mężczyzny nad kobietą albo wyższość jednej klasy społecznej nad drugą; takie poglądy - w patriarchalnym kraju, w którym nigdy nie wspomniano o istnieniu Indian i gdzie wystarczyło spaść o jeden stopień w hierarchii społecznej, aby zniknąć ze zbiorowej pamięci - to coś zupełnie nowego. Panna Pineda była pierwszą kobietą intelektualistką, jaką spotkałam na mej drodze. Nivea, z całą swą inteligencją i wykształceniem, nie mogła konkurować z moją nauczycielką; ta wyróżniała się intuicją i ogromną szlachetnością serca, o pół wieku wyprzedzała swoją epokę, chociaż nigdy nie pozowała na intelektualistkę, nawet na spotkaniach u mojej babci, podczas których wyróżniała się płomiennymi przemówieniami o równouprawnieniu kobiet i mówiła o swoich wątpliwościach związanych z wiarą. Z wyglądu panna Pineda nie mogła być bardziej typową Chilijką; stanowiła produkt owej hiszpańsko-indiańskiej mieszanki, która daje kobiety niskiego wzrostu, chodzące ciężkim krokiem, rozłożyste w biodrach, ciemnookie i ciemnowłose, o wystających kościach policzkowych. Jak na czasy i kondycję społeczną, w jakich przyszło jej żyć, miała niezwykłą umysłowość; pochodziła z biednej rodziny z południa, jej ojciec pracował na kolei, a z ośmiorga rodzeństwa tylko ona zdołała skończyć studia. Była uczennicą i przyjaciółką don Pedra Teya, właściciela księgarni "Złoty Wiek", Katalończyka o odpychających manierach, za to o gołębim sercu, który był jej przewodnikiem po lekturach i pożyczał albo dawał jej w prezencie książki, gdyż nie mogła ich sobie kupić. Przy każdej wymianie zdań, na choćby nie wiadomo jak banalny temat, Tey wygłaszał przeciwną opinię. Słyszałam, na przykład, jak zapewniał, że Latynosi to mały ze skłonnościami do marnotrawstwa, bumelanctwa i lenistwa, jednak wystarczyło, że panna Pineda przyznała mu rację, aby natychmiast zmienił front i dodał, że i tak są lepsi od jego rodaków, którzy stale chodzą obrażeni i o byle głupstwo wyzywają się na pojedynek. Chociaż było niemożliwością, aby tych dwoje zgodziło się w czymkolwiek, rozumieli się bardzo

dobrze. Don Pedro Tey musiał być przynajmniej o dwadzieścia lat starszy od mojej nauczycielki, jednak kiedy zaczęli rozmawiać, różnica wieku gdzieś się ulatniała; jego odmładzał entuzjazm, ona zaś nabierała dystynkcji i dojrzałości.

W ciągu dziesięciu lat Severo i Nivea del Valle doczekali się sześciorga dzieci i płodzili je nadal, aż w końcu mieli ich piętnascioro. Znam Niveę od ponad dwudziestu lat i zawsze widziałam ją z niemowlęciem na rękach; gdyby tak nie lubiła dzieci, jej płodność byłaby przekleństwem. "Co ja bym dała, żeby zechciała pani uczyć moje dzieci!" - wzdychała Nivea, ilekroć spotykała pannę Matilde Pinedę. "Jest ich zbyt dużo, pani Niveo, a przy Aurorze i tak mam pełne ręce roboty" - odpowiadała moja nauczycielka. Severo zdobył popularność jako adwokat i był aktywnym członkiem partii liberalnej. W wielu punktach nie zgadzał się z polityką prezydenta, również liberała, a ponieważ nie krył swych krytycznych sądów, nigdy nie został zaproszony do udziału w rządzie. Wkrótce jego poglądy skłoniły go do powołania dysydenckiego ugrupowania, które z chwilą wybuchu wojny domowej przeszło do opozycji, podobnie jak to uczyniła Matilde Pineda i jej przyjaciel z księgarni "Złoty Wiek". Wujek Severo wyróżniał mnie spośród otaczających go dziesiątek siostrzenic i bratanic, nazywał swoją "przyszywaną córką" i powiedział, że to on nadał mi nazwisko del Valle, jednak ilekroć go pytałam, czy znał mojego prawdziwego ojca, odpowiadał wymijająco: "Przyjmijmy, że to ja nim jestem". Babcia, kiedy ją o to pytałam, dostawała migreny, a indagowana Nivea odsyłała mnie do Severa. Koło się zamykało.

- Babciu, nie mogę żyć pośród tylu tajemnic - powiedziałam kiedyś do Pauliny del Valle.

- A czemuż to? Ludzie, którzy mają nieudane dzieciństwo, są bardziej twórczy - odparła.

- Albo kończą w szpitalu dla wariatów - dopowiedziałam.

- Wśród ludzi z nazwiskiem del Valle nie ma wariatów, Auroro, tylko ekscentrycy, jak w każdej szanującej się rodzinie - zapewniła mnie.

Panna Matilde Pineda przysięgła, że nie zna mojego rodowodu, i dodała, że nie ma co się przejmować, bo nieważne skąd się pochodzi, tylko dokąd się zmierza, jednak kiedy wyjaśniła mi prawa genetyki Mendla, musiała przyznać, że warto wiedzieć, kim byli nasi przodkowie. A może mój ojciec jest jakimś szaleńcem, który chodzi po świecie i podrzyna dziewczicom gardła?

Wojna domowa wybuchła tego samego dnia, w którym weszłam w okres pokwitania. Obudziłam się w nocnej koszuli ubrudzonej czymś, co przypominało czekoladę, zawstydzona pomknęłam do łazienki, żeby się umyć, a wtedy stwierdziłam, że to nie kupka, jak przypuszczałam, lecz że między nogami mam krew. Przerażona wybiegłam, żeby powiedzieć o tym babci, i ten jeden raz nie zastałam jej w przeogromnym łóżu cesarzowej, co było niesłychane u kogoś, kto zawsze wstawał około południa. Zbiegłam po schodach, a za mną ujadający Karmelek, niczym spłoszony koń wpadłam do gabinetu i zderzyłam się z Severem i Pauliną del Valle; on miał na sobie podróżny strój, ona zaś ciemnofioletowy satynowy szlafrok, w którym wyglądała jak biskup podczas Wielkiego Tygodnia.

- Ja umrę! - zawołałam, rzucając się do niej.

- To nie jest odpowiedni moment - odparła sucho babcia.

Od lat ludzie narzekali na rząd, a od miesięcy dało się słyszeć głosy twierdzące, że prezydent Balmaceda aspiruje do władzy dyktatorskiej, zrywając tym samym z pięćdziesięciosiedmioletnią tradycją szacunku dla konstytucji. Ustawa ta, uchwalona przez arystokrację zamierzającą trzymać w swoich rękach ster rządów po wieczne czasy, dawała władzy wykonawczej szerokie uprawnienia; kiedy władza ta trafiła w ręce kogoś o przeciwnej orientacji, klasy wyższe podniosły bunt. W rzeczywistości Balmaceda, inteligentny człowiek o nowoczesnych poglądach, nie zrobił niczego złego. Bardziej niż którykolwiek z jego poprzedników popierał rozwój szkolnictwa, bronił chilijskiej saletry przed obcymi towarzystwami, budował szpitale i organizował roboty publiczne (choć rozpoczął ich więcej, niż udawało mu się skończyć), rozwijając przede wszystkim sieć kolei żelaznej; pod jego rządami Chile miało silne wojsko i marynarke, było krajem, w którym obserwowano największy wzrost gospodarczy, a chilijska waluta była najmocniejsza w całej Ameryce Łacińskiej. Jednak arystokracja nie mogła mu darować, że podniósł rangę klasy średniej i przy jej pomocy próbował rządzić, kler natomiast nie mógł tolerować rozdzielenia Kościoła od państwa, ślubu cywilnego, który zastąpił kościelny, oraz prawa, wedle którego na cmentarzach wolno było grzebać zmarłych dowolnego wyznania (wcześniej zawsze pojawiał się problem, co robić z ciałami tych, którzy za życia nie byli katolikami, a także ateistów i samobójców, i często lądowały one w wąwozach albo w morzu). W odpowiedzi na te posunięcia kobiety masowo odwróciły się od prezydenta. Choć nie miały władzy politycznej, rządziły we własnych domach i posiadały ogromne wpływy. Popierana przez Balmacedę klasa średnia również pokazała mu plecy, w odpowiedzi na co on uniósł się dumą, gdyż był przyzwyczajony do wydawania rozkazów i posłuchu, jak każdy ówczesny latyfundysta. Rodzina Balmacedy posiadała ogromne tereny, właściwie całą prowincję ze stacjami, koleją, wsiami i setkami chłopów; mężczyźni z tego klanu nie cieszyli się sławą dobrotliwych panów, lecz uchodzili za bezwzględnych tyranów, którzy spali z bronią pod poduszką, a od swych dzierzawców oczekiwali ślepego posłuszeństwa. Może dlatego Balmaceda usiłował rządzić krajem jak własnym majątkiem. Był mężczyzną wysokim, przystojnym, o prawdziwie męskiej urodzie, jasnym czole i szlachetnym wejrzeniu, wyglądał jak bohater jakiegoś powieściowego romansu, wychowany w siodle, z pejcem w jednej ręce i pistoletem w drugiej. Mało brakowało, aby został księdzem (był nawet w seminarium), jednak nie miał przekonania do sutanny. Przesadnie dbał o swój wygląd. Ze względu na zamięłowanie do częstych zmian fryzury, wąsów i baczków, przekornie nazywano go Potargańcem; komentarze wywoływały również jego zbyt eleganckie, sprowadzane z Londynu ubrania. Wyśmiewano jego krasomówcze przemówienia i deklaracje gorącej miłości do Chile, o które był niemal zazdrosny; powiadano, że tak identyfikował się z ojczyzną, że nie wyobrażał sobie, by kto inny niż on mógł stać na czele państwa. "Moje albo niczyje!" - miał rzekomo powiedzieć. Lata, kiedy był u steru rządów, odizolowały go od szarych obywateli i pod koniec jego zachowanie przyjmowało formy od szaleństwa do depresji, jednak nawet wśród swych najgorszych adwersarzy cieszył się sławą dobrego męża stanu o czystych rękach, co można by powiedzieć niemal o wszystkich chilijskich prezydentach, którzy - w przeciwieństwie do przywódców innych krajów Ameryki Łacińskiej - odchodząc z rządu, byli biedniejsi niż wtedy, kiedy do niego wchodził. Miał wizję przyszłości, marzył o stworzeniu wielkiego państwa, jednak przyszło mu żyć u schyłku pewnej epoki i być świadkiem wynaturzenia partii, która zbyt długo była u władzy. Zmieniał się świat, zmieniał się kraj, a w

liberalnym rządzie kwitła korupcja. Prezydenci wyznaczyli swych następców, a władze wojskowe i cywilne dopuszczały się oszustw wyborczych; zawsze wygrywała partia rządowa, a to dzięki poparciu sił powiązanych z aparatem przemocy: na oficjalnie zgłoszonych kandydatów głosowali nawet zmarli i nieobecni, kwitł handel głosami, a tym, którzy mieli jakiegokolwiek wątpliwości, pałką wybijano je z głowy. Prezydent miał przeciwko sobie nieugiętą opozycję partii konserwatywnej, niektóre liberalne ugrupowania dysydenckie, cały kler i większość prasy. Pierwszy raz przeciwnicy zajmujący ekstremalne pozycje politycznego spektrum uznali, że łączy ich jeden wspólny cel: obalenie rządu. Każdego dnia na Plaza de Armas odbywały się manifestacje opozycji, brutalnie rozpędzane przez konną policję, a podczas ostatniej podróży prezydenta w głąb kraju żołnierze musieli go bronić szablami przed rozjuszonym tłumem, który wygwizdywał go i obrzucał zgniłymi pomidorami. Owe dowody niezadowolenia nie wpłynęły jednak na jego postawę, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że kraj pogrąża się w chaosie. Zdaniem Severa del Valle i panny Matilde Pinedy osiemdziesiąt procent społeczeństwa nienawidziło rządu i najprzystojniejsi byłoby, gdyby prezydent złożył urząd, ponieważ napięcie w kraju wzrastało i niczym wulkan w każdej chwili groziło wybuchem. Tak też się stało owego styczniowego ranka 1891 roku: w marynarce wybuchł bunt, a Kongres odsunął prezydenta od władzy.

- To pociągnie za sobą straszliwe represje, ciociu - usłyszałam głos Severa del Valle. - Jadę walczyć na północ. Błagam, niech się ciocia zaopiekuje Niveą i dziećmi, bo nie wiadomo, jak długo ja sam nie będę mógł tego robić ...

- Straciłeś już na wojnie jedną nogę, Severo, jeśli stracisz drugą, będziesz wyglądał jak karzeł.

- Nie mam wyboru, w Santiago i tak by mnie zabili.

- Nie bądź taki melodramatyczny, nie jesteśmy w operze!

Jednak Severo del Valle był lepiej poinformowany od swej ciotki, jak się okazało w kilka dni później, kiedy rozszalał się terror. W odpowiedzi na odsunięcie od władzy prezydent rozwiązał Kongres, ogłosił się dyktatorem i na organizatora represji mianował niejakiego Joaquina Godoya, sadystę, który głosił pogląd, że "bogacze muszą zapłacić za to, że są bogaci, biedacy - za to, że są biedni, a klechów trzeba powystrzelać co do jednego!". Wojsko dochowało wierności rządowi i to, co rozpoczęło się jako rewolta polityczna, przerodziło się w przerażającą wojnę domową, w której zmierzyły się dwa rodzaje sił zbrojnych. Godoy, przy zdecydowanym poparciu dowódców wojskowych, zaczął od aresztowania wszystkich opozycyjnych członków Kongresu. Ograniczono swobody obywatelskie, rozpoczęło się plądrowanie domów i systematyczne torturowanie zatrzymanych; prezydent zamknął się w swym pałacu, gdyż czuł wstręt do takich metod, lecz zarazem był przekonany, że na złamanie oporu wrogów politycznych nie było innego sposobu. "Wolałbym o tym nie wiedzieć", powtarzał nieraz. Mieszkańcy ulicy, przy której mieściła się księgarnia "Złoty Wiek", nie mogli zmrużyć oka w nocy i musieli zatykać uszy za dnia, tak donośne były jęki nieszczęśliwych, którym wymierzano karę chłosty. Oczywiście o niczym takim nie mówiło się przy dzieciach, jednak ja wiedziałam o wszystkim, gdyż znałam każdy zakątek domu i podsłuchiwałam rozmowy dorosłych, a w owym czasie nie miałam wiele do roboty. Podczas gdy na zewnątrz trwała wojna, nasze życie wewnątrz domu toczyło się tak, jakbyśmy mieszkali w luksusowym klasztorze o ścisłej regule. Babcia przygarnęła Niveę z całym regimentem dzieci, mamek i piastunek, i zamknęła dom na cztery spusty, w przekonaniu, że

nikt nie ośmielił się zaatakować damy z jej pozycją społeczną, a do tego małżonki obywatela brytyjskiego. Na wszelki wypadek Frederick Williams umieścił na dachu angielską flagę i naoliwił broń.

Severo del Valle wyruszył walczyć na północy w odpowiednim momencie, gdyż następnego dnia splądrowano jego dom i gdyby go znaleziono, skończyłby w kazamatach tajnej policji, gdzie torturowano tak biednych, jak i bogatych. Podobnie jak Severo del Valle, Nivea była zwolenniczką rządów liberalnych, jednak kiedy prezydent za pomocą oszustw wyborczych próbował narzucić swego następcę oraz pozbawić władzy Kongres, zdecydowanie opowiedziała się po stronie opozycji. Podczas trwającej kilka miesięcy wojny domowej, będąc w ciąży z bliźniakami i doglądając sześciorga dzieci, miała dosyć czasu i odwagi, by prowadzić działalność opozycyjną, która - gdyby została na niej przyłapana - mogłaby kosztować ją życie. Robiła to za plecami babci Pauliny, która wydała wyraźne polecenia, abyśmy starali się nie zwracać na siebie uwagi władz, jednak za pełną wiedzą Williama. Panna Matilde Pineda znajdowała się dokładnie po przeciwnej stronie barykady niż Frederick Williams (była w takim samym stopniu socjalistką, co on monarchistą), jednakże łączyła ich nienawiść do rządu. W jednym z pomieszczeń na tyłach domu, gdzie babcia nigdy nie zaglądała, z pomocą don Pedra Teya założyli małą drukarnię, w której produkowali ulotki i pamflety, roznoszone następnie po domach przez pannę Matilde Pinedę, ukryte pod płaszczem. Kazali mi przysiąc, że o tym, co dzieje się w tym pokoju, nikomu nie powiem ani słowa, i choć nie zdawałam sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad naszą rodziną, słowa nie złamałam. Dotrzymanie sekretu wydało mi się fascynującą zabawą. Kiedy wojna domowa miała się już ku końcowi, zrozumiałam, że niebezpieczeństwo to było całkiem realne, gdyż mimo pozycji Pauliny del Valle, również i jej, jak każdego, mogło dosięgnąć długie ramię tajnej policji. Dom babci nie był żadnym sanktuarium, jak nam się wydawało; fakt, że była wdową z fortuną, stosunkami i nazwiskiem nie uratowałby jej przed rewizją w domu, a może i uwięzieniem. Ratował nas chaos owych miesięcy oraz to, że przeciwko prezydentowi zwróciła się większość mieszkańców, a kontrolowanie takiej masy ludzi było niemożliwe. Nawet w szeregach policji zdarzali się zwolennicy rewolucji, pomagający w ucieczce tym, których mieli aresztować. W każdym domu, do którego pukała panna Pineda, roznosząc ulotki, witano ją z otwartymi ramionami.

Pierwszy raz Severo i jego krewni znaleźli się po tej samej stronie, ponieważ w konflikcie tym konserwatyści połączyli się z częścią liberałów. Reszta rodziny del Valle pozamykała się w swych majątkach, jak najdalej od Santiago, a młodzi mężczyźni ruszyli walczyć na północ, gdzie utworzył się kontyngent wolontariuszy popieranym przez zbuntowaną marynarkę. Armia, wierna rządowi, planowała pokonać ów tłum cywilów w ciągu kilku dni i nie wyobrażała sobie, że może natrafić na tak zacięty opór. Flota i powstańcy, pragnąc zająć kopalnie saletry, stanowiące największe źródło dochodów kraju, skierowali się na północ, gdzie rozlokowały się oddziały regularnego wojska. W pierwszym starciu zwycięstwo odniosły wojska rządowe, a po bitwie dobiły rannych i jeńców, tak jak to częstokroć czyniły podczas wojny o Pacyfik przed dziesięcioma laty. Brutalność tej rzezi tak rozjuszyła powstańców, że kiedy zmierzli się ponownie, odnieśli miażdżące zwycięstwo i wówczas to oni przystąpili do masakrowania pokonanych. W połowie marca "kongresowcy", jak nazywali siebie powstańcy, kontrolowali pięć północnych prowincji i powołali juntę kierującą powstaniem, gdy tymczasem prezydent Balmaceda minuta po minucie tracił

zwolenników. Niedobitki oddziałów lojalnych wobec prezydenta musiały wycofać się z północy na południe, aby tam połączyć się z głównymi siłami wojska; piętnaście tysięcy mężczyzn piechotą przeszło przez góry, wkroczyło do Boliwii, a następnie do Argentyny, po czym ponownie pokonało góry i dotarło do Santiago. Żołnierze zjawili się w stolicy śmiertelnie zmęczeni, zarośnięci i obszarpani; przebyli tysiące kilometrów, walcząc z bezlitosną przyrodą; mieli do pokonania doliny i wzgórze, piekielne upały i wieczne śniegi, żywili się po drodze lamami i wikuniami z płaskowyżu, dyniami i pancernikami na pampach i ptakami na najwyższych szczytach. Powitano ich jak bohaterów. Wyczyn ten nie miał sobie równych od czasów podboju, jakiego dokonali okrutni Hiszpanie, jednakże nie wszyscy wzięli udział w powitaniu, ponieważ opozycja urosła w siłę niczym lawina, której nie sposób było powstrzymać. Nasz dom nadal pozostał zamknięty na cztery spusty, a babcia zabroniła komukolwiek wystawić bodaj nos na ulicę, jednak nie mogłam się oprzeć ciekawości i weszłam na dach, żeby zobaczyć przemarsz.

Aresztowania, grabieże, tortury i represje sprawiły, że opozycjoniści poczuli się tak, jakby siedzieli na rozżarzonych węglach; nie byli pewni dnia ani godziny, nie było rodziny, której by nie rozdzielono, ani człowieka, który by się nie bał. W ramach powszechnego poboru do wojska, na pogrzebach, ślubach, w polu i w fabrykach organizowano łapanki na mężczyzn zdolnych do noszenia broni i siłą wcielano ich do armii. Z braku rąk do pracy stanęło rolnictwo i przemysł. Bezkarność wojskowych stała się nie do zniesienia i prezydent zrozumiał, że powinien ją ukrócić, jednak kiedy w końcu chciał to zrobić, było już za późno, wśród żołnierzy zapanowało totalne rozprężenie i obawiano się, że mogą obalić prezydenta i wprowadzić dyktaturę wojskową, tysiąc razy straszliwszą od represji tajnej policji Godoya. "Nie ma nic gorszego niż bezkarna władza" - ostrzegała nas Nivea. Zapytałam pannę Matilde Pinedę, jaka jest różnica między zwolennikami rządu a rewolucjonistami, i w odpowiedzi usłyszałam, że i jedni, i drudzy walczą o państwo prawa. Kiedy spytałam babcie, odparła, że nie ma żadnej, wszyscy oni to kanalie, powiedziała.

Terror zapukał do naszych drzwi, kiedy oprawcy zatrzymali don Pedra Teya i wtrącili go do straszliwych kazamatów Godoya. Podejrzewali, i słusznie, że to on jest odpowiedzialny za antyrządowe ulotki polityczne, których wszędzie było pełno. W pewien czerwcowy wieczór, jeden z owych wieczorów uciążliwego deszczu i zdradliwego wiatru, kiedy jak co dzień siedzieliśmy w jadalni przy kolacji, nagle otworzyły się drzwi i bez zapowiedzi wpadła panna Matilde Pineda, roztrzęsiona, trupio biała i w przemoczonym płaszczu.

- Co się stało? - spytała babcia, dotknięta niestosownym zachowaniem nauczycielki.

Chwytnąjąc łapczywie ustami powietrze, panna Pineda wyrzuciła z siebie, że zbiry Godoya splądrowały księgarnię, bijąc przy tym wszystkich, którzy się tam wówczas znajdowali, po czym wywiozły don Pedra Teya zamkniętym powozem. Babcia zastygła z widelcem w powietrzu, oczekując na dalszy ciąg, który usprawiedliwiłby skandaliczne wtargnięcie tej kobiety; ledwo знаła pana Teya i nie rozumiała, dlaczego ta wiadomość była taka ważna. Nie miała pojęcia, że księgarz bywał w jej domu prawie codziennie, wchodził tylnymi drzwiami i odbijał swoje rewolucyjne pamflety na drukarce ukrytej pod jej dachem. Za to Nivea, Williams i panna Pineda mogli się domyślać konsekwencji, jakie na nich spadną, kiedy tylko nieszczęsny Tey zostanie zmuszony do mówienia, a wiedzieli, że prędzej czy

później zacznie sypać, gdyż metody Godoya nie pozostawiały co do tego żadnych złudzeń. Zauważyłam, że wszyscy troje wymieniają rozpaczliwe spojrzenia, i chociaż nie rozumiałam powagi tego, co się działo, wyobraziłam sobie przyczynę.

- Czy to przez tę maszynę, co stoi w pokoju na zapleczu? - zapytałam.

- Jaką maszynę? - wykrzyknęła babcia.

- Żadną - odparłam, przypomniawszy sobie o naszym tajnym porozumieniu, ale Paulina del Valle nie pozwoliła mi mówić dalej, tylko chwyciła mnie za ucho i potrząsnęła z niespotykaną u niej furją.

- Jaką maszynę, pytam się ciebie, paskudna smarkulo! - wrzeszczała.

- Niech pani zostawi małą, Paulino. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o drukarnię ... - odezwał się Frederick Williams.

- Drukarnię? Tutaj, w moim domu?! - ryknęła babcia.

- Obawiam się, że tak, ciociu - wymamrotała Nivea.

- A niech to szlag! I co my teraz zrobimy? - i matrona opadła na krzesło, objęła rękami głowę i mamrotała, że jej własna rodzina ją zdradziła, że wszyscy zapłacimy za tak wielką nieostrożność, ale z nas imbecyle, a ona przyjęła Niveę z otwartymi ramionami i proszę, czym się jej odwdzięcza, czyżby Frederick nie zdawał sobie sprawy, że to może kosztować ich życie, nie jesteśmy w Anglii ani w Kalifornii, kiedy wreszcie zrozumie, że w Chile jest inaczej, a panny Pinedy nie chce więcej widzieć na oczy, nie wolno jej przekroczyć progu tego domu ani choćby słowem odezwać się do jej wnuczki.

Frederick Williams poprosił o powóz i oznajmił, że jedzie "rozwiązać problem", co zamiast uspokoić babcię, tylko zwiększyło jej przerażenie. Panna Matilde Pineda pożegnała się ze mną skinieniem głowy i wyszła; zobaczyłam ją dopiero po wielu latach. Williams skierował się prosto do poselstwa amerykańskiego i poprosił o spotkanie z panem Patrickiem Egonem, swym przyjacielem i partnerem do brydża, który tego dnia wydawał oficjalny bankiet dla innych członków korpusu dyplomatycznego. Egon popierał rząd, lecz zarazem był zagorzałym demokratą, jak prawie wszyscy jankesi, i brzydził się metodami Godoya. Wysłuchał na osobności wszystkiego, co miał mu do powiedzenia Frederick Williams, i natychmiast przystąpił do akcji. Poprosił o spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych, który przyjął go jeszcze tego samego wieczoru, ale wyjaśnił mu, że interwencja w sprawie zatrzymanego nie jest w jego mocy. Jednak udało mu się uzyskać zgodę na wizytę u prezydenta następnego dnia z samego rana. Była to najdłuższa noc, jaką przeżyłam w domu mojej babci. Nikt nie zmrużył oka. Ja spędziłam ją skulona z Karmelkiem w jednym z foteli w hallu, podczas gdy pokojówki i służący krążyli z walizkami i kuframi, mamki i piastunki - z dziećmi Nivei na rękach, a kucharki z koszami z prowiantem. Nawet parę klatek z ulubionymi ptakami babci zostało zapakowanych do powozów. Williams i ogrodnik, zaufany człowiek, rozmontowali drukarnię, zakopali części na końcu trzeciego podwórza i spalili wszystkie kompromitujące papiery. O świcie dwa powozy w asyście czterech służących, jadących konno i pod bronią, były gotowe, żeby wywieźć nas poza Santiago. Reszta służby poszła szukać schronienia w najbliższym kościele, skąd nieco później miała zostać zabrana innymi wozami. Frederick Williams nie chciał nam towarzyszyć.

- Jestem odpowiedzialny za to, co się stało, i zostanę, żeby bronić domu – powiedział.

- Pańskie życie jest znacznie cenniejsze od tego domu i wszystkiego, co mam, proszę, niech pan z nami jedzie - błagała Paulina del Valle.

- Nie ośmielą się mnie tknąć, jestem obywatelem brytyjskim.

- Niech pan nie będzie naiwny, Fredericku, proszę mi wierzyć, w tych czasach nikt nie jest bezpieczny.

Ale nie było sposobu, by go przekonać. Ucałował mnie w oba policzki, długo przytrzymał dłonie babci i pożegnał się z Niveą, która dyszała jak węgorz wyjęty z wody, nie wiem, czy ze strachu, czy tylko dlatego, że była w ciąży. Ruszyliśmy, ledwie słońce nieśmiało zaczęło oświetlać ośnieżone szczyty kordyliery; deszcz ustał i niebo się przetało, ale wiał zimny wiatr, który wciskał się w szpary powozu. Jechałam przytulona do piersi babci, opatulona jej peleryną z lisów, tą samą, której ogony w porywie lubieżności zostały pożarte przez Karmelka. Babcia miała usta zaciśnięte od gniewu i strachu, jednak nie zapomniała o jedzeniu i ledwo wyjechaliśmy z Santiago, kierując się na południe, otworzyła kosze pełne pieczonych kurcząt, jaj na twardo, francuskiego ciasta, serów, chleba, wina i orszady, i ucztowała trwać nieprzerwanie przez resztę podróży.

Wujostwo del Valle, którzy schronili się na wsi, kiedy w styczniu wybuchło powstanie, przyjęli nas zachwyceni, ponieważ naszym przybyciem przerywaliśmy trwającą od siedmiu miesięcy nieuchronną nudę i przywoziliśmy nowiny. Były one najgorsze z możliwych, jednak jeszcze gorzej było ich nie znać. Znowu spotkałam moich kuzynów i owe dni, które dla dorosłych były pełne niepokoju i napięcia, dla nas, dzieci, oznaczały wspaniałe wakacje; jak bąki opijaliśmy się mlekiem prosto od krowy, objadaliśmy się świeżym serem i zapasami przechowywanymi jeszcze od lata, jeździliśmy konno, w strugach deszczu taplaliśmy się w błocie, bawiliśmy się w stajniach i na poddaszu, wystawialiśmy teatryki i utworzyliśmy chór (godzien pożałowania, ponieważ żadne z nas nie było muzykalne). Do domu wiodła pełna zakrętów droga wysadzana wysokimi topolami, biegnąca dnem sielskiej doliny, której zbocza nosiły ledwo widoczne ślady pługa, tak że wyglądały na opuszczone; od czasu do czasu widać było rzędy suchych i powykręcanych badyli, które, jak twierdziła babcia, były krzewami winorośli. Kiedy jakiś chłop mijał nas po drodze, zdejmował słomkowy kapelusz i ze wzrokiem wbitym w ziemię witał jako panów, mówiąc "wasza miłość". Babcia przybyła na wieś zmęczona i w złym humorze, ale po kilku dniach otworzyła parasolkę i w towarzystwie Karmelka wielce zaciekawiona obeszła okolicę. Widziałam, jak przygląda się z uwagą powykrzywianym badylom i do jakichś tajemniczych torebek zbiera próbki ziemi. Dom, na planie litery "U", zbudowany z niewypalanej cegły i pokryty dachówką, wyglądał ciężko i solidnie, nie miał za grosz elegancji, za to przemawiał urokiem ścian, które były świadkiem wielu wydarzeń. Latem był to raj pełen drzew z gałęziami ciężkimi od słodkich owoców, aromatu kwiatów, śpiewu swawolnych ptaków i brzęczenia pracowitych pszczół, ale zimą, w chłodnej mżawce pod zasnutym chmurami niebem dom przypominał wiecznie narzekającą leciwą damę. Dzień zaczynał się bardzo wcześnie i kończył o zachodzie słońca, kiedy to zbieraliśmy się w ogromnych pokojach, źle oświetlonych świecami i lampami naftowymi. Było zimno, ale siadaliśmy wokół okrągłych, przykrytych grubymi obrusami stołów, pod którymi stawiano rozpalone węglowe piecyki, i w ten sposób grzaliśmy sobie stopy; piliśmy grzane czerwone wino z cukrem, skórką pomarańczową i cynamonem, gdyż był to jedyny sposób, żeby je w ogóle przełknąć. Wujostwo del Valle produkowali wino na użytek rodziny, tyle że babcia utrzymywała, że nie nadaje się ono dla ludzkich gardeł, tylko co najwyżej do rozpuszczania farb. We wszystkich szanujących się majątkach uprawiano winną latorośl i wytwarzano własne wino - jedno lepsze, inne gorsze -

to jednak było szczególnie kwaśne. Na drewnianych kasetonowych sufitach pająki tkwały swoje delikatne koronkowe obrusy, a po belkach stropu z niezmaconym spokojem biegały myszy, gdyż domowe koty nie były w stanie wdrapać się tak wysoko. Ściany, pobielone wapnem albo pomalowane na błękit indygo, były nagie, za to wszędzie stało mnóstwo figurek świętych i wizerunków Chrystusa na krzyżu. Przy samym wejściu rzucała się w oczy figura Matki Boskiej; miała głowę, ręce i stopy z drewna, oczy z niebieskiego szkła i prawdziwe, ludzkie włosy. Przed nią ustawiano zawsze świeże kwiaty i paliła się świeczka, a my, ilekroć tamtędy przechodziliśmy, robiliśmy znak krzyża; nie można było wejść ani wyjść, nie ukłoniwszy się Najświętszej Pani. Raz w tygodniu przebierano ją; miała całą szafę renesansowych sukien, na procesje zaś zakładano jej klejnoty i pelerynę z gronostajów, nieco draśniętą zębem czasu. Jadaliśmy cztery razy dziennie, a posiłki przypominały długie ceremonie, z których jedna jeszcze nie zdążyła się skończyć, a już zaczynała się następna, tak że moja babcia wstawiała od stołu tylko to po, żeby pójść spać albo do kaplicy. O siódmej rano uczestniczyliśmy w mszy i przyjmowaliśmy komunię z rąk ojca Teodora Riesco, który mieszkał u wujostwa; był to dość wiekowy duchowny, mający dar tolerancji; w jego oczach nie było takiego grzechu, którego nie można by wybaczyć, z wyjątkiem zdrady Judasza. Według niego nawet straszliwy Goday mógł znaleźć pociechę na łonie Pana. "Co to, to nie, ojczu, bo skoro dla Godoya ma być przebaczenie, to już wolę, abyśmy ja i wszystkie moje dzieci razem z Judaszem trafili do piekła" - wypaliła Nivea. Po zachodzie słońca rodzina zbierała się z dziećmi, służbą i dzierżawcami na modlitwę. Każde z nas brało zapaloną świecę i szliśmy gęsiego do skromnej kapliczki w południowym skrzydle domu. Polubiłam te codzienne rytuały, które wyznaczały rytm dnia, pory roku i etapy życia, bawiło mnie ustawianie kwiatów na ołtarzu i czyszczenie złotych kielichów. Święte słowa były czystą poezją:

*Nie dlatego kocham Cię, o Panie,
że mi jasne niebo obiecujesz,
ni dlatego, że - gdy Cię obrażę
przeraźliwe piekło mi zgotujesz.*

*Dla Twej męki kocham Cię, gdy widzę,
jak na Krzyżu wisisz upodlony,
kiedy patrzę na Twe rany święte
i okrutne śmierci bliskiej szpony.*

*Że bez niebios też bym Cię kochała,
Twoja miłość, Panie, to sprawiła,
iż bez piekieł także bym truchlała.*

*Bez Twych darów bym Cię uwielbiała;
choćbym nagród Twych nie dostąpiła,
i tak zawsze bym Cię miłowała.*

Sądzę, że coś musiało zmiękczyć twarde serce mojej babci, ponieważ od czasu tamtego pobytu na wsi powoli zbliżyła się do religii, zaczęła chodzić do kościoła dla

przyjemności, a nie tylko po to, żeby ją widziano, przestała przeklinać kler, jak to miała w zwyczaju, i w swoim domu w Santiago przy ulicy Ejercito Libertador kazała wybudować piękną kapliczkę z kolorowymi witrażami, w której modliła się na swój sposób. Katolicyzm specjalnie jej nie leżał, dlatego starała się przykroić go na swoją miarę. Po wieczornej modlitwie wracaliśmy ze świecami do dużego salonu, żeby się napić kawy z mlekiem, i podczas gdy kobiety robiły na drutach albo haftowały, my, dzieci, ze strachem słuchaliśmy bajek o duchach, jakie opowiadali nam wujowie. Nic nie przyprawiało nas o takie przerażenie jak *imbunche*, złośliwe stworzenie z indiańskiej mitologii. Powiadano, że Indianie wykradali noworodki i robili z nich *imbunches*: zaszywali im powieki i odbył, trzymali je w jaskiniach, karmili krwią, łamali im nogi, przekreślali głowę do tyłu i przewlekali jedno ramię przez skórę na plecach, i w ten sposób *imbunches* otrzymywały mnóstwo nadprzyrodzonych właściwości. Z obawy, żeby nie stać się pokarmem dla *imbunches*, po zachodzie słońca dzieci nie wystawiały nosa z domu, a niektóre, ja również, spały z głową pod kołdrą, dręczone koszmarami, od których włosy stawały na głowie. "Jakaś ty przesądna, Auroro! Nie ma żadnych *imbunches*. Sądysz, że jakiegokolwiek dziecko mogłoby przeżyć podobne tortury?" - próbowała przemówić mi do rozsądku babcia, jednak żaden argument do mnie nie trafił i szczękałam ze strachu zębami.

Jako że Nivea właściwie przez całe życie była brzemienna, nie przejmowała się zbytnio terminami i o bliskości porodu wnioskowała na podstawie tego, ile razy korzystała z nocnika. Kiedy przez dwie noce z rzędu wstawiała po trzynaście razy, przy śniadaniu oświadczyła wszem wobec, że już czas rozejrzeć się za jakimś lekarzem i rzeczywiście jeszcze tego samego dnia zaczęły się skurcze. W okolicy żadnych lekarzy nie było, ktoś zaproponował więc, aby wezwać wiejską akuszerkę, którą okazała się malownicza *meica*, Indianka z plemienia Mapuczów, w nieokreślonym wieku, cała utrzymana w tej samej brunatnej tonacji: jej skóra, warkocze, a nawet ubranie farbowane za pomocą barwników roślinnych, wszystko było tego samego brązowego koloru. Przyjechała konno z torbą leczniczych roślin, olejków i syropów, okryta płaszczem spiętym na piersi ogromną srebrną broszą ze starych monet z czasów Kolonii. Ciotki wpadły w panikę, gdyż wyglądała, jakby dopiero co wyszła z samego serca Araukanii, ale Nivea przywitała ją, nie okazując nieufności; nie bała się tego, co ją czekało, gdyż przechodziła to już wcześniej sześć razy. Indianka mówiła bardzo słabo po hiszpańsku, jednak wszystko wskazywało na to, że zna swoje rzemiosło, a kiedy zdjęła płaszcz, przekonaliśmy się, że jest czysta. Zgodnie z tradycją do pokoju położnicy nie wchodziły kobiety, które jeszcze nie rodziły, tak więc dziewczęta i dzieci odesłano do przeciwległego skrzydła domu, a mężczyźni zebrali się w salonie bilardowym, żeby grać, pić i palić. Niveę w towarzystwie Indianki zaprowadzono do największego pokoju. Pozostało z nią kilka starszych kobiet z rodziny, które na zmianę miały się modlić i służyć pomocą. Postawiono na kuchni garnek z dwiema czarnymi kurami, żeby przygotować pożywny rosół mający wzmocnić rodzącą, a także zaparzone zioła *borraja*, na wypadek gdyby wystąpiły u niej kłopoty z oddychaniem albo osłabienie serca. Ciekawość okazała się silniejsza od pogroźki babci, że jak przyłapie mnie na kręceniu się koło Nivei, dostanę lanie, i wymknęłam się przez tylne pokoje, żeby ukradkiem popatrzeć. Widziałam służące, które wносиły białe ręczniki i miski gorącej wody z olejkiem rumiankowym do

nacierania ciała, a także koce i węgiel do piecyków, ponieważ niczego tak się nie obawiano jak "lodowatego brzucha", czyli przeziębienia podczas porodu. Moich uszu dobiegał niemilkający hałas rozmów i śmiech; nie odnosiłam wrażenia, aby za drzwiami panował nastrój smutku czy cierpienia, wręcz przeciwnie, brzmiało to tak, jakby kobiety obchodziły jakieś swoje święto. Ponieważ z mojej kryjówki nic nie widziałam, a od podmuchów wiatru, które niczym widmo przebiegały korytarze, włosy jeżyły mi się na głowie, wkrótce zaczęłam się nudzić i poszłam pobawić się z kuzynami, jednak o zmierzchu, kiedy rodzina zebrała się w kaplicy, znowu podeszłam pod drzwi. W tym czasie wszelkie głosy już ucichły i słychać było tylko słabe pojękiwania Nivei, szmer modlitw i krople deszczu bijące o dachówki. Przycupnęłam skulona za zakrętem korytarza, drżąc ze strachu, gdyż byłam pewna, że mogą przyjść Indianie i wykraść dziecko Nivei... A jeśli *meica* była jedną z owych czarownic, które z noworodków robią *imbunches*? Jak Nivea mogła nie wziąć pod uwagę takiej przerażającej ewentualności? Już miałam rzucić się biegiem z powrotem do kaplicy, gdzie było światło i ludzie, ale w tym właśnie momencie któraś z kobiet wyszła po coś i zostawiła uchylone drzwi, tak więc mogłam zobaczyć, co się dzieje w pokoju. Nikt mnie nie widział, ponieważ korytarz pogrążony był w półmroku, natomiast w środku panowała jasność bijąca od dwóch łojowych lampek i porozstawianych wszędzie świec. Trzy rozpalone piecyki stojące w kątach pokoju powodowały, że było tu znacznie cieplej niż w pozostałej części domu, a liście eukaliptusa gotujące się w rondlu nasycaly powietrze świeżym zapachem lasu. Nivea, ubrana w krótką koszulę, kamizelkę i wełniane skarpetki, przysiadła na zgiętych kolanach na kocu i obiema rękami ścisnęła dwie grube liny zwisające z belek sufitu, podczas gdy *meica*, mrużąc pod nosem jakieś słowa w obcym języku, podtrzymywała ją od tyłu. Pękaty brzuch Nivei z zaznaczającymi się niebieskimi żyłami wyglądał w migotliwym świetle świec jak coś potwornego, jakby w ogóle nie należał do jej ciała ani w ogóle do człowieka. Złana potem Nivea parła; włosy przykleiły się jej do czoła, miała zamknięte i podkrążone oczy i nabrzmiałe wargi. Jedna z ciotek modliła się na klęczkach przy stoliku, na którym ustawiono małą figurkę Nienarodzonego Ramona, patrona położnic, jedyne świętego, który nie przyszedł na świat normalną drogą, lecz został wyciągnięty z otwartego jednym cięciem brzucha matki; druga ciotka stała obok Indianki z miską gorącej wody i stertą czystych ręczników. Nastąpiła krótka przerwa, podczas której Nivea nabrała powietrza, a *meica* przysiadła przed nią, żeby swymi ciężkimi dłońmi pomasować jej brzuch, jakby układała w nim dziecko. Nagle na koc spłynął strumień jakiegoś krwawego płynu. *Meica* położyła na kocu ręcznik, jakby go chciała wytrzeć, lecz ten również natychmiast nasiąkł płynem, a po nim jeszcze jeden i kolejny. "Błogosławieństwo, błogosławieństwo, błogosławieństwo" - usłyszałam słowa Indianki, wypowiedziane po hiszpańsku. Nivea wczepiła się w liny i zaczęła przec tak mocno, że zdawało się, iż ścięgną na szyi i żyły na piersiach zaraz jej pękną. Usłyszałam głucho wycie, a wtedy pomiędzy nóg Nivei wyłoniło się coś, co *meica* delikatnie przytrzymała, dopóki rodząca nie złapała tchu i znowu nie zaczęła przec, i po chwili ukazało się dziecko. Miałam wrażenie, że zemdleję z przerażenia i wstrętu, i na miękkich nogach opuściłam długi i ponury korytarz.

W godzinę później, podczas gdy służące zbierały do spalenia brudne ścierki i wszystko, czegokolwiek użyto w czasie porodu - wierzono, że w ten sposób unika się krwotoku - a *meica* pakowała łożysko i pępowinę, żeby zgodnie z obowiązującym w tych stronach zwyczajem zakopać je pod figowcem, cała rodzina zebrała się w salonie wokół ojca

Teodora Riesco, żeby podziękować Bogu za przyjście na świat bliźniaków, mężczyzn, którzy z honorem będą nosić nazwisko del Valle, jak się wyraził duchowny. Dwie ciotki trzymały na rękach noworodki otulone w wełniane kocyki, we włóczkowych czapeczkach na główkach, a wszyscy członkowie rodziny kolejno podchodzili i całowali je w czoło, mówiąc: "Niech go Bóg zachowa", co miało dać pewność, że nikt, nawet nieumyślnie, nie będzie mógł rzucić na nie uroku. Nie potrafiłam przywitać się z moimi kuzynami jak pozostali, bo wydawali mi się podobni do obrzydliwych robaków, a widok niebieskawego brzucha Nivei, wyrzucającego ich z siebie w postaci krwawej masy, miał mnie prześladować do końca życia.

W drugim tygodniu sierpnia przyjechał po nas Frederick Williams, jak zwykle elegancki i bardzo spokojny, jakby ryzyko wpadnięcia w łapy tajnej policji było jedynie zbiorową halucynacją. Babcia powitała męża niczym panna młoda, z błyskiem w oczach i policzkami zaczerwienionymi z emocji, wyciągnęła do niego obie dłonie, a on ucałował je z czymś więcej niż tylko szacunkiem; pierwszy raz zdałam sobie sprawę, że tę dziwną parę łączyło coś, co bardzo łatwo byłoby wziąć za czułość. Paulina del Valle miała wówczas około sześćdziesięciu pięciu lat, a więc osiągnęła wiek, w którym inne kobiety były już staruszkami, jednakże ona zdawała się nie dawać za wygraną. Farbowała włosy, co było z jej strony kokieterią, na którą żadna dama z jej otoczenia nie mogła sobie pozwolić, i za pomocą tresiek poprawiała wygląd fryzury; pomimo tuszy ubierała się z tą samą co zawsze próżnością i malowała się tak delikatnie, że nikt nie podejrzewał, iż rumieniec na jej policzkach albo czerń rzęs były sztuczne. Frederick Williams był znacznie młodszy od niej i kobietom musiał się wydawać bardzo atrakcyjny, gdyż zawsze w jego obecności poruszały wachlarzami i upuszczały chusteczki. Nigdy nie zauważyłam, aby odpowiadał na owe awanse, sprawiał wrażenie całkowicie oddanego swej małżonce. Wiele razy zadawałam sobie pytanie, czy stosunki między Frederickiem Williamsem a Pauliną del Valle były jedynie układem wygodnym dla obu stron, czy były tak platoniczne, jak wszyscy zakładali, czy też tych dwoje odczuwało do siebie pociąg fizyczny. Czy do czegoś między nimi doszło? Nikt się tego nie dowie, ponieważ on nigdy nie poruszył tego tematu, a moja babcia, która pod koniec życia potrafiła opowiadać mi o swoich najbardziej intymnych sprawach, zabrała odpowiedź na tamten świat.

Od wujka Fredericka dowiedzieliśmy się, że dzięki osobistej interwencji prezydenta don Pedro Tey został uwolniony, zanim Godoy zdążył zmusić go do złożenia zeznań, tak więc mogliśmy wrócić do domu w Santiago, jako że nazwisko naszej rodziny nigdy nie znalazło się na policyjnych listach. W dziewięć lat później, kiedy babcia Paulina umarła i znowu mogłam zobaczyć pannę Matilde Pinedę i don Pedra Teya, dowiedziałam się o szczegółach tego, co się stało, a których pocziwy Frederick Williams pragnął nam oszczędzić. Kiedy już splądrowano księgarnię, pobito pracowników, zrzucano setki książek na stos i podpalamo je, zabrano katalońskiego księgarza do ponurych lochów, gdzie potraktowano go w rutynowy sposób. Pod koniec przesłuchania Tey stracił świadomość, nie powiedziawszy ani słowa, wówczas wylano na niego kubel nieczystości, przywiązano go do krzesła i tak przesiedział całą noc. Nazajutrz, kiedy znowu prowadzono go na tortury, przybył amerykański dyplomata Patrick Egon w towarzystwie wysłannika prezydenta, żądając uwolnienia więźnia. Wypuszczono go, uprzedzając, że jeśli piśnie choć słowo o tym, co się

wydarzyło, czeka go pluton egzekucyjny. Ociekającego krwią i gównem Teya zaprowadzono do powozu dyplomaty, gdzie czekali już Frederick Williams i lekarz, i w charakterze azylanta zawieziono do poselstwa Stanów Zjednoczonych. W miesiąc później rząd upadł i don Pedro Tey opuścił placówkę dyplomatyczną, ustępując miejsca rodzinie obalonego prezydenta, który teraz znalazł tam schronienie. Księgarz chorował przez wiele miesięcy, aż w końcu rany zagoiły się, kości ramion odzyskały sprawność i mógł ponownie otworzyć swój sklepik z książkami. Okropności, jakie wycierpiał, nie osłabiły jego ducha, myśl o powrocie do Katalonii nawet mu nie zaświtała w głowie i jak zwykle pozostawał w opozycji, bez względu na to, jaki rząd aktualnie sprawował władzę. Kiedy po wielu latach dziękowałam mu za to, że zniósł tak straszliwe męki, żeby ochronić moją rodzinę, odpowiedział, że nie zrobił tego dla nas, tylko dla panny Matilde Pinedy.

Babcia Paulina chciała zostać na wsi aż do końca wojny, jednak Frederick Williams przekonał ją, że konflikt może potrwać całe lata, a my nie powinniśmy rezygnować z pozycji, jaką mamy w Santiago; prawda była taka, że majątek z jego pokornymi chłopami, wiecznymi sjeestami i stajniami pełnymi łajna i much wydawał mu się czymś znacznie gorszym od więzienia.

- Wojna domowa w Stanach Zjednoczonych trwała cztery lata, tyle samo może potrwać tutaj - powiedział.

- Cztery lata? Po czterech latach przy życiu nie zostałyby ani jeden Chilijczyk. Mój kuzyn Severo mówi, że w ciągu kilku miesięcy dziesięć tysięcy pada na polu bitwy, a ponad tysiąc ginie od strzału lub od ciosu nożem w plecy - odparła babcia.

Nivea, mimo iż ciągle jeszcze czuła się zmęczona podwójnym porodem, chciała wrócić z nami do Santiago i tak długo nalegała, aż w końcu babcia ustąpiła. Początkowo nie odzywała się do niej, mając żal o drukarnię, jednak całkowicie jej wybaczyła, kiedy zobaczyła chłopców. Wkrótce znowu pokonywaliśmy trasę do stolicy z tymi samymi tobołami, które przywieźliśmy kilka tygodni wcześniej, bogatsi o dwa noworodki, za to ubożsi o dwa ptaki, które padły po drodze ze strachu. Wieźliśmy ze sobą kosze z prowiantem i dzbanek z jakąś lura, którą Nivea miała pić dla uniknięcia anemii; było to stare wino zmieszane ze świeżą krwią młodego byczka, i już na samą myśl o tym zbierało się na wymioty. Nivea od kilku miesięcy nie miała żadnych wiadomości od męża i jak nam wyznała w chwili słabości, zaczynała upadać na duchu. Nigdy nie wątpiła, że Severo del Valle wróci z wojny cały i zdrowy, ma ona bowiem dar jasnowidzenia, pozwalający jej poznać swoje przeznaczenie. Tak jak zawsze wiedziała, że zostanie jego żoną (nawet wtedy, kiedy ją zawiadomił, że w San Francisco ożenił się z inną), tak samo wie, że zginą razem w wypadku. Wiele razy słyszałam, jak to mówiła; zdanie to weszło do repertuaru rodzinnych dowcipów. Bała się zostać na wsi, bo tam trudniej byłoby mężowi z nią się kontaktować, jako że w zawierusze wojennej poczta zwykła ginąć, zwłaszcza na prowincji.

Od kiedy pokochała Severa i ujawniła się jej nieokielznana płodność, Nivea zdała sobie sprawę, że jeśli będzie zachowywać się zgodnie z obowiązującymi normami przyzwoitości i przy okazji każdej ciąży i porodu zamykać się w domu, to spędzi tam resztę życia, postanowiła zatem nie robić tajemnicy z macierzyństwa i - ku oburzeniu "dobrego towarzystwa" - niczym jakaś bezwstydną chłopka obnosiła się ze swym pękatym brzuchem, i bez zbytnich ceregieli rodziła dzieci, zamykała się w domu zaledwie na trzy dni- zamiast czterdziestu, jak tego domagał się lekarz - i wszędzie, nawet na zebrania sufrażystek, chodziła

z orszakiem niemowląt i nianiek. Te ostatnie były młodymi dziewczętami ze wsi, których przeznaczeniem było służyć przez resztę życia, chyba żeby zaszły w ciążę albo znalazły sobie męża, co było mało prawdopodobne. Te pełne poświęcenia dziewczyny na służbie dorastały, schły i umierały; spały w brudnych pokojach bez okien i żywiły się resztkami z pańskiego stołu; uwielbiały dzieci, które przyszło im wychowywać, przede wszystkim chłopców, a kiedy ich panienki wychodziły za mąż, zabierały je ze sobą jako część posagu, aby nadal służyły drugiemu już pokoleniu.

W czasach, kiedy wszystko, co miało jakiś związek z macierzyństwem, było ukrywane, życie w pobliżu Nivei sprawiło, że już w wieku jedenastu lat wiedziałam o rzeczach, o których moje rówieśnice z najbliższego otoczenia nie miały zielonego pojęcia. Na wsi, kiedy zwierzęta się parzyły albo wydawały na świat młode, dzieci zaganiano do domu i zamykano okiennice, by te obrazki nie działały na szkodę ich wrażliwych duszyczek i nie zaszczipiały im w umysłach perwersyjnych myśli. I nie bez racji; widok rozognionego młodego ogiera dosiadającego klaczy, na jaki przypadkiem natknęłam się w majątku kuzynów, utrwalił się w mojej pamięci i jego wspomnienie do tej pory burzy mi krew. Dzisiaj dwadzieścia lat różnicy wieku między Niveą a mną nie ma już znaczenia i jest mi ona bardziej przyjaciółką niż ciotką; teraz dowiedziałam się, że coroczne porody nigdy nie stanowiły poważnej przeszkody w tym, co ona, brzemienna czy też nie, wyczyniała ze swoim mężem. Kiedy podczas jednej z naszych konfidencyjnych rozmów zapytałam ją, dlaczego miała tyle dzieci - piętnaścioro, z czego jedenaścioro żyje - odparła, że nie dało się tego uniknąć; żaden z mądrych sposobów francuskich matron w jej przypadku się nie sprawdził. Od strasznego wycieńczenia ocaliła ją dobra kondycja fizyczna i zdrowy rozsądek, który nakazywał jej uwolnienie się od wszelkich sentymentów. Wychowywała dzieci w ten sam sposób, w jaki zajmowała się sprawami domowymi: troskę o nie przekazywała komuś innemu. Ledwo wydała dziecko na świat, ciasno obwiązywała sobie piersi, a noworodka oddawała mamce; w jej domu było prawie tyle samo nianiek, co potomstwa. Łatwość, z jaką rodziła, jej dobre zdrowie i umiejętność uwalniania się od opieki nad dziećmi uratowały jej głęboką intymność z Severem; pomogły utrzymać tę namięną czułość, jaka ich łączy. Opowiadała mi, że zakazane książki z biblioteki wuja, które dokładnie przestudiowała, nauczyły ją fantastycznych sposobów uprawiania miłości; niektóre z nich nie wymagały wielkiego wysiłku i fantazji i nadawały się dla kochanków o ograniczonych zdolnościach akrobatycznych, tak jak to było w przypadku ich obojga; u niego - ze względu na kalectwo, u niej zaś - na brzuch rozdęty kolejną ciążą. Nie wiem, jakie są ulubione łamańce tej pary; wyobrażam sobie, że chwile największej rozkoszy nadal przeżywają wówczas, kiedy bawią się po ciemku, nie czyniąc najmniejszego hałasu, jakby razem z nimi była w pokoju zakonnica, u której grzeszna ciekawość toczy nierówną walkę z sennością ogarniającą ją po końskiej dawce waleriany.

Informacje o wojnie domowej podlegały ścisłej cenzurze, jednak i tak wiedziano o wszystkim, zanim jeszcze zdążyło się wydarzyć. O tym, że istnieje konspiracja, dowiedzieliśmy się, kiedy w naszym domu pojawił się potajemnie jeden z naszych kuzynów w towarzystwie dzierżawcy z majątku w charakterze służącego i strażnika. Po kolacji zamknął się na dłuższą chwilę w gabinecie z Frederickiem Williamsem i moją babcią, gdy tymczasem ja, siedząc w kącie, udawałam, że czytam, lecz nie uroniłam ani słowa z tego, o czym rozmawiali. Mój kuzyn był jasnowłosym przystojnym chłopakiem, impulsywnym i

sympatycznym, z lokami i oczami jak u kobiety. Wychował się na wsi i miał dobrą rękę do poskramiania koni; to jedyne, co o nim pamiętam. Opowiedział, że grupa młodych ludzi, w tym on, pragnąc wyrazić swój sprzeciw wobec rządu, zamierza wysadzić w powietrze kilka mostów.

- Komu przyszedł do głowy taki wspaniały pomysł? Macie jakiegoś przywódcę? - zapytała sarkastycznie babcia.

- Jeszcze nie, ale wybierzemy go, jak się spotkamy.

- A ilu was jest, synu?

- Koło setki, ale nie wiem, ilu przyjdzie. Nie wszyscy wiedzą, po co ich wezwaliśmy, później im to powiemy, tak będzie bezpieczniej, rozumie ciocia?

- Rozumiem. I wszyscy to takie paniczki jak ty? - dopytywała się coraz bardziej zaniepokojona babcia.

- Są też rzemieślnicy, robotnicy, ludzie ze wsi i kilku moich przyjaciół.

- Jaką macie broń? - zapytał Frederick Williams.

- Szable, noże i sędzę, że znajdzie się też kilka karabinów. Naturalnie proch będziemy musieli zdobyć.

- Wydaje mi się, że to jakaś piramidalna bzdura! - wybuchnęła moja babcia.

Usiłovali wybić mu to z głowy, a on udawał, że cierpliwie słucha, chociaż było oczywiste, że decyzja została już podjęta i chłopak nie zmieni zdania. Wychodząc, zapakował do skórzanej torby kilka sztuk broni palnej z kolekcji Fredericka Williama. W dwa dni później dowiedzieliśmy się, co się stało w pewnym majątku położonym w odległości kilku kilometrów od Santiago, gdzie wyznaczili sobie spotkanie rebelianci. Przez cały dzień zjeżdżali się do małej chatki pastuchów bydła, gdzie wydawało im się, że są bezpieczni, kilka godzin spędzili na dyskusjach, jednak widząc, że są tak słabo uzbrojeni i że cały plan nie trzyma się kupy, postanowili przełożyć akcję na później, spędzić tę noc na miłej zabawie i rano się rozjechać. Nie podejrzewali, że ktoś ich zadenuncjował. O czwartej nad ranem zaatakowało ich dziewięćdziesięciu kawalerzystów i czterdziestu żołnierzy piechoty wojsk rządowych, a cały manewr przeprowadzony został tak szybko i sprawnie, że okrażeni nie zdążyli nawet chwycić za broń, i poddali się w przekonaniu, że nic im nie grozi, bo nie popełnili dotąd żadnej zbrodni, poza tym, że urządzili zgromadzenie, nie mając na nie zezwolenia. Podczas strzelaniny podpułkownik stojący na czele oddziału stracił głowę i oszalały z wściekłości wywlókł z szeregu pierwszego więźnia i na oczach pozostałych uśmiercił go kulami i pchnięciami bagnetu, po czym wybrał dalszych ośmiu i zabił ich, strzelając im w plecy; ta rzeź trwała aż do chwili, gdy z nastaniem dnia okazało się, że na ziemi leży szesnaście zmasakrowanych ciał. Podpułkownik kazał otworzyć piwnice win majątku, po czym wydał żony wieśniaków na pastwę pijanych i rozzuchwalonych bezkarnością żołnierzy. Ci podpalili dom zarządcy, a jego samego poddali tak okrutnym torturom, że chcąc go rozstrzelać, musieli go posadzić na ziemi. Tymczasem rozkazy z Santiago krążyły w tę i z powrotem, a oczekiwanie nie uspokoiło umysłów żołdaków, przeciwnie - wzmogło żądzę przemocy. Następnego dnia, po wielu godzinach piekła, nadeszły instrukcje podpisane osobiście przez generała: "Wszystkich natychmiast rozstrzelać!". Tak też uczyniono. Pięcioma wozami zamierzano wywieźć ciała i wrzucić je do zbiorowej mogiły, lecz podniósł się taki krzyk, że ostatecznie wydano je rodzinom.

Babcia, wykorzystując swoją pozycję społeczną i wpływy, upomniała się o ciało

kuzyna, które przywieziono o zmierzchu owinięte w zakrwawiony płaszcz i złożono ostrożnie w jednym z pokoi, żeby doprowadzić je nieco do porządku, zanim zobaczą je matka i siostry. Siedząc na schodach, wysłedziłam, że przybył konno jakiś mężczyzna w czarnym surducie, z walizeczką, zamknął się w pokoju z nieboszczykiem, podczas gdy służące komentowały, że to mistrz w preparowaniu zwłok, który posługując się makijażem pakułami i tapicerską igłą, potrafi usunąć ślady rozstrzelania. Frederick Williams i babcia przerobili złoty salon na kapliczkę z zaimprovizowanym ołtarzem i żółtymi gromnicami w wysokich świecznikach. Kiedy o świcie zaczęły się zjeżdżać powozy z rodziną i przyjaciółmi, dom tonął w kwiatach, a nasz kuzyn, czysty, dobrze ubrany i bez śladów przebytego męczeństwa, spoczywał we wspaniałej mahoniowej trumnie ze srebrnymi okuciami. Kobiety w ciężkiej żałobie płakały i modliły się, mężczyźni planowali zemstę, służące roznosiły kanapki, jakby to był piknik, a my, dzieci, również ubrane na czarno, dusząc się od śmiechu, bawiłyśmy się, strzelając na niby do siebie nawzajem. Czuwanie przy ciałach zabitych rebeliantów trwało trzy dni, a dzwony kościelne były nieprzerwanie. Władze nie ośmieliły się interweniować. Pomimo ostrej cenzury nie było w kraju nikogo, kto by nie dowiedział się o tym wydarzeniu, wiadomość rozniosła się lotem błyskawicy i zgroza ogarnęła zarówno opozycję, jak i zwolenników rządu. Prezydent uchylił się od wszelkiej odpowiedzialności, tak jak to uczynił w przypadku innych haniebnych czynów popełnionych przez wojskowych i przez straszliwego Godoya.

- Zabijali ich z furją, jak rozjuszone zwierzęta. Czegóż innego można się było spodziewać? Żyjemy w kraju skąpanym we krwi - trafnie orzekła Nivea, raczej wściekła niż zasmucona, i zaczęła wyjaśniać, że licząc od początku wieku, mieliśmy pięć wojen; my, Chilijczycy, wydajemy się bezbronni i wyrobiliśmy sobie opinię bojaźliwych, nawet w naszej mowie stale używamy spieszceń ("kochaniu tka, paniusia mi da szklaneczkę wódeczki"), jednak przy pierwszej sposobności wychodzą z nas kanibale. żeby pojąć, skąd się bierze taka skłonność do brutalności, trzeba poznać nasz rodowód. Naszymi przodkami byli najlepiej zaprawieni w bojach i najokrutniejsi hiszpańscy konkwistadorzy, jedyni, którzy pieszo dotarli do Chile, w zbrojach rozgrzanych niemal do czerwoności w słońcu pustyni, pokonując po drodze najgorsze przeciwności, jakie tylko przyroda mogła im zgotować. Wymieszali się z Araukanami, równie walecznymi jak oni, będącymi jedynym nigdy nie podbitym narodem kontynentu. Indianie ci zjadali więźniów i swoich własnych przywódców, zwanych *toquis*, używali obrzędowych masek wykonanych z wysuszonej skóry swoich wrogów, zwłaszcza tych, którzy nosili brodę i wąsy - oni sami nie mieli zarostu - mszcząc się w ten sposób na białych, a ci z kolei palili ich żywcem, przebijali pikami, odcinali im ręce i wylupiali oczy. "Dosyć! Zabraniam ci wygadywać takie okropności przy mojej wnuczce" - przerwała jej babcia.

Rzeź młodych konspiratorów w decydującym stopniu przyspieszyła bieg wydarzeń. W następnych dniach rewolucjoniści wysadzili na ląd desant liczący dziewięć tysięcy mężczyzn, wspierany przez artylerię marynarki wojennej, i szybkim marszem skierowali się w stronę portu Valparaiso - bez ładu i porządku niczym horda Hunów. Jednak w owym niekontrolowanym chaosie najwyraźniej musiał być jakiś plan, ponieważ w ciągu zaledwie kilku godzin pokonali przeciwnika. Wojska rządowe straciły trzech z każdego dziesięciu mężczyzn, rebelianci zajęli Valparaiso i stamtąd ruszyli ku Santiago oraz na podbój reszty kraju.

Prezydent kierował wojną ze swego biura za pomocą telegrafu i telefonu, tyle że raporty, jakie dostawał, były zafałszowane, a jego rozkazy ginęły w poszumie fal radiowych, ponieważ większość telefonistek była po stronie rewolucjonistów. Wiadomość o klęsce prezydent usłyszał podczas kolacji. z niezmaconym spokojem skończył jeść, następnie polecił rodzinie poszukać schronienia w poselstwie amerykańskim, wziął szalik, płaszcz i kapelusz i w towarzystwie przyjaciela udał się piechotą do poselstwa Argentyny, mieszczącego się o kilka przecznic od pałacu prezydenckiego. Wcześniej znalazł tam azyl jeden z członków Kongresu będących w opozycji do jego rządu i mało brakowało, aby minęli się w drzwiach, kiedy jeden wchodził pokonany, a drugi, triumfujący, wychodził. Prześladowca stał się prześladowanym.

Rewolucjoniści ruszyli na stolicę wśród okrzyków tej samej ludności, która kilka miesięcy wcześniej oklaskiwała wojska rządowe; wystarczyło zaledwie parę godzin, aby mieszkańcy Santiago wylegli na ulice z czerwonymi przepaskami na ramionach, większość z nich - aby świętować, inni zaś - aby się ukryć, obawiając się najgorszego ze strony żołdaków i rozzuchwalonej tłuszczy. Nowe władze wezwały do współpracy na rzecz porządku i pokoju, co gawieź zrozumiała po swojemu. Potworzyły się bandy, mające swoich przywódców, które przeszły całe miasto z listami domów przeznaczonych do splądrowania, a każdy z nich zaznaczony został na mapie i opatrzony dokładnym adresem. Później opowiadano, że listy owe zostały sporządzone przez damy z najlepszego towarzystwa, powodowane złościwością i pragnieniem zemsty. Może to i prawda, choć muszę stwierdzić, że Paulina del Valle i Nivea nie były zdolne do takiego zachowania, pomimo ich nienawiści do obalonego rządu; wręcz przeciwnie, ukryły w domu parę prześladowanych rodzin, aby przeczekały tam, dopóki wzburzone umysły pospólstwa nie ochłonęły i nie powrócił nudny spokój czasów sprzed wojny domowej, za którym wszyscy tęsknili. Grabież Santiago była akcją metodyczną i nawet zabawną (oczywiście, kiedy patrzeć na to z dystansu). Przywódca bandy dawał sygnał dzwonkiem i wydawał instrukcje: "Tu możecie kraść, ale niczego nie zniszczcie, chłopaki", "Tutaj pozbierajcie mi dokumenty, a potem podpalcie dom", "Stąd możecie zabrać, co chcecie, i wszystko porozbijać". Członkowie "komisji" sumiennie wypełniali rozkazy, a jeśli w domu znajdowali się właściciele, kłaniali im się grzecznie, dowodząc znajomości dobrych manier, po czym radośnie przystępowali do grabieży. Otwierali biurka, wyciągali papiery i prywatne dokumenty, które wręczali szefowi, następnie siekierą rąbali meble, zabierali to, co im się podobało, a na koniec oblewali ściany naftą i podpalali. Obalony prezydent Balmaceda słyszał z pokoju w poselstwie Argentyny wrzawę rozruchów ulicznych; zredagował zatem swój testament polityczny i w obawie, aby jego rodzina nie musiała zapłacić ceny nienawiści, strzelił sobie w skroń. Ostatnią osobą, jaka widziała go przy życiu, była służąca, która poprzedniego dnia zaniósła mu kolację; nazajutrz o ósmej rano znaleziono go leżącego na łóżku w eleganckim ubraniu, z głową na zakrwawionej poduszce. Strzał ów natychmiast uczynił z niego męczennika i w następnych latach prezydent stał się symbolem wolności i demokracji, szanowanym nawet przez swoich najbardziej zaciętych wrogów. Jak powiedziała babcia, Chile to kraj, który ma złą pamięć. Podczas wojny domowej, która trwała kilka miesięcy, poległo więcej Chilijczyków niż w czasie czteroletniej wojny o Pacyfik.

Pośród owego zamętu do domu zawitał Severo del Valle, zarośnięty i zabłocony, szukając żony, której nie widział od stycznia. Zdziwił się niepomierne, ujrawszy dwoje nowych dzieci, ponieważ kiedy wyjeżdżał, Nivea w rewolucyjnym zamieszaniu zapomniała

mu powiedzieć, że jest w ciąży. Bliźniaki zaczynały przybierać na wadze i po kilku tygodniach nabrały w miarę ludzkiego wyglądu, nie były już takimi pomarszczonymi i niebieskimi poczwarkami jak w chwili narodzin. Nivea rzuciła się mężowi na szyję i wówczas pierwszy raz w życiu byłam świadkiem długiego pocałunku w usta. Zmieszana babcia próbowała odwrócić moją uwagę, jednakże bez powodzenia, gdyż do tej pory pamiętam ową scenę i wrażenie, jakie na mnie wywarła. Pocałunek ten wyznaczył początek burzliwego okresu mego dojrzewania. Od tej chwili przez kilka miesięcy działo się ze mną coś dziwnego, nie poznawałam tej wiecznie pogrążonej w myślach dziewczyny, jaką się stawałam, miałam wrażenie, że jestem uwięziona w moim zbuntowanym, domagającym się swego ciele, które rozrastało się i umacniało, cierpiało i pulsowało. Wydawało mi się, że ja cała stanowią jedynie przedłużenie mojego brzucha, owej jamy, którą wyobrażałam sobie jako krwawe wgłębienie, gdzie fermentowały płyny organiczne i rozwijała się jakaś obca i straszliwa flora. Ciągle miałam przed oczami obraz rodzącej w kucki w blasku świec Nivei, nie mogłam zapomnieć jej ogromnego brzucha zwieńczonego sterczącym pępkiem ani chudych ramion uczepionych lin zwisających z sufitu. Ni stąd, ni zowąd, bez żadnego wyraźnego powodu wybuchałam płaczem, miewałam ataki niepowstrzymanego gniewu albo budziłam się tak zmęczona, że nie miałam siły wstać z łóżka. Sny o dzieciach w czarnych piżamach pojawiały się teraz z większą intensywnością i częstotliwością; śnił mi się również jakiś delikatny mężczyzna pachnący morzem, który brał mnie w ramiona; budziłam się wtedy, tuląc do siebie poduszkę i rozpaczliwie pragnąc, aby ktoś pocałował mnie tak, jak Severo del Valle pocałował swoją żonę. Z zewnątrz rozbiegało mnie z gorąca, w środku zaś czułam chłód, już nie mogłam spokojnie czytać ani się uczyć; chciało mi się wyć, puszczałam się więc biegiem przez ogród, zataczając kółka jak opętana, wchodziłam w ubraniu do sadzawki, deptając nenufary i strasząc czerwone ryby będące dumą mojej babci. Prędko odkryłam najczulsze miejsca mego ciała i pieściłam się potajemnie, nie pojmując, dlaczego to, co z pewnością było grzechem, wpływało na mnie kojąco. Zaczynam wariować, stwierdziłam z przerażeniem, podobnie jak wiele innych dziewcząt, które wpadają w histerię, jednak nie ośmieliłam się porozmawiać o tym z babcią. Ona również się zmieniała; podczas gdy moje ciało rozkwitało, jej - wysychało, toczone tajemniczymi chorobami, o których z nikim nie rozmawiała, nawet z lekarzem, wierna swej teorii, że wystarczy prosto się trzymać i nie wydawać nieprzyzwoitych dźwięków typowych dla staruszki, aby starcza zgrzybiałość nie miała do niej dostępu. Z trudem znosiła swoją tuszę, cierpiała na żyłaki, bolały ją kości, brakowało jej powietrza i siusiała po kropelce - wszystkich tych dolegliwości domyśliłam się na podstawie drobnych oznak, chociaż ona utrzymywała je w sekrecie. Panna Matilde Pineda byłaby mi wielce pomocna w przejściu do dorosłości, jednak wyrzucona przez babcię zniknęła całkowicie z mego życia. Również Nivea wyjechała z mężem, dziećmi i niańkami, tak samo beztraska i wesoła jak wtedy, kiedy się zjawiała, pozostawiając w domu straszliwą pustkę. Było za dużo pokoi i za mało hałasu; bez niej i bez dzieci rezydencja mojej babci przekształciła się w mauzoleum.

Santiago uczciło obalenie rządu niekończącą się serią pochodów, uroczystości, kotylicjonów i bankietów; babcia nie została w tyle, ponownie otworzyła dom i próbowała powrócić do życia towarzyskiego i swoich wieczorków, jednak panowała przygnębiająca atmosfera, której nawet wrzesień ze swą cudowną wiosną nie zdołał odmienić. Tysiące zabitych, zdrady i grabieże ciążyły zarówno zwycięzcom jak i zwyciężonym. Czuliśmy

wstyd: wojna domowa jawiła się nam jako krwawa orgia.

Był to dziwny okres w moim życiu; zmieniło mi się ciało, dusza się wzbogaciła i zaczęłam na serio zadawać sobie pytanie, kim jestem i skąd pochodzę. Spowodował to powrót Matiasa Rodrigueza de Santa Cruz, mego ojca, chociaż tego, że on jest moim ojcem, wtedy jeszcze nie wiedziałam. Powitałam go jako wujka Matiasa, którego poznałam przed laty w Europie. Już wtedy wydawał mi się słabego zdrowia, a kiedy ujrzałam go ponownie, nie poznałam go; w swoim fotelu na kółkach wyglądał jak jakiś niedożywiony ptak. Przywiozła go piękna dojrzała kobieta o obfitych kształtach i mlecznej cerze, ubrana w prostą suknię z popeliny w kolorze musztardy i wyblakły szal narzucony na ramiona. Najbardziej rzucały się w oczy jej niesforne, szare kręcone włosy, splecione i zebrane na karku cienką wstążką. Wyglądała jak dawna skandynawska królowa na wygnaniu, łatwo było ją sobie wyobrazić na rufie łodzi wikingów, płynącej pośród tafli kry.

Paulina del Valle odebrała telegram z wiadomością, że jej najstarszy syn wysiadzie na ląd w Valparaiso, i natychmiast przystąpiła do akcji, pragnąc znaleźć się w porcie ze mną, wujkiem Frederickiem i tradycyjną resztą świty. Wyjechaliśmy na spotkanie specjalnym wagonem, który angielski zarządca kolei żelaznej oddał nam do dyspozycji. Wagon wyłożony był połyskliwym drewnem, miał okucia z polerowanego brązu i aksamitne fotele w kolorze byczej krwi; obsługiwało go dwóch umundurowanych służących, którzy odnosili się do nas tak, jakbyśmy byli członkami rodziny królewskiej. Zamieszkaliśmy w hotelu nad morzem i czekaliśmy na statek, który miał przybić następnego dnia. Na nabrzeże przybyliśmy tak elegancko ubrani, jakbyśmy mieli być świadkami na ślubie; mogę zapewnić o tym z takim przekonaniem, gdyż jestem w posiadaniu zdjęcia zrobionego w porcie na krótko przed przybyciem statku. Paulina del Valle ma na sobie suknię z jasnego jedwabiu z mnóstwem falbanek i draperii oraz sznury pereł, na głowie ogromny kapelusz z szerokim rondem, zwieńczony kaskadą piór, które opadają jej na czoło, a w ręce trzyma otwartą parasolkę, żeby osłonić się od słońca. Jej mąż Frederick Williams ubrany jest w czarny garnitur i cylinder, opiera się na lasce; ja jestem cała w bieli, we włosach mam organdynową wstążkę i wyglądam jak prezent na urodziny. Zrzucano trap, kapitan osobiście zaprosił nas na pokład i z wielką paradą zaprowadził do kabiny don Matiasa Rodrigueza de Santa Cruz.

Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewała się moja babcia, było to, że będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Amandą Lowell. Niemile zaskoczenie o mało jej nie zabiło; obecność dawnej rywalki wstrząsnęła nią znacznie bardziej niż żaloszny widok, jaki przedstawiał sobą jej syn. W owym czasie nie posiadałam jeszcze wystarczająco dużo informacji, aby móc zinterpretować reakcję babci; sądziłam, że dostała zadyszki z gorąca. Natomiast flegmatycznemu Frederickowi Williamsowi na widok Amandy Lowell nawet nie zadrżała powieka, skinął jej głową krótko, ale uprzejmie, po czym w skupieniu usadowił babcie w fotelu i podał jej wodę, podczas gdy Matias przyglądał się całej scenie z niejakim rozbawieniem.

- Co tu robi ta kobieta? - wymamrotała babcia, kiedy ponownie złapała oddech.

- Przypuszczam, że chcą państwo porozmawiać w rodzinnym gronie, pójdę się przewietrzyć - powiedziała królowa wikingów i wyszła, nie utraciwszy ani trochę ze swej godności.

- Panna Lowell jest moją przyjaciółką, powiedzmy, że jest moją jedyną przyjaciółką, mamó. Towarzyszyła mi aż tutaj, bez niej nie mógłbym podróżować. To ona nalegała, abym powrócił do Chile, uważa, że lepiej, abym umarł na łonie rodziny niż w opuszczeniu w jakimś paryskim szpitalu - odezwał się Matias jakąś skomplikowaną hiszpańszczyzną z silnym francusko-saksońskim akcentem.

Wówczas Paulina del Valle spojrzała na niego i zdała sobie sprawę, że z jej syna pozostał już tylko szkielet powleczonej węzową skórą; Matias miał szkliste, głęboko zapadnięte oczy i policzki tak wychudzone, że widać było pod nimi zarys zębów. Siedział bezwładnie w fotelu wsparty na poduszkach, ze stopami okrytymi szalem. Wyglądał jak jakiś zagubiony i smutny staruszek, chociaż w rzeczywistości miał niewiele ponad czterdzieści lat.

- Boże mój, Matias, co ci jest? - zapytała przerażona babcia.

- Nic, co by można wyleczyć, mamó. Domyślasz się, że musiały zaistnieć bardzo poważne powody, żebym tu wrócił.

- Ta kobieta ...

- Znam całą tę historię Amandy Lowell i mojego ojca; zdarzyła się trzydzieści lat temu i w innym świecie. Nie możesz zapomnieć swojej urazy? Wszyscy jesteśmy już w wieku, kiedy powinniśmy odrzucić sentymenty, które niczemu nie służą, a zachować jedynie te, które pomagają nam żyć. Jednym z nich jest tolerancja, mamó. Wiele zawdzięczam pannie Lowell; jest przy mnie od ponad piętnastu lat...

- Jest przy tobie? A cóż to znaczy?

- To, co słyszysz: jest przy mnie. Nie jest moją pielęgniarzką ani żoną, nawet nie jest już kochanką. Jest przy mnie w podróżach, w życiu, i teraz, jak widzisz, będzie przy mojej śmierci.

- Nie mów tak! Nie umrzesz, synu, zadbamy tu o ciebie jak należy i wkrótce będziesz chodził zdrow i cały ... - zapewniała Paulina del Valle, ale głos jej się załamał i nie mogła dalej mówić.

Minęło trzydzieści lat od czasu, kiedy mój dziadek Feliciano Rodriguez de Santa Cruz miał romans z Amandą Lowell, którą babcia widziała tylko kilka razy, i to z daleka, jednak natychmiast ją rozpoznała. Nie bez powodu: wszak każdą noc spędzała w groteskowym łóżu, które zamówiła we Florencji, aby wyzwać w ten sposób Amandę na pojedynek, i fakt ten zapewne co chwila przypominał jej o furii, w jaką wpadła, gdy dotarła do niej wieść o kochance męża. Kiedy kobieta owa stanęła przed nią, postarzała i wyzbyta wszelkiej próżności, nie przypominając bynajmniej owej wspaniałej klaczy, która kołyszącym ruchem swego zadu potrafiła zatrzymać ruch na ulicach San Francisco, Paulina nadal widziała w niej tamtą niebezpieczną rywalkę sprzed lat. Wściekłość na Amandę Lowell drzemała, czekając na odpowiedni moment, aby się ujawnić, lecz teraz kiedy Paulina usłyszała słowa syna, daremnie próbowała w zakamarkach swej duszy tę złość odnaleźć. Odezwał się za to instynkt macierzyński, który nigdy nie był mocną cechą jej charakteru, a który teraz dochodził do głosu, przybierając postać absolutnego i nieznośnego współczucia. A było ono tak wielkie, że obejmowało nie tylko jej umierającego syna, ale i tę kobietę, która od lat mu towarzyszyła, kochała go z lojalnością i oddaniem, dbała o niego w nieszczęściu i chorobie, a teraz przejechała pół świata, żeby go jej przywieźć w godzinie śmierci. Paulina del Valle zastygła w fotelu ze wzrokiem utkwionym w swego biednego Matiasa, a po jej policzkach płynęły

ciche łzy. Nagle wydała się mniejsza, postarzała i krucha, a ja poklepywałam ją pocieszająco po plecach, nie rozumiejąc zbyt wiele z tego, co się dzieje. Frederick Williams prawdopodobnie bardzo dobrze znał moją babcie, gdyż bezszelestnie wymknął się ukradkiem, odszukał Amandę Lowell i przyprowadził ją z powrotem do saloniku.

- Przepraszam, panno Lowell - wymamrotała babcia ze swego fotela.

- To ja przepraszam, senora - odparła tamta, podchodząc nieśmiało, aż stanęła twarzą w twarz z Pauliną del Valle.

Z oczami pełnymi łez podały sobie ręce, jedna na siedząco, a druga stojąc, i patrzyły na siebie przez chwilę, która wydawała mi się wiecznością, aż w końcu zauważyłam, że ramiona babci drżą, i zrozumiałam, że się cichutko śmieje. Tamta, początkowo speszona, popatrzyła na swoją rywalkę i również się roześmiała, a w kilka sekund później obie pokładały się ze śmiechu i zarażały wzajemnie niepohamowaną i histeryczną wesołością, zmazując nią całe lata nie potrzebnej zazdrości, obróconą wniwecz urazę, mężowską zdradę i inne odrażające wspomnienia.

W burzliwych latach rewolucji dom przy ulicy Ejercito Libertador przyjął pod swój dach wiele osób, jednak nic nie było dla mnie tak trudne i emocjonujące jak przybycie mego ojca, który przyjechał, żeby umrzeć. Kiedy ucichły echa wojny domowej, która położyła kres długoletnim rządóm liberalnym, sytuacja polityczna uspokoiła się. Rewolucjoniści wywalczyli zmiany, dla których przelano tak wiele krwi: przedtem rząd narzucał swego kandydata za pomocą przekupstwa i zastraszenia, mając poparcie władz cywilnych i wojskowych, teraz łapówkarstwem trudnili się właściciele ziemscy, księża i partie polityczne; taki system był sprawiedliwszy, ponieważ to, co trzeba było zapłacić jednej stronie, odbijano sobie na drugiej, i w ten sposób na korupcję nie przeznaczano funduszy publicznych. Nazwano to "wolnością wyborczą". Rewolucjoniści wprowadzili również system parlamentarny na wzór Wielkiej Brytanii, który jednak nie miał zbyt długiego żywota. Jesteśmy Anglikami Ameryki, stwierdziła kiedyś babcia, na co Nivea natychmiast odparła, że to Anglicy są Chilijczykami Europy. W każdym razie eksperyment parlamentarny nie mógł się udać w kraju rządzonym przez kacyków; ministrowie zmieniali się tak często, że nie sposób było się w tym połapać. W końcu ów polityczny taniec świętego Wita przestał w naszej rodzinie kogokolwiek interesować poza Niveą, która w towarzystwie dwóch czy trzech dam, równie rozentuzjzmowanych co ona, dla zwrócenia uwagi na ruch sufrażystek przykuwała się łańcuchami do parkanu siedziby Kongresu, wywołując drwiny przechodniów, wściekłość policji i zawstydzienie małżonka.

- Kiedy kobiety zdobędą prawo wyborcze, będą głosować jednomyślnie. Będziemy miały taką siłę, że potrafimy przechylić szalę władzy na naszą stronę i zmienić ten kraj - mówiła.

- Mylisz się, Niveo, zagłosują tak, jak im każe mąż albo spowiednik; kobiety są znacznie głupsze, niż ci się wydaje. A z drugiej strony niektóre z nas królują z za tronu, sama widzisz, jak obaliłyśmy poprzedni rząd. Ja nie muszę być sufrażystką, żeby robić to, na co mam ochotę - odpierała ataki babcia.

- Bo ciocia jest bogata i wykształcona. A ile takich jest? Musimy walczyć o prawo głosu, to jest najważniejsze.

- Straciłaś głowę, Niveo.
- Jeszcze nie, ciociu, jeszcze nie ...

Ponieważ mój ojciec nie mógł wchodzić po schodach, umieszczono go na parterze w jednym z salonów przerobionym na sypialnię i zatrudniono dla niego pielęgniarkę, która niczym cień nie odstępowała go we dnie i w nocy. Lekarz rodzinny postawił poetycką diagnozę: "przewlekłe wzburzenie krwi", i tak przekazał to mojej babci, bo wolał zataić przed nią prawdę. Przypuszczam, że dla wszystkich było jasne, że mego ojca toczy choroba weneryczna. Był na ostatnim etapie, kiedy nic nie mogło mu pomóc, ani okłady, ani plastry, ani sublimat; na etapie, którego za wszelką cenę próbował uniknąć, jednak musiał go przeżyć, gdyż zabrakło mu odwagi, żeby wcześniej samemu odebrać sobie życie, jak to całymi latami planował. Tak go bolały kości, że ledwo się poruszał, nie mógł chodzić i myślenie przychodziło mu z coraz większym trudem. W niektóre dni trwał pogrążony w koszmarnych snach, z których nie do końca się budził, mamrocząc jakieś niezrozumiałe opowieści, chociaż miewał także momenty, kiedy morfina łagodziła udękę i jego umysł pracował bardzo sprawnie, a on sam śmiał się i snuł wspomnienia. Wtedy wzywał mnie i prosił, bym usiadła obok niego. Takie dni spędzał zwykle w fotelu przyoknie, podparty poduszkami, patrząc na ogród, wśród książek, czasopism i tac z lekarstwami. Opiekunka siadała nieopodal z robótką w ręku, zawsze czujna na jego potrzeby, cicha i zachowująca rezerwę niczym wróg, ale była to jedyna osoba, jaką przy sobie tolerował, gdyż nie okazywała mu litości. Babcia postarała się, aby otoczenie jej syna było wesołe, powiesiła wzorzyste zasłony z krepdeszyny i położyła tapetę w kolorze żółtym, na stołach ustawiała kwiaty świeżo ścięte w ogrodzie, a także zatrudniła kwartet smyczkowy, który kilka razy w tygodniu przychodził zagrać mu jego ulubione melodie, jednak nic nie było w stanie usunąć zapachu medykamentów; czuło się też, że w tym pokoju coś się rozkłada. Początkowo ten żywy trup napawał mnie wstrętem, jednak kiedy udało mi się pokonać strach i zmuszona przez babcię, zaczęłam go odwiedzać, w moim życiu nastąpiła zmiana. Matias Rodriguez de Santa Cruz pojawił się w domu dokładnie w chwili, gdy weszłam w okres dojrzewania, i dał mi to, czego potrzebowałam: pamięć. Podczas jednego z owych przeblysków świadomości, kiedy znajdował się pod kojącym wpływem narkotyków, oświadczył, że jest moim ojcem, i odkrycie to dokonało się tak mimochodem, że nawet mnie nie zaskoczyło.

- Lynn Sommers, twoja matka, była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem. Cieszę się, że nie odziedziczyłaś po niej urody - powiedział.
- Dlaczego, wujku?
- Nie mów do mnie "wujku", Auroro. Jestem twoim ojcem. Piękność zazwyczaj jest przekleństwem, gdyż budzi w mężczyznach najgorsze namiętności. Kobieta, która jest zbyt piękna, nie zdoła uciec przed pożądaniem, jakie wzbudza.
- To prawda, że jesteś moim ojcem?
- Prawda.
- Też coś! Myślałam, że moim ojcem jest wujek Severo.
- Severo powinien nim być, jest znacznie lepszym człowiekiem ode mnie. Twoja matka zasługiwała na męża takiego jak on. Ja zawsze byłem lekkoduchem, dlatego jestem w takim stanie, w jakim mnie widzisz; wyglądam jak strach na wróble. W każdym razie on może opowiedzieć ci o niej znacznie więcej niż ja.
- Czy mama cię kochała?

- Tak, ale ja nie wiedziałem, co zrobić z tą miłością, i uciekłem. Jesteś za młoda, żeby zrozumieć takie rzeczy, córko. Wystarczy, jak się dowiesz, że miałaś cudowną matkę i że szkoda, że umarła tak młodo.

Przyznałam mu rację; chciałam jak najwięcej wiedzieć o matce, ale bardziej ciekawiły mnie inne osoby z mojego wczesnego dzieciństwa, które pojawiały mi się w snach albo w na wpół zatartych wspomnieniach, których nie sposób było sprecyzować. z rozmów z ojcem zaczęła wyłaniać się postać dziadka Tao Chi'ena, którego Matias widział tylko raz. Wystarczyło, że wymienił jego imię i nazwisko i powiedział, że był to wysoki i przystojny Chińczyk, aby moje wspomnienia rozsypały się i zaczęły układać w logiczną całość.

Otrzymał imię, dziadek - jego niewidzialna obecność, jaka stale mi towarzyszyła - przestał być wytworem mojej wyobraźni, a stał się duchem tak rzeczywistym jak osoba z krwi i kości. Na wieść o tym, że ten delikatny mężczyzna pachnący morzem, którego sobie wyobrażałam, nie tylko istniał, ale w dodatku mnie kochał, i jeśli nagle zniknął, to nie dlatego, iżby chciał mnie opuścić, poczułam ogromną ulgę.

- Z tego co wiem, Tao Chi'en umarł - wyjaśnił ojciec.

- Jak umarł?

- Wydaje mi się, że to był wypadek, ale nie jestem pewien.

- A co się stało z moją babcią Elizą Sommers?

- Wyjechała do Chin. Pomyślała, że lepiej ci będzie u mojej rodziny, i nie pomyliła się. Moja matka zawsze chciała mieć córkę i wychowała cię, okazując ci znacznie więcej miłości niż moim braciom i mnie - zapewnił.

- A co to znaczy "Lai-Ming"?

- Nie mam pojęcia, a dlaczego pytasz?

- Bo czasami wydaje mi się, że słyszę to słowo ...

Matias miał kości zniszczone chorobą, szybko się męczył i niełatwo było wyciągnąć od niego jakieś informacje; gubił się w wiecznych dywagacjach, które nie miały nic wspólnego z tym, co mnie interesowało, jednak powoli, ścieg za ściegiem zszywałam kawałki przeszłości, a robiłam to zawsze za plecami babci, która była mi bardzo wdzięczna, że odwiedzam chorego, gdyż sama nie miała dosyć odwagi, żeby to zrobić; wchodziła do pokoju syna kilka razy dziennie, składała na jego czole pospieszny pocałunek i wychodziła, potykając się, z oczami pełnymi łez. Nigdy nie zapytała, o czym rozmawiamy, a ja, oczywiście, nigdy jej tego nie powiedziałam. Nie ośmieliłam się również poruszyć tego tematu w obecności Severa i Nivei del Valle; obawiałam się, że najmniejsza niedyskrecja z mojej strony mogłaby położyć kres moim pogawędkom z ojcem. Nie uzgadniając tego między sobą, oboje zdecydowaliśmy, że nasze rozmowy muszą pozostać tajemnicą; to połączyło nas dziwnym poczuciem współwiny. Nie mogę powiedzieć, że pokochałam mego ojca, gdyż nie było na to dość czasu, jednak w ciągu tych kilku krótkich miesięcy, jakie dane nam było spędzić razem, opowiadając mi szczegóły mojej historii, przede wszystkim dotyczące mojej matki Lynn Sommers, ofiarował mi wielki skarb. Wiele razy powtarzał, że w moich żyłach płynie prawowita krew rodziny del Valle; wydawało się, że przywiązywał do tego bardzo dużą wagę. Później dowiedziałam się, że dzięki sugestii Fredericka Williama, który wywierał duży wpływ na każdego z członków tej rodziny, jeszcze za życia przepisał na mnie przypadającą mu część rodzinnego majątku (złożoną na licznych kontach w bankach i ulokowaną w akcjach); uczynił to ku wielkiemu rozczarowaniu pewnego duchownego, który

odwiedzał go codziennie w nadziei, iż skapnie mu coś na potrzeby Kościoła. Był to chrząkający i otoczony aureolą świętości mężczyzna - nie kapał się ani nie zmieniał sutanny od lat - słynący ze swej nietolerancji religijnej i talentu do wyszukiwania zamożnych, stojących nad grobem osób, które przekonywał, aby swoje fortuny przekazywały na cele dobroczynne. Dobrze sytuowane rodziny na jego widok wpadały w panikę, gdyż był zwiastunem śmiej, nikt nie miał odwagi zatrzasnąć mu drzwi przed nosem. Kiedy mój ojciec zdał sobie sprawę, że jego dni są policzone, zawołał Severa del Valle, z którym praktycznie nie rozmawiał, aby wspólnie postanowić o mojej przyszłości. W obecności wezwanego do domu notariusza obaj podpisali dokument, w którym Severo zrzekł się władzy ojcowskiej, a Matias Rodriguez de Santa Cruz uznał mnie za swoją córkę. W ten sposób uchronił mnie przed chciwością pozostałych dwóch synów Pauliny, swych młodszych braci, którzy po śmierci babci w dziewięć lat później zagarnęli wszystko, co mogli.

Babcia zapalała do Amandy Lowell sympatią, której źródłem był przesąd; wierzyła, że dopóki ona będzie blisko, Matias będzie żył. Paulina z nikim nie wchodziła w bliższą zażyłość z wyjątkiem - czasami - mnie; uważała, że ludzie w większości są beznadziejnie głupi, i mówiła to wszystkim dokoła, co nie było najlepszym sposobem na zjednywanie sobie przyjaciół, jednak tej szkockiej kurtyzanie udało się przebić skorupę, za jaką babcia się ukrywała. Trudno wyobrazić sobie dwie kobiety, które bardziej by się od siebie różniły. Panna Lowell nie miała żadnych ambicji, żyła z dnia na dzień, swobodna, wolna, bez obaw; nie bała się nędzy, samotności ani tego, że kiedyś będzie zgrzybiałą staruszką, wszystko przyjmowała z dobrodziejstwem inwentarza, życie było dla niej zabawną podróżą, która nieuchronnie prowadzi do starości i śmierci; gromadzenie dóbr nie ma sensu, bo tak czy inaczej do grobu idzie się nago, twierdziła. Gdzieś daleko została młoda uwodzicielka, która w San Francisco złamała tyle serc, piękność, która podbiła Paryż; teraz była kobietą dźwigającą piąty krzyżyk na grzbiecie, pozbawioną wszelkiej kokieterii i wyrzutów sumienia. Babcia bez końca mogła słuchać jej opowieści o dawnych czasach, o sławnych ludziach, których znała, i przeglądać z nią albumy z wycinkami z prasy i zdjęciami; na wielu z nich widać ją było młodą, promienną, z węzem boa owiniętym wokół szyi. Umarł, biedak, na chorobę morską; węże nie są dobrymi podróżnikami, opowiadała. Jej kosmopolityczna kultura i atrakcyjność (dzięki którym, nawet nie mając takiego zamiaru, była w stanie pobić na głowę kobiety znacznie od siebie młodsze i piękniejsze) sprawiły, że stała się duszą towarzystwa podczas babcinych wieczorków; zabawiała wszystkich zebranych, posługując się bardzo kiepską hiszpańszczyzną lub mówiąc po francusku z silnym szkockim akcentem. Nie było tematu, na jaki nie mogłaby dyskutować, książki, której by nie czytała, ważniejszego miasta Europy, którego by nie znała. Mój ojciec, który ją kochał i wiele jej zawdzięczał, mawiał, że jest dyletantką, wie o wszystkim po trochu i wszystko o niczym, ale ma aż za dużo wyobraźni, aby sobie dośpiewać to, czego jej brakuje pod względem wiadomości albo doświadczenia. Dla Amandy Lowell nie było bardziej eleganckiego miasta od Paryża ani też bardziej wytwornego towarzystwa niż francuskie; uważała, że socjalizm ze swym katastrofalnym brakiem elegancji nigdy nie będzie dla Francuzów atrakcyjny. W tej kwestii Paulina del Valle podzielała jej zdanie w całej rozciągłości. Obie kobiety odkryły, że nie tylko śmieją się z tych samych głupstw (ze sławnym łóżem Pauliny włącznie), ale także zgadzają

się niemal we wszystkich zasadniczych sprawach. Pewnego dnia, pijąc herbatę przy marmurowym stolicku na werandzie z kutego żelaza i szkła, obie wyraziły żal, że nie poznały się wcześniej, bo czy z Felicianem i Matiasem, czy też bez nich, byłyby bardzo dobrymi przyjaciółkami, stwierdziły. Paulina zrobiła wszystko, co mogła, żeby zatrzymać ją w domu, obsypała prezentami i przedstawiła w towarzystwie jak jakąś cesarzową, jednakże Amanda była ptakiem niezdolnym do życia w niewoli. Została na kilka miesięcy, lecz w końcu na osobności wyznała babci, że nie ma serca patrzeć na stale pogarszający się stan Matiasa, a ponadto, szczerze mówiąc, Santiago wydaje jej się prowincjonalnym miasteczkiem pomimo luksusu i ostentacji klasy wyższej, którą dałoby się porównać z europejską szlachtą. Nudziła się, jej miejsce było w Paryżu, gdzie spędziła najlepsze lata życia. Babcia chciała na pożegnanie Amandy wyprawić bal, który przeszedłby do historii Santiago i w którym wzięłoby udział doborowe towarzystwo, gdyż nikt nie ośmieliłby się odrzucić zaproszenia Pauliny del Valle pomimo krążących plotek na temat mglistej przeszłości jej gościa, ale Amanda Lowell przekonała ją, że Matias jest zbyt ciężko chory i przyjęcie organizowane w takich okolicznościach byłoby w bardzo złym guście, a w dodatku nie ma co na siebie włożyć na taką okazję. Paulina w najlepszej intencji zaoferowała jej swoje suknie, nie przypuszczając nawet, że panna Lowell poczuje się tym dotknięta, bo wyszło na to, że obie noszą ten sam rozmiar.

W trzy tygodnie po wyjeździe Amandy Lowell służąca, która opiekowała się moim ojcem, podniosła alarm. Natychmiast wezwano lekarza; w jednej chwili dom wypełnił się ludźmi, przedefilowali przez niego przyjaciele babci, członkowie rządu, krewni, niezliczona liczba braci i sióstr zakonnych, przyszedł nawet ów ksiądz łowca spadków, odziany w łachmany, który teraz krążył wokół babci, w nadziei że z bólu po stracie syna ona również wkrótce przeniesie się do lepszego świata. Tymczasem Paulina nie zamierzała jeszcze żegnać się z tym światem; już dawno pogodziła się z tragedią swego najstarszego syna i sądzę, że jej koniec powitała z ulgą, gdyż patrzeć na powolną mękę Matiasa było znacznie gorsze niż jego śmierć. Nie pozwolono mi go zobaczyć, gdyż zakładano, że agonია to nie jest widok odpowiedni dla małych dziewczynek, a ja i tak przeżyłam już swoje w związku z zabójstwem kuzyna oraz innymi przejawami przemocy, jakie ostatnio miały miejsce. Udało mi się pożegnać ojca dzięki Frederickowi Williamsowi, który wpuścił mnie do jego pokoju, gdy w pobliżu nie było nikogo innego. Wziął mnie za rękę i podprowadził do łóżka, na którym spoczywał Matias Rodriguez de Santa Cruz, z którego nie zostało już nic, czego dałoby się dotknąć, poza zawiniątkiem przezroczyстых kości zagrzebanych pośród poduszek i haftowanych prześcieradeł. Jeszcze oddychał, lecz jego dusza krążyła już w innym wymiarze. "Żegnaj, tato" - powiedziałam. Pierwszy raz go tak nazwałam. Trwał w agonii jeszcze dwa dni, a trzeciego o świcie umarł cichutko jak pisklę.

Miałam trzynaście lat, kiedy Severo del Valle podarował mi nowoczesny aparat fotograficzny, w którym zamiast dawnych płytek używało się papieru i który musiał być jednym z pierwszych, jakie dotarły do Chile. Niedawno umarł mój ojciec i koszmarne sny dręczyły mnie tak bardzo, że nie chciałam się kłaść i nocami krążyłam po domu niczym roztargniona zjawą, za mną zaś krok w krok sunął biedny Karmelek, który zawsze był głupi i niemrawy. Trwało to dopóty, dopóki babcia Paulina nie zlitowała się nad nami i nie

przygarnęła nas do swego olbrzymiego połączanego łoża. Całą jego jedną połowę zajmowało jej wielkie, miękkie i pachnące ciało, ja zaś kuliałam się na drugiej połowie z Karmelkiem w nogach. „I co ja mam z wami zrobić?” - wzdychała babcia przez sen. Było to pytanie retoryczne, ponieważ ani pies, ani ja nie mieliśmy przed sobą żadnej przyszłości; w rodzinie panował ogólny konsensus co do tego, że niechybnie "źle skończę". W owym czasie pierwsza kobieta w Chile obroniła dyplom lekarza, a niektóre podjęły studia uniwersyteckie. To nasunęło Nivei myśl, że i ja mogłabym zrobić to samo, choćby tylko na przekór rodzinie i społeczeństwu, jednak dla mnie było oczywiste, że nie mam predyspozycji do studiowania. Wtedy właśnie zjawił się Severo del Valle z aparatem fotograficznym i położył mi go na kolanach. Był to piękny kodak, cacuszko wypieszczony do ostatniej śrubki, eleganckie, lekkie, doskonale i przeznaczone dla rąk artysty. Nadal go używam, nigdy mnie nie zawiódł. Żadna dziewczynka w moim wieku nie miała takiej zabawki. Wzięłam ją z szacunkiem i zaczęłam się jej przyglądać, nie mając pojęcia, co się z nią robi. "Ciekawe, czy zdołasz sfotografować mroki twoich koszmarów" - zażartował Severo del Valle, nie przypuszczając nawet, że na całe miesiące stanie się to moim jedynym celem i że upór, z jakim będę się starać rozjaśnić owe koszmary, doprowadzi do tego, że pokocham świat. Babcia zaprowadziła mnie na Plaza de Armas do zakładu don Juana Ribero, najlepszego fotografa w Santiago, mężczyzny z zewnątrz suchego jak czerstwy chleb, za to szlachetnego i sentymentalnego od środka.

- Przyprowadzam ci moją wnuczkę jako uczennicę - powiedziała babcia, kładąc na biurku artysty czek, podczas gdy ja jedną ręką trzymałam się jej sukni, drugą zaś obejmowałam mój cudowny aparat.

Don Juan Ribero, który był niższy o głowę i ważył o połowę mniej od mojej babci, włożył na nos okulary, przeczytał uważnie liczbę wypisaną na czeku, po czym zwrócił go jej, obrzucając ją od stóp do głów spojrzeniem pełnym nieskończonej pogardy.

- Suma nie gra roli ... Proszę podać cenę - zawahała się babcia.

- To nie kwestia ceny, tylko talentu, senora - odparł, odprowadzając Paulinę del Valle do drzwi.

W tym momencie miałam okazję rzucić okiem na wnętrze pomieszczenia. Jego ściany pokrywały setki portretów ludzi w różnym wieku. Ribero był ulubieńcem klasy wyższej, jego zdjęcia zapełniały strony kroniki towarzyskiej, jednak ze ścian zakładu nie patrzyli na mnie wyniośli panowie w perukach ani piękne debutantki wprowadzane na salony, tylko Indianie, górnicy, rybacy, praczki, biedne dzieci, starcy, kobiety podobne do tych, którym moja babcia pomagała, udzielając pożyczek z funduszu Klubu Dam. Było to udręczone oblicze Chile. Twarze z portretów wstrząsnęły mną do głębi, zapragnęłam poznać historię każdej z tych osób, poczułam ucisk w piersiach, jakby mnie ktoś uderzył pięścią, i niepowstrzymaną chęć, żeby wybuchnąć płaczem, lecz powstrzymałam emocje i z wysoko podniesioną głową ruszyłam za babcią. Kiedy znalazłyśmy się już w powozie, babcia usiłowała mnie pocieszyć: nie mam co się martwić, powiedziała, znajdziemy kogoś innego, kto nauczy mnie obsługi aparatu, fotografów jest na pęczki; co on sobie wyobraża, ten beznadziejny prostak, żeby takim aroganckim tonem zwracać się do niej, Pauliny del Valle. I dalej perorowała w takim tonie, mimo że jej nie słuchałam, gdyż już postanowiłam, że moim nauczycielem będzie Juan Ribero. Następnego dnia, zanim jeszcze babcia zdążyła wstać z łóżka, wyszłam z domu, kazałam się zawieźć do zakładu i na miejscu rozsiadłam się na ulicy, zdecydowana czekać do

końca świata. Don Juan Ribero przyszedł około jedenastej, zastał mnie przed drzwiami i kazał wracać do domu. Byłam wtedy bardzo nieśmiała - i jestem do dzisiaj - i bardzo dumna, nie nawykłam prosić, ponieważ odkąd przysłam na świat, rozpieszczano mnie jak królową, i moja determinacja musiała być ogromna. Nie ruszyłam się spod drzwi. Po kilku godzinach fotograf wyszedł, rzucił mi wściekłe spojrzenie i ruszył w dół ulicy. Wróciwszy po przerwie obiadowej, znowu zastał mnie w tym samym miejscu z aparatem fotograficznym przyciśniętym do piersi. "Dobrze - mruknął pokonany - ale uprzedzam cię, panienczko, że nie będę miał dla ciebie żadnych specjalnych względów. Tutaj przychodzi się, żeby słuchać, milczeć i szybko się uczyć. Zrozumiano?". Skinęłam tylko głową, ponieważ nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Babcia, przyzwyczajona zawsze się targować, zgodziła się na moją fotograficzną pasję pod warunkiem, że tę samą liczbę godzin poświęcę na przedmioty wykładane w szkołach dla chłopców, z łaciną i teologią włącznie, ponieważ, jej zdaniem, brakuje mi nie zdolności umysłowych, ale dyscypliny.

- Czemu mnie nie wyślesz do szkoły publicznej? - zapytałam, ponieważ słyszałam, jak moje ciotki z przerażeniem opowiadały, że w szkołach tych edukację dziewcząt prowadzono w duchu laickim, co natychmiast wzbudziło mój entuzjazm.

- To dobre dla ludzi innego pokroju. Nigdy się na to nie zgodzę - ucięła babcia.

Tak więc przez dom znowu przewinał się sznur preceptorów; wielu z nich stanowili duchowni, gotowi mnie nauczać w zamian za sówite datki, jakimi moja babcia wspierała ich kongregacje. Miałam szczęście; zazwyczaj traktowali mnie pobłaźliwie, ponieważ nie oczekiwali, że mój niewieści umysł będzie w stanie ogarnąć tyle co męski. Don Juan Ribero natomiast wymagał ode mnie znacznie więcej, gdyż utrzymywał, że kobieta musi włożyć tysiąc razy więcej wysiłku niż mężczyzna, aby zdobyć uznanie w intelektualnym lub artystycznym środowisku. To on nauczył mnie wszystkiego, co wiem o fotografii, począwszy od wyboru soczewki do żmudnego procesu wywoływania; nigdy nie miałam innego mistrza. Kiedy w dwa lata później opuściłam jego zakład, byliśmy przyjaciółmi. Teraz ma sześćdziesiąt cztery lata i od dawna nie pracuje, gdyż stracił wzrok, jednak nadal kieruje moimi nie pewnymi. krokami i. pomaga mi. Kocha życie i ślepotą nie stanowi dla niego przeszkody, aby dalej móc oglądać świat. Rozwinął u siebie pewien rodzaj jasnowidzenia. Tak jak inni niewidomi mają kogoś, kto im czyta, on ma ludzi, którzy obserwują świat i mu o tym opowiadają. Jego uczniowie, przyjaciele i dzieci odwiedzają go codziennie i na zmianę mówią, co widzieli: jakiś pejzaż, jakąś twarz, grę światła. Żeby móc znieść wyczerpujące przesłuchanie don Juana Ribero, muszą nauczyć się patrzeć bardzo uważnie; dzięki temu ich życie się zmienia, już nie mogą chodzić po świecie ze zwykłą swobodą, gdyż muszą być oczami dla swego mistrza. Ja też go często odwiedzam. Przyjmuje mnie w wiecznym półcieniu swego mieszkanka przy ulicy Monjitas, siedząc w fotelu twarzą do okna, z kotem na kolanach, zawsze gościnnie i mądry. Przekazuje mi najświeższe informacje o nowinkach technicznych z dziedziny fotografii, szczegółowo opisując ilustracje zawarte w książkach, które sprowadzam z Nowego Jorku i Paryża, dzielę się z nim wątpliwościami. Jest na bieżąco ze wszystkim, co dzieje się w tym zawodzie, pasjonują go różne tendencje i teorie, zna z imienia i nazwiska wybitnych mistrzów fotografii z Europy i Stanów Zjednoczonych. Zawsze był zdecydowanym przeciwnikiem sztucznych póz, scen aranżowanych w studio, tanich efektów osiągniętych poprzez nakładanie na siebie kilku negatywów, co kilka lat temu było takie modne. Uważa, że fotografia jest odbiciem wrażliwości jej autora, sposobem patrzenia

na świat, twierdzi, że trzeba w tym być uczciwym i technikę wykorzystywać do kształtowania rzeczywistości, a nie do jej deformowania. Kiedy na pewnym etapie zaczęłam fotografować dziewczęta, umieszczając je w ogromnych szklanych akwariach, zapytał mnie, po co to robię, a w jego głosie wyczułam taką pogardę, że zarzuciłam ten temat, ale kiedy opisałam mu portret, który zrobiłam pewnej biednej rodzinie cyrkowców, nagich i bezbronnych, z miejsca się nim zainteresował. Zrobiłam już kilka zdjęć tej rodziny, która pozowała mi na tle nędznego dwukonnego wozu z budką, służącego jej za środek transportu i mieszkanie, kiedy z pojazdu wyszła jakaś cztero- czy pięcioletnia dziewczynka, całkiem naga. Wtedy przyszło mi do głowy, żeby poprosić ich, aby i oni się rozebrali. Zrobili to bez oporów i dalej pozowali, równie skupieni na tym, co robią, jak wtedy, kiedy byli ubrani. To jedna z moich najlepszych fotografii, jedna z niewielu, które zdobyły jakąś nagrodę. Szybko okazało się, że bardziej interesują mnie osoby niż przedmioty czy krajobraz. Przy robieniu portretu nawiązuje się pewna więź z modelem, nawet jeśli trwa to bardzo krótko. Płytką zapisuje nie tylko obraz, ale także uczucia, jakie ich łączą. Don Juan Ribero lubił moje portrety, różniące się bardzo od tych, które sam robił. "Wczuwasz się w psychikę swoich modeli, Auroro, nie starasz się ich ujarzmić, tylko zrozumieć, dlatego odsłaniają przed tobą swe dusze" - mówił. Zachęcał mnie, abym opuściła bezpieczne cztery ściany zakładu i wyszła na ulicę z aparatem, miała oczy szeroko otwarte, pokonała nieśmiałość, przestała się bać, zbliżyła się do ludzi. Zauważyłam, że zazwyczaj dobrze mnie przyjmują i pozują z całą powagą, mimo iż byłam smarkulą: aparat fotograficzny wzbudzał szacunek i zaufanie, ludzie otwierali się, oddawali mi się bez reszty. Mój młody wiek narzucał pewne ograniczenia, jeszcze przez wiele lat nie mogłam podróżować po kraju, bywać w kopalniach, szpitalach, lepiankach biedaków, nędznych szkółkach, przytułkach niewartych złamanego grosza, osadach i wioskach rybackich, na zakurzonych ryneczkach, gdzie staruszkowie cierpliwie dożywali swych dni, nie byłam świadkiem strajków. "Światło jest językiem fotografa, duszą świata. Nie ma światła bez cienia, tak jak nie istnieje szczęście bez bólu" - powiedział mi don Juan Ribero przed siedemnastu laty podczas lekcji, jakiej udzielił mi owego pierwszego dnia w swoim zakładzie przy Plaza de Armas. Nigdy o tym nie zapomniałam. Ale nie powinnam uprzedzać faktów. Postanowiłam opowiedzieć tę historię krok po kroku, słowo po słowie, jak należy.

Podczas gdy ja z entuzjazmem oddawałam się fotografii i z niepokojem obserwowałam zmiany zachodzące w moim ciele, które przybierało jakieś przedziwne proporcje, babcia Paulina nie traciła czasu na patrzeć w swój pępek, lecz obmyślała nowe interesy. Pomogło jej to dojść do siebie po stracie syna i nadało nowy sens jej życiu w wieku, kiedy inni czują się już jedną nogą w grobie. Odmłodziła, zaczęła patrzeć dokoła jasnym spojrzeniem i poruszała się lekkim krokiem, prędko zrzuciła żałobę i wysłała swego męża do Europy w bardzo tajemniczej misji. Wierny Frederick Williams powrócił po siedmiu miesiącach, przywożąc mnóstwo prezentów dla niej i dla mnie oraz dobry tytoń dla siebie, gdyż był to jego jedyny znany nam nałóg. W bagażu przemycił tysiące suchych patyczków długości piętnastu centymetrów; na pozór wydawały się do niczego niezdatne, lecz w rzeczywistości były szczepami winorośli z Bordeaux, które babcia postanowiła posadzić na południu Chile, żeby zacząć produkować przyzwoite wino. "Będziemy konkurencją dla win francuskich" - wyjaśniła mężowi przed wyjazdem. Na próżno Frederick Williams próbował

odwieść ją od tego zamiaru, tłumacząc, że Francuzi mają nad nami wielowiekową przewagę, że we Francji panują rajske warunki uprawy, podczas gdy Chile to kraj katastrof atmosferycznych i politycznych i że projekt tej miary wymaga długich lat pracy.

- Ani pani, ani ja nie jesteśmy już w takim wieku, abyśmy mogli dożyć rezultatów tego eksperymentu - stwierdził z westchnieniem.

- Przy takim założeniu do niczego nie dojdziemy, Fredericku. Czy pan wie, ile pokoleń rzemieślników było potrzebnych do wzniesienia jednej katedry?

- Paulino, nas nie interesują katedry. Każdego dnia możemy umrzeć.

- Ten wiek nie byłby wiekiem nauki i technologii, gdyby każdy wynalazca myślał jedynie o tym, że jest śmiertelny, nie wydaje się panu? Chcę założyć dynastię i chcę, żeby nazwisko del Valle przetrwało choćby tylko na dnie każdego kieliszka wina, jakie będzie kupowane w Chile - odparła babcia.

I w ten sposób Anglik wyruszył na owo safari po Francji, a tymczasem Paulina del Valle zaczęła kłaść podwaliny pod swe przedsiębiorstwo w Chile. Pierwsze chilijskie winnice zostały założone przez misjonarzy w czasach Kolonii, a produkowane tu wino okazało się całkiem dobre; tak dobre, że Hiszpania zakazała jego produkcji, aby nie stanowiło konkurencji dla win krajowych. Po uzyskaniu przez Chile niepodległości przemysł winiarski zaczął się szybko rozwijać. Paulina nie była jedyną, której przyszedł do głowy pomysł produkcji wina wysokiej jakości, jednak podczas gdy inni dla wygody skupowali ziemię dookoła Santiago, aby nie jeździć dalej niż o jeden dzień drogi, ona poszukała bardziej odległych terenów, i nie tylko dlatego, że były tańsze, lecz że uważała je też za bardziej odpowiednie do tego celu. Nie mówiąc nikomu o tym, co jej chodzi po głowie, zleciła przeprowadzenie analizy składu gleby, poziomu wód gruntowych i natężenia wiatrów, poczynając od pól należących do rodziny del Valle. Zapłaciła nędzne grosze za rozległe opuszczone tereny, których nikt nie doceniał, gdyż nie miały innego nawodnienia jak tylko deszcze. Najsmaczniejsze winogrona, te, które dają wino o najlepszej konsystencji i aromacie, najśłodsze i najszlachetniejsze, nie rosną na dobrej glebie, tylko na podłożu kamienistym; roślina z uporem pokonuje wszelkie przeszkody i wrasta korzeniami głęboko w ziemię, wykorzystując każdą kroplę wody, w ten sposób w owocu koncentrują się smaki, wyjaśniła mi babcia.

- Winnice są jak ludzie, Auroro, im mniej sprzyjające są okoliczności, tym lepsze dają owoce. Szkoda, że odkryłam tę prawdę tak późno, bo gdybym wiedziała o tym wcześniej, miałabym cięższą rękę dla moich synów i dla ciebie.

- Mnie próbowałaś tak wychowywać, babciu.

- Miałam dla ciebie za miękkie serce. Powinłam była wysłać cię do zakonnicy.

- Żebym się nauczyła haftować i klepać pacierze? Panna Matilde ...

- Zabraniam ci wypowiadać imię tej kobiety w tym domu!

- Dobrze, babciu, przynajmniej uczę się fotografować. Dzięki temu będę mogła zarabiać na życie.

- Jak ci mogła przyjść do głowy podobna bzdura! - wykrzyknęła Paulina del Valle. - Moja wnuczka nigdy nie będzie musiała zarabiać na życie. To, czego uczy cię Ribero, to rozrywka, a nie przyszłość kogoś należącego do rodziny del Valle. Twoim przeznaczeniem nie jest zostać ulicznym fotografem, ale wyjść za kogoś z twojej klasy i wydać na świat zdrowe dzieci.

- Ty, babciu, zrobiłaś znacznie więcej niż tylko to.

- Ja wyszłam za mąż za Feliciano, miałam trzech synów i wnuczkę. Cała reszta to tylko dodatek.

- Szczerze mówiąc, wcale na to nie wygląda.

Będąc we Francji, Frederick Williams zatrudnił eksperta, który przybył wkrótce po nim w charakterze doradcy technicznego. Był to niski hipochondryczny człowieczek, który objechał ziemie mojej babci na rowerze, zasłaniając chusteczką usta i nos, ponieważ uważał, że zapach krowiego łajna i chilijski kurz wywołują raka płuc, jednakże nie pozostawił najmniejszych wątpliwości co do swojej głębokiej znajomości uprawy winnic. Chłopi w najwyższym zdumieniu przyglądali się owemu panu ubranemu po miejsku, który na swoim dziwnym pojeździe przemykał wśród skał i od czasu do czasu przystawał, żeby powąchać ziemię niczym pies tropiący ślad. Jako że ani w ząb nie rozumieli jego długich diatryb wygłaszanych w języku Moliera, moja babcia musiała wystąpić w roli tłumacza i całymi tygodniami biegała w chodakach i pod parasolką za jego rowerem. Pierwsze, co zwróciło uwagę Pauliny, to to, że nie wszystkie rośliny były jednakowe; dostrzegła przynajmniej trzy różne odmiany winorośli. Francuz wyjaśnił jej, że jedne dojrzewają wcześniej, inne później, tak że jeśli klimat zniszczy te najdelikatniejsze, zawsze będzie jeszcze można liczyć na to, co dadzą pozostałe. Uprzedził zarazem, że wszystko to potrwa lata, jako że nie chodzi jedynie o to, aby posadzić najlepszą winną latorośl, ale też żeby wyprodukować delikatne wino i sprzedać je za granicą, gdzie będzie musiało się zmierzyć z winami z Francji, Włoch i Hiszpanii. Paulina nauczyła się wszystkiego, co ekspert mógł jej przekazać, i kiedy poczuła się pewnie, odesłała go do kraju. W tym czasie zdążyła się już poczuć zmęczona i zrozumiała, że przedsięwzięcie to wymagało kogoś młodszego i zręczniejszego niż ona, kogoś takiego jak Severo del Valle, jej ulubiony bratanek, któremu mogła zaufać. "Jeśli dalej zamierzasz płodzić dzieci w takim tempie, będziesz potrzebował dużo pieniędzy. Jako adwokat ich nie zdobędziesz, chyba żebyś kradł dwa razy tyle co inni, za to wino uczyni cię bogatym" - kusila go. Właśnie owego roku Severowi i Nivei urodził się aniołek, jak powiadali ludzie, dziewczynka piękna jak nimfa, której nadano imię Rosa. Nivea uznała, że wszystkie wcześniejsze jej porody były jedynie wprawką, aby w końcu wydać na świat tę oto doskonałą istotę. Może teraz Pan Bóg uzna się za usatysfakcjonowanego i nie ześle im więcej dzieci, bo i tak mają już sporą gromadkę. Severowi interes z winami wydał się nieco poronionym pomysłem, jednak nauczył się już szanować handlowy zmysł swojej ciotki i pomyślał, że warto spróbować; nie wiedział, że za kilka miesięcy krzewy winorośli odmienią jego życie. Ledwo babcia przekonała się, że Severo del Valle ma na punkcie winnic taką samą obsesję jak ona, postanowiła uczynić go swym współnikiem, zostawić mu pod opieką winnicę i w towarzystwie Williamsa i moim wyjechać do Europy, gdyż miałam już szesnaście lat i byłam w wieku, kiedy powinnam zadbać o swój światowy blichtr i posag, jak się wyraziła.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż, babciu.

- Na razie nie, ale będziesz musiała to zrobić przed dwudziestką albo zostaniesz starą panną - ucięła krótko.

Prawdziwego powodu podróży nie wyjawiała nikomu. Była chora i sądziła, że w Anglii będzie ją można operować. Po odkryciu anestezji i aseptyki medycyna bardzo się tam rozwinęła. W ciągu ostatnich miesięcy babcia straciła apetyt i pierwszy raz w życiu po zjedzeniu czegoś ciężkostrawnego cierpiała na mdłości i bóle brzucha. Nie jadła już mięsa, wołała

potrawy miękkie, słodzone papki, zupy i ciasta, z których nie rezygnowała, chociaż potem leżały jej kamieniem na żołądku. Słyszała o sławnej klinice założonej przez doktora Ebanizera Hobbsa, zmarłego przed dziesięciu laty, w której pracowali najlepsi lekarze Europy, tak więc ledwo minęła zima i droga przez Andy znowu stała się przejezdna, ruszyliśmy do Buenos Aires, skąd transatlantykiem mieliśmy odpłynąć do Londynu. Wieźliśmy ze sobą, jak zwykle, tonę bagażu i cały orszak służących, towarzyszyło nam też kilku zbrojnych mężczyzn, mających nas bronić przed bandytami, którzy porozstawiali na tych bezdrożach swoje posterunki; tylko Karmelek nie mógł z nami jechać, bo łapy nie chciały go już nosić. Przejazd przez góry, najpierw powozem, potem konno i w końcu na mulicach, nad przepaściami, które otwierały się z obu stron niczym bezdenne gardziele gotowe nas pochłonać, był niezapomniany. Ścieżka wyglądała jak cienka żmija nie zwykłej długości, wijąca się przez owe przytłaczające swoją wielkością góry stanowiące kręgosłup Ameryki. Spomiędzy kamieni wyrastały nieliczne podobne do wrzosów krzaczkowate rośliny, targane nielitościwym wiatrem i odżywiane spływającymi cieniutkimi strużkami wody. Woda była wszędzie: w wodospadach, rzeczках, topniejącym śniegu. Wokół nas panował spokój i cisza, słyszeliśmy jedynie szmer strumyków i stukot zwierzęcych kopyt o twardą skorupę gór. Kiedy przystawaliśmy, przepastna cisza spowijała nas niczym ciężki pled, byliśmy intruzami gwałcącymi doskonałą samotność owych niebotycznych szczytów. Babcia, walcząc z zawrotami głowy i nagłą niedyspozycją, szła wspierana przez swoją żelazną wolę i troskliwość Fredericka Williamsa, który robił, co tylko mógł, żeby jej pomóc. Miała na sobie ciężki płaszcz podróżny, skórzane rękawiczki i kapelusz z grubą woalką, gdyż najmniejszy promień słońca, choćby nie wiadomo jak bojaźliwy, nie miał prawa musnąć jej twarzy, zamierzała bowiem spocząć w trumnie bez jednej zmarszczki. Ja byłam oszołomiona z zachwytu. Już raz pokonywaliśmy tę drogę, kiedy jechaliśmy do Chile, ale wtedy byłam za mała, żeby móc podziwiać przyrodę w całym jej majestacie. Krok za krokiem zwierzęta posuwały się wśród gwałtownie otwierających się przepaści i wysokich skalistych ścian, smaganych wiatrem i wygładzonych przez upływ czasu. Powietrze było przejrzyste niczym cieniutki welon, niebo wyglądało jak bezkresne morze turkusowej barwy, które od czasu do czasu przecinał kondor szybujący na swych wspaniałych skrzydłach, absolutny pan i władca owych ziem. Zaraz po zachodzie słońca krajobraz całkowicie się zmienił; błękitny spokój owej pełnej stromizni i powagi przyrody zniknął, ustępując miejsca geometrycznym ceniom, które poruszały się groźnie, otaczając nas i biorąc w swe posiadanie. Jeden fałszywy krok i mulice potoczyłyby się z nami na dno owych wąwozów, ale przewodnik dobrze wyliczył odległość i noc zastała nas w nędznej chatce z desek, będącej schroniskiem dla podróżnych. Zdjęto ze zwierząt ładunek, a my rozsiedliśmy się na baranich skórkach i pledach, za oświetlenie mając łuczywa nasączone smołą, chociaż światło prawie nie było potrzebne, ponieważ na głębokim sklepieniu nieba królował rozżarzony księżyc, który niczym gwiazda pochodnia wyglądał zza wysokich skał. Wieźliśmy ze sobą drewno, z którego rozpalono ognisko, żebyśmy się mogli rozgrzać i zagotować wodę na *mate*; wkrótce zielony i gorzki napar zaczął krążyć z rąk do rąk i wszyscy sączyli go z jednego naczynka z tykwy; to przywróciło ducha i kolory mojej biednej babci, która kazała przynieść kosze, rozsiadła się wśród nich niczym handlarka na targu i zaczęła rozdawać wiktuały, żeby zaspokoić już mocno doskwierający nam głód. Jak spod ziemi pojawiły się butelki wódki i szampana, aromatyczne wiejskie sery, delikatne wieprzowe wędliny domowej roboty, bochenki chleba i placki

owinięte w białe lniane serwetki, zauważyłam jednak, że ona sama je niewiele, a alkoholu nawet nie bierze do ust. Tymczasem mężczyźni, zręcznie posługując się nożami, zabili parę kóz, które prowadziliśmy przywiązane do mulic, obdarli je ze skóry i zaczęli piec, rozpięte na dwóch kijach. Nie wiem, kiedy minęła noc; zapadłam w głęboki sen i obudziłam się dopiero o świcie, kiedy przyszła pora, aby podsycić żar, zrobić kawę i dojeść to, co zostało z kóz. Przed odejściem zostawiliśmy drewno na opał, worek fasoli i kilka butelek alkoholu dla następnych podróżnych.

Część trzecia
1896-1910

Klinika Hobbsa została założona przez słynnego chirurga, Ebanizera Hobbsa, w jego własnej rezydencji. Był to solidny i elegancki gmach położony w samym sercu dzielnicy Kensington, jednak tak długo burzono w nim ściany, zaślepiano okna i układano – gdzie popadnie – kafelki, że w końcu zaczął wygłaszać jak jakiś dziwoląg. Jego obecność przy owej ulicy tak bardzo przeszkadzała sąsiadom, że spadkobiercy Hobbsa bez trudu nabyli przyległe domy, w których zachowali jedynie fasady w stylu księcia Edwarda, dzięki czemu poszerzona w ten sposób klinika z zewnątrz niczym się nie różniła od szeregu identycznych budynków składających się na cały kwartał. Wewnątrz był to istny labirynt pomieszczeń, schodów, korytarzy i okienek, które do niczego nie służyły. Nie było tu, jak w dawnych szpitalach miejskich, typowej sali operacyjnej - przypominającego arenę do walki byków okrągłego centralnego pomieszczenia o podłodze wysypanej trocinami albo piaskiem, otoczonego galerijkami dla widzów - lecz małe salki do przeprowadzania zabiegów chirurgicznych, na ścianach, sufitach i podłodze wyłożone kafelkami i metalowymi płytkami, które raz dziennie szorowano ługiem i mydłem, gdyż zmarły doktor Hobbs był jednym z pierwszych, którzy przyjęli do wiadomości teorię Kocha o rozprzestrzenianiu się infekcji i wprowadzili w życie metody antyseptyki Listera, jakie większość lekarzy odrzucała jeszcze z dumy albo lenistwa. Niewygodnie było zmieniać stare nawyki, dbałość o higienę była nudna, skomplikowana i kłóciła się z szybkością operowania, która stanowiła wszak o marce dobrego chirurga, gdyż zmniejszała ryzyko wstrząsu i utraty krwi. Inaczej niż większość współczesnych mu lekarzy, według których infekcje powstawały samoistnie w ciele pacjenta, Ebanizer Hobbs natychmiast pojął, że zarazki są na zewnątrz, na rękach, na podłodze, na narzędziach, i unoszą się w powietrzu, dlatego odkażał fenolem wszystko, poczynając od ran do oddechu chirurga. Biedaczysko nawdychał się tyle fenolu, że jego skórę pokryły nieogojące się wrzody, i przedwcześnie zmarł z powodu niewydolności nerek, co dało jego adwessarzom dodatkowy argument przeciwko nowej teorii. Jednakże uczniowie Hobbsa przebadali powietrze i odkryli, że zarazki nie unoszą się w nim niczym niewidoczne ptaki ścierwojady zawsze gotowe do zdradzieckiego ataku, lecz koncentrują się na brudnych powierzchniach, infekcja zaś następuje w wyniku bezpośredniego kontaktu, tak więc najważniejsze to dokładnie czyścić narzędzia i używać sterylnych bandaży, chirurdzy natomiast nie tylko powinni solidnie myć ręce, ale też, o ile to możliwe, do operacji zakładać gumowe rękawiczki. Nie chodziło o grube rękawice używane przez anatomów do przeprowadzania sekcji zwłok albo przez robotników mających do czynienia z substancjami chemicznymi, lecz o wyrób delikatny i miękki niczym ludzka skóra, wyprodukowany w Stanach Zjednoczonych. Wynalezione zostały w bardzo romantycznych okolicznościach: pewien lekarz zakochany w pielęgniarce chciał ją ochronić przed egzemami wywoływanymi przez środki dezynfekujące i kazał zrobić pierwsze gumowe rękawiczki, które następnie chirurdzy zaczęli stosować podczas operacji.

Wszystko to Paulina del Valle wyczytała w naukowych pismach, jakie pożyczył jej kuzyn Jose Francisco Vergara, który w owym czasie chorował na serce. Był na emeryturze i przebywał w swoim pałacu w Vina del Mar, ale pozostał takim samym ciekawym świata człowiekiem jak zawsze. Babcia nie tylko dobrze wybrała lekarza, który miał ją operować, i

skontaktowała się z nim jeszcze z Chile na kilka miesięcy wcześniej, ale także zamówiła w Baltimore kilka par owych sławetnych gumowych rękawiczek i wiozła je starannie zapakowane w swoim kufrze z bielizną osobistą.

Paulina del Valle wysłała Fredericka Williamsa do Francji, żeby zasięgnął informacji na temat drewna używanego do wyrobu beczek do fermentacji wina oraz zapoznał się z tajnikami przemysłu serowarskiego, gdyż nie było najmniejszego powodu, dla którego z mleka krów chilijskich nie można by produkować serów równie smakowitych jak sery francuskie wytwarzane przez tamtejsze - równie głupie - krowy.

Podczas przeprawy przez Andy i później na transatlantyku mogłam przyjrzeć się babci z bliska i zdałam sobie sprawę, że coś fundamentalnego zaczęło w niej słabnąć, i nie była to jej wola, umysłowość czy spryt, ale raczej odwaga. Zbladła, stała się delikatna i tak roztargniona, że po pokładzie statku przechadzała się cała w muślinie i perłach, ale bez sztucznej szczęki. Było widać, że nocami źle sypia, gdyż miała wiecznie podkrążone oczy i ciągle drzemała. Straciła dużo na wadze i kiedy zdjęła gorset, było widać, że skóra na niej wisiła. Ciągle chciała mieć mnie przy sobie, żebym "nie kokietowała marynarzy", co było okrutnym żartem, gdyż byłam wtedy tak przeraźliwie nieśmiała, że wystarczyło, aby jakiś męczyzna rzucił w moją stronę jedno niewinne spojrzenie, a natychmiast stawałam cała w pasach. Prawdziwy powód, dla którego Paulina del Valle ani na chwilę nie chciała się ze mną rozstawać, był taki, że czuła się słaba i pragnęła odwrócić uwagę od śmierci. Nie wspominała o swoich dolegliwościach, wręcz przeciwnie, mówiła, żeby spędzić kilka dni w Londynie, a następnie jechać dalej, do Francji, w sprawie beczek i serów. Jednak od początku domyślałam się, że miała inne plany, co wyszło na jaw, ledwo dopłynęliśmy do Anglii, kiedy to wystąpiła ze swoją dyplomatyczną perswazją, której celem było przekonanie Fredericka Williamsa, by wyruszył sam, podczas gdy my zatrzymamy się na zakupy, a z nim spotkamy się później. Nie wiem, czy Williams wyjechał, nie domyśliwszy się, że jego żona jest chora, czy też odgadł prawdę i rozumiejąc jej powściągliwość, zostawił ją w spokoju; faktem jest, że umieścił nas w hotelu Savoy i przekonawszy się, że niczego nam nie brakuje, bez większego entuzjazmu wsiadł na statek i przeprawił się przez Kanał.

Babcia nie chciała, by ktokolwiek był świadkiem jej dolegliwości, a szczególnie dbała o pozory wobec Williamsa. Było to częścią kokieterii, jakiej nabrała, wychodząc za niego za mąż, nieistniejącej w czasach, gdy był jej majordomusem. Wtedy nic nie powstrzymywało jej przed okazywaniem mu najgorszych cech swego charakteru i defilowaniem przed nim w niedbałym stroju, teraz jednak próbowała mu imponować, pokazywać się od najlepszej strony. Bardzo jej zależało na tym późnym związku i nie chciała, aby słabe zdrowie zniweczyło solidną konstrukcję jej próżności, dlatego próbowała odsunąć od siebie męża i gdybym się nie sprzeciwiła - również i mnie; musiałam stoczyć ciężką batalię, aby pozwoliła mi towarzyszyć sobie podczas wizyt u lekarzy; w końcu, w obliczu mojego uporczywego i własnej słabości, ustąpiła. Była obolała i prawie nie mogła przetykać, jednak nie wyglądała na przestraszoną; przeciwnie - zaczęła sobie dowcipkować na temat uciążliwości piekła i nudy panującej w niebie.

Klinika Hobbsa, której hall zastawiony był regałami pełnymi książek i obwieszony olejnymi portretami chirurgów, wszystkich jacy w owych murach wykonywali swój zawód, już od progu budziła zaufanie. Na spotkanie wyszła nam jakaś matrona w nieskazitelnie białym fartuchu i zaprowadziła nas do gabinetu doktora, przytulnego salonu z kominkiem, na

którym z trzaskiem płonęły wielkie polana, i z eleganckimi angielskimi meblami z brązowej skóry. Wygląd doktora Geralda Suffolka stwarzał równie imponujące wrażenie jak jego sława. Przypominał krzyżackiego rycerza: był wysoki i rudowłosy, a przez policzek biegła mu gruba blizna, która wcale go nie szpeciła, tylko czyniła jego twarz bardziej wyrazistą. Na biurku leżały listy, jakie wymienił z moją babcią, wyniki konsultacji specjalistów chilijskich i paczka gumowych rękawiczek, które babcia przekazała mu dziś rano przez posłańca. Później dowiedzieliśmy się, że była to zbędna przezorność, gdyż w klinice Hobbsa były one w użyciu już od trzech lat. Suffolk przywitał się z nami, jakbyśmy przychodziły z kurtuazyjną wizytą, częstując nas kawą aromatyzowaną kardamonem. Zaprowadził babcię do przyległego pokoju; po zbadaniu jej wrócił do gabinetu i zaczął kartkować jakąś grubą księgę. Wkrótce babcia wróciła i chirurg potwierdził wstępną diagnozę wystawioną przez lekarzy chilijskich: powodem cierpienia był guz w przewodzie pokarmowym. Dodał, że operacja jest ryzykowna zarówno ze względu na wiek pacjentki, jak i na fakt, że tego typu zabiegi są dopiero na etapie eksperymentu, jednak on opracował już technikę, która w takich przypadkach doskonale się sprawdza, i z całego świata zjeżdżają się lekarze, żeby się od niego uczyć. Wypowiadał się z taką wyższością, że przyszedł mi na myśl don Juan Ribero, który twierdził, że zarozumialstwo jest przywilejem głupców; mędrzec jest skromny, gdyż wie, jak niewiele wie. Babcia zażądała, aby wyjaśnił jej szczegółowo, co zamierza z nią zrobić; było to dla lekarza dużym zaskoczeniem, gdyż przyzwyczał się, że pacjenci z uległością kur oddają mu się w ręce, nie kwestionując jego władzy, jednakże natychmiast skorzystał z okazji, by wygłosić wykład, dbając raczej o to, aby nam zaimponować swoją chirurgiczną wirtuozerią, niż o samopoczucie nieszczęsnej pacjentki. Naszkicował jamę brzuszną i organy wewnętrzne, które wyglądały jak jakaś szalona maszyna, wskazał nam, gdzie mieści się guz, i poinformował, jak planuje go usunąć. Podał nawet rodzaj szwu, jaki zamierza zastosować, która to informacja na Paulinie del Valle nie zrobiła większego wrażenia, mnie jednak zrobiło się nie dobrze i musiałam wyjść z gabinetu. Usiadłam w hallu pełnym portretów i zaczęłam się cicho modlić. W rzeczywistości bardziej bałam się o siebie niż o nią; myśl, że mogłabym zostać sama na świecie, przerażała mnie. Właśnie przeżywałam moje wielce prawdopodobne sieroctwo, kiedy jakiś przechodzący tamtędy mężczyzna spojrzał na mnie; chyba byłam bardzo blada, gdyż się zatrzymał. "Stało się coś, mała?" - zapytał po hiszpańsku z chilijskim akcentem. Pokręciłam przecząco głową, zaskoczona, nie mając odwagi podnieść oczu, ale widocznie musiałam popatrzeć na niego kątem oka, gdyż zauważyłam, że jest młody, ma ogoloną twarz, szerokie kości policzkowe, ostro zarysowaną zuchwę i skośne oczy; wyglądał jak Dżyngis-chan z ilustracji w moim podręczniku do historii, chociaż nie tak dziko. Całe jego ciało - włosy, oczy, skóra - miało barwę miodu, ale w tonie, jakim wyjaśniał mi, że jest Chilijczykiem tak jak my i że będzie asystował doktorowi Suffolkowi przy operacji, nie było nic miodowego.

- Pani del Valle jest w dobrych rękach - powiedział bez cienia skromności.

- A co by było, gdyby nie poddała się operacji? - spytałam, jękając się jak zawsze, kiedy jestem bardzo zdenerwowana.

- Guz nadal by się powiększał. Ale nie bój się, mała, chirurgia bardzo się rozwinęła, twoja babcia dobrze zrobiła, że tu przyjechała - podsumował.

Chciałam się dowiedzieć, co Chilijczyk robi w tych stronach i dlaczego ma taki tatarski wygląd - łatwo było wyobrazić go sobie z włócznią w dłoni, okrytego skórą - ale

zamilkłam zmieszana. Londyn, klinika, lekarze i dramat babci okazały się ciężarem zbyt wielkim jak na moje barki, nie pojmowałam wstydlivosti Pauliny del Valle w sprawach dotyczących jej zdrowia ani powodów, dla których wysłała Fredericka Williamsa na drugą stronę Kanału właśnie wtedy, kiedy był nam potrzebny. Dzyngis-chan poklepał mnie wyrozumiale po ręce i odszedł.

Na przekór moim pesymistycznym przewidywaniom babcia przeżyła operację i kiedy minął pierwszy tydzień, podczas którego gorączka w niekontrolowany sposób rosła i opadała, jej stan się ustabilizował i mogła zacząć przyjmować stały pokarm. Nie odstępowałam jej ani na krok, jedynie raz dziennie szłam do hotelu, żeby się przebrać, a przede wszystkim zmyć z siebie zapach środków znieczulających i odkażających oraz leków, bo mieszanina tych oparów dosłownie kleiła się do skóry. W nocy spałam z przerwami, siedząc na krześle obok chorej. Wbrew wyraźnemu zakazowi babci jeszcze w dniu operacji wysłałam telegram do Fredericka Williamsa, który w trzydzieści godzin później przybył do Londynu. Zobaczyłam, jak - stanawszy przy łóżku żony otumanionej środkami usypiającymi, jęczącej przy każdym oddechu, z czterema włosami na krzyż na głowie i bez sztucznej szczęki - traci tę charakterystyczną dla niego równowagę ducha. Ukląkł i szepcząc imię Pauliny del Valle, położył czoło na jej bezwładnej dłoni; kiedy się podniósł, miał twarz mokrą od łez. Babcia, która zawsze twierdziła, że młodość to nie okres w życiu, ale stan ducha, i że każdy ma takie zdrowie, na jakie zasługuje, leżąc w szpitalnym łóżku, wyglądała na całkiem pokonaną. Ta kobieta, której apetyt na życie dorównywał jej zamiłowaniu do jedzenia, odwróciła twarz do ściany, obojętna na to, co ją otacza, zatopiona w myślach. Jej ogromna siła woli, wigor, ciekawość, żądza przygód, a nawet chciwość - wszystko to opuściło ją w obliczu cierpienia ciała.

W tamtych dniach często miałam okazję widywać Dzyngis-chana, który kontrolował stan pacjentki; okazał się on - co było do przewidzenia - bardziej przystępny niż doktor Suffolk czy surowe matrony pracujące w klinice. Rozwiewał niepokoje babci, udzielając jej nie mętnych pocieszających odpowiedzi, lecz racjonalnych wyjaśnień, i był jedyną osobą, która próbowała uśmierzyć jej ból; innych interesowała rana i gorączka, nie obchodziły ich natomiast jęki pacjentki. Czyżby spodziewała się, że nic ją nie będzie bolało? Powinna cierpieć w milczeniu i czuć się szczęśliwa, że uratowano jej życie. Natomiast młody chilijski lekarz nie żałował morfiny, uważał, że ustawiczny ból odbiera choremu fizyczną i moralną odporność, opóźniając albo nawet uniemożliwiając wyzdrowienie, jak to wyjaśniał Williamsowi. Dowiedzieliśmy się, że nazywa się Ivan Radovic i pochodzi z lekarskiej rodziny; jego ojciec wyemigrował z Bałkanów do Chile pod koniec lat czterdziestych, ożenił się z chilijską nauczycielką z północy i miał trzech synów, z których dwaj poszli w jego ślady i zostali lekarzami. Ojciec, opowiadał Ivan Radovic, zmarł na tyfus podczas wojny o Pacyfik, w której przez trzy lata uczestniczył jako chirurg, i matka sama musiała utrzymywać całą rodzinę. Mogłam do woli obserwować personel kliniki, nasłuchiłam się również komentarzy nie przeznaczonych dla mych uszu, ponieważ wszyscy, z wyjątkiem doktora Radovica, zdawali się mnie nie dostrzegać. Wkrótce miałam skończyć szesnaście lat, jednak nadal włosy związywałam wstążką i nosiłam stroje wybrane przez babcie, która kazała szyć dla mnie śmieszne sukieneczki jak dla małej dziewczynki, żeby przedłużyć mi dzieciństwo, na ile

to możliwe. Pierwszy raz włożyłam na siebie coś odpowiedniego do mego wieku, kiedy Frederick Williams bez zgody babci zabrał mnie do sklepu Whiteneya i kazał cały oddać do mojej dyspozycji. Kiedy wróciłam do hotelu i pokazałam się z włosami uczesnymi w kok i ubrana jak młoda panienka, nie poznał mnie. Zdarzyło się to w kilka tygodni po operacji babci. Paulina del Valle musiała mieć chyba siłę wołu: otworzyli jej żołądek, wycięli guz wielkości grejpfruta, zeszyli jak kapeć, a po kilku miesiącach znowu była taka sama jak przed chorobą. Po owych straszliwych przejściach pozostał jej jedynie godny flibustiera szew na brzuchu oraz dziki apetyt na życie, no i, oczywiście, na jedzenie. Gdy tylko mogła poruszać się bez laski, wyjechaliśmy do Francji. Odrzuciła całkowicie dietę przepisaną przez doktora Suffolka, gdyż - jak stwierdziła nie po to z zadupia świata przyjeżdżała do Paryża, żeby jeść lam papki dla niemowląt. Pod pretekstem studiowania wyrobu serów i tradycji kulinarnych Francji z lubością pałaszowała wszelkie delicje, jakie ten kraj mógł jej zaoferować.

Ledwie rozlokowaliśmy się w hoteliku przy Bulwarze Haussmanna, natychmiast skontaktowaliśmy się z Amandą Lowell, która ciągle jeszcze wyglądała jak królowa wikingów na wygnaniu. W Paryżu czuła się jak ryba w wodzie, mieszkała w pełnym moli, ale przytulnym pokoiku na poddaszu; z jego okienek można było podziwiać gołębie przysiadające na dachach okolicznych domów i niczym nie skazał one niebo nad miastem. Przekonaliśmy się, że jej opowieści o życiu bohemy i przyjaźniach ze sławnymi artystami są absolutnie prawdziwe: dzięki niej odwiedziliśmy pracownie Cezanne'a, Sisleya, Degasa, Moneta i wielu innych. Amanda nauczyła nas doceniać ich malarstwo; nasze oczy nie były przyzwyczajone do impresjonizmu, ale wkrótce uwiódł on nas bez reszty. Babcia nabyła sporą kolekcję obrazów, które - kiedy je rozwiesiła w domu w Chile - wywołały ataki śmiechu; nikogo nie zachwyciły ani rozchodzące się odśrodkowo smugi na niebie van Gogha, ani zmęczone dziwki Lautreca, za to wszyscy uznali, że Paulina del Valle dała się nabić w butelkę. Kiedy Amanda Lowell spostrzegła, że nie rozstaję się z aparatem fotograficznym i całe godziny spędzam w zaimprovizowanej ciemni, jaką urządziłam sobie w hoteliku, zaproponowała, że przedstawi mnie najslynniejszym paryskim fotografom. Podobnie jak mój mistrz Juan Ribero, była zdania, że fotografia nie stanowi konkurencji dla malarstwa, gdyż obie te dziedziny zasadniczo się między sobą różnią; malarstwo interpretuje rzeczywistość, a fotografia ją kształtuje. W malarstwie wszystko jest fikcją, natomiast fotografia jest sumą rzeczywistości i wrażliwości fotografa. Ribero nie pozwalał mi stosować żadnych sentymentalnych ani ekshibicjonistycznych tricków, zabronił takiego ustawiania przedmiotów czy modeli, żeby to wyglądało jak obrazy; był wrogiem sztucznej kompozycji, nie pozwalał mi także manipulować negatywami i odbitkami i w ogóle nie znosił efektów świetlnych czy rozproszonych źródeł światła, pragnął, aby obraz był prawdziwy i naturalny, a jednocześnie wyraźny w najdrobniejszych szczegółach. "Jeśli chcesz uzyskać efekt obrazu, maluj, Auroro. Jeśli chcesz pokazać prawdę, naucz się posługiwać aparatem fotograficznym" - powtarzał mi. Amanda Lowell nigdy nie odnosiła się do mnie jak do dziecka, od początku traktowała mnie serio. Ona również fascynowała się fotografią, której dotąd nikt nie nazywał sztuką; dla wielu była jeszcze jednym niewydarzonym wymysłem owego frywolnego wieku. "Ja jestem już za stara, żeby nauczyć się fotografować, ale ty masz świeżość spojrzenia, Auroro, możesz patrzeć na świat i zmusić innych, żeby patrzyli na niego twoimi oczami. Dobre zdjęcie opowiada historię, odkrywa miejsce, wydarzenie, stan ducha, ma więcej siły niż setki zapisanych stron" - powiadała. Natomiast babcia traktowała moją pasję jako kaprys

dorastającej dziewczyny i była znacznie bardziej zainteresowana tym, żeby przygotować mnie do małżeństwa i wyposażyć. Oddała mnie do szkoły dla dobrze urodzonych panien, gdzie całymi dniami uczyłam się z gracją wchodzić i schodzić ze schodów, składać serwetki na przyjęcie, ustalać menu na każdą okazję, organizować gry salonowe i układać bukiety kwiatów, które to umiejętności babcia uważała za wystarczające do odniesienia sukcesu w małżeństwie. Lubiła robić zakupy i na wybieraniu różnych szmatek w butikach spędzałyśmy całe popołudnia, które ja wolałabym spożytkować na bieganie po Paryżu z aparatem fotograficznym.

Sama nie wiem, jak minął rok. Paulina del Valle wyleczyła się ze swych dolegliwości, Frederick Williams został ekspertem od drewna do produkcji beczek i od wyrobu serów - od najbardziej cuchnących do najbardziej dziurawych - a ja na pewnym balu w poselstwie Chile z okazji Święta Niepodległości poznałam Diega Domingueza.

Długie godziny poddawałam się cierpliwie rękóm fryzjera, który skonstruował mi na głowie wieżę z loków i warkoczyków przybranych perełkami, co było prawdziwym wyczynem, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że moje włosy zachowują się jak końska grzywa. Moja kreacja przypominała puszystą beżę w posypce z cekinów (które w nocy stopniowo odpadały i rano cała podłoga sali balowej poselstwa była ozdobiona błyszczącymi punkcikami). "Gdyby twój ojciec mógł cię teraz widzieć!" - wykrzyknęła babcia z podziwem, kiedy skończyłam przygotowania. Ona sama od stóp do głów spowita była w suknię w swoim ulubionym kolorze malwy, na jej szyi kłębiły się sznury różowych pereł, na głowie sterczały powpinane sztuczne koczki podejrzanej barwy mahoni, w ustach jaśniały nieskazitelne zęby z porcelany, od szyi aż po stopy okrywała ją czarna aksamitna peleryna obszyta dżetami. Weszła na bal z Frederickiem Williamsem, ja zaś z jakimś marynarzem z chilijskiego statku, który przyplłynął do Francji z wizytą. Był to nieciekawy młodzieniec, jego twarzy ani nazwiska nie potrafię sobie przypomnieć, ale pamiętam, że na wstępie zaoferował się objaśnić mi zastosowanie sekstansu w nawigacji. Kiedy Diego Dominguez stanął przed babcią, przedstawił się wszystkimi swoimi nazwiskami i zapytał, czy może ze mną zatańczyć, odczułam ogromną ulgę. Nie podaję jego prawdziwego nazwiska, zmieniałam je na tych stronach, gdyż wszystko, co odnosi się do niego i jego rodziny, musi pozostać tajemnicą. Wystarczy, że istniał, że jego historia jest prawdziwa i że mu wybaczyłam. Na widok Diega Domingueza oczy Pauliny del Valle rozbłysły radością, od razu zobaczyła w nim pretendenta do mojej ręki, który potencjalnie był całkiem do przyjęcia; pochodził ze znanej rodziny, był zapewne majątny, miał nienaganne maniery i nawet był przystojny. Skinęła przyzwalająco głową, a on podał mi rękę i ruszyliśmy w tan. Po pierwszym walcu senor Dominguez wziął mój karnecik i własnoręcznie go wypełnił, jednym pociągnięciem pióra eliminując zarówno specjalistę od sekstansów, jak i wszelkich innych kandydatów. Wówczas przyjrzałam mu się uważniej i musiałam przyznać, że wyglądał bardzo dobrze, promieniował zdrowiem i siłą, miał przyjemny wyraz twarzy, niebieskie oczy i bardzo męski sposób zachowania. Zdawało się, że we fraku nie czuje się zbyt swobodnie, ale poruszał się pewnie i dobrze tańczył, w każdym razie znacznie lepiej ode mnie, bo ja człapię jak gęś, pomimo rocznego intensywnego kursu, jaki odbyłam w szkole dla panienek; w dodatku zmieszanie jeszcze zwiększało moją niezgrabność. Tamtej nocy zakochałam się z całą namiętnością, jaką

niesie ze sobą pierwsza miłość. Diego Dominguez prowadził mnie pewną ręką po parkiecie, przyglądając mi się intensywnie; prawie cały czas milczeliśmy, gdyż jego próby nawiązania dialogu rozbiły się o moje odpowiedzi monosylabami. Moja nieśmiałość była torturą, nie potrafiłam znieść spojrzenia jego oczu, a jednocześnie nie wiedziałam, gdzie mam podziąć swoje; kiedy na policzkach czułam ciepło jego oddechu, ugiwały się pode mną nogi; musiałam rozpaczliwie walczyć z pokusą, żeby uciec i schować się pod jakimś stołem. Niewątpliwie robiłam dość smętne wrażenie, a ten nieszczęsny młody człowiek skazał się na to, by tkwić przy mnie, zapełniając niebacznie swoim nazwiskiem cały mój karnecik. W pewnym momencie powiedziałam mu, że jeśli nie chce, nie musi ze mną tańczyć. Odpowiedział mi wybuchem śmiechu, jedynym tamtej nocy, i zapytał, ile mam lat. Nigdy nic byłam w ramionach mężczyzny, nigdy nie czułam ucisku męskich palców w zagłębieniu talii. Jedną z moich dłoni spoczywała na jego ramieniu, a druga w jego ręce w rękawiczce; nie mogłam jednak swojej dłoni trzymać w jego dłoni z lekkością gołębic, jak tego wymagała nauczycielka tańca, ponieważ on ścisnął mi ją z determinacją. W krótkich przerwach częstował mnie szampanem, który wypijałam do dna - jeden kieliszek za drugim - gdyż nie miałam odwagi mu odmówić; w rezultacie - co było do przewidzenia - w tańcu deptałam mu po nogach jeszcze częściej. Kiedy pod koniec przyjęcia przedstawiciel Chile zabrał głos, żeby wznieść toast za swą daleką ojczyznę i za piękną Francję, Diego Dominguez stanął za mną tak blisko, na ile pozwalał mu klosz mojej sukni, przysunął usta do mojej szyi i wyszeptał, że jestem "rozkoszna" czy coś w tym stylu.

W ciągu następnych dni Paulina del Valle wypytała zaprzyjaźnionych z nią dyplomatów, żeby w najdrobniej szych szczegółach dowiedzieć się wszystkiego, co mogła, o rodzinie i przeszłości Diega Domingueza, a dopiero potem pozwoliła mu zabrać mnie na konną przejażdżkę po Polach Elizejskich, podczas której ona i Frederick Williams czuwali nade mną, jadąc za nami powozem w bezpiecznej odległości. Następnie wszyscy czworo jedliśmy pod parasolami lody, rzucaliśmy kaczkom okruchy chleba i umówiliśmy się, że jeszcze w tym samym tygodniu pójdziemy do opery. I tak od spaceru do spaceru i od lodów do lodów zeszło nam do października. Diego przyjechał do Europy wysłany przez ojca w obowiązkową podróż-przygodę, którą raz w życiu odbywali niemal wszyscy młodzi Chilijczycy klasy średniej, żeby się wyszumieć. Zwiedziwszy dla świętego spokoju wiele miast, kilka muzeów i katedr i nacieszywszy się do woli nocnym życiem i szatańskimi wyskokami, co przypuszczalnie miało go przestrzec przed nimi na przyszłość i dostarczyć materiału do przechwałek przed koleżkami, mógł już wrócić do Chile, wziąć się do pracy, ustatkować, ożenić i zostać głową rodziny. W porównaniu z Severem del Valle, w którym jako dziecko stale byłam zakochana, Diego Dominguez był brzydki, w porównaniu z panną Matilde Pinedą zaś - głupi, lecz wtedy nie robiłam takich porównań: byłam pewna, że znalazłam mężczyznę idealnego i ledwo mogłam uwierzyć w ten cud, że zwrócił na mnie uwagę. Frederick Williams był zdania, że należy poczekać, nie upierać się przy pierwszym, jaki się nawinął, jestem jeszcze bardzo młoda i będę miała aż za dużo konkurentów, żeby móc spokojnie wybrać, jednak babcia utrzymywała, że - mimo jednej drobnej niedogodności, iż jest rolnikiem i mieszka na wsi, bardzo daleko od stolicy - młodzian ów to najlepsze, co rynek matrymonialny ma do zaoferowania.

- Można przecież podróżować bez problemów statkiem i koleją - powiedziała.
- Babciu, nie pędź tak, pan Dominguez nie sugerował mi żadnej z tych rzeczy, które

sobie wyobrażasz - wyjaśniłam, zarumieniona po uszy.

- Lepiej, żeby to zrobił, i to szybko, albo będę musiała przycisnąć go do muru.

- Nie! - zawołałam przerażona.

- Nie pozwolę, żeby moja wnuczka siała rutkę. Nie wolno nam tracić czasu. Jeśli ten młodzian nie ma poważnych zamiarów, musi w tej chwili zejść nam z oczu.

- Ależ babciu, po co ten pośpiech? Ledwo się znamy ...

- Wiesz, ile ja mam lat, Auroro? Siedemdziesiąt sześć. Mało kto tyle żyje. Zanim umrę, muszę cię dobrze wydać za mąż.

- Jesteś nieśmiertelna, babciu.

- Nie, córciu, tylko tak wyglądam - odparła.

Nie wiem, czy to ona zagoniła Diega Domingueza w kozi róg, jak planowała, czy też on pojął aluzję i sam podjął decyzję.

Teraz, kiedy spoglądam na ten epizod mego życia z pewnego dystansu i bez żalu, rozumiem, że Diego Dominguez nigdy nie był we mnie zakochany, po prostu poczuł się mile połączony moją bezgraniczną miłością i musiał zapewne wziąć pod uwagę korzyści materialne płynące z tego związku. Możliwe, że mnie pożądał, gdyż oboje byliśmy młodzi i "do wzięcia"; może myślał, że z czasem mnie pokocha; może ożenił się ze mną z lenistwa i dla wygody. Diego był dobrą partią, ale ja również: dysponowałam rentą po ojcu i mógł się spodziewać, że odziedziczy majątek po babci. Jakikolwiek byłyby jego racje, faktem jest, że poprosił mnie o rękę, a na palec włożył mi pierścienek z brylantem. Oznaki, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni, były ewidentne dla każdego, kto umiał patrzeć, ale nie dla mojej babci, zaślepionej strachem, że zostawi mnie samą, i nie dla mnie, bo oszalałam z miłości. Wujek Frederick od początku utrzymywał, że Diego Dominguez nie jest mężczyzną dla mnie. Ponieważ nie spodobał mu się nikt, kto w ciągu ostatnich dwóch lat bodajby się do mnie zbliżył, nie wzięliśmy jego słów pod uwagę, traktując je jako wyraz ojcowskiej zazdrości. "Wydaje mi się, że ten młodzian jest nieco chłodnego usposobienia" - komentował nieraz, jednak babcia odpierała ten argument, twierdząc, że to nie chłód, lecz szacunek, jaki powinien charakteryzować idealnego chilijskiego dżentelmena,

Paulina del Valle wpadła w szal zakupów. Pakunki bez otwierania trafiały do kufrów, po czym - kiedy w Santiago wydobyłyśmy je na światło dzienne - okazało się, że wszystkiego jest po dwie sztuki, a połowa źle na mnie leży. Dowiedziawszy się, że Diego Dominguez musi wracać do Chile, umówiła się z nim, że popłyniemy tym samym parowcem. To da nam kilka tygodni, żeby się lepiej poznać, stwierdzili, Frederick Williams aż pobladał, kiedy usłyszał, i próbował zniweczyć te plany, jednak trudno było przeciwstawić się Paulinie del Valle, kiedy już raz wbiła sobie coś do głowy, a w owym czasie jej obsesją było wydać wnuczkę za mąż. Niewiele pamiętam z tej podróży, upłynęła nam na spacerach we mgle po pokładzie, grze w piłkę i w karty, na bankietach i balach. W Buenos Aires rozdzieliliśmy się, gdyż Diego musiał kupić kilka zarodowych byków i andyjskimi ścieżkami odprowadzić je na południe do swego majątku. Mieliśmy bardzo mało okazji, żeby być ze sobą sam na sam albo porozmawiać bez świadków. Dowiedziałam się o najważniejszych faktach z jego życia i życia jego rodziny, ale prawie niczego o upodobaniach, przekonaniach i ambicjach. Babcia powiedziała mu, że mój ojciec, Matias Rodriguez de Santa Cruz, zmarł, a moją matką była pewna Amerykanka, której nie znalismy, gdyż umarła, wydając mnie na świat, co było zgodne z prawdą. Diego nie przejawiał chęci, żeby dowiedzieć się więcej; nie interesowała go

również moja pasja do fotografowania, a kiedy powiedziałam mu, że nie zamierzam z niej zrezygnować, odparł, że nie ma nic przeciwko temu, jego siostra maluje akwarele, a szwagierka wyszywa haftem krzyżykowym. Podczas długiego rejsu nie zdołaliśmy się naprawdę poznać, za to coraz bardziej zaplątywaliśmy się w mocną pajęczynę, jaką babcia w najlepszej wierze wokół nas utkała.

Ponieważ w pierwszej klasie - poza sukniami dam i ozdobami z kwiatów w jadalni - nie było nic ciekawego do utrwalenia, często schodziłam na dół, najczęściej do najniższego pokładu, żeby fotografować pasażerów, którzy w poszukiwaniu fortuny płynęli stłoczeni w brzuchu statku: robotników i chłopów emigrujących do Ameryki. Byli to Rosjanie, Niemcy, Włosi i Żydzi, ludzie, którzy podróżowali, mając niewiele w kieszeniach, za to z sercem przepelnionym nadzieją. Wydawało mi się, że pomimo niewygody czas płynął im przyjemniej niż pasażerom z wyższego pokładu, gdzie wszystko ciągnęło się długo, ceremonialnie i nudno. Pośród emigrantów łatwo nawiązywały się przyjaźnie, mężczyźni grali w karty i domino, kobiety zbierały się w grupki i opowiadały o swoim życiu, dzieci robiły sobie prymitywne wędki lub bawiły się w chowanego; wieczorami chwytało za gitary, akordeony, flety i skrzypce, urządzano wesołe zabawy ze śpiewem, tańcem i piwem. Nikogo nie obchodziła moja obecność, nie zadawano mi żadnych pytań i po paru dniach traktowano mnie jak jedną ze swojego grona, co pozwalało mi fotografować ich do woli. Na statku nie mogłam wywołać negatywów, ale dokładnie je poklasyfikowałam, żeby zrobić to później w Santiago. Podczas jednej z takich wycieczek na dolne pokłady wpadłam na ostatnią osobę, jaką spodziewałabym się tam spotkać.

- Dzyngis-chan! - wykrzyknęłam na jego widok.
- Obawiam się, że mnie panienka z kimś myli ...
- Przepraszam pana, doktorze Radovic - wymamrotałam, czując się jak kretyńka.
- Czy my się znamy? - zapytał zdziwiony.
- Nie pamięta mnie pan? Jestem wnuczką Pauliny del Valle.
- Aurora? No, no, nigdy bym pani nie poznał. Ależ się pani zmieniła!

Jasne, że się zmieniłam. Poprzednio widział mnie półtora roku wcześniej, kiedy ubierałam się jak mała dziewczynka, a teraz miał przed sobą dorosłą kobietę z aparatem fotograficznym na szyi i pierścieniem zaręczynowym na palcu. Podczas tej podróży nawiązała się między nami przyjaźń, która z czasem miała odmienić moje życie. Doktor Ivan Radovic, pasażer drugiej klasy, nie mógł bez zaproszenia wejść na pokład pierwszej, ale ja mogłam zejść na dół, i robiłam to często. Opowiadał mi o swojej pracy z taką samą pasją, z jaką ja mówiłam mu o fotografii; widział, jak posługuję się aparatem. lecz nie mogłam mu pokazać żadnych wcześniej zrobionych zdjęć, gdyż płynęły na dnie kufrów. Obiecałam to zrobić po przyjeździe do Santiago. Jednak tak się nie stało, gdyż było mi wstyd dzwonić do niego w takim celu; wydawało mi się, że to dowodzi mojej próżności, i nie chciałam zabierać czasu człowiekowi zajętemu ratowaniem ludzkiego życia. Dowiedziawszy się, że Ivan Radovic jest na statku, babcia natychmiast zaprosiła go na herbatę na tarasie naszego apartamentu. "Przy panu czuję się bezpieczna nawet tutaj, na pełnym morzu, doktorze. Jak mi się zrobi w brzuchu drugi grejpfrut, przyjdzie pan i wytnie mi go kuchennym nożem" - zażartowała. Zaproszenia na herbatę, po której wypiciu przechodziliśmy do gry w karty, powtórzyły się wielokrotnie. Ivan Radovic powiedział, że zakończył praktykę w klinice Hobbsa i wraca do Chile, żeby pracować w szpitalu.

- Czemu nie otworzy pan prywatnej kliniki, doktorze? - dopytywała się babcia, która zdążyła go polubić.

- Nigdy nie będę miał takiego kapitału i koneksji, jakie są do tego niezbędne, senora del Valle.

- Jestem gotowa zainwestować, o ile to panu odpowiada.

- Absolutnie nie mogę pozwolić, aby ...

- Zrobiłabym to nie dla pana, tylko dlatego, że to dobra inwestycja, doktorze Radovic - przerwała mu babcia. - Wszyscy chorują, opieka medyczna to świetny interes.

- Uważam, że opieka medyczna to nie interes, tylko obowiązek, senora. Jako lekarz jestem zobligowany do służenia innym i mam nadzieję, że pewnego dnia opieka zdrowotna będzie dostępna dla każdego Chilijczyka.

- Jest pan socjalistą? - zapytała babcia z grymasem obrzydzenia, gdyż po "zdradzie", jakiej dopuściła się panna Matilde Pineda, nie ufała socjalistom.

- Jestem lekarzem, senora del Valle, i interesuje mnie tylko leczenie.

Wróciliśmy do Chile pod koniec grudnia 1898 roku i zastaliśmy kraj pogrążony w głębokim kryzysie moralnym. Nikt, ani bogaci właściciele ziemscy, ani nauczyciele, ani robotnicy zatrudnieni przy wydobywaniu siarki, nie był zadowolony ze swego losu i z rządu. Chilijczycy sprawiali wrażenie, jakby było im dobrze z ich wadami, takimi jak pijaństwo, lenistwo i skłonność do rozboju, nie przeszkadzała im uciążliwa biurokracja i niewydolność wymiaru sprawiedliwości. Ale bezrobocie i coraz powszechniejsza nędza, kontrastująca z bezczelną wystawnością życia bogaczy wywoływały narastającą, głuchą wściekłość, rozciągającą się z południa na północ. Nie pamiętam, żeby w Santiago kiedykolwiek panował taki brud, aby było tak wielu nędzarzy, tak wiele bieda-domów przeżywających inwazję karaluchów, tyle dzieci umierających, zanim jeszcze nauczyły się chodzić. Prasa zapewniała, że wskaźnik śmiertelności w stolicy był identyczny jak w Kalkucie.

Nasz dom przy ulicy Ejercito Libertador pozostawiliśmy pod opieką dwóch ubogich dalekich ciotek - każda chilijska rodzina posiada liczne grono krewnych - oraz kilkorga służby. Ciotki królowały na tych włościach od ponad dwóch lat i powitały nas bez większego entuzjazmu, podobnie jak Karmelek, który był już taki stary, że mnie nie poznał. Ogród zarósł chwastami, mauretańskie fontanny łaknęły wody, w salonach pachniało jak w grobowcu, kuchnie wyglądały jak chlew, a pod łózkami leżały mysie bobki, jednak żadna z tych rzeczy nie zdołała zniechęcić Pauliny del Valle, która postanowiła wyprawić wesele stulecia i nic - ani jej wiek, ani upał panujący w Santiago, ani mój milkliwy charakter - nie mogło jej w tym przeszkodzić. Żeby doprowadzić dom do porządku, musiała się spieszyć, miała na to parę letnich miesięcy, kiedy to wszyscy wyjeżdżają nad morze albo na wieś, ponieważ jesienią rozkwitało intensywne życie towarzyskie i trzeba było poczynić przygotowania do mojego ślubu, który miał się odbyć we wrześniu, z początkiem wiosny, w miesiącu święta narodowego i dokładnie w rok od mojego spotkania z Diegiem. Frederick Williams zatrudnił cały regiment cieśli, stolarzy, ogrodników i służących, którzy zabrali się do dzieła w typowym dla Chilijczyków tempie, czyli bez zbytniego pośpiechu. Nastąpiło skwarne lato, przynosząc tumany kurzu, zapach brzoskwiń i krzyki ulicznych sprzedawców, zachwalających te i inne sezonowe owoce. Kto mógł, wyjeżdżał na wieś albo nad morze;

miasto wyglądało jak wymarłe. Odwiedził nas Severo del Valle, przywożąc worki warzyw, kosze owoców i dobre nowiny z winnic; miał opaloną cerę, był tęższy i przystojniejszy niż kiedykolwiek. Popatrzył na mnie oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, zaskoczony, że to ja jestem tą dziewczynką, którą pożegnał przed dwoma laty; okręcał mnie w kółko, żeby przyjrzeć mi się ze wszystkich stron, i wspaniałomyślnie stwierdził, że mam w sobie coś z matki. Babcia przyjęła ów komentarz jak najgorzej; o mojej przeszłości przy niej się nie rozmawiało, dla niej moje życie zaczynało się, kiedy w wieku pięciu lat przekroczyłam próg jej pałacu w San Francisco, wszystko, co było wcześniej, nie istniało. Nivea z dziećmi została w majątku, ponieważ lada chwila znowu miała rodzić i była zbyt ociężała, żeby jechać do Santiago. Urodzaj w winnicach zapowiadał się tego roku bardzo dobrze, owoce na białe wina planowano zebrać w marcu, a na czerwone w kwietniu, opowiadał Severo del Valle, dodając, że kilka szczepów czerwonej winorośli różni się całkowicie od pozostałych; choć rosną razem z innymi, są delikatniejsze, łatwo chwyta je przymrozek i później dojrzewają. Mimo iż dają doskonale owoce, zamierza je wyrwać, żeby oszczędzić sobie problemów. Paulina del Valle natychmiast nadstawiła ucha, a w jej oczach dostrzegłam ten sam błysk chciwości, który zazwyczaj poprzedzał jakiś korzystny finansowo pomysł.

- Zaraz na początku jesieni przesadź je gdzieś osobno. Dbaj o nie, a w przyszłym roku zrobimy z nich znakomite wino - powiedziała.

- Po co się do tego zabierać?

- Skoro te winogrona dojrzewają później, to znaczy, że są delikatniejsze, a ich sok jest bardziej skoncentrowany. Wino na pewno wyjdzie znacznie lepsze.

- Produkuje jedno z najlepszych win w kraju, ciociu.

- Spraw mi tę przyjemność, bratanku, i zrób, co ci mówię ... - poprosiła babcia przymilnym tonem, którego używała, zanim wydała polecenie.

Nie mogłam zobaczyć się z Niveą aż do dnia mego ślubu, kiedy z kolejnym noworodkiem przy piersi przybyła, żeby mi w pośpiechu wyszeptać podstawowe informacje, z jakimi każda panna młoda powinna się zapoznać, zanim rozpocznie swój miodowy miesiąc, a których nikt mi dotąd nie raczył udzielić. Jednakże moje dziewictwo nie chroniło mnie bynajmniej przed porywami jakiejś instynktownej namiętności, której nie umiałam nazwać, myślałam o Diegu dzień i noc, a moje myśli nie zawsze były czyste. Pragnęłam go, ale nie bardzo wiedziałam po co. Marzyłam, żeby wziął mnie w ramiona, pocałował, tak jak to już zrobił parę razy, i chciałam zobaczyć go nagim. Nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny i przyznaję, że ciekawość spędzała mi sen z powiek. To było wszystko, cała reszta nocy poślubnej stanowiła dla mnie tajemnicę. Nivea była jedyną osobą, która uczciwie, bez pruderii mogła mnie w tych sprawach poinstruować. Jednak dopiero po latach, kiedy pogłębiła się nasza przyjaźń, odkryła przede mną tajniki swojego intymnego pożycia z Severem del Valle i zaśmiewając się do łez, szczegółowo opisywała pozycje, jakich nauczyła się z książek z kolekcji wuja Josego Francisca Vergary. W owym czasie moja niewinność była już tylko dalekim wspomnieniem, ale w materii erotyzmu pozostałam straszliwą ignorantką, jak prawie wszystkie kobiety, i większość mężczyzn również, jak zapewnia Nivea. Gdyby nie książki wuja, miałabym piętnaścioro dzieci, sama nie wiedząc jak, powiedziała. Jej rady, od których moim ciotkom włosy stanęłyby dęba, bardzo mi się przydały, kiedy przeżywałam moją drugą miłość, ale w czasie pierwszej nawet one nic by nie

dały.

Trzy długie miesiące przeżyliśmy ściśnięci w czterech pokojach domu przy ulicy Ejercito Libertador, dysząc z upału. Nie nudziłam się, ponieważ babcia powróciła do działalności charytatywnej, mimo iż wszystkie członkinie Klubu Dam były na wakacjach. Znowu zaczęłyśmy odwiedzać chorych, wdowy i obłąkańców, rozdawałyśmy żywność i nadzorowałyśmy pożyczki udzielane biednym kobietom. Pomysł ten (z którego naśmiewały się nawet gazety, ponieważ nikt nie przypuszczał, że te nieszczęsne istoty żyjące w skrajnej nędzy zdołają kiedykolwiek zwrócić pożyczone pieniądze) okazał się tak dobry, że rząd postanowił go naśladować. Kobiety te nie dość, że skrupulatnie w miesięcznych ratach spłacały zaciągnięte pożyczki, to jeszcze popierały się wzajemnie, tak że jeśli któraś nie mogła zapłacić, pozostałe robiły to za nią. Paulinie del Valle nawet przyszło do głowy, że mogłaby pobierać od nich procenty i przekształcić działalność charytatywną w interes, ale z miejsca ją powstrzymałam. "Wszystko ma swoje granice, babciu, nawet chciwość" - zbeształam ją. Moja namiętna korespondencja z Diegiem Dominguezem sprawiła, że z utęsknieniem wyczekiwałam nadejścia poczty. Odkryłam, że w liście potrafię wyrazić to, czego nigdy nie ośmieliłabym się powiedzieć prosto w oczy; słowo pisane daje poczucie prawdziwej swobody. Ze zdumieniem przyłapałam się na czytaniu poezji miłosnej zamiast powieści, które dotychczas tak lubiłam; skoro jakiś nieżyjący poeta z drugiego końca świata potrafił tak precyzyjnie opisać moje uczucia, z pokorą musiałam przyznać, że moja miłość nie była niczym wyjątkowym, że nie odkryłam niczego nowego, wszyscy zakochują się tak samo. Wyobrażałam sobie narzeczonego galopującego na koniu przez swoje ziemie, szerokiego w barach, szlachetnego, silnego i przystojnego, prawdziwego mężczyznę, w którego ramionach będę bezpieczna; on uczyni mnie szczęśliwą, ochroni, da mi dzieci i wieczną miłość. Moją przyszłość widziałam jako ciepłe i słodkie gniazdko, w którym oboje mieliśmy trwać, tuląc się nawzajem w objęciach. Czym pachniało ciało mężczyzny, którego kochałam? Czy mchem, jak lasy, z których pochodził, słodkim chlebem prosto z piekarni czy może morską wodą - aromatem, jaki od dzieciństwa dopadał mnie we snach? Potrzeba powąchania Diega stała się tak paląca, że odbierałam ją niczym gwałtowny przypływ pragnienia; w listach błagałam go, żeby mi przysłał jedną z chusteczek, jakie nosił na szyi, albo nieupraną koszulę. W odpowiedzi na te namiętne listy mój narzeczoney wysyłał mi spokojne sprawozdania z życia na wsi - krowy, pszenica, winorośl, letnie bezdeszczowe niebo - i zwięzłe komentarze na temat swojej rodziny. Oczywiście nigdy nie przysłał mi ani chusteczki, ani koszuli. W ostatnich liniijkach dodawał, jak bardzo mnie kocha i jacy będziemy szczęśliwi w nowym domu z niewypalanej cegły, który jego ojciec buduje dla nas na terenie majątku, tak jak to przedtem zrobił dla jego brata Eduarda, kiedy ten ożenił się z Susaną, i jak zrobi dla siostry Adeli, kiedy i ona wyjdzie za mąż. Od pokoleń Dominguezowie zawsze mieszkali razem; miłość Chrystusa, braterska więź, szacunek dla rodziców i ciężka praca są fundamentem jego rodziny, powiadał.

Choćbym nie wiadomo ile pisała i wzdychała, czytając wiersze, i tak miałam za dużo czasu, tak więc wróciłam do zakładu don Juana Ribero, krążyłam po mieście, robiąc zdjęcia, nocami zaś pracowałam w ciemni, którą urządziłam sobie w domu. Eksperymentowałam z odbitkami na platynie nowatorską techniką dającą bardzo piękne obrazy. Proces jest prosty, chociaż droższy, ale babcia pokrywała koszty. Papier zamalowuje się roztworem platyny za pomocą pędzla, a w efekcie otrzymuje się zdjęcia o stopniowo zmieniającej się tonacji i

wielkiej głębi, jasne, wyraźne i trwałe. Uplętyło dziesięć lat, a one nadal są najbardziej niezwykłymi zdjęciami z mojej kolekcji. Kiedy na nie patrzę, staje mi przed oczami mnóstwo obrazów ze wspomnień, a wszystkie są równie nieskazitelnie wyraziste, jak te odbitki na platynie. Widzę babcię Paulinę, Severa, Niveę, przyjaciół i krewnych, a na kilku autoportretach mogę również zobaczyć siebie taką, jaka wówczas byłam, na krótko przed wydarzeniami, które miały zmienić moje życie.

W drugi wtorek marca dom przybrał galowy wystrój; miał nowoczesną instalację gazową, telefon i windę dla babci, tapety sprowadzone z Nowego Jorku i nowe obicia na meblach, świeżo wywoskowane parkiety, wypolerowane brązowe okucia, umyte szyby, kolekcję dzieł impresjonistów na ścianach salonów i nowy zastęp służących w uniformach pod rozkazami argentyńskiego majordomusa, którego Paulina del Valle podkupiła, oferując mu pensję dwukrotnie wyższą, niż otrzymywał w hotelu Crillón.

- Będą nas obgadywać, babciu. Nikt nie zatrudnia majordomusa, to takie pretensjonalne - uprzedzałam ją.

- Nieważne. Nie zamierzam walczyć z Indiankami z plemienia Mapucze, które tupią chodakami, wrzucają włosy do zupy i ciskają talerzami po stole - odparła, zdecydowana zaimponować stołecznemu towarzystwu w ogóle, a rodzinie Diega Domingueza w szczególności.

Tak więc nowi służący dołączyli do dawnych pokojówek, które pracowały w domu od lat i których w związku z tym nie można było zwolnić. Służących było tyle, że snuły się beczynn timer, wpadając co chwila na siebie; dochodziło do drobnych kradzieży, pojawiły się plotki, tak że w końcu do akcji wkroczył Frederick Williams, który wprowadził nieco ładu i porządku, gdyż argentyński majordomus nie wiedział, od czego zacząć. Wywołało to pewne zamieszanie, nigdy nie widziano, aby pan domu zniżał się do poziomu personelu. Williams zrobił to doskonale; na coś mu się przydało jego długie doświadczenie w tym zawodzie.

Nie sądzę, aby Diego Dominguez i jego rodzina, pierwsi goście, których podejmowaliśmy, docenili elegancję, z jaką zostali obsłużeni; wręcz przeciwnie, w obliczu tak wielkiego przepychu poczuli się skępowani. Należeli do starej dynastii posiadaczy ziemskich z południa, ale w przeciwieństwie do większości chilijskich latyfundystów, którzy kilka miesięcy spędzają w majątku, a przez resztę roku żyją z kapitału w Santiago albo w Europie, oni rodzili się, dorastali i umierali na wsi. Byli to ludzie przywiązani do tradycji rodzinnych, głęboko wierzący i prości; nie potrafili docenić faktu, że przyjmuje się ich z wszelkimi szykanami; z pewnością wydało im się to nieco dekadentkie i mało chrześcijańskie. Moją uwagę zwrócił fakt, że wszyscy mieli niebieskie oczy, z wyjątkiem Susany, szwagierki Diega, ciemnowłosej, nieco ospalej piękności, wyglądającej, jakby zeszła z jakiegoś hiszpańskiego malowidła. Przy stole mieszała się na widok rzędu nakryć i sześciu kieliszków, żadne z nich nie tknęło kaczki w pomarańczach, wpadli w popłoch, kiedy wniesiono płonący deser. Widząc defiladę służących w uniformach, matka Diega, Dona Elvira, zapytała, dlaczego w domu jest tylu wojskowych. Przed obrazami impresjonistów stanęli jak wryci w przekonaniu, że to ja namalowałam te bohomyzy, a babcia z niewiedzy albo czystej głupoty kazała je rozwiesić, za to docenili krótki koncert na harfie, jaki zorganizowaliśmy w salonie muzycznym. Konwersacja urywała się już po drugim zdaniu, aż w końcu zeszła na byki rozplodowe i rozmnażanie bydła rogatego, co niezwykle zainteresowało Paulinę del Valle, która - biorąc pod uwagę liczbę posiadanych przez nich

krów - niewątpliwie już myślała o wspólnym przystąpieniu do produkcji serów na skalę przemysłową. Nawet jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości co do mojego przyszłego życia na wsi na łonie licznej rodziny narzeczonego, ta wizyta je rozwiała. Zakochałam się w tych rolnikach z dziada pradziada, dobrotliwych i pozbawionych jakichkolwiek pretensji, w porywczym i roześmianym ojcu, matce - istnym wcieleniu niewinności, uprzejmym i bardzo męskim starszym bracie Diega, tajemniczej szwagierce i młodszej siostrze, wesolej jak kanarek, którzy wyruszyli w podróż trwającą wiele dni, żeby mnie poznać. Zaakceptowali mnie z całą naturalnością i jestem pewna, że wyjechali nieco zaskoczeni naszym stylem życia, którego jednakże nie krytykowali, gdyż wyglądali na ludzi niezdolnych do tego, aby o kimkolwiek myśleć źle. Ponieważ Diego mnie wybrał, uznali mnie za członka rodziny, i to im wystarczyło. Ich prostota sprawiła, że poczułam się swobodnie, co w towarzystwie obcych rzadko mi się zdarza, i już po chwili rozmawiałam z każdym z nich, opowiadając o podróży do Europy i o moim zamiłowaniu do fotografowania. "Pokaż mi swoje zdjęcia, Auroro" - poprosiła dona Elvira, a kiedy to zrobiłam, nie potrafiła ukryć rozczarowania. Sądzę, że spodziewała się ujrzeć coś bardziej przyjemnego dla oka niż pikiety strajkujących robotników, bieda-domy, dzieci w łachmanach bawiące się w rynsztokach, brutalne zamieszki, burdele, wynędzniałych emigrantów, siedzących na swych tobołkach na pokładzie statku. "Ależ, córeńko, dlaczego nie robisz ładnych zdjęć? Dlaczego się zapuszczasz w takie zapadłe dziury? W Chile jest tyle pięknych krajobrazów ... " - wymamrotała ta święta kobieta. Chciałam jej wyjaśnić, że nie interesują mnie ładne rzeczy, tylko właśnie te twarze naznaczone ciężką pracą i cierpieniem, ale pojęłam, że nie był to odpowiedni moment. Przyjdzie czas, że lepiej dam się poznać mojej przyszłej teściowej i reszcie rodziny.

- Po co pokazywałaś jej te zdjęcia? Dominguezowie to ludzie starej daty, nie powinnaś ich straszyć swoimi nowoczesnymi poglądami, Auroro - zwróciła mi uwagę Paulina del Valle, kiedy wyjechali.

- Już i tak byli wystraszeni przepychem tego domu i obrazami impresjonistów, nie sądzisz, babciu? Poza tym Diego i jego rodzina muszą wiedzieć, jaką kobietą jestem - odparłam.

- Na razie nie jesteś żadną kobietą, tylko smarkulą. Jeszcze się zmienisz, urodzisz dzieci, będziesz musiała dostosować się do środowiska swojego męża.

- Zawsze będę tą samą osobą i nie chcę rezygnować z fotografii. To nie to samo co akwarelki siostry Diega i wyszywanki szwagierki; to fundamentalna część mego życia.

- Dobrze, najpierw wyjdź za mąż, a potem będziesz robić, na co ci przyjdzie ochota - zakończyła babcia.

Nie czekaliśmy do września, jak to było planowane, lecz musieliśmy się pobrać w połowie kwietnia, ponieważ dona Elvira Dominguez miała atak serca i w tydzień później, kiedy doszła do siebie na tyle, żeby zrobić samodzielnie kilka kroków, chciała ujrzeć mnie jako żonę Diega, zanim ona przeniesie się na tamten świat. Reszta rodziny była tego samego zdania, ponieważ gdyby rzeczywiście umarła, ślub trzeba by odłożyć przynajmniej o rok, żeby zachować należytą żałobę. Babcia musiała przystosować się do biegu rzeczy i zapomnieć o ceremonii godnej książęcego dworu, jaką planowała, a ja odetchnęłam z ulgą, gdyż myśl o tym, że połowa Santiago miałaby przyglądać mi się, jak prowadzona przez Fredericka Williamsa albo Severa del Valle w chmurze organdy wstępuję na stopnie katedry, jak tego chciała babcia, napawała mnie wielkim niepokojem.

Co mogę powiedzieć o pierwszym miłosnym spotkaniu z Diegiem Dominguezem? Niewiele, gdyż pamięć zachowuje jedynie czerń i biel; szarości giną po drodze. Może nie było takie żalodne, jakim je zapamiętałam, tyle że odcienie mi się zatarły, a zostało jedynie poczucie frustracji i gniewu. Po ceremonii ślubnej w gronie najbliższych osób w domu przy ulicy Ejercito Libertador, poszliśmy do hotelu, żeby spędzić tam tę pierwszą noc, później mieliśmy wyjechać na dwa tygodnie w podróż poślubną do Buenos Aires, gdyż delikatne zdrowie doli i Elviry nie pozwalało nam zbyt się oddalać. Kiedy żegnałam się z babcią, zrozumiałam, że jakaś część mojego życia kończy się bezpowrotnie. Przytuliwszy ją, jeszcze raz poczułam, jak bardzo ją kocham, i przekonałam się, jak bardzo zmałała; ubranie na niej wisiało, a ja przerosłam ją o pół głowy. Miałam przeczucie, że nie zostało jej już wiele życia, sprawiała wrażenie drobnej i bezbronnej, wyglądała jak staruszczyzna o trzęsącym się głosie i kolanach jak z waty. Mało zostało ze wspaniałej matrony, która przez ponad siedemdziesiąt lat robiła, co się jej żywnie podobało, i decydowała o losach rodziny. Frederick Williams wyglądał przy niej jak jej syn, gdyż upływ czasu nawet go nie musnął, nie podlegał procesowi starzenia się tak jak inni śmiertelnicy. Aż do poprzedniego dnia dobry wujek Frederick za plecami babci błagał mnie, żebym nie wychodziła za męża, jeśli nie jestem do tego przekonana, a ja za każdym razem odpowiadałam mu, że nigdy nie byłam niczego bardziej pewna. Nie miałam wątpliwości, że kocham Diega Domingueza. W miarę jak zbliżał się moment ślubu, moja niecierpliwość rosła. Stawałam przed lustrem naga albo ledwo osłonięta którąś z delikatnych nocnych koszul z koronkami, kupionych przez babcię we Francji, i z niepokojem zadawałam sobie pytanie, czy mu się spodoba. Pieprzyk na szyi i ciemne sutki wydawały mi się straszliwym defektem. Czy będzie mnie pragnął tak jak ja jego? Przekonałam się tej pierwszej nocy. Byliśmy zmęczeni, dużo zjedliśmy, on wypił więcej, niż powinien, a i ja miałam w sobie trzy kieliszki szampana. Wchodząc do hotelu, udawaliśmy obojętność, jednak ryż, jaki sialiśmy za sobą po podłodze, zdradzał w nas nowożeńców. Na myśl o tym, że jestem z Diegiem sam na sam i że ktoś na zewnątrz wyobraża sobie, jak się kochamy, ogarnął mnie taki wstyd, że aż dostałam mdłości i zamknęłam się w łazience; dopiero po dłuższej chwili mój świeżo poślubiony małżonek zapukał delikatnie do drzwi, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyję. Wziął mnie za rękę i zaprowadził do pokoju, pomógł mi zdjąć wymyślny kapelusz, wyjął szpilki z koka, uwolnił mnie z zamszowego żakietu, rozpiął tysiąc perłowych guziczków bluzki, wydobyl mnie z ciężkiej spódnicy i halek, aż zostałam jedynie w cienkiej batystowej koszuli, jaką nosiłam pod gorsetem. Kiedy mnie rozbierał, czułam, że roztopiam się jak wosk, ulatniam jak dym i zostaje ze mnie zaledwie szkielet i mój oddech. Pocałował mnie w usta, ale nie tak jak to sobie przez ostatnich kilka miesięcy tylekroć wyobrażałam, tylko mocno i niecierpliwie; następne jego pocałunki stawały się coraz bardziej władcze, a ręce zdzierały ze mnie koszulę, którą starałam się przytrzymać, gdyż perspektywa, że mnie zobaczy naga, przerażała mnie. Pospieszne pieszczoty i napór jego ciała na moje sprawiły, że zaczęłam się bronić; byłam tak napięta, że dygotałam, jakby mi było zimno. Zniechęcony zapytał, co mi jest, i kazał się rozluźnić, jednak widząc, że to tylko pogarsza sprawę, zmienił ton, powiedział, żebym się nie bała, i obiecał, że będzie ostrożny. Zdmuchnął lampę i jakimś sposobem zdołał zaprowadzić mnie do łóżka; reszta odbyła się szybko. Nic nie zrobiłam, żeby mu pomóc. Zastygłam w bezruchu jak zahipnotyzowana kura, na próżno starając się przypomnieć sobie rady Nivei. W pewnej chwili przeszył mnie ostry ból; udało mi się powstrzymać krzyk, przygryzłam wargi i w

ustach poczułam smak krwi. Najwyraźniejszym wspomnieniem tamtej nocy jest moje zdziwienie i uczucie zawodu. Więc to była owa namiętność opiewana przez poetów? Diego pocieszał mnie, że pierwszy raz zawsze tak wygląda, z czasem nauczymy się siebie nawzajem i wszystko będzie dobrze, potem obdarzył mnie pocałunkiem w czoło, odwrócił się plecami i po chwili spał jak dziecko, podczas gdy ja czuwałam w ciemnościach z ręcznikiem między nogami, czując palący ból w dole brzucha i ciężar na duszy. Byłam zbyt wielką ignorantką, aby domyślić się przyczyny mojego rozczarowania, nawet nie znałam słowa orgazm, jednak zgłębiłam tajniki mego ciała i wiedziałam, że gdzieś w nim ukryta jest ta sejsmiczna rozkosz, zdolna zmienić koleje losu człowieka. Diego znalazł ją we mnie, to było widać, ale ja doświadczyłam jedynie cierpienia. Poczułam się ofiarą jakiejś okropnej biologicznej niesprawiedliwości: dla mężczyzny seks był łatwy - mógł nawet użyć siły - podczas gdy nam, kobietom, nie sprawiał żadnej przyjemności, za to pociągał za sobą poważne konsekwencje. Czyżby do boskiego przekleństwa: "W bólach rodzić będziesz" należało jeszcze dodać: "i kochać bez rozkoszy"?

Kiedy Diego obudził się następnego ranka, ja już od dawna byłam ubrana, zdecydowana wrócić do domu i schronić się w bezpiecznych ramionach babci, jednak świeże powietrze i spacer po ulicach śródmieścia, prawie pustych w niedzielę o tej porze, pomogły mi ochłonąć. Paliła mnie pochwa, w której jeszcze czułam obecność Diega, ale stopniowo złość zaczęła mijać i postanowiłam stawić czoło mojej przyszłości jak dojrzała kobieta, a nie jak źle wychowana smarkula. Zdawałam sobie sprawę, że mnie rozpieszczano przez dziewiętnaście lat mego życia, jednak ten etap się skończył; poprzedniej nocy rozpoczęłam żywot mężatki i powinnam działać i myśleć dojrzałe, stwierdziłam, połykając łyżę. Odpowiedzialność za moje szczęście spoczywa wyłącznie na mnie. Mój mąż mi go nie da niczym prezentu zawiniętego w delikatną bibułkę; dzień po dniu muszę je sobie wypracowywać, wkładając w to wiele wysiłku. Na szczęście kochałam tego mężczyznę i sądziłam, że - tak jak mnie zapewniał - z czasem dzięki praktyce sprawy między nami ułożą się znacznie lepiej. Biedny Diego, pomyślałam, pewnie jest tak samo rozczarowany jak ja. Wróciłam na czas do hotelu, zamknęłam walizki i wyruszyliśmy w podróż poślubną.

Majątek Caleufu, położony w najpiękniejszym regionie Chile, dzikiej rajskiej krainie zimnej selwy, wulkanów, jezior i rzek, należał do rodziny Dominguezów od czasów Kolonii, kiedy ziemie te zostały rozdzielone między hidalgów, którzy najbardziej odznaczyli się podczas konkwisty. Dominguezowie stopniowo zwiększali swój stan posiadania, skupując ziemię od Indian (płacili za nią wódką), aż w końcu stali się właścicielami jednego z najlepiej prosperujących majątków w okolicy. Posiadłość nigdy nie została podzielona; należało do tradycji, że w całości dziedziczył ją najstarszy syn, który miał obowiązek zapewnić pracę albo pomagać młodszym braciom, utrzymywać i wyposażyć siostry i dbać o dzierżawców. Mój teść, don Sebastian Domtnguez, uczciwie wywiązał się z obowiązków najstarszego syna i starzał się ze spokojnym sumieniem, wdzięczny za dary losu, a przede wszystkim za miłość, jaką żywiła do niego jego żona, dona Elvira. W młodości był szafawilą, jak sam mawiał ze śmiechem, czego dowodem była liczna rzesza niebieskookich chłopów w jego majątku, jednak delikatna i silna rączka doni Elviry stopniowo go poskromiła, a on nawet tego nie zauważył. Rolę patriarchy pełnił z dobrocią; dzierżawcy ze swymi problemami przychodzili

przede wszystkim do niego, gdyż jego dwaj synowie, Eduardo i Diego, byli bardziej rygorystyczni, a dona Elvira poza czterema ścianami swego domu w ogóle nie otwierała ust. Wobec dzierżawców don Sebastian wykazywał wiele cierpliwości, traktował ich jak nieco zapóźnione w rozwoju dzieci, natomiast w kontaktach z synami był surowy. "Jestemy bardzo uprzywilejowani, dlatego też spoczywa na nas większa odpowiedzialność. Nie ma dla nas wymówek ani pretekstów, naszym obowiązkiem jest być w porządku wobec Boga i pomagać naszym ludziom, z tego zdamy rachunek w niebie" - powtarzał. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, jednak wyglądał młodziej, gdyż prowadził bardzo zdrowy tryb życia, całe dni spędzał na koniu, objeżdżając swoje ziemie, pierwszy wstawał i ostatni kładł się do łóżka, był przy młocce, ujeżdżaniu koni, rodeo, osobiście pomagał przy znakowaniu i kastrowaniu bydła. Dzień zaczynał od filiżanki czarnej kawy z sześcioma łyżeczkami cukru i odrobiną brandy; dzięki temu miał siły do gospodarskich zajęć aż do drugiej po południu, kiedy w gronie rodziny zjadał obiad z czterech dań i trzech deserów, obficie zakrapiany winem. W tym ogromnym domu nie było nas dużo. Największą bolączką moich teściów był fakt, że mieli tylko troje dzieci. Taka była wola boża, mawiali. Rozproszeni w ciągu dnia, kiedy to rozchodziliśmy się do swoich zajęć, wszyscy spotykaliśmy się przy kolacji; nikogo nie mogło brakować. Eduardo i Susana z dziećmi mieszkali w drugim budynku, wzniesionym dla nich w odległości dwustu metrów od głównego domu, ale tam przygotowywano tylko śniadanie, a resztę posiłków jadano przy stole moich teściów. W związku z tym, że musieliśmy przyspieszyć ślub, dom przeznaczony dla Diega i dla mnie nie był gotów i mieszkaliśmy w jednym skrzydle domu teściów. Don Sebastian zajmował honorowe miejsce w wysokim, zdobnym fotelu; na przeciwległym końcu zasiadała dona Elvira, a po obu stronach synowie z żonami, dwie owdowiałe ciotki, kilku kuzynów czy dalszych krewnych oraz babcia staruszka tak zdziecinniała, że trzeba ją było karmić smoczkiem. Na stole stawiano kilka dodatkowych nakryć dla gości, którzy zwykli wpadać bez uprzedzenia i czasami zostawali na parę tygodni. Zawsze byli mile widziani, gdyż w wiejskim odosobnieniu stanowili największą atrakcję. Bardziej na południe, na terytorium Indian, mieszkało kilka chilijskich rodzin, a także paru osadników niemieckich, bez których rejon ten pozostałby niemal dziki. Na objechanie konno posiadłości Dominguezów, które ciągnęły się aż do granicy z Argentyną, potrzeba było kilku dni. Wieczorami modlono się, a kalendarz roku odmierzało się świętami religijnymi, które obchodzono z całą powagą, ale i z radością. Moi teściowie zauważyli, że w dzieciństwie nie wpojono mi zbyt mocno zasad religii katolickiej, jednak nie stanowiło to dla nas problemu, gdyż bardzo szanowałam ich przekonania, a oni nie starali mi się ich narzucać. Dona Elvira wyjaśniła mi, że wiara to dar od Boga: "W ten sposób Bóg kogoś wybiera" - powiedziała. Fakt ten w jej oczach oczyszczał mnie z winy; Bóg mnie jeszcze nie wybrał, ale skoro umieścił mnie w takiej katolickiej rodzinie, to znaczy, że wkrótce to uczyni. Entuzjazm, z jakim pomagałam jej w działalności charytatywnej prowadzonej wśród dzierżawców, był dla niej dowodem, iż mam współczującą naturę i dobry charakter; nie wiedziała, że to nawyk wyniesiony z Klubu Dam mojej babci i prozaiczna chęć poznania robotników rolnych i robienia im zdjęć. Poza don Sebastianem, Eduardem i Diegiem, którzy wykształcili się w dobrych szkołach z internatami i odbyli obowiązkową podróż do Europy, nikt w tych stronach nie domyślał się nawet, jaki świat jest wielki. W domu tym nie czytano powieści; sądzę, że don Sebastian nie miał głowy, by je cenzurować i w obawie, że ktoś przeczyta jakąś pozycję z "czarnej listy" sporządzanej przez Kościół, wolał zdusić zło w zarodku i wyeliminować

wszystkie. Czasopisma docierały z takim opóźnieniem, że informacje w nich zawarte miały już tylko wartość historyczną. Dona Elvira czytała książeczki do nabożeństwa, a Adela, młodsza siostra Diega, miała parę tomików poezji, kilka biografii postaci historycznych i jakieś zapiski z podróży, które czytała wciąż od nowa. Później odkryłam, że skądś zdobywa jednak powieści sensacyjne, odrywa im okładki i zastępuje je okładkami książek, które ojciec pozwala jej czytać. Kiedy z Santiago dotarły moje kufry i skrzynie, a wraz z nimi setki książek, dona Elvira ze zwykłą sobie słodyczą poprosiła, żebym nie pokazywała ich reszcie rodziny. Co tydzień babcia albo Nivea przysyłały mi nowe lektury, które ukrywałam w moim pokoju. Teściowie nic nie mówili, wierząc, jak przypuszczam, że ów zły nawyk przejdzie mi, kiedy będę miała dzieci i skończą się dla mnie godziny beczynności, podobnie jak to było w przypadku Susany (moja szwagierka miała trójkę cudownych i bardzo źle wychowanych dzieci). Za to nie mieli nic przeciwko fotografii; prawdopodobnie domyślili się, że bardzo trudno byłoby w tej sprawie narzucić mi swoją wolę, i chociaż nigdy nie zainteresowali się tym moim hobby, w głębi domu wyznaczyli mi pomieszczenie, w którym mogłam urządzać ciemnię.

Wyrosłam w mieście, w wygodnej i kosmopolitycznej atmosferze domu mojej babci, ciesząc się znacznie większą swobodą niż jakakolwiek Chilijka żyjąca wówczas czy nawet dzisiaj, albowiem mimo iż kończy się już pierwsza dekada dwudziestego wieku, życie tutejszych dziewcząt niewiele się zmieniło. Kiedy znalazłam się w rodzinie Dominguezów, musiałam odmienić swój styl życia; okazało się to bolesne, mimo iż robili wszystko, co mogli, żebym czuła się między nimi swobodnie. Byli dla mnie bardzo dobrzy, łatwo przyszło mi ich pokochać; ich serdeczność rekompensowała powściągliwość, a nieraz i szorstki charakter Diega, który w obecności rodziny traktował mnie jak siostrę, a na osobności prawie się do mnie nie odzywał. Pierwsze tygodnie, podczas których próbowałam się zaadaptować, były dla mnie bardzo ciekawe. Don Sebastian podarował mi piękną czarną klacz z białą gwiazdką na czole, a Diego wysłał mnie w towarzystwie nadzorca na objazd posiadłości; chciał, żebym poznała robotników, a także sąsiadów, mieszkających w odległości tylu kilometrów, iż każda podróż zabierała trzy albo cztery doby. Mój mąż wyjeżdżał z bratem i ojcem do pracy w polu i na polowania, czasami przebywali poza domem przez wiele dni. Źle znosiłam domową nudę, to niekończące się zabawianie dzieci Susany, pieczenie ciast i robienie konfitur, sprzątanie i wietrzenie, szycie i szydełkowanie. Kiedy kończyłam pracę w szkole, którą prowadziły dona Elwira z Adelą, albo w przydomowym "szpitaliku", gdzie udzielano porad lekarskich, wkładałam spodnie Diega i odjeżdżałam galopem. Teściowa ostrzegła mnie, żebym nie siadała na koniu okrakiem jak mężczyźni, gdyż mogę się nabawić "problemów kobiecych" (nigdy nie udało mi się dowiedzieć, co ów eufemizm miał oznaczać), ale w tej okolicy, wśród wzgórz i skał, nie można było siedzieć na koniu bokiem, nie ryzykując, że przy pierwszym upadku rozbije się głowę. Piękne widoki aż zapierały dech, za każdym zakrętem drogi czekała mnie jakaś niespodzianka; byłam oczarowana. Wspinałam się po zboczach i spuszczałam w doliny, docierałam aż do gęstych lasów modrzewi, wawrzynów, drzew cynamonowych, orzechów ziemnych, mirtów i tysiącletnich, dających delikatne drewno araukarii, które Dominguezowie eksploatowali w swoim tartaku. Upajałam się zapachem wilgotnego lasu, zmysłowym aromatem czerwonej ziemi, soków roślinnych i korzeni; spokojem gęstwiny, nad którym czuwały milczące korony gigantycznych drzew; tajemniczym pomrukiem lasu: był w nim śpiew niewidzialnych wód, taniec wiatru

zaplątanego w gałęzie, szmer rosnących korzeni i brzęczenie owadów, delikatne trele dzikich gołębi grzywaczy i głośne wrzaski drapieżnych ptaków *chimango*. Ścieżki wiodły tylko do tartaku i dalej musiałam przedzierać się przez gąszcz, zdając się na instynkt klaczy; jej kopyta grzęzły w brunatnym błocie, którego gęstość i zapach jakoś dziwnie się kojarzyły z roślinną krwią. Przez ogromną kopułę drzew sączyły się jasne promienie światła, ale były i strefy ciemności, gdzie czaiły się pумы, wodzące za mną płonącymi oczami. Do siodła miałam przytroczoną strzelbę, z tym że w razie czego nie miałabym nawet czasu po nią sięgnąć, a już na pewno nie zdążyłabym wystrzelić. Fotografowałam wieczne lasy, jeziora o dnach z czarnego piasku, rwące rzeki pełne śpiewających kamieni i malownicze wulkany, które - niczym smoki śpiące na kopcach popiołów - wieńczyły horyzont. Fotografowałam również dzierzawców z majątku i później przywoziłam im zdjęcia w prezencie, a oni przyjmowali je zmieszani, nie wiedząc, co zrobić z tymi wizerunkami samych siebie, o które nie prosili. Fascynowały mnie ich twarze, noszące na sobie ślady działania klimatu i nędzy, lecz oni nie lubili oglądać się takimi, jakimi byli naprawdę, w swych lachmanach i z troskami na karku; woleli podkolorowane ręcznie portrety, do których pozowali w jedynym porządnym ubraniu, jakie mieli - tym od ślubu - umyci i uczesani, w otoczeniu niezasmarkanych dzieci.

W niedzielę przerywano pracę i odprawiano mszę, jeśli przybył do nas ksiądz, a jeśli go nie było, kobiety należące do rodziny odbywały "misje", odwiedzając dzierzawców w ich domach i prowadząc wśród nich katechizację. W ten sposób drobnymi prezentami i uporem zwalczały indiańskie wierzenia, które osłabiały pozycję chrześcijańskich świętych. Nie brałam udziału w tych religijnych praktykach, ale korzystałam z okazji, aby dać się poznać rolnikom. Wielu z nich było czystej krwi Indianami - ci nadal mówili swoim językiem i przestrzegali tradycji - inni byli Metysami, a wszyscy oni na co dzień byli skromni i nieśmiali, za to kiedy wypili, stawali się zaczepni i hałaśliwi. Alkohol był gorzkim balsamem, który na kilka godzin kołił ich ziemskie smutki dnia powszedniego, przeżerając im zarazem wewnętrzną niczym groźny szczur. Pijaństwo i bójki z użyciem białej broni karano grzywną, podobnie jak inne wykroczenia, takie jak na przykład ścięcie drzewa bez zezwolenia albo wypuszczenie zwierząt domowych poza przyznawany każdej rodzinie pod uprawę teren o obszarze równym połowie *cuadry*. Kradzież albo zuchwalstwo wobec osób wyższego stanu karano chłostą, ale don Sebastian brzydził się karami cielesnymi; zniósł również prawo zwane *pernada*, będące starą tradycją wywodzącą się z czasów kolonialnych, według której panowie mieli prawo deflorować chłopskie córki przed ich ślubem. On sam w młodości korzystał z tego prawa, ale przybycie doni Elviry do posiadłości położyło kres tym praktykom. Nie aprobował również wizyt w burdelach, których nie brakowało w pobliskich miasteczkach, i nalegał, aby jego synowie dla uniknięcia pokus żenili się młodo. Eduardo i Susana pobrali się przed sześciu laty, kiedy oboje mieli po dwadzieścia lat, a dla Diega, który miał wówczas siedemnaście, przeznaczono dziewczynę spokrewnioną z ich rodziną, jednakże jeszcze przed zaręczynami utopiła się w jeziorze. Eduardo, starszy brat, był bardziej towarzyski od Diega, miał talent do opowiadania dowcipów i śpiewania, znał wszystkie legendy i historie dotyczące tych stron, lubił rozmawiać i umiał słuchać. Bardzo kochał Susanę, na jej widok rozjaśniały mu się oczy, a kapryśne usposobienie żony nigdy nie budziło jego zniecierpliwienia. Moja szwagierka cierpiała na bóle głowy, które zazwyczaj wprawiały ją w okropny humor, zamykała się na klucz w swoim pokoju, nie jadła

i pod żadnym pozorem nie wolno jej było przeszkadzać, za to kiedy dolegliwości mijały, pojawiała się całkowicie odmieniona, uśmiechnięta i czuła, jakby całkiem inna kobieta. Zauważyłam, że śpi sama i że ani mąż, ani dzieci nie wchodzi do jej pokoju nieproszeni, a drzwi stale są zamknięte. Rodzina przyzwyczała się do jej migren i depresji, jednak przestrzeganie prywatności było dla tych ludzi niemalże obraźliwe, podobnie jak dziwne wydało się im, że ja nie pozwalałam nikomu wchodzić bez pytania do ciemni, kiedy wywołuję zdjęcia, mimo że wyjaśniłam im, w jaki sposób promienie słoneczne mogą uszkodzić moje negatywy. W Caleufu nie było drzwi ani gabinetów zamykanych na klucz poza piwnicą win, spichlerzem i sejfem w biurze. Dochodziło oczywiście do drobnych kradzieży, lecz don Sebastian zazwyczaj patrzył na nie przez palce. Ci ludzie są nieuczenni, nie kradną z zamiłowania do występku ani z konieczności, tylko dlatego, że mają złe nawyki, mawiał, chociaż prawda była taka, że dzierżawcy mieli po prostu znacznie większe potrzeby, niż ich pan sądził. Chłopi byli wolni, jednak od pokoleń żyli na tej ziemi i nie przychodziło im do głowy, że mogło być inaczej; nie mieli dokąd pójść. Tylko nieliczni dożywali starości. Dzieci masowo umierały w pierwszych latach życia w wyniku infekcji, pogryzienia przez szczury, zapalenia płuc, kobiety - podczas porodu i z wycieńczenia, mężczyźni - w wypadkach, od zakażonych ran i od zatrucia alkoholem. W najbliższym szpitalu, należącym do Niemców, pracował pewien bawarski lekarz wielkiej sławy, ale wybierano się tam jedynie w poważnych przypadkach; drobniejsze dolegliwości leczono, uciekając się do sekretów przyrody, modlitwy i pomocy *meicas*, indiańskich znachorek, które najlepiej znały właściwości miejscowych roślin.

Pod koniec maja nastąpiła bezlitosna zima. Bezustanny deszcz - niczym cierpliwa praczka - wyprał z barw cały krajobraz. Zmrok teraz zapadał wcześniej i już o czwartej po południu zbieraliśmy się w domu, a noce zdawały się nie mieć końca. Już nie mogłam wyruszać na długie konne przejażdżki i fotografować ludzi z majątku. Byliśmy odizolowani od świata, drogi zamieniły się w bajora, nikt nas nie odwiedzał. Dla zabicia czasu eksperymentowałam w ciemni z różnymi technikami wywoływania filmów i robiłam zdjęcia rodzinne. Powoli odkrywałam, że wszystko istnieje w połączeniu z czymś innym, jest częścią zwartej całości; to, co na pierwszy rzut oka wydaje się sumą zbiegów okoliczności, obserwowane precyzyjnym okiem obiektywu odkrywa swoją doskonałą harmonię. Nic nie jest przypadkowe, nic nie jest banalne. Tak jak w pozornym chaosie leśnych roślin istnieje ścisła zależność między przyczyną a skutkiem - na każde drzewo przypadają setki ptaków, na każdego ptaka tysiące owadów, na każdego owada miliony komórek organicznych - tak samo chłopci przy pracy albo rodzina chroniąca się w domu przed zimą stanowią niezbędne elementy ogromnego fresku. To, co najistotniejsze, często jest niewidoczne, dostrzegalne jedynie sercem, jednak obiektyw potrafi czasami uchwycić ślad istoty rzeczy. To właśnie usiłował osiągnąć w swej sztuce mistrz Ribero i tego próbował mnie nauczyć: jak wznieść się ponad czysty dokument i sięgnąć do samego sedna rzeczywistości. Te delikatne powiązania, które ujawniały się na papierze fotograficznym, głęboko mnie wzruszały i zachęcały do dalszych eksperymentów. W zimowym odosobnieniu moja ciekawość wzrosła. W miarę jak robiło się coraz bardziej duszno i ciasno i życie wokół mnie zastygało w bezruchu, ukryte przed światem za grubymi ścianami z niewypalanej cegły, mój umysł ogarniał coraz większy niepokój. Zaczęłam obsesyjnie badać wnętrze domu i sekrety jego mieszkańców. Od nowa, niczego nie zakładając z góry, zaczęłam przyglądać się rodzinie

Dominguezów, jakbym widziała ją po raz pierwszy. Kierowałam się intuicją, nie sugerując się wcześniejszym wrażeniem. "Widzimy tylko to, co chcemy zobaczyć" - powiedział don Juan Ribero i dodawał, że moje prace powinny pokazywać to, czego wcześniej nikt nie dostrzegał. Początkowo Dominguezowie pozowali do zdjęć, przywołując na twarze wymuszone uśmiechy, ale wkrótce przyzwyczaili się do mojej dyskretnej obecności i w końcu przestali zwracać uwagę na obiektyw, a wtedy mogłam uchwycić ich w niedbałych pozach, takimi, jacy byli. Deszcz zmył kwiaty i liście, dom pełen ciężkich mebli i wielkich pustych przestrzeni zamknął się przed światem, a my zostaliśmy pojmani w dziwną domową niewolę. Krążyliśmy po pokojach oświetlonych świecami, starając się unikać lodowatych przeciągów; w ścianach skrzypiało drewno, wydając wdowie jęki, słychać było delikatne dreptanie przemykających myszy; pachniało błotem, mokrymi dachówkami, wilgotną bielizną. Służący palili w piecykach i kominkach, pokojówki przynosiły nam butelki gorącej wody, koce i wielkie filiżanki gorącej czekolady, lecz zima nie dawała się oszukać. Wtedy ogarnęło mnie dojmujące poczucie osamotnienia.

Diego zachowywał się niczym duch. Teraz próbuję przypomnieć sobie jakąś dzieloną z nim chwilę, jednak jawi mi się jedynie jako stojący na scenie mim, nie wydający głosu i oddzielony ode mnie szeroką fosą. Mam w pamięci - i w mojej kolekcji fotografii z tamtej zimy - wiele scen, w których Diego, czy to podczas prac polowych, czy to w domu, zawsze zajęty był kimś innym, a nigdy mną; w stosunku do mnie zawsze był daleki i obcy. Zbliżyć się do niego było niemożliwością, istniała między nami przepaść i wszelkie moje próby wymiany poglądów czy poznania jego uczuć kończyły się fiaskiem. Diego uporczywie milczał, albo po prostu znikał. Utrzymywał, że wszystko już zostało między nami powiedziane, że skoro się pobraliśmy, to znaczy, że się kochamy, i nie ma po co zagłębiać się w to, co jest oczywiste. Początkowo obrażałam się za jego milczenie; wkrótce pojęłam, że odnosi się tak do wszystkich z wyjątkiem swoich bratanków; wobec dzieci potrafił być wesoły i czuły, może sam chciał je mieć tak samo jak ja, ale każdy miesiąc przynosił nam rozczarowanie. O tym również nie rozmawialiśmy, był to jeszcze jeden z wielu tematów związanych z ciałem czy miłością, których przez wstydlivość nie poruszaliśmy. Kilka razy próbowałam powiedzieć mu, jak bardzo pragnę jego pieśczoć; natychmiast przyjmował pozycję obronną; w jego oczach uczciwa kobieta nie powinna w ogóle odczuwać tego rodzaju potrzeb, a już tym bardziej ich ujawniać. Wkrótce jego niedomówienia, mój wstyd i duma obojga wzniosły między nami chiński mur. Dałabym wszystko, byleby tylko móc z kimkolwiek porozmawiać o tym, co się działo za naszymi zamkniętymi drzwiami, ale moja teściowa była osobą eteryczną niczym anioł, z Susaną nie czułam się naprawdę zaprzyjaźniona, Adela ledwo skończyła szesnaście lat, Nivea była za daleko, a nie śmiałam wyłuszczyć moich obaw na piśmie. Diego i ja nadal kochaliśmy się - żeby to jakoś nazwać - od czasu do czasu, zawsze tak samo jak za pierwszym razem, współzycie wcale nas nie zbliżyło, ale to bolało tylko mnie, jemu było z tym wygodnie. Nie kłóciliśmy się i odnosiliśmy się do siebie z wymuszoną uprzejmością, chociaż ja tysiąc razy wołałabym otwartą wojnę niż te nasze milczące podchody. Mój mąż unikał przebywania ze mną sam na sam; wieczorami tak długo grał w karty, aż ja, zmęczona, szłam spać; rano wyskakiwał z łóżka z pierwszym pianiem koguta i nawet w niedzielę, kiedy reszta rodziny pozostawała w łóżku dłużej, on wynajdywał

preteksty, żeby wstać wcześniej, Natomiast moje życie było podporządkowane jego nastrojom, na tysiąc sposobów starałam się uprzedzać jego życzenia, robiłam wszystko, co mogłam, żeby go do siebie przyciągnąć i uprzyjemnić mu życie; na odgłos jego kroków albo dźwięk głosu serce zrywało mi się w piersi do galopu, Nie spuszczałam z niego wzroku; w moich oczach był piękny niczym bohaterowie bajek; w łóżku, starając się go nie obudzić, głaskałam jego szerokie i silne plecy, gęste i falujące włosy, mięśnie nóg i szyi. Lubiłam, kiedy po powrocie z pola pachniał potem, ziemią i koniem, a po kąpieli - angielskim mydłem. Żeby poczuć zapach mężczyzny, zanurzałam twarz w jego ubraniu, gdyż nie miałam odwagi wachać jego ciała. Teraz, z perspektywy czasu i w zestawieniu z pełną swobodą, jaką osiągnęłam w ostatnich latach, widzę, jak dalece dałam się poniżyć. Dla miłości odrzuciłam wszystko, poczynając od mojej osobowości, a kończąc na pracy, bo marzyłam o domowym szczęściu, które nie było mi przeznaczone.

A żeby pokonać nudę długiej leniwej zimy, potrzebna była wyobraźnia. Wszyscy członkowie rodziny Dominguezów mieli dobry słuch muzyczny i grali na różnych instrumentach i w ten sposób wieczory upływały na zaimprovizowanych koncertach. Susana, spowita w postrzępioną aksamitną tunikę, w tureckim turbanie na głowie i z oczami podczernionymi węglem, uprzyjemniała nam czas, śpiewając szorstkim cygańskim głosem. Dona Elvira i Adela zorganizowały lekcje szycia dla kobiet i usiłowały nadal prowadzić szkołę, jednak tylko dzieci dzierzawców mieszkających blisko były w stanie stawić czoło pogodzie i przyjść na lekcje; codzienny różaniec przyciągał starszych i dzieci, ponieważ po nim podawano czekoladę i ciasta. Susana wpadła na pomysł, żeby na koniec roku wystawić sztukę teatralną i przez kilka tygodni pisaliśmy tekst, uczyliśmy się naszych ról na pamięć, w jednym ze spichlerzy urządzaliśmy scenę, szyliśmy kostiumy i odbywaliśmy próby. Tematem, ma się rozumieć, była łatwa do odszyfrowania alegoria dotycząca odwiecznych ludzkich przywar i wynikających z nich nieszczęść, pokonanych ostatecznie przez zwycięski pochód nauki, technologii i postępu dwudziestego wieku. Organizowaliśmy też zawody w strzelaniu do celu i bawiliśmy się w odgadywanie znaczenia trudnych wyrazów zaczerpniętych ze słownika, graliśmy w szachy, przeprowadzaliśmy różne konkursy, na przykład na najpiękniejszą, własnoręcznie wykonaną kukielkę albo wioskę z zapalek, ale i tak zawsze wolnych godzin było aż za dużo. Adelę uczyniłam moją pomocnicą w laboratorium fotograficznym i po kryjomu wymienialiśmy się książkami; ja jej pożyczałam te, które przysyłano mi z Santiago, a ona mnie swoje powieści sensacyjne, które namiętnie pochłaniałam. Stałam się wytrawnym detektywem, zazwyczaj domyślałam się, kto zabił, zanim doszłam do osiemdziesiątej strony. Wybór był ograniczony i choć obie starałyśmy się jak najbardziej przeciągnąć lekturę, książek było za mało, więc zaczęłyśmy z Adelą bawić się w zmienianie fabuły albo w wymyślanie niezwykle skomplikowanych zagadek kryminalnych. „Co wy dwie tam szepczecie po kątach?” - pytała nas często moja teściowa. "Nic, mamó, planujemy morderstwa" - odpowiadała Adela z niewinnym uśmiechem króliczka. Dona Elvira śmiała się, nie przypuszczając, jak trafna była odpowiedź jej córki,

Eduardo, jako pierworodny, po śmierci don Sebastiana miał odziedziczyć posiadłość, jednak postanowił administrować nią razem z bratem. Lubiłam mojego szwagra, był miły i zabawny, często żartował sobie ze mnie i przynosił mi drobne prezenty: przezroczyste agaty z koryta rzeki, skromny naszyjnik z rezerwatu Indian Mapuczów, leśne kwiaty, magazyny mody, które zamawiał w pobliskim miasteczku, i w ten sposób próbował zrekompensować

obojętność swego brata wobec mnie, oczywistą dla całej rodziny. Brał mnie za rękę i pytał z niepokojem, czy dobrze się czuję, czy czegoś mi potrzeba, czy tęsknię za babcią, czy się nudzę w Calefuu. Za to Susana, pogrążona w apatii odaliski (który to stan bardzo przypominał lenistwo), przez większość czasu ignorowała mnie i nabrała niegrzecznego zwyczaju odwracania się do mnie plecami lub odchodziła w połowie wypowiedzanego przeze mnie słowa. Zbudowana jak grecka bogini, ze złocistą cerą i wielkimi ciemnymi oczami, była piękną, chociaż nie przypuszczam, aby zdawała sobie sprawę ze swej urody. Nie miała dla kogo się stroić, dlatego niewiele dbała o swój wygląd, nawet się czasami nie czesała i przez cały dzień chodziła zawinięta w szlafrok, w kapciach z owczej wełny, senna i smutna. Kiedy indziej natomiast zjawiała się, jaśniejąc urodą mauretańskiej księżniczki, z długimi ciemnymi włosami zebranymi w kok i upiętymi za pomocą szylkretowych grzebyków oraz złotym naszyjnikiem podkreślającym doskonały zarys jej szyi. Kiedy była w dobrym humorze, lubiła mi pozować. Pewnego razu przy stole zaproponowała, żebym sfotografowała ją nagą. Była to prowokacja, która na tę konserwatywną rodzinę spadła niczym bomba; dona Elvira chwyciła się za serce i o mało nie dostała kolejnego ataku, a oburzony Diego poderwał się na równe nogi tak gwałtownie, że aż przewrócił krzesło. Gdyby Eduardo nie obrócił tego w żart, doszłoby do jakiegoś nieszczęścia. Adela, która - ze swą króliczą twarzą i niebieskimi oczami ginącymi w morzu piegów - spośród rodzeństwa Dominguezów miała najmniej wdzięku, była niewątpliwie najsympatyczniejsza z całej trójki. Jej radości można było być równie pewnym co brzasku każdego poranka; mogliśmy liczyć, że podniesie nas na duchu nawet w najpóźniejsze zimowe godziny, kiedy wiatr wył pod dachówkami i wszyscy mieli już dosyć gry w karty przy świecach. Don Sebastian uwielbiał ją, niczego nie mógł jej odmówić i często pół żartem, pół serio prosił, żeby została starą panną i troszczyła się o niego, kiedy będzie stary.

Zima przyszła i odeszła, zabierając ze sobą dwoje dzieci i jednego starca, zmarłych na zapalenie płuc; umarła również babcia mieszkająca w naszym domu, która wedle obliczeń przeżyła ponad sto lat, bo kiedy w roku 1810 Chile ogłosiło swoją niepodległość, miała już za sobą Pierwszą Komunię Świętą. Wszyscy bez większych ceremonii zostali pochowani na cmentarzu w Calefuu, który ulewne deszcze zamieniły w grzęzawisko. Lało aż do września, kiedy to nagle buchnęła wiosna i mogliśmy wreszcie wyjść na patio, żeby rozwiesić na słońcu ubrania i przesiąknięte wilgocią materace. Dona Elvira spędziła owe miesiące otulona w szale, przenosząc się tylko z łóżka na fotel, powoli opadając z sił. Raz w miesiącu bardzo dyskretnie pytała mnie, czy nie mam dla niej "jakichś wiadomości", a ponieważ nie miałam, jeszcze żarliwiej modliła się, aby ode mnie i od Diega doczekać się wnuków. Mimo że zimowe noce były bardzo długie, w moim intymnym pożyciu z mężem nie nastąpiła żadna poprawa. Spotykaliśmy się po ciemku, w ciszy, prawie jak wrogowie, i zawsze pozostawałam z tym samym uczuciem goryczy i smutku co za pierwszym razem. Miałam wrażenie, że obejmowaliśmy się tylko wtedy, kiedy to ja przejmowałam inicjatywę, ale mogę się mylić, może nie zawsze tak było. Z nadejściem wiosny znowu zaczęłam sama wyjeżdżać na wycieczki do lasu i w stronę wulkanów; galopowanie po owych niezmiernych przestrzeniach łagodziło nieco mój głód miłości, a zmęczenie i ból pośladków poobijanych od siodła brały górę nad hamowanym pożądaniem. Wracałam pod wieczór, niosąc na sobie wilgoć lasu i koński pot, kazałam przygotować gorącą kąpiel i całe godziny moczyłam się w wodzie perfumowanej liśćmi drzewka pomarańczowego. "Uważaj, córeńko, jazda konna i

kąpiele są nie dobre dla brzucha, powodują bezpłodność" - ostrzegła mnie zmartwiona teściowa. Dona Elvira była prostą kobietą, samą dobrocią i oddaniem, a cała szlachetność odbijała się w jej jasnych, niebieskich oczach. Była matką, jaką chciałabym mieć. Spędzałam z nią długie godziny; ona robiła na drutach ubranka dla wnucząt i opowiadała mi raz i drugi te same historyjki o swoim życiu i o Caleufu, a ja słuchałam jej ze ściśniętym sercem, wiedząc, że nie pożyje długo na tym świecie. Wtedy już podejrzewałam, że dziecko nie zmniejszyłoby dystansu między Diegiem a mną, ale pragnęłam je mieć choćby tylko po to, żeby móc je podarować doni Elvirze. Na myśl o tym, że będę musiała żyć tutaj bez niej, ogarniał mnie nieutulony żal.

Wiek dobiegał końca i Chilijczycy starali się włączyć w rewolucję przemysłową Europy i Ameryki Północnej, jednak Dominguezowie, podobnie jak wiele innych konserwatywnych rodzin, z przerażeniem patrzyli na zanikanie tradycyjnych zwyczajów i na tendencję do naśladowania zagranicy. To zwykle szatańskie wymysły, mawiał don Sebastian, kiedy w zdezaktualizowanych gazetach czytał o jakichś nowinkach technicznych. Jediną osobą zainteresowaną tym, co się dzieje w świecie, był jego syn Eduardo; Diego żył pogrążony we własnym świecie, Susana miewała migreny, a Adela była jeszcze dzieckiem. Chociaż byliśmy tak daleko, echa postępu docierały do nas i nie mogliśmy ignorować zmian, jakie zachodziły w społeczeństwie. Santiago ogarnęło szaleństwo sportów, gier i spacerów na świeżym powietrzu, bardziej pasujące do ekscentrycznych Anglików niż do wygodnickich potomków hidalgów z Kastylii czy Leonu. Powiew kultury z Francji odświeżał atmosferę, a ciężkie skrzypienie niemieckich maszyn przerywało długą kolonialną chilijską sjęstę. Do głosu dochodziła klasa średnia, w której byli i ludzie wykształceni, i prymitywni, pragnący żyć jak klasa najbogatsza. Kryzys społeczny - ze strajkami, aktami przemocy, bezrobociem i szarżami policji konnej z szablami w dłoni - wstrząsający podstawami państwa, był jedynie dalekim pomrukiem, który nie zakłócał naszej spokojnej egzystencji w Caleufu, lecz choć nadal wiedliśmy tryb życia naszych pradziadów, którzy przed stu laty spali w tych samych łóżkach, dwudziesty wiek nadchodził i dla nas.

Babcia Paulina bardzo podupadła na zdrowiu, donosili mi w listach Frederick Williams i Nivea del Valle. Cierpiała na liczne starcze dolegliwości, pojawiały się pewne oznaki zbliżającej się śmierci. Jak bardzo się postarzała, pojęli, kiedy Severo del Valle przywiózł jej pierwsze butelki ich wina wyprodukowanego ze szczepów dojrzewających później (noszących, jak się dowiedzieli, nazwę *carmenere*). Było czerwone, miało subtelny i zmysłowy smak i bardzo mało taniny, niczym najlepsze wina z Francji. Nazwali je *Vina Paulina*. Nareszcie mieli produkt jedyny w swoim rodzaju, który powinien przynieść im sławę i pieniądze. Babcia skosztowała delikatnie. "Szkoda, że nie będę mogła się nim nacieszyć; wypiją je inni", powiedziała, i nigdy więcej nie wracała do tego tematu. Nie było wybuchu radości i chełpliwych komentarzy, z jakimi zazwyczaj przyjmowała sukcesy, których źródłem był jej zmysł do interesów; pod koniec życia nabrała skromności. O krytycznym stanie jej zdrowia najlepiej świadczyła codzienna obecność znanego wszystkim księdza w wypłowiałej sutannie, który obchodził umierających, żeby przejąć ich majątek. Nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy też pod wpływem tego starego zwiastuna nieszczęść, babcia kazała znieść na samo dno piwnicy słynne swoje łóżko, w którym spędziła połowę

życia, a zamiast niego wstawiła żołnierską pryczę z materacem z końskiego włosia. Uznałam to za alarmujący objaw i ledwo obeschły z błota drogi, oznajmiłam mężowi, że muszę jechać do babci do Santiago. Spodziewałam się jakiegoś sprzeciwu, lecz stało się inaczej; w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin Diego zorganizował mój przejazd powozem do portu, gdzie miałam wsiąść na statek do Valparaiso, a stamtąd wyruszyć pociągiem do Santiago. Adela płonęła z chęci, żeby mi towarzyszyć, i tak długo siedziała ojcu na kolanach, obcałowywała go po uszach, ciągnęła za bokobrody i prosiła, że w końcu don Sebastian zgodził się spełnić ten kaprys, mimo że dona Elvira, Eduardo i Diego byli temu przeciwni. Nie musieli wyjaśniać swoich racji, domyślałam się, że nie uważali za odpowiednią atmosfery, jaka panowała w domu mojej babci, i uważali, że nie jestem wystarczająco dojrzała, żeby zaopiekować się dziewczyną jak należy. Wyjechałyśmy do Santiago w towarzystwie zaprzyjaźnionej pary Niemców, którzy płynęli tym samym parowcem. Na szyi miałyśmy zawieszony szkaplerz Świętego Serca Jezusowego, mające chronić nas od "wszelkiego złego", byłyśmy też zaopatrzone w pieniądze, zaszyte w woreczku pod gorsetem, i w szczegółowe instrukcje, żeby nie rozmawiać z nieznajomymi, a bagażu miałyśmy więcej, niż byśmy potrzebowały, wyruszając w podróż dookoła świata.

Spędziłyśmy w Santiago kilka miesięcy, które byłyby wspaniałe, gdyby babcia nie chorowała. Przyjęła nas z udawanym entuzjazmem, planowała, że będzie chodzić z nami na spacer i do teatru, miałyśmy też razem pojechać pociągiem nad morze do Vina del Mar, ale w ostatniej chwili się wycofała i wysłała nas tam z Frederickiem Williamsem. W końcu też same pojechałyśmy autem do Severa i Nivei del Valle, do winnic, które w owym czasie dawały pierwszy produkt na eksport. Babcia uznała zresztą, że nazwa *Vina Paulina* brzmiała "zbyt kreolsko", i chciała ją zmienić na jakąś francuską, wtedy mogłaby sprzedawać swoje wino w Stanach Zjednoczonych, gdzie - jak twierdziła - i tak nikt się na nim nie pozna, jednak Severo nie godził się na podobny podstęp. Zastałam Niveę z kokiem przetykanym siwizną i nieco tęższą, ale jak zwykle ruchliwą, zuchwałą i figlarną, w otoczeniu młodszych dzieci. "Myślę, że teraz nareszcie będziemy mogli się kochać bez obawy, że znowu znajdę w ciąży" - szepnęła mi do ucha, nie przypuszczając, że wiele lat później przyjdzie na świat najdziwniejsze z dzieci urodzonych w owym licznym i niezwykłym klanie del Valle - jasnowidząca Clara. Mała Rosa, której uroda wywoływała tyle komentarzy, miała pięć lat. Żałuję, że fotografia nie może pokazać kolorytu jej urody; ze swymi żółtymi oczami i włosami barwy starego brązu wyglądała jak jakieś morskie stworzenie. Już wtedy była nieco zapóźnioną w rozwoju eteryczną istotą, przywodzącą na myśl unoszącego się w powietrzu anioła. "Skąd się taka wzięła? Zapewne jest córką Ducha Świętego" - żartowała jej matka. Ta piękna dziewczynka urodziła się Nivei na pociechę po stracie trojga dzieci, z których dwoje zmarło na dyfteryt, a trzecie w wyniku ciężkiej choroby płuc. Próbowałam rozmawiać o tym - powiadają, że nie ma gorszego nieszczęścia niż utrata dziecka - ale ona zmieniała temat. Jedyne, co mi powiedziała, to to, że od zarania dziejów kobiety cierpią, wydając na świat i grzebiąc swoje dzieci, i że ona nie jest wyjątkiem. Byłoby bezczelnością z mojej strony oczekiwać, że Bóg mnie pobłogosławi, zsyłając mi dużo dzieci, i że wszystkie one mnie przeżyją, powiedziała. W niektóre wieczory siadywaliśmy z Severem i Niveą na oszklonej werandzie. Podczas gdy on opowiadał o latach spędzonych w San Francisco i swoich późniejszych doświadczeniach wojennych, ona przypominała mi szczegóły wydarzeń z okresu rewolucji, kiedy miała zaledwie jedenaście lat.

Paulina del Valle stała się zaledwie cieniem osoby, jaką była kiedyś, jedzenie i interesy przestały ją zajmować, ledwo chodziła, gdyż kolana odmawiały jej posłuszeństwa. Na jej nocnym stoliku stały rzędem buteleczki z lekarstwami, na zmianę opiekowały się nią aż trzy zakonnice. Za to umysł miała jaśniejszy niż kiedykolwiek. Babcia domyślała się, że nie będziemy miały już zbyt wielu okazji, żeby być razem, i pierwszy raz się zdarzyło, że zdecydowała się odpowiedzieć na moje pytania. Kartkowałyśmy albumy ze zdjęciami, a ona objaśniała jedno po drugim; opowiedziała mi o łożu z Florencji, o Amandzie Lowell i swojej z nią rywalizacji, co teraz z uwagi na jej wiek wydawało się raczej komiczne, mówiła o moim ojcu i o roli, jaką w tym wszystkim odegrał Severo del Valle, ale zdecydowanie unikała tematu moich dziadków ze strony matki i Chinatown; powiedziała jedynie, że moja matka była bardzo piękną amerykańską modelką i nic więcej. Nie skarżyła się, ale wujek Frederick uprzedził mnie, że babcia cierpi na ostre bóle żołądka i że musi włożyć bardzo dużo wysiłku, żeby rano się ubrać. Wierna swemu przekonaniu, że każdy ma tyle lat, na ile wygląda, nadal farbowała sobie tych kilka włosów, jakie jeszcze pozostały na głowie, jednak nie obnosiła już swoich klejnotów cesarzowej, jak kiedyś, gdyż "zostało ich już bardzo niewiele", jak mi wyszeptał w sekrecie Frederick Williams. Dom sprawiał wrażenie równie zaniedbanego jak jego właścicielka; po zdjętych ze ściany obrazach pozostały na tapecie tylko jasne plamy, było mniej mebli i dywanów, tropikalne rośliny na werandzie wyglądały jak przywiedły i zakurzony gąszcz chwastów, ptaki w klatkach milczały. Okazało się prawdą to, o czym wujek Frederick donosił mi w listach: moja babcia spała na żołnierskiej pryczy. Zajmowała zawsze największy pokój w całym domu, a słynne ozdobne łoże wznosiło się pośrodku niego niczym papieski tron; stamtąd dowodziła swoim imperium. Ranki spędzała w pościeli, w otoczeniu polichromowanych postaci podwodnych bóstw, wyrzeźbionych przez jakiegoś florentyńskiego rzemieślnika czterdzieści lat wcześniej, studiując księgi rachunkowe, dyktując listy, obmyślając coraz to nowe przedsięwzięcia. W pościeli ginęła gdzieś jej tusza i udawało się jej wywołać wrażenie kruchości i piękna. W owym pozłacanym łożu zrobiłam babci niezliczoną ilość zdjęć i przyszło mi do głowy, aby teraz sfotografować ją w barchanowej koszuli i otuloną wełnianym szalem na pokutniczej pryczy, ale stanowczo odmówiła. Zauważyłam, że z jej pokoju zniknęły piękne francuskie meble wyściełane jedwabiem, sprowadzone z Indii wielkie biurko z różanego drewna inkrustowane masą perłową, dywany i obrazy, a jedyną dekorację stanowił wielki krucyfiks. Oddaje meble i klejnoty Kościołowi, wyjaśnił mi Frederick Williams, w związku z czym postanowiliśmy zastąpić zakonnice pielęgniarkami i spróbować ograniczyć - choćby nawet siłą - wizyty apokaliptycznego księdza, ponieważ nie dość, że wynosił z domu różne rzeczy, to jeszcze siał panikę. Ivan Radovic, jedyny lekarz, któremu Paulina del Valle ufała, całkowicie się zgadzał z takimi posunięciami. Dobrze było znowu zobaczyć tego starego przyjaciela - prawdziwa przyjaźń jest w stanie pokonać czas, odległość i milczenie, jak powiedział - i zaśmiewając się, wyznać mu, że we wspomnieniach zawsze go widzę Dzyngis-chanem. To przez te moje słowiańskie kości policzkowe, powiedział pogodnie. Nadal przypominał tatarskiego wodza, choć w kontakcie z chorymi ze szpitala dla biednych, gdzie pracował, złagodniał, a ponadto w Chile nie wyglądał tak egzotycznie jak w Anglii; równie dobrze można go było wziąć za araukańskiego *toqui*, tyle że był wyższy. Mało mówił, ale potrafił słuchać; z głęboką uwagą słuchał nawet nieustającej paplaniny Adeli, która natychmiast w nim się zakochała i, nawykła przypocholebiać się swemu ojcu, w podobny sposób próbowała uwodzić Ivana Radovica.

Niestety doktor widział w niej małą dziewczynkę, niewinną i pełną wdzięku, ale tak czy inaczej tylko dziewczynkę. Porażający brak obycia Adeli i tupet, z jakim wygłaszała nawet największe bzdury, nie drażnił go, sądę nawet, że to go bawiło, jednak jej niewinna kokieteria wywoływała na jego twarzy rumieniec.

Doktor budził zaufanie, łatwo było mi rozmawiać z nim na różne tematy, jakie rzadko kiedy poruszałam z innymi osobami w obawie, że je nudzę. Jednym z nich była fotografia. Interesował się nią, ponieważ w Europie i Stanach Zjednoczonych już od kilku lat wykorzystywano ją w medycynie. Poprosił, żebym nauczyła go posługiwać się aparatem, bo chciał użyć go do rejestrowania przebiegu operacji i dokumentowania zewnętrznych objawów choroby u pacjentów; zdjęciami tymi mógłby ilustrować swoje odczyty i wykłady. W tym celu chcieliśmy złożyć wizytę don Juanowi Ribero, lecz zakład był zamknięty, a na drzwiach wisiała kartka z informacją, że wystawiony jest na sprzedaż. Fryzjer, który miał zakład po sąsiedzku, wyjaśnił nam, że mistrz już nie pracuje, gdyż ma zaćmę w obu oczach, jednak dał nam jego adres. Don Juan Ribero mieszkał przy ulicy Monjitas w jakimś wielkim, zabytkowym, z pewnością nawiedzonym przez duchy budynku, którego czasy świetności dawno już minęły. Służąca poprowadziła nas przez kilka pokoi w amfiladzie, od podłogi aż po sufit obwieszonych fotografiami don Ribera, do salonu, w którym stały stare mahoniowe ciężkie meble i rozchybotane pluszowe fotele. Potrzebowaliśmy kilku sekund, żeby oswoić wzrok z panującym tu półmrokiem; mistrz siedział z kotem na kolanach przy oknie, przez które wpadały ostatnie blaski dnia. Podniósł się i pewnym krokiem podszedł do nas, by się przywitać; nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że nie widzi.

- Panienska del Valle! Przepraszam, teraz pani Dominguez, nieprawdaż? - wykrzyknął, wyciągając do mnie ręce.

- Aurora, mistrzu, ta sama Aurora co zawsze - odparłam, obejmując go. Przedstawiłam mu doktora Radovica i poinformowałam o celu wizyty.

- Ja nie mogę pana niczego nauczyć, przyjacielu. Niebiosa pokarały mnie w najczulszym miejscu; odebrały mi wzrok. Proszę to sobie wyobrazić: ślepy fotograf! Co za ironia!

- Nic pan nie widzi, mistrzu? - spytałam zaniepokojona.

- Oczami nie widzę nic, ale nadal patrzę na świat. Proszę mi powiedzieć, Auroro, zmieniła się pani? Najwyraźniejszy pani obraz, jaki zachował mi się w pamięci, to trzynastoletnia, uparta jak osioł dziewczynka siedząca pod drzwiami mojego zakładu.

- Jestem taka sama, don Juanie, nieśmiała, głupia i uparta.

- Nie, nie, proszę mi powiedzieć na przykład, jak jest pani uczesana i jaki kolor ma pani suknia.

- Pani ma na sobie lekką białą sukienkę z koronkami przy dekolcie, nie wiem z jakiego materiału, bo się na tym nie znam, z żółtą szarfą w talii, podobną do wstążki przy kapeluszu. Zapewniam pana, że wygląda bardzo pięknie - odezwał się Radovic.

- Niech mnie pan nie zawstydza, doktorze, błagam pana - przerwałam mu.

- A teraz pani ma zarumienione policzki - dodał i obaj jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

Mistrz zadzwonił i weszła służąca, niosąc kawę na tacy. Spędziliśmy bardzo miłą godzinę, rozmawiając o nowych technikach fotograficznych, o aparatach, jakich używano w innych krajach, i o tym, jak wielki postęp dokonał się w fotografii wykorzystywanej do celów

naukowych, ponieważ don Juan Ribero był z tym wszystkim na bieżąco.

- Aurora ma wnikliwość spojrzenia, koncentrację i cierpliwość, cechy prawdziwego artysty. Domyślam się, że tego właśnie potrzebuje lekarz, prawda? Niech ją pan prosi, żeby pokazała panu swoje prace, doktorze. Jest skromna i nie zrobi tego, jeśli nie będzie pan nalegał - poradził mistrz Ivanowi Radovicowi przy pożegnaniu.

W kilka dni później zdarzyła się po temu okazja. Babcia obudziła się ze strasznymi bólami żołądka i środki znieczulające, jakie zazwyczaj przyjmowała, nie przynosiły jej ulgi, w związku z czym wezwaliśmy Radovica, który zjawił się natychmiast i podał jej silną dawkę morfiny. Zostawiliśmy ją w łóżku, żeby sobie odpoczęła, a kiedy wyszliśmy z pokoju, wyjaśnił mi, że to kolejny guz, ale jest już zbyt stara, żeby ją ponownie operować, gdyż nie zniosłaby znieczulenia; może jedynie próbować łagodzić ból i starać się, by odeszła w pokój. Chciałam się dowiedzieć, ile czasu jej zostało, ale niełatwo było to określić, ponieważ pomimo swego wieku babcia była bardzo silna, a guz rósł bardzo powoli. "Niech się pani przygotowuje, Auroro, bo koniec może nastąpić w ciągu najbliższych kilku miesięcy" - powiedział. Nie mogłam ukryć łez, Paulina del Valle stanowiła moje jedyne oparcie, bez niej zaczynałam dryfować, i fakt, że miałam męża, nie łagodził poczucia, że jestem rozbitkiem, wręcz przeciwnie, jeszcze je pogłębiał. Radovic podał mi chusteczkę i zamilkł, nie patrząc na mnie, zmieszany. Prosiłam go, aby obiecał, że zawiadomi mnie odpowiednio wcześniej, abym zdążyła przyjechać z Caleufu i być przy babci w jej ostatnich chwilach. Morfina poskutkowała i babcia szybko się uspokoiła; kiedy zasnęła, odprowadziłam Ivana Radovica do wyjścia. W drzwiach zapytał, czy może zostać jeszcze chwilę, ma wolną godzinę, a na ulicy panuje okropny upał. Adela ucięła sobie drzemkę, Frederick Williams wyszedł do klubu popływać i ogromny dom przy ulicy Ejercito Libertador sprawiał wrażenie unieruchomionego statku. Poczęstowałam doktora szklanką orszady i usiedliśmy na werandzie pośród paproci i ptaków w klatkach.

- Niech pan zagwizdże, doktorze Radovic - powiedziałam.

- Zagwizdać? Po co?

- Według Indian gwizdem przywołuje się wiatr. Potrzebny nam powiew świeżej morskiej bryzy, żeby złagodzić upał.

- Kiedy ja będę gwizdał, może pani przyniesie swoje fotografie? Bardzo chciałbym je zobaczyć - poprosił.

Przyniosłam kilka pudeł i usiadłam obok niego; chciałam objaśnić, na czym polega moja praca. Najpierw pokazałam mu fotografie zrobione w Europie, kiedy jeszcze interesowała mnie bardziej forma niż temat, potem odbitki na platynie robione w Santiago i te z Caleufu przedstawiające Indian i dzierżawców z majątku, a na koniec zdjęcia rodziny Dominguezów. Obejrzał je z taką samą uwagą, z jaką badał moją babcie, od czasu do czasu rzucając jakieś pytanie. Przy zdjęciach rodzinnych zatrzymał się.

- Kim jest ta piękna kobieta? - zapytał.

- To Susana, żona Eduarda, mojego szwagra.

- A zatem to jest Eduardo, prawda? - powiedział wskazując na Diega.

- Nie, to Diego. Dlaczego przypuszcza pan, że to on jest mężem Susany?

- Nie wiem, tak mi się jakoś zdawało ...

Tej nocy rozłożyłam zdjęcia na podłodze i przyglądałam się im przez kilka godzin. Spać poszłam bardzo późno, ze ściśniętym sercem.

Musiałam pożegnać się z babcią, gdyż przyszła pora powrotu do Caleufu. Kiedy w Santiago nastał słoneczny grudzień, Paulina del Valle poczuła się lepiej (jej również zima okropnie się dłużyła i wywoływała poczucie osamotnienia) i obiecała, że po Nowym Roku ona i Frederick Williams przyjadą mnie odwiedzić, zamiast jechać na wakacje nad morze, jak to robili wszyscy, którzy mogli uciec przed letnim upałem. Tak dobrze się czuła, że pojechała z nami pociągiem aż do Valparaiso, gdzie Adela i ja wsiadłyśmy na statek płynący na południe. Wróciliśmy na wieś przed Bożym Narodzeniem, gdyż nie mogło nas zabraknąć podczas tych świąt, które dla Dominguezów były najważniejsze w całym roku.

Już od kilku miesięcy dona Elvira doglądała przygotowania prezentów dla chłopów, które albo produkowano w domu, albo kupowano w miasteczku; były to ubranka i zabawki dla dzieci, materiały na suknie i wełna do robótek dla kobiet, narzędzia dla mężczyzn. Dominguezowie rozdawali też zwierzęta, worki mąki, ziemniaki, ciemny cukier zwany *chancaca*, fasolę i kukurydzę, *charqui*, czyli suszone mięso, *yerba mate*, sól i bloki marmolady z pigwy, smażonej w ogromnych miedzianych kadziach, zawieszanych nad ogniskami na wolnym powietrzu. Zabijano woły i kozy, gotowano ziemniaki i kolby młodej kukurydzy i przygotowywano całe rondle fasoli. Mnie przypadło w udziale dekorowanie kwiatami i sosnowymi gałązkami długich stołów ustawionych na patio oraz przygotowywanie dzbanków wina z wodą i cukrem; dorośli nie mogli się nim upić, a dzieciom podawano je zaprawione prażoną mąką. Dzierżawcy z majątku ściągali z czterech stron świata, niektórzy na tę uroczystość szli przez kilka dni w towarzystwie żon i dzieci. Przyjechał ksiądz i zatrzymał się na dwa czy trzy dni, żeby ochrzcić dzieci, wyspowiadać grzeszników, udzielić ślubu tym, którzy i tak już ze sobą żyli, i napiętnować wiarołomnych. O północy dwudziestego czwartego grudnia uczestniczyliśmy w pasterce przy ołtarzu zaimprovizowanym na wolnym powietrzu, ponieważ mała kaplica w majątku nie pomieściłaby tylu ludzi, o świcie zaś, po obfitym śniadaniu składającym się z kawy z mlekiem, świeżego chleba, bitej śmietany, marmolady i sezonowych owoców, w radosnej procesji poniesiono Dzieciątka Jezus, żeby każdy mógł ucałować jego fajansowe stópki. Don Sebastian wybierał rodzinę, która wyróżniała się pod względem moralnego postępowania, i jej wręczał Dzieciątka. Przez cały rok, aż do następnego Bożego Narodzenia, kryształowy żłóbek z małą figurką miał stać na honorowym miejscu w chacie owych chłopów, zapewniając im łaskę Bożą. Dopóki tam była, nic złego nie mogło się wydarzyć. Don Sebastian starał się dać każdej rodzinie okazję do goszczenia Jezusa pod swym dachem. Tego roku odegraliśmy ponadto alegoryczną sztukę o nadejściu dwudziestego wieku, w której brali udział wszyscy członkowie rodziny z wyjątkiem doni Elviry, gdyż była zbyt słaba, i Diega, który wolał wziąć na siebie sprawy techniczne, takie jak oświetlenie i malowanie kurtyny. Smutną rolę Starego Roku z humorem odegrał don Sebastian - odchodził, mrużąc do siebie pod nosem - a Nowy Rok symbolizowało jedno z dzieci Susany, jeszcze w pieluchach.

Na wieść o darmowym jedzeniu przybyło kilku Indian *Pehuenches* z grupy Mapuczów. Byli bardzo biedni - stracili swe ziemie, a rządowe plany reform ich nie obejmowały - jednak byli na tyle dumni, że nie przyjechali z pustymi rękami; pod chustami przywieźli kilka jabłek pokrytych potem i brudem, królika cuchnącego już padliną i kilka naczyń z tykwy, wypełnionych *muchi*, czyli likierem przyrządzonym z małych, fioletowych owoców, które żują i po zmieszaniu ze śliną wypluwają do miseczki, gdzie później fermentują. Przodem szedł stary kacyk w towarzystwie swoich trzech żon i psów, za nim zaś dwudziestu członków

jego plemienia; mężczyźni nie wypuszczali z rąk dzid i pomimo czterech wieków zniewolenia i klęsk nie utracili swego dzikiego wyglądu. Kobiety nie były bynajmniej nieśmiałe, lecz równie dumne i władcze jak mężczyźni; między płciami panowała równość, której Nivea del Valle z pewnością by przyklasnęła. Wypowiadali słowa pozdrowienia w swoim języku ceremonialnie nazywając "braćmi" don Sebastiana i jego synów, którzy przywitani ich i zaprosili na ucztę, ale bacznie obserwowali, gdyż ledwo spuściło się ich z oka, kradli. Mój teść utrzymywał, że nie znają poczucia prywatnej własności, gdyż są przyzwyczajeni do życia we wspólnocie i dzielenia się wszystkim, na co Diego odpowiadał, że Indianie, tacy przodcy do sięgania po cudze, nie pozwalają, by ktokolwiek sięgnął po to, co należy do nich. W obawie, że się upiją i zaczną być niebezpieczni, don Sebastian podarował kacykowi beczkę wódki jako zachętę, żeby sobie poszli, gdyż nie pozwolił jej otworzyć na terenie swojej posiadłości. Usiedli wielkim kołem, jedli, pili i palili wszyscy jedną fajkę, i wygłaszali długie tyrady, których nikt nie słuchał, nie mieszała się jednak z dzierzawcami z Caleufu, chociaż dzieci biegały wszystkie razem. Dzięki tej uroczystości miałam okazję robić zdjęcia Indianom, ile tylko dusza zapagnie, i zaprzyjaźnić się z kilkoma kobietami, w nadziei że pozwolą mi odwiedzić ich obóz po drugiej stronie jeziora, który rozbili na lato. Kiedy na pastwiskach zaczynało brakować trawy albo kiedy znudził się im krajobraz, wyciągali z ziemi kije podtrzymujące dachy ich namiotów, zwijali swoje przenośne domy i wyruszali na poszukiwanie nowego miejsca. Gdybym mogła spędzić z nimi trochę czasu, może przyzwyczailiby się do mojej obecności i do aparatu. Chciałam sfotografować ich podczas codziennych zajęć, czym przeraziłam moich teściów, gdyż o zwyczajach tych plemion (żmudna praca misjonarzy dała niewiele) opowiadano mrozące krew w żyłach historie.

Babcia Paulina nie przyjechała do mnie w odwiedziny owego lata, jak to obiecała. Podróż pociągiem czy statkiem była jeszcze do zniesienia, ale perspektywa kilkudniowej jazdy powozem ciągniętym przez woły od portu aż do Caleufu przestraszyła ją. Jej cotygodniowe listy stanowiły dla mnie główny kontakt ze światem zewnętrznym; w miarę jak mijały tygodnie, rosła nostalgia. Moje usposobienie zmieniło się, stałam się ponura, bardziej milcząca niż zazwyczaj, wlokłam za sobą rozgoryczenie niczym ciężki tren sukni panny młodej. Samotność zbliżyła mnie do teściowej, subtelnej i dyskretnej kobiety, całkowicie uzależnionej od męża, pozbawionej własnych poglądów, niezdolnej do tego, by samodzielnie rozwiązać jakikolwiek, nawet najdrobniejszy problem życia codziennego, która jednak swoje braki rekompensowała przeogromną dobrocią. W jej obecności nagromadzony we mnie gniew rozwiewał się jak dym, dona Elvira potrafiła przywrócić mi równowagę ducha i ukoić udrękę, która czasami chwytala mnie za gardło.

Podczas tych letnich miesięcy byliśmy zajęci przy zbiorach, doglądaliśmy nowo narodzonych zwierząt i robiliśmy przetwory; słońce zachodziło o dziewiątej wieczorem i dni zdawały się nie mieć końca. W owym czasie dom, który teść wybudował dla Diega i dla mnie, był już gotów; solidny, chłodny, piękny, otoczony zadaszonymi werandami ze wszystkich czterech stron, pachniał gliną, świeżo ciętym drewnem i bazylią, którą dzierzawcy posadzili wzdłuż ścian dla odpędzenia pecha i uroków. Teściowie dali nam kilka mebli, które służyły rodzinie od pokoleń, resztę zaś Diego nabył w miasteczku, nie pytając mnie o zdanie. Zamiast szerokiego małżeńskiego łóża, w jakim spaliśmy dotychczas, kupił dwa pojedyncze, a między nimi ustawił stolik. Po obiedzie rodzina rozchodziła się do swoich pokoi na obowiązkowy odpoczynek do piątej po południu, gdyż uważano, że upał paraliżuje trawienie.

Diego wyciągał się w hamaku pod pergolą obrosniętą winoroślą, wypalał papierosa, po czym szedł popływać w rzece; lubił chodzić sam, kilka razy proponowałam mu swoje towarzystwo, ale równocześnie czułam, że się naprzykrzam, więc przestałam nalegać. Ponieważ tych godzin sjesty nie spędzaliśmy razem w zaciszu naszego pokoju, ja przeznaczałam je na lekturę albo na zajęcia w pracowni fotograficznej, gdyż nie umiałam się przyzwyczać do spania w ciągu dnia. Diego o nic mnie nie prosił, niczego nie chciał, niczym dobrze wychowany chłopiec pytał zdawkowo, co robię i jak się czuję, nigdy nie okazywał zniecierpliwienia wobec moich zmiennych nastrojów czy koszmarów, które nawiedzały mnie teraz z większą częstotliwością i mocą, ani nie reagował na moje milczenie. Bywały dni, kiedy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, chociaż on zdawał się tego nie dostrzegać. Zamykałam się w milczeniu jak w zbroi, licząc godziny, żeby przekonać się, jak długo jesteśmy w stanie przeciągnąć taką sytuację, lecz w końcu zawsze ustępowałam, gdyż mnie ciążyło to bardziej niż jemu. Przedtem, kiedy dzieliliśmy łóżko, przysuwałam się do niego, udając, że śpię, przytulałam się do jego pleców i splatałam moje nogi z jego nogami; w ten sposób czasami udawało mi się pokonać przepaść, jaka nieubłaganie się między nami otwierała. W tych rzadkich chwilach, kiedy mnie obejmował, nie szukałam przyjemności, gdyż nawet nie wiedziałam, że jest możliwa, lecz pociechy i towarzystwa. Przez kilka godzin łudziłam się, że go uwiodłam, ale potem przychodził świt i wszystko znowu było jak zawsze. Kiedy przenieśliśmy się do nowego domu, zniknęła nawet ta ulotna intymność, ponieważ odległość między dwoma łóżkami okazywała się większa i bardziej nieprzyjazna niż wzburzony prąd rzeki. Jednak czasami, kiedy budziłam się z krzykiem, nękana przez dzieci w czarnych piżamach z moich snów, wstawał, siadał obok i tulił mnie mocno, dopóki się nie uspokoiłam; były to nasze jedyne spontaniczne spotkania. Martwiły go te koszmary, sądził, że mogą doprowadzić do obłądzenia, dlatego zdobył buteleczkę opium i czasami dawał mi kilka kropli rozpuszczonych w likierze z pomarańczy, pomagając mi zasnąć błogim snem. Jeśli nie robiliśmy czegoś wspólnie z resztą rodziny, Diego i ja spędzaliśmy razem bardzo niewiele czasu. Ciągłe wyjeżdżał na wycieczki, przecinając kordyliery i kierując się w stronę argentyńskiej Patagonii, albo jechał do miasteczka po prowiant, czasami przepadał na dwa lub trzy dni bez żadnych wyjaśnień, a ja umierałam z niepokoju, wyobrażając sobie jakiś wypadek, ale Eduardo uspokajał mnie, argumentując, że jego brat zawsze był takim samotnikiem, wychowanym pośród dzikiej przyrody, przyzwyczajonym do ciszy, od małego potrzebował dużych przestrzeni, miał duszę włóczęgi i gdyby nie był spętany ciasną siecią rodziny, może zostałby marynarzem. Byliśmy małżeństwem od roku i czułam, że czegoś mi brakuje; nie dość, że nie potrafiłam dać mu syna, to jeszcze nie udało mi się zainteresować go sobą ani tym bardziej rozkochać: mojej kobiecości brakowało czegoś fundamentalnego. Przypuszczałam, że wybrał mnie przypadkowo; był już w wieku odpowiednim do małżeństwa i presja ze strony rodziców zmusiła go do poszukania sobie narzeczonej, a ja byłam pierwszą, może nawet jedyną, jaka stanęła na jego drodze. Diego mnie nie kochał. Wiedziałam to od początku, ale zaślepienie mojej pierwszej miłości i młody wiek - miałam dopiero dziewiętnaście lat - pozwalały mi wierzyć, że nie jest to przeszkoda nie do pokonania, myślałam, że zdołam go rozkochać w sobie wytrwałością, prawością charakteru i kokieterią, tak jak to opisywano w powieściach romantycznych. Próbując w udręczeniu dowiedzieć się, czego mi brakuje, całe godziny spędzałam na fotografowaniu samej siebie; niektóre autoportrety robiłam sobie stojąc przed wielkim lustrem, jakie przyniosłam do pracowni, inne - przed

aparatem. Wykonałam setki fotografii, na jednych jestem ubrana, na innych naga, przyjrzałam się sobie ze wszystkich stron i nie znalazłam niczego, co by mnie różniło od innych młodych kobiet - poza bezbrzeżnym smutkiem.

Niedomagająca don a Elvira obserwowała ze swego fotela życie rodziny z uwagą, której nie uszedł najdrobniejszy szczegół. Zdała sobie sprawę z przedłużających się nieobecności Diega, zauważyła moją rozpacz, dodała dwa do dwóch i wyciągnęła wnioski. Jej delikatność i chilijski zwyczaj niemówienia o uczuciach nie pozwalały jej zmierzyć się z tym problemem wprost, ale wykorzystwała długie godziny, jakie spędzałyśmy ze sobą na osobności, dzięki którym stałyśmy się sobie bliskie jak matką z córką, i wtedy to dyskretnie i bez pośpiechu opowiedziała mi o swoich przeżyciach i kłopotach w początkowym okresie małżeństwa. Wychodząc za Sebastiana Domingueza, była bardzo młoda. Pierwsze dziecko urodziła dopiero po pięciu latach, wcześniej przeżyła kilka poronień, które ciężko odchorowała na ciele i duszy. W owym czasie Sebastianowi Dominguezowi brakowało jeszcze dojrzałości i poczucia odpowiedzialności niezbędnych do małżeńskiego życia; był porywczym hulaką, birbantem i cudzołożnikiem (nie użyła tego słowa, oczywiście, gdyż nie sądzę, aby je w ogóle знаła). Dona Elvira czuła się wyobcowana, oderwana od reszty rodziny, samotna i zastraszona, przekonana, że jej małżeństwo to jedna wielka pomyłka, z której jedynym wyjściem jest śmierć. "Ale Bóg wysłuchał moich błagalnych modłów, zesłał nam Eduarda i z dnia na dzień Sebastian zmienił się nie do poznania; nie ma lepszego ojca ani męża niż on. Jesteśmy razem ponad trzydzieści lat i każdego dnia dziękuję niebiosom za szczęście, jakie wspólnie przeżywamy. Trzeba się modlić, córeńko, to bardzo pomaga" - poradziła mi. Modliłam się, choć najwidoczniej nie dość intensywnie i wytrwale, gdyż nic się nie zmieniło.

Pierwszych podejrzeń zaczęłam nabierać kilka miesięcy wcześniej, jednak odpychałam je, sama do siebie czując wstręt, że mogło mi przyjść do głowy coś tak nikczemnego. Po wielekroć wmawiałam sobie, że podobne przypuszczenia to nic innego jak tylko szatańskie podszepty, które zapuściły korzenie i rozrastały się w moim umyśle niczym nowotwory, domysły, które powinnam bezwzględnie odrzucić, jednak toczący mnie robak żalu był silniejszy od moich postanowień. Zaczęło się od zdjęć rodzinnych, które pokazałam Ivanowi Radovicowi. To, czego nie było widać na pierwszy rzut oka - jako że widzimy tylko to, co chcemy zobaczyć, jak mawiał mój mistrz Juan Ribero - wyszło czarno na białym na czarno-białej fotografii. Był tam ów nieomylny język ciała, gestów i spojrzeń. Nabrawszy pierwszych podejrzeń, coraz częściej sięgałam po aparat; pod pretekstem, że przygotowuję album dla doni Elviry, co chwila robiłam rodzinne zdjęcia, które następnie w zaciszu mego atelier wywoływałam i studiowałam z perwersyjną uwagą. W ten sposób stworzyłam sobie żalosalną kolekcję drobnych dowodów; niektóre z nich były tak ulotne, że tylko ja, z duszą zatrutą urazą, mogłam je dostrzec. Aparat przy twarzy był niczym maska, która czyniła mnie niewidzialną; mogłam objąć daną scenę, a jednocześnie zachować lodowaty dystans. Pod koniec kwietnia dowody widoczne na wywołanych zdjęciach wydały mi się wystarczające i zaczęłam śledzić Diega jak pierwsza lepsza zazdrosna żona. Kiedy wreszcie uświadomiłam sobie, jakie to szpony chwytają mnie za gardło i nadałam im nazwę, pod jaką figurują w słowniku, poczułam, że pogrążam się w bagnie. Zazdrość. Kto jej nie zaznał, nie może

wiedzieć, jak boli, ani wyobrazić sobie szaleństw, jakie popełnia się w jej imię. W ciągu trzydziestu lat życia zazdrosna byłam tylko wtedy, jednak oparzenie było tak dotkliwe, że blizny nie zniknęły - i mam nadzieję, że nie znikną nigdy i będą mi przestrogą na całe życie. Diego nie był mój - nikt nigdy nie może należeć do nikogo - fakt, że byłam jego żoną, nie dawał mi żadnych praw ani do niego, ani do jego uczuć; małżeństwo to umowa dwojga wolnych ludzi, a miłość zaczyna się od iskry i tak samo szybko może zgasnąć. Miłość wystawiona jest na tysiąc niebezpieczeństw i jeśli będzie się ją chronić, może się uratować, urosnąć niczym drzewo i dać owoce, jednak stanie się tak tylko wtedy, kiedy będą się o to starać obydwie strony. Diego nie mógł mi pomóc, nasz układ od początku był skazany na niepowodzenie, dzisiaj to rozumiem, ale wtedy byłam po prostu chora z wściekłości i rozpacz.

Śledząc go z zegarkiem w ręku, stopniowo zaczęłam zdawać sobie sprawę, że zwyczajnie kłamie. Kiedy rzekomo wychodził na polowanie z Eduardem, wracał wiele godzin wcześniej lub później od niego; gdy pozostali mężczyźni byli w tartaku albo znakowali bydło, on pojawiał się nieoczekiwanie na patio albo później z rozmowy przy stole wynikało, że nie było go z nimi przez cały dzień. Z zakupów, po które wyjeżdżał do miasteczka, zwykle wracał z niczym, bo nie znalazł tego, czego szukał, choćby chodziło o coś tak banalnego jak siekiera albo piła. W trakcie długich godzin, które rodzina spędzała wspólnie, unikał rozmów; zawsze to on organizował gry w karty i to on prosił Susanę, żeby coś zaśpiewała. W czasie migren swojej bratowej siadał na konia i wyjeżdżał ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Nie mogłam śledzić go podczas tych wycieczek, bo mógłby to zauważyć, a i rodzina zaczęłaby coś podejrzewać, za to byłam czujna, gdy był w pobliżu. Dopiero teraz stwierdziłam, że kiedy czasami wstaje w środku nocy, to nie idzie do kuchni, żeby coś zjeść, jak myślałam, ale ubiera się, wychodzi na patio i przepada na dwie czy trzy godziny, po czym wraca spokojnie do łóżka. Pójść za nim po ciemku było znacznie łatwiej niż za dnia, kiedy patrzył na nas tuzin oczu; należało tylko czuwać i nie zasnąć, rezygnując z wina do kolacji i nocnej porcji kropli z opium.

Pewnej nocy w połowie maja zauważyłam, że Diego wyslizguje się z łóżka, i w słabym świetle lampki oliwnej, którą zawsze paliliśmy pod krzyżem, zobaczyłam, że wkłada spodnie i buty, bierze koszulę i kurtkę i wychodzi. Oczekałam kilka chwil, szybko wstałam i poszłam za nim; serce tak tłukło mi się w piersi, jakby miało ją rozerwać. W cieniu domu nie widziałam go dobrze, ale kiedy wyszedł na patio, jego sylwetka zarysowała się wyraźnie w poświacie księżyca, który akurat wyszedł zza chmur. Usłyszałam szczekanie psów i pomyślałam, że jeśli podejda bliżej, moja obecność się wyda, ale nie przybiegły; zrozumiałam wtedy, że Diego wcześniej je uwiązał. Mój mąż obszedł w koło cały dom i nagle skierował się ku jednej ze stajni; stały w niej konie pod wierzch, których nie używano do prac polowych. Zdjął z bramy skobel i wszedł. Czekałam na zewnątrz ukryta w cieniu wiązu rosnącego o kilka metrów od stajni, boso, ubrana jedynie w cienką nocną koszulę, nie mając odwagi zrobić następnego kroku, przekonana, że Diego pojawi się za chwilę na koniu, a ja nie będę mogła dalej go śledzić. Czas bardzo mi się dłużył, nic się nie działo. Nagle przez szparę uchylonej bramy dostrzegłam jakieś światło, prawdopodobnie świecy albo małej lampy. Szczekałam zębami i dygotałam z zimna i strachu. Już miałam dać za wygraną i wrócić do łóżka, kiedy spostrzegłam, że od wschodniej strony - z całą pewnością nie od strony dużego domu - do stajni zbliżała się druga postać, która również weszła do środka i

zamknęła za sobą bramę. Oczekałam prawie kwadrans, zanim się zdecydowałam, po czym zmusiłam się do zrobienia kilku kroków; byłam skostniała i ledwo mogłam się ruszać. Przerazona podeszłam do stajni, nie wiedząc, jak zareaguje Diego, kiedy zobaczy, że go szpieguję, jednak nie mogłam się wycofać. Popchnęłam delikatnie bramę, która ustąpiła bez oporu, od środka nie można było jej zamknąć, ponieważ skobel znajdował się na zewnątrz - i jak złodziej wsunęłam się przez wąską szparę. Wewnątrz panował mrok, ale w głębi pełgało maleńkie światełko i ku niemu ruszyłam na palcach, wstrzymując oddech. Były to niepotrzebne środki ostrożności, gdyż słoma tłumiała odgłos moich kroków, a niektóre zwierzęta poruszały się i parskały u żłobów.

Zobaczyłam ich w słabym świetle latarni zawieszanej na belce u powały i kołysanej wiatrem, który wdzierał się przez drewniane ściany. Na wiązce słomy położyli kilka pledów, tworząc sobie coś w rodzaju gniazda. Ona leżała na wznak, w ciężkim, rozpiętym płaszczu, pod którym była naga, ramiona i nogi miała rozłożone, głowę przekrzywioną na bok, czarne włosy zasłaniały jej twarz, a w delikatnej jasności pomarańczowego światła latarni jej skóra lśniła niczym jasne politurowane drewno. Diego, ubrany w samą koszulę, klęczał przed nią i lizał jej seks. W zachowaniu Susany było tyle absolutnego zapamiętania, a w gestach Diega tyle powściąganej namiętności, że w jednej chwili zrozumiałam, że ja tu się w ogóle nie liczę. Właściwie nie istniałam ani ja, ani Eduardo, ani trójka dzieci, nikt oprócz ich dwojga, skazanych na miłość, przed którą nie było ucieczki. Mój mąż nigdy nie pieścił mnie w ten sposób. Nietrudno było pojąć, że tak jak teraz, wcześniej byli ze sobą już tysiąc razy, że kochali się od lat; zrozumiałam w końcu, że Diego ożenił się ze mną, ponieważ potrzebował przykrywkę dla swego romansu z Susaną. W jednej chwili wszystkie kawałki tej bolesnej układanki znalazły się na swoim miejscu, mogłam wytłumaczyć sobie jego obojętność wobec mnie, jego wyjścia, które zbiegały się z migrenami Susany, jego napięte stosunki z bratem Eduardem, obłudny sposób zachowania wobec reszty rodziny i wybiegi, dzięki którym udawało mu się zawsze być blisko niej, tak aby móc jej dotknąć, by jego stopa znalazła przy jej stopie, jego dłoń na jej łokciu albo ramieniu, a czasami, niby to przez przypadek, w zagłębieniu pleców albo na szyi. To właśnie te nieomylne przejawy zażyłości ujawniły zdjęcia. Przemknęła mi przez głowę myśl, że dzieci, które Diego tak bardzo kochał, cała trójka o niebieskich oczach, stanowiących znak rozpoznawczy Dominguezów, wcale nie muszą być jego bratankami. Stałam nieruchomo, powoli lodowaciejąc, gdy tymczasem oni kochali się zmysłowo, rozkoszując się każdym muśnięciem, każdym jękiem, nie spiesząc się, jakby mieli przed sobą całe życie. Nie wyglądali jak para kochanków na pospiesznej, ukradkowej randce, tylko jak młode małżeństwo w drugim tygodniu podróży poślubnej, kiedy namiętność jest jeszcze ta sama, ale już zdążyło się narodzić wzajemne zaufanie i znajomość ciała tego drugiego. Ja jednak nigdy nie zaznałam z moim mężem takiej intymności, nawet nie umiałabym jej sobie wyobrazić. Diego przebiegał językiem po wewnętrznej stronie ud Susany, od kolan w górę, zatrzymując się między nogami i ponownie osuwając w dół, podczas gdy jego ręce masowały jej krągłe i obfite piersi, igrały ze sterczącymi sutkami, błyszczącymi niczym winogrona. Miękkie i delikatne ciało Susany drżało i falowało niczym ryba w wodzie, głowa zwracała się z lewej strony na prawą w miłosnym zapamiętaniu, włosy zasłaniały jej twarz, otwarte usta wydawały przeciągły jęk, ręce szukały Diega, aby poprowadzić go po mapie swego pięknego ciała, aż w końcu jego język sprawił, że osiągnęła najwyższą rozkosz. Czując, jak przenika ją niczym piorun, Susana wygięła plecy w łuk i

wydała chrapliwy krzyk, który Diego stłumił, miażdżąc jej usta pocałunkiem. Potem trzymał ją w ramionach, kołysząc i głaszcząc jak kota, szepcząc jej do ucha tajemną litanie, a wszystko to z delikatnością i czułością, o jakie nigdy bym go nie posądzała. W którymś momencie Susana usiadła na słomie, zrzuciła płaszcz i zaczęła całować Diega; najpierw czoło, potem powieki, piersi, potem długo usta. Jej swawolny język dosięgnął jego uszu, przeskoczył przez jabłko Adama, musnął szyję; jej zęby dziobnęły jego męskie sutki, palce zaplątały się we włosach porastających tors. Wówczas to Diego poddał się całkowicie jej pieszczotom, wyciągnął się na brzuchu na kocu, a ona usiadła mu okrakiem na plecach, gryząc go w kark i szyję, muskała go po ramionach krótkimi figlarnymi pocałunkami, schodziła aż do pośladków, badając, wachając, smakując i pozostawiając ślad śliny na swej drodze. Diego odwrócił się i jej usta wchłonęły jego uniesiony i pulsujący członek w niekończącym się akcie rozkoszy, dawania i brania w najskrytszej intymności, aż w końcu nie mógł się już dłużej powstrzymać i wdarł się w nią, i oboje potoczyli się jak walczący ze sobą wrogowie, w gmatwaninie ramion i nóg, pocałunków, jęków i miłosnych zaklęć, jakich ja nigdy nie słyszałam. A potem usnęli w gorących objęciach, okryci kocami i płaszczem Susany, jak dwoje niewinnych dzieci. Wycofałam się cicho i zaczęłam iść w stronę domu, a lodowaty chłód nocy nieubłagane ogarniał moją duszę.

Otworzyła się przede mną otchłań, poczułam zamroczenie, które ciągnęło mnie w dół, pokusę, aby skoczyć i zginać na samym dnie cierpienia i grozy. Zdrada Diega i lęk przed przyszłością sprawiły, że miałam wrażenie, iż się unoszę w powietrzu, nie mając żadnego punktu zaczepienia, zagubiona i zrozpaczona; wściekłość, która ogarnęła mnie na początku, nie trwała długo, bo doznałam uczucia, jakbym już umarła albo pogrzyżła się w absolutnej boleści. Związałam się z Diegiem na całe życie, oddałam mu się pod opiekę jako mężowi, uwierzyłam w każde słowo przysięgi małżeńskiej: byliśmy złączeni aż do śmierci. Nie było odwrotu. Scena w stajni uzmysłowiła mi rzeczywistość, której od dawna się domyślałam, ale nie chciałam przyjąć do wiadomości. W pierwszym odruchu chciałam pobiec do domu teściów, stanąć na środku dziedzińca i wyć jak szalona, zbudzić rodzinę, dzierżawców, psy, wzywając ich na świadków zdrady i kazirodztwa. Jednak moja nieśmiałość okazała się silniejsza od rozpacz; w ciszy i po omacku dowlokłam się do pokoju, który dzieliłam z Diegiem, i usiadłam na łóżku rozdygotana, a łzy spływały mi po policzkach i kapały na piersi i koszulę. Następne minuty czy też godziny dały mi czas, aby przemyśleć, co się stało, i pogodzić się z faktem, że nic nie mogę zrobić. To nie było chwilowe uniesienie; Diego i Susana byli gotowi ponieść wszelkie ryzyko, łączyła ich prawdziwa miłość, która niczym bezlitosna rzeka płonącej lawy zdolna była pokonać wszelkie przeszkody, jakie tylko staną jej na drodze. Ani Eduardo, ani ja nie liczyliśmy się, wobec siły namiętności łączącej tych dwoje znaczyliśmy tyle co nic. Przede wszystkim muszę powiedzieć o tym szwagrowi, postanowiłam, kiedy jednak pomyślałam, jakim ciosem byłaby ta wiadomość dla tego dobrego człowieka, zrozumiałam, że nie starczy mi odwagi. Eduardo pewnego dnia odkryje to sam albo, przy odrobinie szczęścia, nie dowie się nigdy. Może domyślał się tego tak jak ja, ale nie chciał się o tym przekonać, pragnąc utrzymać kruchą równowagę swych złudzeń; w grę wchodziło przecież troje dzieci, jego miłość do Susany i monolityczna spoistość rodzinnego klanu.

Diego wrócił do domu na krótko przed świtem. W świetle olejnej lampki spostrzegł mnie siedzącą w łóżku, zapłakaną, niezdolną do wymówienia słowa, i pomyślał, że

przebudziłam się, dręczona kolejnym koszmarem. Usiadł obok i chciał mnie przytulić, jak to robił wcześniej, ale skuliłam się w sobie instynktownie i musiałam spojrzeć na niego z wyrazem strasznego wstrętu, gdyż natychmiast wstał. Mierzyliśmy się wzrokiem, on z zaskoczeniem, a ja z odrazą, aż w końcu prawda wdarła się między nasze dwa łóżka i rozsiadła się nieodwołalnie i niezbitcie niczym smok.

- I co teraz zrobimy? - tylko tyle zdołałam wymamrotać.

Nie próbował zaprzeczać ani się usprawiedliwiać, patrzył mi w oczy wyzywającym, stalowym spojrzeniem, gotów bronić swej miłości wszelkimi sposobami, choćby nawet miał mnie zabić. Wówczas tama dumy, dobrego wychowania, która od miesiący powstrzymywała mój wybuch rozpaczy, rozsypała się w drobny mak i ciche wyrzuty przerodziły się w lawinę niekończących się oskarżeń, które Diego odbierał z niezmaconym spokojem i w milczeniu, wsłuchując się z uwagą w każde słowo. Oskarżyłam go o wszystko, co mi tylko przyszło do głowy, a na koniec błagałam, żeby się zastanowił, powiedziałam, że jestem gotowa mu wybaczyć i zapomnieć, prosiłam, żebyśmy wyjechali gdzieś daleko, gdzie nikt nas nie zna, i zaczęli wszystko od nowa. Wreszcie zabrakło mi słów i łez. Był już jasny dzień. Diego pokonał odległość dzielącą nasze łóżka, usiadł przy mnie, ujął moje ręce i ze spokojem i powagą wyjaśnił mi, że kocha Susanę od wielu lat i że ta miłość jest dla niego najważniejsza w życiu, ważniejsza niż honor, rodzina i zbawienie własnej duszy; może mi przyrzec, że z nią zerwie, żeby mnie uspokoić, powiedział, ale byłoby to fałszywe przyrzeczenie. Dodał, że próbował to zrobić, wyjeżdżając do Europy, zostawiając ją na sześć miesięcy, ale to nic nie dało. Nawet ożenił się ze mną, żeby przekonać się, czy potrafi zerwać tę straszną więź łączącą go z bratową, lecz małżeństwo jeszcze ją wzmocniło, gdyż rozwiało podejrzenia Eduarda i reszty rodziny. Niemniej jednak jest zadowolony, że w końcu poznałam prawdę, gdyż było mu mnie żal; nie ma mi nic do zarzucenia, zapewnił, jestem bardzo dobrą żoną i żałuje, że nie może dać mi miłości, na jaką zasługuję. Za każdym razem, kiedy wymykał się, żeby być z Susaną, czuł się podle, teraz jest mu lżej, że nie będzie musiał mnie oszukiwać. Sytuacja się wyjaśniła.

- A czy Eduardo w ogóle się nie liczy? - zapytałam.

- To, co dzieje się między nim i Susaną, to ich sprawa. My musimy zdecydować, co dalej z naszym związkiem.

- Ty już zdecydowałeś, Diego. Nie ma tu dla mnie miejsca, wrócę do domu - odparłam.

- To jest teraz twój dom, jesteśmy małżeństwem, Aurore. Co Bóg złączył, człowiek nie ma prawa rozłączać.

- To ty pogwałciłeś kilka boskich przykazań - odparowałam.

- Moglibyśmy żyć jak brat z siostrą. Niczego ci przy mnie nie zabraknie, zawsze będę cię szanował, będziesz miała opiekę i swobodę, będziesz mogła zajmować się fotografowaniem albo czym zechcesz. Jedyne, o co proszę, to żebyś nie wywoływała skandalu.

- Ty nie masz prawa mnie już o nic prosić, Diego.

- Nie proszę cię o nic dla siebie. Mam grubą skórę i mogę odpowiadać za swoje czyny jak mężczyzna. Robię to ze względu na mamę. Ona tego nie zniesie ...

Tak więc zostałam ze względu na donę Elvirę. Nie wiem, jak zdołałam się ubrać, ochlapać wodą twarz, uczesać się, wypić kawę i wyjść z domu do moich zajęć. Nie wiem, jak

przy obiedzie spojrzałam w twarz Susanie ani czym wyjaśniłam teściom moje podpuchnięte oczy. Tamten dzień był najgorszy, czułam się obita i oszołomiona, a gdyby ktoś mnie o cokolwiek zapytał, popłakałabym się. W nocy miałam gorączkę i bolały mnie kości, ale następnego dnia byłam spokojniejsza, osiodłałam sobie konia i ruszyłam w stronę wzgórz. Wkrótce się rozpadało, a ja dalej galopowałam, aż w końcu moja biedna klacz ustała; wtedy zsiadłam i przedzierałam się piechotą przez chaszczę i błoto, ślizgając się, przewracając i znowu wstając, krzycząc na całe gardło, przemoknięta do suchej nitki. Nasiąknięte wodą ponczo zrobiło się takie ciężkie, że zostawiłam je gdzieś po drodze i dalej jechałam, dygocząc z zimna i czując, że od wewnątrz cała płonę. Wróciłam o zachodzie słońca bez głosu, za to z gorączką, wypiliśmy gorący napar z ziół i położyłam się do łóżka. Z tego, co było potem, niewiele pamiętam, gdyż w ciągu następnych tygodni walczyłam ze śmiercią i nie miałam czasu ani głowy, żeby myśleć o mojej tragedii małżeńskiej. Noc, którą spędziłam boso i półnaga w stajni, oraz galop w strugach deszczu wywołały zapalenie płuc, które o mały włos nie wyprawilo mnie na tamten świat. Zawieziono mnie powozem do niemieckiego szpitala, gdzie dostałam się w ręce jakiejś teutońskiej pielęgniarki z jasnymi warkoczami, która swoim uporem uratowała mi życie. Owa szlachetna walkiria potrafiła wziąć mnie w swoje krzepkie ramiona drwała jak dziecko, a także z cierpliwością niańki karmić po łyżeczce rosołem z kury.

Z początkiem lipca, kiedy zima nastała na dobre i wszystko dokoła zdawało się płynąć (jak okiem sięgnąć, widać było wszędzie rwące rzeki, zatopione pola, bajora, deszcz i jeszcze raz deszcz), Diego przyjechał po mnie do szpitala i z pomocą kilku dzierzawców, zapakowaną w koce i skóry jak paczkę, zabrał z powrotem do Caleufu. W powozie zainstalowano daszek z nawoskowanego brezentu, łóżko, a nawet piecyk, w którym napalono, żeby stawić czoło wszechobecnej wilgoci. Drogę do domu odbyłam, pocąc się w moim opakowaniu z pledów, a Diego jechał konno obok mnie. Wiele razy powóz grzązł w błocie; woły nie dawały rady go wyciągnąć i mężczyźni musieli podkładać pod niego deski. Podczas tej trwającej cały dzień drogi nie zamieniliśmy z Diegiem ani słowa. W Caleufu wyszła mi na spotkanie dona Elvira, płacząc z radości i zdenerwowania, poganiając służące, żeby jak najszybciej przynosiły piecyki, butelki z gorącą wodą, zupę z cielecą krwią, która miała przywrócić mi kolory i chęć do życia. Tak bardzo się o mnie modliła, powiedziała, że Bóg się ulitował. Pod pretekstem, że czuję się jeszcze bardzo słaba, poprosiłam, aby pozwoliła mi spać w dużym domu, a ona umieściła mnie w pokoju obok siebie. Po raz pierwszy w życiu zaznałam prawdziwej matczynej opieki. Babcia Paulina del Valle, która tak mnie kochała i tak wiele dla mnie zrobiła, nie nawykła do okazywania czułości, chociaż w głębi serca była bardzo wrażliwa. Powiadała, że ckliwość - ową przesłodzoną mieszaninę miłości i współczucia, którą w kalendarzach zwykle się przedstawiać w postaci mamuski pochylonej w zachwycie nad dziecięcą kołyską - można jeszcze darować, kiedy skierowana jest do bezbronnych zwierząt, na przykład nowo narodzonych kociąt, jednak okazywana ludziom jest piramidalną głupotą. W naszych relacjach zawsze występował ton ironii i cynizmu, mało było gestów czułości, z wyjątkiem przypadków, kiedy w dzieciństwie spałam w jej łóżku, i generalnie rzecz biorąc, traktowałyśmy się dość szorstko, co dla nas obu było bardzo wygodne. Ja aż do przesady przymilałam się, kiedy chciałam na coś ją naciągnąć, i zawsze mi się to udawało, ponieważ moja cudowna babcia miękła bardzo szybko, raczej w ucieczce przed okazywaniem uczuć niż ze względu na słaby charakter. Dona Elvira natomiast była prostoduszną istotą, dla której

sarkazm występujący w stosunkach między babcią a mną byłby obraźliwy. Była w naturalny sposób serdeczna, brała mnie za rękę i trzymała ją w swojej, całowała mnie, przytulała, lubiła szcztokować mi włosy, osobiście podawała środki na wzmocnienie ze szpiku kostnego i dorsza, robiła okłady z kamfory, żeby pokonać kaszel, nacierała mnie olejkami eukaliptusowym i owijała w ciepłe koce, żebym wypociła gorączkę. Dbała, żebym dobrze jadła i wypoczywała, w nocy podawała mi krople opium i modliła się, siedząc przy mnie, dopóki nie zasnęłam. Co rano pytała, czy miałam koszmarne sny, i prosiła, żebym szczegółowo je opowiedziała, gdyż, jak twierdziła, "mówiąc o tych sprawach, człowiek przestaje się ich bać". Jej zdrowie nie było najlepsze i nie wiem, skąd brała siły, żeby zajmować się mną i dotrzymywać mi towarzystwa, podczas gdy ja udawałam słabszą, niż byłam w istocie, żeby przedłużyć ową idyllę u boku swojej teściowej. "Wracaj do zdrowia, córeńko, twój mąż cię potrzebuje" - zwykła mówić zmartwiona, chociaż Diego stale powtarzał, że lepiej, abym na resztę zimy została w domu teściów. Te tygodnie, jakie spędziłam pod jej dachem, dochodząc do siebie po zapaleniu płuc, były nie zwykłym doświadczeniem. Teściowa otoczyła mnie troską i serdecznością, jakich nigdy nie zaznałabym od Diega. Owa delikatna i bezwarunkowa miłość podziałała na mnie niczym balsam i powoli wyleczyła z pragnienia śmierci i z urazy, jaką czułam wobec niego. Potrafiłam zrozumieć uczucia Diega i Susany, a to, co się stało, uznać za bezlitosne fatum. Ta namiętność musiała być siłą zdolną wywołać trzęsienie ziemi, nie było dla nich ratunku. Wyobraziłam sobie, jak walczyli z tą siłą wzajemnego przyciągania, zanim jej ulegli, ile tabu musieli naruszyć, aby być razem, jak straszliwe katusze musieli codziennie przeżywać, udając wobec całego świata braterskie stosunki i ukrywając trawiący ich od wewnątrz ogień pożądania. Przestałam zadawać sobie pytanie, jak to możliwe, że nie potrafia oprzeć się lubieżności, a egoizm nie pozwala im dostrzec katastrofy grożącej im i ich najbliższym, gdyż domyśliłam się, jacy muszą być udręczeni. Sama rozpaczliwie kochałam Diega, mogłam zrozumieć, co czuła do niego Susana. Czy w podobnych okolicznościach zachowałabym się tak jak ona? Przypuszczałam, że nie, ale nie mogłam być pewna. Chociaż uczucie klęski pozostało, zdołałam otrząsnąć się z nienawiści, nabrać dystansu i postawić się na miejscu pozostałych bohaterów tego dramatu. Czułam więcej litości dla Eduarda niż żalu nad sobą; miał troje dzieci i był zakochany w swojej żonie, dla niego poznanie prawdy byłoby gorsze niż dla mnie. Również ze względu na niego musiałam zachować milczenie, jednak sekret nie ciążył mi już niczym młyński kamień, gdyż wstręt do Diega dzięki doni Elvirze powoli zaczął ustępować. Do szacunku dla tej kobiety i wielkiej sympatii, jaką od pierwszej chwili do niej poczułam, doszła teraz wdzięczność, przylgnęłam do niej niczym rozpieszczony salonowy piesek, potrzebowałam jej obecności, jej głosu, jej warg na moim czole. Czułam się w obowiązku chronić ją przed kataklizmem, do którego w każdej chwili mogło dojść w tej rodzinie; postanowiłam zostać w Caleufu, ukrywając moje upokorzenie wzgardzonej żony, bo gdybym odeszła, a ona dowiedziałyby się prawdy, umarłyby z bólu i wstydu. Całe jej życie skupiało się na sprawach rodziny, potrzebach każdej z osób żyjących w czterech ścianach tego domu, to był cały jej świat. Zgodnie z umową z Diegiem miałam tam pozostać, dopóki dona Elvira żyje, a potem będę wolna, on pozwoli mi wyjechać i nie będzie się ze mną kontaktował. Musiałam znosić pozycję - dla niektórych haniebną - "kobiety w separacji" i nie mogłam ponownie wyjść za mąż, ale przynajmniej nie musiałam żyć u boku mężczyzny, który mnie nie kochał.

W połowie września, kiedy nie było już pretekstu, żeby nadal być u teściów, i nadszedł czas, aby z powrotem zamieszkać z Diegiem, przyszedł telegram od Ivana Radovica. W kilku słowach lekarz powiadał mi, że powinnam wrócić do Santiago, gdyż stan mojej babci jest krytyczny. Spodziewałam się tej wiadomości od miesięcy, jednak poczułam się jak ogłuszona; wiadomość podziałała na mnie jak uderzenie obuchem w głowę. Babcia była nieśmiertelna. Nie mogłam jej sobie wyobrazić jako drobnej staruszki, kruchej i łysej; wciąż widziałam ją taką, jaką była: łakomą i chytrą, w ogromnej peruce, waleczną niczym Amazonka. Dona Elvira przytuliła mnie i powiedziała, że nie jestem sama, mam teraz drugą rodzinę, mam Caleufu, a ona będzie dbać o mnie i chronić mnie, tak jak to przedtem robiła Paulina del Valle. Pomogła mi spakować moje dwie walizki, zawiesiła mi na szyi szkaplerz Najświętszego Serca Jezusowego i przekazała tysiąc zaleceń, pod których ciężarem aż się ugięłam, Santiago jawiło się jej jako jaskinia grzechu, a sama podróż była niebezpieczną przygodą. W tym czasie po zimowej przerwie uruchamiano tartak, co dla Diega było dobrą wymówką, aby nie jechać ze mną do Santiago, chociaż jego matka na to nalegała. Na statek odwiózł mnie Eduardo. W drzwiach dużego domu w Caleufu stanęli wszyscy domownicy, machając mi na pożegnanie: Diego, moi teściowie, Adela, Susana, dzieci i kilku dierżawców. Nie wiedziałam, że więcej ich nie zobaczę.

Przed wyjazdem zajrzałam do ciemni, do której nie wchodziłam od owej fatalnej nocnej wyprawy do stajni, i stwierdziłam, że ktoś wykradł zdjęcia Diega i Susany, ale - nie znając się na procesie wywoływania - nie zabrał negatywów. Te nędzne dowody nie były mi do niczego potrzebne; zniszczyłam je. Zapakowałam natomiast negatywy zdjęć Indian, ludzi z Caleufu i reszty rodziny, gdyż nie wiedziałam, jak długo mnie nie będzie, a mogły ulec uszkodzeniu. Mój szwagier, chłop na schwał, o wyglądzie niedźwiedzia, miał ten sam delikatny charakter co jego matka, tę samą, niemalże dziecięcą, naiwność. Po drodze mieliśmy okazję, żeby porozmawiać na osobności, co wcześniej nigdy nam się nie zdarzyło. Wyznał mi, że od dzieciństwa pisze wiersze, "no bo jak tu nie pisać, kiedy się mieszka w takiej okolicy?" - dodał, wskazując na rozciągające się przed naszymi oczami przepiękne lasy i jeziora. Opowiedział mi, że nie ma większych pragnień, nie ciągnie go szeroki świat, jak Diega, wystarcza mu Caleufu. Kiedy jako młody chłopak wyjechał do Europy, czuł się zagubiony i głęboko nieszczęśliwy, nie mógł żyć z dala od ziemi, którą kochał. Pan Bóg bardzo hojnie go obdarzył, pozwalając mu żyć w tym ziemskim raju. Pożegnaliśmy się w porcie mocnym uściskiem. "Niech cię Bóg strzeże, Eduardo" - szepnęłam mu do ucha. Widać było, że poczuł się nieco zmieszany tak uroczystym pożegnaniem.

Frederick Williams czekał na stacji i zawiózł mnie samochodem do domu przy ulicy Ejercito Libertador. Zdziwił się, widząc mnie tak wymizerowaną, a moje wyjaśnienia, że ciężko chorowałam, nie wydały mu się wystarczające; przyglądał mi się spod oka, uporczywie wpytując o Diega, o to, czy jestem szczęśliwa, jaka jest rodzina moich teściów i czy przywykłam do wiejskiego życia. Posiadłość mojej babci, będąca kiedyś najwspanialszą rezydencją w tej dzielnicy pałaców, podupadła tak samo jak jej właścicielka. Wiele okiennic wisiało na wyrwanych zawiasach, ściany domu wyglądały jak spłowiałe, a zapuszczony ogród nadal trwał w smutnej zimie. W środku spustoszenie było jeszcze większe niż na zewnątrz; dawne piękne salony były prawie puste, meble, dywany i obrazy poznikały; z impresjonistycznych obrazów, które przed laty wywołały taki skandal, nie został ani jeden. Wujek Frederick wyjaśnił mi, że babcia, szykując się na śmierć, prawie wszystko podarowała

Kościółowi. "Sądzę jednak, że jej pieniądze pozostały nietknięte, Auroro, gdyż do tej pory liczy każdego centa, a księgi rachunkowe trzyma pod łóżkiem" - dodał, mrużąc łobuzersko oko. Ona, która chodziła do kościoła tylko po to, żeby ją tam widziano, która nie znosiła owego roju zebrzących księży i służalczych mniszek, jaki nieustannie krążył wokół innych członków rodziny, w testamencie przekazała znaczną sumę na Kościół katolicki. Zawsze sprytna w interesach, na łożu śmierci postanowiła kupić sobie to, o co za życia niezbyt zabiegała. Williams znał moją babcię lepiej niż ktokolwiek i sądzę, że kochał ją prawie tak samo jak ja; wbrew wszelkim przepowiedniom zazdrośników nie okradł jej z fortuny, nie opuścił na starość, przez całe lata z godnością pełnił rolę męża i towarzyszył jej do ostatniego tchnienia, bronił interesów rodziny, a dla mnie miał zrobić jeszcze więcej, jak to się okazało w następnych latach. Paulina już niemal całkowicie utraciła jasność umysłu, środki uśmierzające ból utrzymywały ją w stanie zawieszenia w przedpieklu bez wspomnień i bez marzeń. W ciągu ostatnich miesięcy tak zmarniała, że zostały z niej tylko skóra i kości; nie mogła przelikać i karmiono ją mlekiem przez gumową rurkę wprowadzoną do nosa. Na głowie miała jeszcze mniej białych kosmyków, jej wielkie oczy zmałyły i były już jedynie dwoma czarnymi punkcikami na mapie zmarszczek. Pochyliłam się, żeby ją pocałować, ale mnie nie poznała i odwróciła twarz; za to bezwiednie szukała w powietrzu ręki męża, a kiedy on ujął jej dłoń, twarz babci wypogodziła się.

- Nie cierpi, Auroro, podajemy jej dużo morfiny - wyjaśnił mi wujek Frederick.

- Zawiadomił wujek jej synów?

- Tak, dwa miesiące temu wysłałem do nich telegramy, ale nie odpowiedzieli, i nie sądzę, żeby dotarli na czas. Paulinie nie zostało już wiele życia - odparł wzruszony.

I rzeczywiście, Paulina del Valle umarła cicho następnego dnia. Oprócz mnie byli przy niej: Frederick Williams, doktor Radovic, Severo i Nivea. Synowie mieli się pojawić o wiele później w towarzystwie adwokatów, żeby klócić się o spadek, do którego praw nikt im nie odmawiał. Lekarz wyjął rurkę, przez którą babcię karmiono, a Williams włożył jej rękawiczki, bo miała lodowate ręce. Jej wargi przybrały niebieską barwę i była bardzo blada, oddychała coraz słabiej, spokojnie, prawie niedostrzegalnie, i nagle po prostu przestała to robić. Radovic wziął ją za rękę, żeby zmierzyć puls; upłynęła minuta, może dwie, i oznajmił, że odeszła. W pokoju panował uroczysty spokój, działo się coś niezwykłego, może duch mojej babci oderwał się od ciała i niczym zagubiony ptak krążył w kółko, żegnając się z nim. Jej odejście wywołało u mnie uczucie pustki i osierocenia, i uświadomiłam sobie, że już kiedyś coś podobnego przeżywałam, ale nazwać to i określić udało mi się dopiero po kilku latach, kiedy tajemnica mojej przeszłości została ostatecznie wyjaśniona i zrozumiałam, że w podobnej rozpaczce pogrążyła mnie śmierć mego dziadka Tao Chi'ena, kiedy miałam pięć lat. Niezabliźniona rana otwierała się teraz na nowo, wywołując ten sam palący ból. Dawne cierpienie z dzieciństwa, na całe lata zagrzebane w najgłębszych pokładach pamięci, podniosło swój groźny łeb Meduzy, żeby mnie pożreć. Jako dziecko ponosiłam jedną stratę po drugiej: matka umarła, wydając mnie na świat, ojciec nie chciał mnie znać, babcia ze strony matki bez żadnych wyjaśnień pozostawiła mnie w rękach Pauliny del Valle i, przede wszystkim, nagle zabrakło osoby, którą najbardziej kochałam: dziadka Tao Chi'ena.

Od owego wrześniowego dnia, kiedy odeszła Paulina del Valle, minęło dziewięć lat;

to nieszczęście i inne odplęły w przeszłość, teraz mogę wspominać moją wspaniałą babcię ze spokojnym sercem. Nie zginęła w przepastnym mroku ostatecznego unicestwienia, czego się początkowo obawiałam, jakaś jej część została tutaj i krąży stale wokół mnie razem z Tao Chi'eniem; to dwa bardzo różne duchy, które towarzyszą mi w życiu i pomagają, pierwszy w sprawach praktycznych, a drugi w rozwiązywaniu kwestii uczuciowych. Jednak wtedy, kiedy babcia przestała oddychać i leżała na tej żołnierskiej pryczy, na której spędziła ostatnie lata, nie spodziewałam się, że wróci, i ugięłam się pod ciężarem bólu. Gdybym potrafiła uzewnętrznić moje uczucia, może cierpiałabym mniej, ale żalność tkwiła we mnie niczym wielka bryła lodu i musiały upłynąć całe lata, zanim ten lód się roztopił. Nie płakałam, kiedy umarła. Cisza, jaka zapanowała w pokoju, wydawała się jakimś błędem w sztuce, ponieważ kobieta taka jak Paulina del Valle powinna schodzić ze sceny życia ze śpiewem przy wtórze orkiestry. tymczasem jej pożegnanie ze światem nastąpiło w ciszy. Była to jedyna rzecz, jaką w całym swoim życiu zrobiła dyskretnie. Mężczyźni opuścili pokój, a Nivea i ja, robiąc to jak najdelikatniej, ubrałyśmy ją na ostatnią drogę w habit sióstr karmelitanek, który od raku wisiał u niej w szafie (jednak nie zdołaliśmy się oprzeć pokusie i pod spód włożyłyśmy jej najlepszą francuską jedwabną bieliznę w kolorze malwy). Kiedy podnosiłyśmy jej ciało, zdałam sobie sprawę, jaka była lekka. W duchu podziękowałam jej za wszystko, co dla mnie zrobiła, przemawiałam do niej najczulszymi słowami, jakich nigdy bym się nie ośmieliła wypowiedzieć, gdyby mogła mnie usłyszeć, ucałowałam jej piękne dłonie, jej powieki - pomarszczone jak u żółwia - i jej szlachetne czoło, i przeprosiłam ją za moje napady wściekłości w dzieciństwie, za to, że przyjechałam tak późno, żeby się z nią pożegnać, za wygłupy z wyschniętą jaszczurką i inne ciężkie żarty, jakie musiała znosić, a tymczasem Nivea korzystała z doskonałego pretekstu, jakiego dostarczyła jej śmierć Pauliny del Valle, i opłakiwała swoje zmarłe dzieci. Przebrawszy babcię, skropiłyśmy ją jej ulubioną wodą kolońską o zapachu gardenii, rozsunięłyśmy zasłony i otworzyłyśmy okna, żeby wpuścić wiosnę, tak jak ona by sobie życzyła. Żadnego opłakiwania, żadnych czarnych szmat, żadnego zasłaniania luster - Paulina del Valle żyła jak bezwstydną cesarzowa i zasłużyła sobie na to, żeby składano jej hołd w pełnym wrześnieowym słońcu. Tak samo pojmował to Williams, który osobiście udał się na targ i przywiózł całe auto świeżych kwiatów do przybrania domu.

Krewni i przyjaciele, którzy przyszli na ceremonię w żałobie i z chusteczkami w dłoniach, oburzyli się, ponieważ nigdy nie zdarzyło im się czuć przy zwłokach w promieniach słońca, wśród kwiatów, które bardziej pasowałyby do ślubu, i bez łez. Wyszli, złorzecząc mi pod nosem, i jeszcze teraz, po tylu latach, nie brak takich, którzy wytykają mi palcami w przekonaniu, że cieszyłam się, kiedy Paulina del Valle umarła, gdyż zamierałam zagarnąć po niej spadek. Tymczasem nie odziedziczyłam nic, gdyż szybko postarali się o to jej synowie i ich adwokaci, ale i nie było mi to potrzebne, bo mój ojciec zostawił mi wystarczająco dużo, abym mogła godnie żyć, a na resztę mogę zarobić własną pracą. Pomimo niezliczonych dobrych rad i nauk, jakich nie szczędziła mi babcia, nie zdołałam rozwinąć w sobie smykałki do interesów; nigdy nie będę bogata i cieszę się z tego. Frederick Williams również nie musiał walczyć z adwokatami, ponieważ pieniądze interesowały go znacznie mniej, niż to przez całe lata niektórzy insynuowali. Ponadto żona podarowała mu sporo za życia, a on, będąc mężczyzną zapobiegliwym, zdołał to zachować. Synom Pauliny nie udało się dowieść, że małżeństwo ich matki z dawnym majordomusem nie

ma mocy prawnej, i musieli - acz niechętnie - zostawić wujka Fredericka w spokoju, nie udało im się również zawłaszczyć winnic, ponieważ były zarejestrowane na nazwisko Severa del Valle, w związku z czym swoje ataki skierowali przeciwko księżom, licząc, że zdołają odzyskać dobra, jakie tamci wymusili pod groźbą mąk piekielnych - jednak do tej pory nikt nie wygrał z Kościołem katolickim, który, jak wszystkim wiadomo, ma za sobą Boga. Tak czy inaczej majątku było aż nadto i obaj synowie, krewni, a nawet adwokaci żyją z niego do dzisiaj.

Jedyną radością w owych przygnębiających tygodniach było ponowne pojawienie się w naszym życiu panny Matilde Pinedy. Dowiedziała się z gazet o śmierci Pauliny del Valle i zdobyła się na odwagę, żeby przyjść do domu, z którego w czasach rewolucji została wyrzucona. Pojawiła się z bukietem kwiatów w towarzystwie księgarza Pedra Teya. Zmieniła się przez te lata i z początku jej nie poznałam, ale on nadal był tym samym łysym człowieczkiem o gęstych szatańskich brwiach i płonących źrenicach.

Kiedy zakończyły się uroczystości pogrzebowe na cmentarzu, odprawiono śpiewane msze i zamówione nowenny, rozdano jałmużny i datki na cele charytatywne wskazane przez moją babcię i opadł kurz wystawnego pochówku - w pustym domu przy Ejercito Libertador zostaliśmy tylko my dwoje, Frederick Williams i ja. Usiedliśmy razem na przeszklonej werandzie, aby dyskretnie - jako że łzy nie przychodzą nam łatwo - opłakiwać odejście mojej babci i wspominać jej liczne wielkie dokonania i nieliczne upadki.

- Co zamierzasz teraz robić, wujku? - chciałam wiedzieć.

- To zależy od ciebie, Auroro.

- Ode mnie?

- Nie mogło ujść mojej uwagi, że dzieje się z tobą coś dziwnego, dziecinko - odparł, zadając mi tym samym pytanie w typowy dla siebie subtelny sposób.

- Byłam ciężko chora, a teraz jest mi bardzo smutno z powodu odejścia babci. To wszystko, nie ma w tym nic dziwnego, zapewniam cię.

- Przykro mi, że tak nisko mnie oceniasz, Auroro. Musiałbym być bardzo głupi albo kochać cię bardzo mało, żeby nie widzieć twojego stanu ducha. Powiedz mi, co się dzieje, może mogę ci pomóc.

- Nikt nie może mi pomóc, wujku.

- Spróbuj, zobaczymy ... - poprosił.

I wówczas pojęłam, że na tym świecie nie mam nikogo innego, komu mogłabym zaufać, i że Frederick Williams udowodnił, że jest znakomitym doradcą i jedyną osobą w rodzinie obdarzoną zdrowym rozsądkiem. Mogłam mu spokojnie opowiedzieć o mojej tragedii. Wysłuchał do końca z wielką uwagą, nie przerywając mi ani razu.

- Życie jest długie, Auroro. Teraz wszystko widzisz czarno, ale czas leczy rany skutecznie. Ten etap to jak chodzenie po omacku w tunelu, wydaje ci się, że nie ma wyjścia, ale zapewniam cię, że to nieprawda. Idź dalej, dziecinko.

- Co ze mną będzie, wujku?

- Znowu się zakochasz, może będziesz miała dzieci albo zostaniesz najlepszą kobietą fotografem w tym kraju - odparł.

- Czuję się taka zagubiona i samotna!

- Nie jesteś sama, Auroro, ja jestem z tobą i będę dopóty, dopóki będziesz mnie potrzebować.

Przekonał mnie, że nie powinnam wracać do męża, że mogę znaleźć dziesiątki pretekstów, żeby latami odkładać mój powrót, był zresztą pewien, że Diego nie będzie się domagał mego przyjazdu do Calefu, gdyż było mu na rękę trzymać mnie jak najdalej od siebie. A co do dobrotliwej doni Elviry, to nie pozostawało nic innego, jak pocieszać ją obfitą korespondencją. Problem sam się rozwiąże: moja teściowa chorowała na serce i lekarze nie rokowali jej długiego życia. Wujek Frederick zapewnił mnie, że nie spieszy mu się, żeby opuszczać Chile, oprócz mnie nie ma innej rodziny, kocha mnie, jakbym była jego córką albo wnuczką.

- Nie masz nikogo w Anglii? - spytałam.

- Nikogo.

- Wiesz, że krążą plotki na temat twojego pochodzenia? Powiadają, że jesteś zrujnowanym arystokratą, a babcia nigdy temu nie zaprzeczyła.

- Nic bardziej mijającego się z prawdą, Auroro! - zawołał, wybuchając śmiechem.

- A więc nie trzymasz tu gdzieś w ukryciu herbu? - Ja też się roześmiałam.

- Spójrz, dziecinko - odparł.

Zdjął marynarkę, rozpiął koszulę, podciągnął podkoszulek i pokazał mi plecy. Przecinały je straszliwe blizny.

- Chłosta. Sto batów za kradzież tytoniu w karnej kolonii w Australii. Odbyłem tam pięć lat kary, zanim udało mi się uciec na tratwie. Na otwartym morzu znalazł mnie chiński statek piracki, na którym byłem zmuszany do niewolniczej pracy, ale ledwo zbliżyliśmy się do lądu, znowu uciekłem. Jedyne, co mam z angielskiego szlachcica, to akcent, którego nauczyłem się w Kalifornii od pewnego prawdziwego lorda, mojego pierwszego pracodawcy. On też nauczył mnie zawodu majordomusa. Paulina del Valle zatrudniła mnie w roku 1870 i od tamtej chwili byłem przy niej.

- Czy babcia знаła tę historię, wujku? - zapytałam, kiedy doszłam nieco do siebie ze zdumienia i odzyskałam głos.

- Oczywiście. Paulinę ogromnie bawiło, kiedy przestępcę, któremu udowodniono winę, ludzie brali za arystokratę.

- A za co byłeś skazany?

- Za kradzież konia; miałem wtedy piętnaście lat. Powieszono by mnie, ale miałem szczęście, złagodzono mi wyrok i trafiłem do Australii. Nie martw się, Auroro, w całym moim późniejszym życiu nie ukradłem ani centa, chłosta wyleczyła mnie z tego nałogu - ale nie z zamiłowania do tytoniu - roześmiał się.

Tak więc zostaliśmy razem. Synowie Pauliny del Valle sprzedali dom przy ulicy Ejercito Libertador, w którym dzisiaj mieści się pensja dla dziewcząt, i wystawili na licytację resztę wyposażenia, jakie jeszcze w nim zostało. Uratowałam legendarne łożo babci; wyniosłam je przed przybyciem spadkobierców, uprzednio rozmontowane, i ukryłam w magazynie szpitala, w którym pracował Ivan Radovic, gdzie przeleżało do czasu, gdy adwokaci zmęczeni się węszeniem po kątach w poszukiwaniu resztek fortuny Pauliny del Valle. Kupiliśmy wiejski dworek na przedmieściu przy drodze do kordyliery; mamy dwanaście hektarów ziemi z przepływającym przez nią strumykiem i obsadzonej dokoła topolami, pełno na niej wonnych krzaków jaśminu i wszystko tam rośnie, jak chce. Williams hoduje psy i rasowe konie, grywa w krykieta i oddaje się innym, właściwym Anglikom, nudnym zajęciom, a ja mam tam moją zimową siedzibę. Dom jest w ruinie, ale ma dużo

uroku. Jest w nim dość miejsca i na moją pracownię fotograficzną, i na babcine florenckie łoże, które na swoich polichromowanych nogach w kształcie morskich stworów stoi pośrodku mojego pokoju. Sypiam w nim pod opieką babci Pauliny, której czujny duch zawsze zjawia się na czas, aby czarodziejską miotłą przegonić dzieci w czarnych piżamach nachodzące mnie w koszmarnych snach. Santiago rozrośnie się zapewne w kierunku Dworca Centralnego, a my będziemy żyli spokojnie na tej sielankowej równinie pośród topoli i wzgórz.

Dzięki wujkowi Lucky' emu, który w chwili moich narodzin chuchnął mi w twarz, przekazując mi swoje szczęście w życiu, oraz szlachetnej hojności mojej babci i ojca, moje życie układa się dobrze. Dysponuję wystarczającymi środkami i swobodą, aby robić to, na co mam ochotę, i całymi dniami wędrować konno po urwistych wzgórzach Chile z aparatem fotograficznym na szyi, tak jak przez ostatnie osiem czy dziewięć lat. Ludzie obgadują mnie za plecami, to nieuniknione; wielu krewnych i znajomych położyło na mnie krzyżyk i ilekroć spotykam ich na ulicy, udają, że mnie nie znają; w głowie im się nie mieści, że kobieta mogła odejść od męża. Te afronty nie spędzają mi snu z powiek: nie muszę się podobać wszystkim, lecz tylko tym, na których naprawdę mi zależy, a takich nie jest wielu. Smutny finał małżeństwa z Diegiem Dominguezem powinien raz na zawsze zniechęcić mnie do pospiesznych i gorących romansów, jednak tak się nie stało. Rzeczywiście przez kilka miesięcy byłam mocno podłamana, żyłam z dnia na dzień i miałam poczucie całkowitej klęski, sądząc, że zagrałam moją jedyną kartą i straciłam wszystko. Faktem jest również, że jestem skazana na to, aby być mężatką bez męża, co uniemożliwia mi "ulożenie sobie życia", jak mawiają moje ciotki, ale daje wielką swobodę. W rok po rozstaniu z Diegiem ponownie się zakochałam, co oznacza, że mam grubą skórę i szybko wylizuję się z wszelkich ran. Druga miłość nie była delikatną przyjaźnią, która z czasem przerodziła się w trwały romans; był to po prostu poryw namiętności, który dopadł nas oboje z zaskoczenia, i przez czysty przypadek wyszedł nam na dobre ... przynajmniej na razie, kto wie, co będzie w przyszłości.

Zdarzyło się to w pewien zimowy dzień, kiedy - jak to zwykle zimą - padał uporczywy deszcz, z łoskotem biły pioruny i wszystkim było ciężko na sercu. Synowie Pauliny del Valle i ich kauzyperdzi znowu zaczęli swoje machlojki z dokumentami (każdy w trzech egzemplarzach z jedenastoma pieczęciami), które podpisywałam, nie czytając. Frederick Williams i ja mieszkaliśmy w hotelu, ponieważ nie zakończyły się jeszcze prace remontowe w domu, który sobie wybraliśmy. Wujek Frederick zderzył się na ulicy z doktorem Ivanem Radovicem, którego nie widzieliśmy już od dłuższego czasu, i umówili się, że pójdziemy zobaczyć występ hiszpańskiej operetki, odbywającej tournée po Ameryce Południowej. Ale wujek Frederick przeziębził się i w umówionym dniu wylądował w łóżku, wobec czego w hallu hotelowym czekałam na doktora sama, mając zmarznięte ręce i obolałe stopy, gdyż uwierały mnie buty. Po szybach lały się strugi deszczu, na ulicy wiatr targał drzewami, jakby to były miotłki z piór, nadchodząca noc nie zapraszała bynajmniej do wyjścia i przez chwilę pozazdrościłam Frederickowi Williamsowi kataru, bo pozwolił mu zostać w łóżku z dobrą książką i filiżanką gorącej czekolady. Jednak wejście Ivana Radovica kazało mi zapomnieć o burzy. Doktor przyszedł w przemoczonym płaszczu, a kiedy się do mnie uśmiechnął, zdałam sobie sprawę, że jest znacznie przystojniejszy, niż go zapamiętałam. Popatrzyliśmy sobie w oczy i myślę, że zobaczyliśmy się pierwszy raz, przynajmniej ja przyjrzałam mu się naprawdę

poważnie, i to, co zobaczyłam, spodobało mi się. Zapadła długa cisza, która w innych okolicznościach byłaby bardzo niezręczna, ale wówczas wydała się nam formą rozmowy. Pomógł mi włożyć pelerynę, powoli podeszliśmy do drzwi, ociągając się, nie odrywając od siebie oczu. Żadne z nas nie miało ochoty stawiać czoła burzy, która przetaczała się nad miastem, lecz zarazem nie chcieliśmy się rozstawać. Pojawił się portier z wielkim parasolem i zaproponował, że odprowadzi nas do samochodu, który czekał u drzwi, a wtedy wyszliśmy bez słowa, niepewnie. Nie doznałam żadnego przebłysku jasnowidztwa, żadnego niezwykłego przeczucia, że jesteśmy bratnimi duszami, nie pomyślałam sobie, że to początek miłości jak z powieści, nic z tych rzeczy, po prostu zdałam sobie sprawę, że serce tłucze mi się w piersiach jak oszalałe, że brakuje mi powietrza, że mi gorąco, że mnie swędzi skóra i że mam ogromną ochotę dotknąć tego mężczyzny. Obawiam się, że z mojej strony w tym spotkaniu nie było nic duchowego, czyste pożądanie, chociaż nie miałam wówczas zbyt dużego doświadczenia, a moje słownictwo było zbyt ograniczone, aby nadać temu podnieceniu nazwę, jaką określane jest w słowniku. Mniejsza o nazwę, najciekawsze, że okazało się silniejsze od mojej nieśmiałości; w zaciszu samochodu, skąd nie było łatwej ucieczki, ujęłam twarz Ivana w obie dłonie i nie zastanawiając się długo pocałowałam go w usta tak, jak przed wielu laty robili to Nivea i Severo del Valle - zdecydowanie i łapczywie. Była to czynność prosta i nieodwołalna. Nie mogę zagłębiać się w szczegóły na temat tego, co przyszło potem, a co i tak łatwo sobie wyobrazić, bo gdyby Ivan przeczytał te strony, doszłoby do straszliwej kłótni. Trzeba przyznać, że nasze sprzeczki są równie burzliwe i pełne namiętności, co nasze pojednania; nie jest to bynajmniej miłość spokojna i słodka, za to jest uparta; wydaje się, że przeciwności nie osłabiają jej, lecz umacniają. Małżeństwo to sprawa rozsądku, którego obojgu nam brakuje. Fakt, że nie mamy ślubu, sprawia, że łatwiej jest nam się kochać; w ten sposób każde z nas może zajmować się swoimi sprawami, dysponujemy własną przestrzenią, a kiedy już mamy wybuchnąć, zawsze możemy się rozstać na parę dni, żeby znowu się połączyć, kiedy tęsknota za pocałunkami okaże się silniejsza od nieporozumień. Przy Ivanie Radovicu nauczyłam się podnosić głos i wysuwać szpony. Gdybym przyłapała go na zdradzie - co nie daj Panie Boże - jak to mi się zdarzyło z Diegiem Dominguezem, nie wypłakiwałabym oczu, jak wtedy, ale zabiłabym go bez najmniej szych wyrzutów sumienia.

Nie, nie będę mówić o intymnym pożyciu z kochankiem, jednak jest pewien epizod, którego nie mogę przemilczeć, gdyż odnosi się do mojej pamięci, a w gruncie rzeczy ona właśnie jest powodem, dla którego piszę te strony. Moje koszmary to podróż po omacku ku mrocznym jaskiniom, w których drzemią moje najdawniejsze wspomnienia, zablokowane w najgłębszych strefach świadomości. Fotografia i pisanie są próbą uchwycenia chwil, zanim się ulotnią, próbą utrwalenia wspomnień, które mogłyby nadać sens memu życiu. Byliśmy ze sobą już od kilku miesięcy i dzięki dyskretnej pomocy wujka Fredericka, który od początku popierał naszą miłość, zdążyliśmy już zagustować w intymnych spotkaniach. Ivan miał wygłosić wykład w jakimś mieście na północy, a ja pojechałam z nim pod pretekstem robienia zdjęć w kopalniach saletry, gdzie panowały tragiczne warunki pracy. Angielscy przedsiębiorcy nie chcieli rozmawiać z robotnikami i dało się wyczuć klimat narastającej przemocy, co w kilka lat później miało doprowadzić do wybuchu. Kiedy w roku 1907 w końcu do niego doszło, przypadkowo tam byłam i moje zdjęcia są jedynym niepodważalnym dowodem dokumentującym zajścia w Iquique, gdyż rządowa cenzura wymazała z kart historii dwa tysiące zabitych, których ja widziałam na własne oczy. Ale to już inna opowieść

i nie ma dla niej miejsca na tych stronicach. Kiedy pierwszy raz pojechałam do tego miasta z Ivanem, nie przeczuwałam tragedii, jakiej w przyszłości miałam być świadkiem; dla nas obojga był to krótki miodowy miesiąc. Zameldowaliśmy się osobno w hotelu i tamtej nocy, kiedy każde z nas załatwiło już swoje sprawy, Ivan przyszedł do mojego pokoju, w którym czekałam na niego ze wspaniałą butelką *Vina Paulina*. Do tamtej chwili nasz związek był zwyczajną erotyczną przygodą, eksploracją zmysłów, która dla mnie miała fundamentalne znaczenie, gdyż dzięki niej udało mi się pokonać uczucie upokorzenia, jakiego doznałam, kiedy zostałam odrzucona przez Diega, i zrozumieć, że nie jestem jakąś "wybrakowaną kobietą", czego się obawiałam. Za każdym razem, kiedy spotykałam się z Ivanem Radovicem, nabierałam większej pewności siebie, przewyciężając nieśmiałość i wstyd, jednak nie zdawałam sobie sprawy, że ta błoga intymność doprowadzi nas do wielkiej miłości. Tej nocy objęliśmy się leniwie, pokonani dobrym winem i zmęczeniem całego dnia, niczym para mądrych starszków, którzy kochali się już dziewięćset razy i nie mogą się niczym zaskoczyć. Co w tej nocy było dla mnie takiego szczególnego? Myślę, że nic, poza nagromadzeniem szczęśliwych przeżyć z Ivanem, które osiągnęły wówczas liczbę krytyczną, niezbędną, by udaremnić mój opór. Kiedy oprzytomniałam z orgazmu, otoczona silnymi ramionami mego kochanka, nagle całym moim ciałem wstrząsnął spazm szloch, a potem kolejny i jeszcze jeden, aż w końcu porwała mnie niepowstrzymana fala płaczu i poddałam się jej całkowicie. Płakałam i płakałam, a równocześnie czułam się w ramionach Ivana tak pewnie i bezpiecznie, jak chyba nigdy przedtem. Pękła we mnie jakaś tama i tym płaczem mogłam wreszcie wyrzucić z siebie jakąś część nagromadzonego bólu. Ivan o nic nie pytał ani nie próbował mnie pocieszać, przycisnął mnie mocno do piersi, pozwolił się wypłakać, a kiedy chciałam mu coś tłumaczyć, długim pocałunkiem zamknął mi usta. W dodatku w tamtej chwili nie potrafiłabym niczego wyjaśnić. Teraz wiem - bo zdarzyło się to jeszcze kilka razy - że kiedy czuję się absolutnie bezpieczna i jestem pod czyjąś opieką, w mojej pamięci odżywa wspomnienie jakiegoś strasznego zdarzenia z okresu, kiedy miałam pięć lat, a które babcia Paulina i wszyscy pozostali okryli płaszczem tajemnicy. Tamtej nocy najpierw bardzo wyraźnie ujrzałam dziadka Tao Chi'ena szepczącego moje chińskie imię Lai-Ming. Trwało to bardzo krótko, ale wszystko było dla mnie jasne. Potem stanął mi przed oczami koszmar, który od lat dręczył mnie we snach, i wówczas zrozumiałam, że istnieje bezpośredni związek między demonami w czarnych piżamach i moim ukochanym dziadkiem. Ręka, która we śnie puszcza moją dłoń, to ręka Tao Chi'ena. Postać, która powoli upada, to Tao Chi'en. Plama, która nieubłaganie rozlewa się coraz szerzej na bruku ulicy, to krew Tao Chi'ena.

Już nieco ponad dwa lata mieszkałam pod jednym dachem z Frederickiem Williamsem, coraz bardziej związana z Ivanem Radovicem, bez którego nie mogłam wyobrazić sobie przyszłości, kiedy w moim życiu ponownie pojawiła się babcia ze strony matki, Eliza Sommers. Powróciła nie zmieniona, rozsiewając ten sam aromat cukru i wanilii, nie było na niej widać ani niedostatku, ani osamotnienia. Poznałam ją od pierwszego spojrzenia, chociaż od czasu, kiedy mnie przyprowadziła do domu Pauliny del Valle i zostawiła tam, minęło siedemnaście lat i przez cały ten czas nie widziałam żadnej jej fotografii, a jej imię w mojej obecności wspominano bardzo rzadko. Pamiętałam ją dobrze i zawsze tęskniłam za nią. Zmieniła się tak mało, że kiedy zobaczyłam ją na progu naszego domu z walizką w ręce, uległam chwilowemu wrażeniu, że pożegnałyśmy się poprzedniego

dnia i że wszystko, co wydarzyło się w ciągu tych lat, było iluzją. Wydawała mi się jedynie niższa, niż ją zapamiętałam, ale to pewnie dlatego, że ja sama urosłam; kiedy widziałyśmy się ostatni raz, byłam pięcioletnią smarkulą i patrząc na nią, musiałam zadziierać głowę. Nadal trzymała się prosto jak admirał, miała ten sam młodzieńczy wyraz twarzy i to samo surowe uczesanie, chociaż jej włosy nieco posiwiały. Zobaczyłam nawet ten sam naszyjnik z pereł, który kiedyś nosiła zawsze (teraz wiem., że nie zdejmuje go nawet do spania). Przeprowadził ją Severo del Valle, który przez te wszystkie lata był z nią w kontakcie, o czym nie mówił, gdyż mu nie pozwoliła. Eliza Sommers przyrzekła Paulinie del Valle, że nie będzie próbowała kontaktować się z wnuczką, i sumiennie tego przestrzegala. Śmierć Pauliny zwolniła ją z danego słowa. Kiedy Severo napisał jej o tym smutnym fakcie, spakowała kufry i zamknęła dom, tak jak to robiła już wiele razy, i wsiadła na statek do Chile. Siedemnaście lat temu, w roku 1885, babcia wyruszyła w długą podróż z San Francisco do Chin z zabalsamowanym ciałem męża, żeby pochować go w Hongkongu. Tao Chi'en większość życia spędził w Kalifornii i był jednym z nielicznych emigrantów chińskich, którym udało się zdobyć amerykańskie obywatelstwo, jednak zawsze pragnął, aby jego kości zostały złożone w chińskiej ziemi, dzięki czemu jego dusza nie błądziłaby po bezkresach wszechświata, nie mogąc znaleźć bramy do nieba. Owa zapobiegliwość okazała się niewystarczająca, ponieważ z całą pewnością duch mego niezwykłego dziadka Tao Chi'ena nadal krąży po tym świecie. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że czuję go obok siebie? To nie tylko moja wyobraźnia, babcia Eliza potwierdziła to i wskazała mi niepodważalne dowody jego obecności, takie jak zapach morza, który czasami do mnie dociera, i głos, który szepcze pewne magiczne słowo: moje chińskie imię.

- Witaj, Lai-Ming - powitała mnie ta moja niezwykła babcia, kiedy mnie ujrzała.

- *Oi pao!* - wykrzyknęłam.

Nie wymówiłam tego słowa - które w dialekcie kantońskim oznacza babcię ze strony matki - od niepamiętnych czasów, kiedy to mieszkałam nad kliniką akupunktury w chińskiej dzielnicy San Francisco, a mimo to go nie zapomniałam. Położyła mi dłoń na ramieniu i obejrzała mnie od stóp do głów, po czym skinęła z uznaniem głową i w końcu mnie objęła.

- Cieszę się, że nie jesteś taka piękna jak twoja matka - powiedziała.

- To samo mówił ojciec.

- Jesteś wysoka jak Tao. A Severo mówi, że i mądra jak on.

W naszym domu podaje się herbatę, kiedy sytuacja jest nieco kłopotliwa, a ponieważ ja prawie cały czas czuję się skrępowana, robię to bez przerwy. Napój ten ma tę zaletę, że uspokaja moje nerwy. Miałam straszną chęć objąć babcię w talii i zatańczyć walca, opowiedzieć jej całe moje życie i wyartykułować wyrzuty, jakie przez całe lata powtarzałam sobie w myślach, ale nie mogłam zrobić żadnej z tych rzeczy. Eliza Sommers nie jest typem osoby, z którą łatwo zdobyć się na poufalość, i musiały upłynąć tygodnie, zanim mogłyśmy rozmawiać swobodnie. Na szczęście herbata i obecność Severa del Valle i Fredericka Williamsa, który wrócił z kolejnej wycieczki do naszego majątku, wystrojony niczym afrykański podróżnik, złagodziły napięcie. Ledwo wujek Frederick zdjął hełm korkowy i ciemne okulary i ujrzał Elizę Sommers, coś zmieniło się w jego postawie: wypiął pierś, podniósł głos i napuszył się cały. Jego podziw wzrósł podwójnie, kiedy zobaczył kufry i walizy ze stemplami z podróży i dowiedział się, że ta niewysoka pani dotarła do Tybetu, co udało się niewielu.

Nie wiem, czy jedyną przyczyną przyjazdu mojej *oi poa* do Chile była chęć poznania mnie, podejrzewam, że bardziej interesowało ją kontynuowanie podróży. Wybierała się na Antarktydę i biegun południowy, gdzie nie stanęła jeszcze stopa kobiety, ale bez względu na to, jakie powody nią kierowały, ta wizyta miała dla mnie fundamentalne znaczenie. Bez niej moje życie byłoby nadal pełne mglistych stref, bez niej nie mogłabym spisać tych wspomnień. To właśnie ta babcia dostarczyła mi brakujących elementów układanki, jaką był moja egzystencja, opowiedziała mi o mojej matce, o okolicznościach, w jakich przyszłam na świat, i dała mi klucz do wyjaśnienia moich koszmarów. Pojechała ze mną do San Francisco, gdzie poznałam wujka Lucky'ego - zamożnego chińskiego kupca, który przy chodzeniu kołysał się jak kaczką, był gruby i absolutnie zachwycający - i dotarłam do dokumentów niezbędnych do wypełnienia luk w mojej historii. Wiąż między Elizą Sommers i Severem del Valle jest tak głęboka jak sekrety, jakie dzielili przez wiele lat; dla niej to on jest moim prawdziwym ojcem, ponieważ to mężczyzna, który kochał jej córkę i ożenił się z nią. Jedyną funkcją, jaką spełnił Matias Rodriguez de Santa Cruz, było dostarczenie mi części genów, zresztą w sposób całkowicie przypadkowy.

- On jest tu nieistotny, Lai-Ming, to, co zrobił on, może zrobić każdy. Severo dał ci nazwisko i czuł się za ciebie odpowiedzialny - przekonywała mnie.

- W takim razie dla mnie matką i ojcem była Paulina del Valle, bo nie dość, że noszę jej nazwisko, to jeszcze poczuwała się do odpowiedzialności za mnie. Inni przemknęli przez moje dzieciństwo jak komety, zostawiając zaledwie smugę gwiazdowego pyłu - odparłam jej argument.

- Przed nią twoimi rodzicami byliśmy Tao i ja, myśmy cię wychowywali, Lai-Ming - wyjaśniła mi, i słusznie, gdyż dziadkowie ze strony matki wywarli na mnie tak silny wpływ, że od trzydziestu lat czuję przy sobie ich obecność, i jestem pewna, że będą mi towarzyszyć do końca życia.

Eliza Sommers żyje z Tao Chi'eniem w innym wymiarze. Jego śmierć była dla niej ciężkim przeżyciem, jednak nadal kocha go jak dawniej. Babcia Eliza należy do tych istot, którym przeznaczona jest jedna wielka miłość; sądzę, że w jej sercu wdowy nie ma miejsca na żadną inną. Pochowawszy męża w Chinach, obok grobu Lin, jego pierwszej żony, i dopełniwszy buddyjskich rytuałów, tak jak on by sobie tego życzył, poczuła się wolna. Mogła wrócić do San Francisco i zamieszkać ze swym synem Luckym i jego młodą żoną, ale perspektywa życia w roli teściowej, budzącej szacunek i bojaźń zarazem, znaczyła dla niej pogodzenie się ze starością. Nie czuła się osamotniona i nie bała się przyszłości, ponieważ opiekuńczy duch Tao Chi'ena zawsze jest przy niej; właściwie teraz są bardziej razem niż kiedyś, gdyż nie rozstają się ani na chwilę. Przyzwyczyła się rozmawiać z nim po cichu, żeby w oczach ludzi nie uchodzić za obłąkaną, a w nocy śpi po lewej stronie łóżka, jemu jak zwykle zostawiając miejsce po prawej. Kiedy owdowiała, obudził się w niej dawny niespokojny duch buntu i przekory, który sprawił, że w pogoni za szczęściem i przygodą w wieku szesnastu lat uciekła z Chile do Kalifornii, ukrywając się jako pasażer na gapę w ładowni pewnego żaglowca. Przypomniła sobie chwilę olśnienia, jaką przeżyła w wieku osiemnastu lat, kiedy po nocy spędzonej na pustkowiu obudziło ją rzenie konia i zobaczyła pierwsze promienie wschodzącego właśnie słońca. Owego ranka zachłysnęła się wolnością. Spędziła noc sama pod drzewami, narażona na tysiące niebezpieczeństw grożących jej ze strony bandytów, dzikich Indian, węży, niedźwiedzi i innych zwierząt, jednakże po raz

pierwszy w życiu nie bała się. Wychowała się wbita w gorset, była ograniczana na ciele, duszy i wyobraźni, tak że wzbudzały w niej lęk nawet własne myśli, a teraz poczuła się wolna od wszelkich więzów. Musiała wyzwolić w sobie siłę, którą być może zawsze posiadała, ale o której do tamtej chwili nie wiedziała, gdyż nie musiała jej używać. Jako jeszcze bardzo młoda dziewczyna, będąc w ciąży, porzuciła bezpieczeństwo domowego ogniska, przekradła się na statek, gdzie straciła dziecko i mało brakowało, aby przyplącała to życiem, dotarła do Kalifornii i przywdziawszy męski strój, postanowiła przemierzyć ją od krańca do krańca. Potrafiła dać sobie radę sama na ziemi *machos*, rządzonej przez chciwość i przemoc, a po drodze nabrała odwagi i zagustowała w swobodzie. Nigdy nie doświadczyła równie intensywnej euforii przygody. Przeżyła trzydzieści lat jako potulna małżonka Tao Chi'ena, matka dzieciom i właścicielka cukierni, zainteresowana tylko tym, co było związane z jej rodzinnym domem w Chinatown, jednak ziarno posiane w tamtych latach włóczęgi pozostało w jej duszy nietknięte i tylko czekało na odpowiedni moment, aby wzejść. Po śmierci Tao Chi'ena, który stanowił w jej życiu jedyny stały punkt odniesienia, mogła znowu wyruszyć w świat. "W gruncie rzeczy zawsze byłam obieżyświatem, a najbardziej lubię podróżować bez wyznaczonego celu" - napisała w liście do syna Lucky'ego, Postanowiła jednak, że najpierw musi spełnić obietnicę złożoną swemu ojcu, kapitanowi Johnowi Sommersowi, że nie opuści ciotki Rose, gdy ta się zestarzeje. Z Hongkongu wyruszyła do Anglii, zdecydowana towarzyszyć starej damie w ostatnich latach jej życia; przynajmniej tyle mogła zrobić dla tej kobiety, która była dla niej jak matka. Rose Sommers miała ponad siedemdziesiąt lat i mocno podupadła na zdrowiu, ale nadal pisała powieści miłosne, wszystkie mniej więcej jednakowe, stając się najślawniejszą na świecie anglojęzyczną autorką romansów. Zdarzali się ciekawscy, którzy przyjeżdżali z daleka, aby popatrzeć na jej drobną postać, kiedy spacerowała po parku z psem; mówiono, że nawet królowa Wiktorja znajdowała pocieszenie w swoim wdowieństwie, czytając jej cukierkowe historie o miłości, która wszystko zwycięża. Przybycie Elizy, którą kochała jak córkę, było dla Rose ogromną pociechą, a ponieważ miała kłopoty z nadgarstkiem i z trudem mogła utrzymać w ręce pióro, zaczęła dyktować jej swoje powieści. Kiedy Rose zaczęła zawodzić jasność umysłu, Eliza tylko udawała, że notuje, w rzeczywistości pisała sama, a robiła to tak sprytnie, że ani wydawca, ani czytelnicy nigdy się tego nie domyślili; wszystko opierało się na jednym i tym samym schemacie. Po śmierci Rose Eliza zamieszkała w jej domku w dzielnicy cyganerii - bardzo drogiej, gdyż stała się niezwykle modna - odziedziczyła też spadek w postaci kapitału, jaki jej przyszywana matka zbiła na swoich romansidłach. Pierwsze, co zrobiła, to odwiedziła w San Francisco syna Lucky'ego i poznała swoje wnuki, które wydały jej się dosyć brzydkie i nudne, po czym wyruszyła w egzotyczne miejsca, wypełniając wreszcie swoje przeznaczenie włóczęgi. Należała do tego gatunku podróżników, którzy pragną dotrzeć tam, skąd inni ludzie uciekają. Nic nie dawało jej większej satysfakcji jak widok walizek oblepionych znaczkami i kalkomaniami z najodleglejszych krajów na kuli ziemskiej; nic nie napawało jej taką dumą jak przebycie podczas wędrówki jakiejś zakaźnej choroby czy ukąszenie przez nieznaną zwierzę. Całymi latami krążyła ze swymi podróżnymi kuframi, jednak zawsze zjeżdżała do domku w Londynie, gdzie czekały na nią listy od Severa del Valle. Dowiedziawszy się, że Paulina del Valle odeszła z tego świata, postanowiła wrócić do Chile - kraju, gdzie się urodziła, o którym jednak nie myślała od przeszło pięćdziesięciu lat - żeby spotkać się z wnuczką.

Może podczas tego długiego rejsu babcia Eliza wspominała pierwsze szesnaście lat swego życia w Chile, tym wietrznym kraju, który ciągnie się długim wąskim pasmem nad oceanem, dzieciństwo pod opieką dobrotliwej Indianki i pięknej Miss Rose, spokojną i bezpieczną egzystencję aż do czasu, gdy pojawił się kochanek, z którym zaszła w ciążę, a który opuścił ją, żeby wyruszyć na poszukiwanie złota Kalifornii, i nigdy nie dał znaku życia. Jako że babcia Eliza wierzy w karmę, pewnie doszła do wniosku, że owa długa wędrówka była niezbędna, aby mogła spotkać się z Tao Chi'enem, którego kocha we wszystkich jego wcieleniach, "Cóż za niechrześcijańska idea" - skomentował Frederick Williams, kiedy starałam mu się wyjaśnić, dlaczego Elizie nikt nie jest potrzebny.

Babcia Eliza przywiozła z sobą rozpadający się kufer, który mi wręczyła, mrużąc szelmowsko ciemne oczy. Zawierał poźółkłe rękopisy autorstwa "Anonimowej damy". Były to powieści pornograficzne napisane w czasach młodości przez Rose Sommers, co stanowiło kolejny, pilnie strzeżony sekret rodzinny. Przeczytałam je dokładnie w celach czysto praktycznych, z bezpośrednią korzyścią dla Ivana Radovica. Ta zabawna lektura (jak takie śmiałe sceny mogły przyjść do głowy wiktoriańskiej starej pannie?) oraz wyznania Nivei del Valle pomogły mi przezwyciężyć wstydlivość, która początkowo stanowiła dla mnie i dla Ivana przeszkodę niemalże nie do pokonania. Faktem jest, że tamtego dnia, kiedy mieliśmy iść na operetkę, rzuciłam się w samochodzie do całowania, zanim ten biedak zdołał zrobić cokolwiek w swojej obronie, lecz na tym moja odwaga się skończyła; później traciliśmy cenny czas z powodu mojej nieśmiałości i jego skrupułów, gdyż - jak mówił - nie chciał "zrujnować mojej reputacji". Niełatwo było go przekonać, że moja reputacja i tak już była dosyć nadszarpnięta, zanim on w ogóle pojawił się na horyzoncie, i nadal taka będzie, ponieważ nie zamierzam nigdy wrócić do męża ani zrezygnować z mojej pracy i niezależności, które tutaj są tak źle widziane. Po upokarzającym doświadczeniu z Diegiem wydawało mi się niemożliwe, abym mogła kiedykolwiek wzbudzić pożądanie albo stać się godna miłości; do mojej absolutnej ignorancji w materii seksualnej dochodziło poczucie niższości, uważałam, że jestem brzydka, niezgrabna, mało kobieca, wstydziłam się własnego ciała i namiętności, jaką budził we mnie Ivan. Rose Sommers, daleka przyszywana prababcia, której nie znałam, zrobiła mi fantastyczny podarunek - z tych rękopisów nauczyłam się owej figlarniej swobody, jakże niezbędnej w łóżku. Ivan bierze rzeczy zbyt serio, jego słowiański temperament skłania go do tragizowania, czasami pogrąża się w rozpacz, twierdząc, że nie będziemy mogli zamieszkać razem, dopóki mój mąż nie umrze, a wtedy z pewnością będziemy już zgrzybiałymi staruszkami. Kiedy nad jego głowę nadciągają te ciemne chmury, sięgam do rękopisów "Anonimowej damy"; odkrywam w nich coraz to nowe sposoby, dzięki którym udaje mi się sprawić mu przyjemność albo przynajmniej go rozśmieszyć. Starając się wprowadzić do naszego intymnego pożycia nieco wesołości, powoli wyzbyłam się wstydu i nabrałam pewności, jakiej nigdy nie miałam. Nie czuję się uwodzicielką; wpływ rękopisów nie sięgnął tak daleko, ale przynajmniej już nie boję się przejąć inicjatywy, zmuszając Ivana, żeby dotrzymywał mi kroku; gdyby nie to, gotów byłby popaść w rutynę. Niby dlaczego mielibyśmy kochać się jak stare małżeństwo, skoro nawet nie mamy ślubu? A będąc kochankami, ciągle musimy dbać o nasz związek, gdyż wszystko sprzysięga się przeciwko nam. Ciągle zadajemy sobie pytanie, czy nadal chcemy być razem, i dzięki temu stale jesteśmy czujni.

Oto historia, którą opowiedziała mi moja babcia Eliza Sommers.

Tao Chi'en nie mógł sobie darować śmierci córki Lynn. Na próżno żona i Lucky powtarzali mu, że nie jest w ludzkiej mocy przeszkodzić dokonaniu się czyjś przeznaczenia, że jako *zhong yi* zrobił wszystko, co możliwe, i że współczesna medycyna jest jeszcze bezsilna wobec krwotoku, przez który podczas porodu umiera tak wiele kobiet. Tao Chi'en czuł się tak, jakby chodził w kółko, aby na nowo znaleźć się tam, gdzie był przed trzydziestu laty, w Hongkongu, w chwili kiedy jego pierwsza żona Lin wydawała na świat córkę i zaczęła się wykrwawiać, a on, rozpaczliwie próbując ją ratować, przyrzekł niebiosom wszystko, co zechcą, w zamian za życie Lin. Po kilku minutach dziecko zmarło, a Tao pomyślał, że to cena za uratowanie żony. Nigdy nie przypuszczał, że w wiele lat później, po przeciwnej stronie świata, będzie musiał zapłacić życiem drugiej swojej córki, Lynn.

- Nie mów tak, ojczy, proszę - odpierał jego argumenty Lucky. - Tu nie ma mowy o zamianie jednego życia na drugie, to są przesady niegodne człowieka o twojej inteligencji i kulturze. Śmierć mojej siostry nie ma nic wspólnego ze śmiercią twojej pierwszej żony ani z tobą. Takie nieszczęścia zdarzają się co chwila.

- Na co mi tyle lat studiów i doświadczenia, skoro nie umiałem jej uratować? - zalił się Tao Chi'en.

- Miliony kobiet umierają przy porodzie, zrobiłeś dla Lynn, co mogłeś ...

Eliza Sommers po stracie jedynej córki była równie załamana jak jej mąż, lecz czuła się odpowiedzialna za małą sierotkę. Podczas gdy ona zasypiała na stojąco ze zmęczenia, Tao Chi'en nie mógł zmrzyć oka; całe noce medytował, krążył po domu jak lunatyk i ukradkiem płakał. Od wielu dni się nie kochali i sądząc po nastroju panującym w domu, nic nie wskazywało na to, aby w najbliższej przyszłości mogło się to zdarzyć. Po tygodniu Eliza wybrała jedyne rozwiązanie, jakie przyszło jej do głowy: podała wnuczkę Tao Chi'enowi do rąk i oznajmiła, że nie jest w stanie jej niańczyć, że przez ponad dwadzieścia lat swego życia jak niewolnica zajmowała się ich dziećmi Luckym i Lynn, i teraz nie ma już siły, żeby zaczynać wszystko od początku z małą Lai-Ming. Tao Chi'en stanął w obliczu konieczności zaopiekowania się noworodkiem, którego co pół godziny musiał karmić, podając mu pipetką rozwodnione mleko, gdyż dziecko z trudem przełykało, i bez przerwy kołysać, gdyż dzień i noc płakało z powodu kolki. Dziewczynka była maleńka i pomarszczona, miała skórę żółtą od żółtaczki hemolitycznej, rysy twarzy spłaszczone trudnym porodem i zupełnie łysą główkę, jednakże po dwudziestu czterech godzinach od chwili, gdy zaczął się nią opiekować, Tao Chi'en mógł już patrzeć na nią bez lęku. Po dwudziestu czterech dniach noszenia jej w torbie przewieszanej przez ramię, karmienia pipetką i spania z nią, zaczęła mu się wydawać zabawna. A po dwudziestu czterech miesiącach matkowania jej był już w swojej wnuczce całkowicie zakochany i przekonany, że będzie jeszcze piękniejsza niż Lynn, chociaż nic na to nie wskazywało. Dziewczynka wprawdzie wyładniała i nie była już takim brzydactwem jak zaraz po urodzeniu, jednak daleko jej było do matki. Tryb życia Tao Chi' ena - przedtem przebywał głównie w swojej klinice i tylko kilka godzin spędzał w zaciszu domowym z żoną - zmienił się całkowicie. Jego rozkład dnia podporządkowany był Lai-Ming, która nie odstępowała go ani na krok; trzeba było opowiadać jej bajki, śpiewać kołysanki do snu, zmuszać do jedzenia, chodzić z nią na spacer, kupować najpiękniejsze ubranka w sklepach amerykańskich i w Chinatown, pokazywać wszystkim na ulicy, gdyż nikt nigdy nie widział równie mądrej małej dziewczynki, tak przynajmniej uważał jej dziadek, wpatrzony w nią jak

w obraz. Był pewien, że jego wnuczka jest genialna, i żeby tego dowieść, rozmawiał z nią po chińsku i po angielsku, co - gdy doszedł jeszcze do tego hiszpański (w żargonie, jakim mówiła babcia) - spowodowało w jej głowinie pomieszanie z poplątaniem. Lai-Ming reagowała na bodźce Tao Chi'ena jak każde dwuletnie dziecko, jednak jemu wydawało się, że nieliczne trafne odpowiedzi wnuczki są niepodważalnym dowodem na jej nadzwyczaj wysoki poziom inteligencji. Ograniczył przyjmowanie pacjentów do kilku godzin po południu, tak że ranki mógł spędzać z wnuczką, którą uczył nowych sztuczek, jakby była tresowaną małpką. Niechętnie godził się, aby na czas jego pracy Eliza zabierała ją do herbaciarni, gdyż wpadł na pomysł, że już od dzieciństwa może zacząć wprowadzać ją w tajniki medycyny.

- W mojej rodzinie jest sześć pokoleń *zhong yi*, Lai-Ming będzie siódmym, jako że ty nie masz do tego najmniejszego powalania - oświadczył Tao Chi'en swemu synowi Lucky'emu.

- Myślałem, że tylko mężczyźni mogą być lekarzami - skomentował Lucky.

- Tak było kiedyś. Lai-Ming będzie pierwszą kobietą *zhong yi* w historii - odparł Tao Chi'en.

Jednak Eliza Sommers nie dopuściła do tego, aby tak małemu dziecku wbijać do głowy terminy medyczne, przyjdzie na to czas, na razie na kilka godzin dziennie trzeba wyprawdzać wnuczkę z Chinatown, żeby ją zamerykanizować. Przynajmniej co do tego dziadkowie byli zgodni: Lai-Ming powinna należeć do świata białych, gdzie niewątpliwie miała większe szanse rozwoju niż wśród Chińczyków. Na korzyść małej przemawiał fakt, że nie miała azjatyckich rysów; była taka "hiszpańska" jak jej rodzina ze strony ojca. Nie przychodziło mu do głowy, że Severo del Valle któregoś pięknego dnia mógłby wrócić, upomnieć się o swoją przyszywaną córkę i wywieźć ją do Chile, tak że nawet nie wspominali o takiej możliwości; założyli po prostu, że młody Chilijczyk uszanuje umowę, gdyż wcześniej aż nadto dowiódł swej szlachetności. Nie tknęli pieniędzy, które przeznaczył dla małej, tylko wpłacili je na konto z przeznaczeniem na jej przyszłą edukację. Co trzy lub cztery miesiące Eliza pisała do Severa del Valle krótki list, w którym opowiadała mu o jego "protegowanej", jak ją nazywała, dając mu jasno do zrozumienia, że nie uznaje jego praw rodzicielskich. W pierwszym roku nie dostała żadnej odpowiedzi, gdyż Severo był pogrążony w żałobie po śmierci Lynn, a poza tym poszedł na wojnę, ale później od czasu do czasu jej odpisywał. Pauliny del Valle nigdy już nie zobaczyli, nie pojawiła się więcej w herbaciarni i nie spełniła swojej groźby, że odbierze im wnuczkę i zrujnuje życie.

Tak w szczęściu i harmonii rodzina Tao Chi'ena przeżyła pięć lat, aż doszło do serii wydarzeń, które nieuchronnie miały doprowadzić do tragedii i rozpadu rodziny. Wszystko zaczęło się od wizyty dwóch pań, które przedstawiły się jako prezbiteriańskie misjonarki i poprosiły Tao Chi'ena o chwilę rozmowy na osobności. *Zhong yi* przyjął je w klinice, gdyż sądził, że przyszły po poradę; nie było innego wytłumaczenia dla faktu, że w jego domu nieoczekiwanie pojawiły się dwie białe kobiety. Wyglądały jak siostry: były młode, wysokie, miały różową cerę, oczy jasne jak woda w zatoce i obie promieniowały taką samą ufnością, jaka towarzyszy zazwyczaj religijnej żarliwości. Przedstawiły się imionami jako Donaldina i Martha i zaczęły wyjaśniać, że misja prezbiteriańska w Chinatown do tej pory zachowywała się z wielką ostrożnością i dyskrecją, nie chcąc obrażać społeczności buddyjskiej, ale teraz w jej szeregach wstąpili nowi członkowie, gotowi wprowadzić minimalne choćby normy chrześcijańskiej przyzwoitości w owym sektorze, który - jak się wyraziły - "nie jest

terytorium chińskim, tylko amerykańskim, a zatem nie można pozwolić, aby deptano tam prawo i moralność". Słyszały o *sing song girls*, jednak wokół handlu małymi dziewczynkami, sprzedawanymi i wykorzystywanymi w celach seksualnych, panowała zмова milczenia. Misjonarki wiedziały, że władze amerykańskie biorą łapówki i patrzą na ten proceder przez palce. Ktoś im powiedział, że Tao Chi'en jest jedynym człowiekiem, który miałby dosyć odwagi, aby opowiedzieć im prawdę i pomóc, i dlatego tu przyszedł. *Zhong yi* od lat czekał na tę chwilę. W swym żmudnym dziele ratowania owych nieszczęsnych dziewcząt liczył jedynie na ciche wsparcie kilku przyjaciół kwaków, którzy brali na siebie zadanie wywiezienia małych prostytutek z Kalifornii i udzielania pomocy w rozpoczęciu nowego życia z dala od bractw *tong* i sutenerów. Do niego należało kupowanie na tajnych licytacjach tyłu dziewcząt, za ile był w stanie zapłacić; dla tych, które były zbyt chore, aby pracować w burdelach, przeznaczył w swoim domu dwa pokoje; próbował wyleczyć ich ciała i pocieszyć dusze, jednak nie zawsze mu się to udawało i wiele z nich umierało mu na rękach. Tao Chi'en wiedział, że w miarę jak w Kalifornii przybywało chińskiej ludności, problem narastał, a on sam mógł zrobić bardzo niewiele. Te dwie misjonarki zesłało mu niebo; przede wszystkim miały poparcie potężnego Kościoła prezbiteriańskiego, a po drugie - były białe; mogły zmobilizować prasę, opinię publiczną i władze amerykańskie. Tak więc opowiedział im ze szczegółami o tym, jak się kupuje lub porywa te dziewczęta w Chinach, uświadomił im fakt, że chińskie społeczeństwo pogardza dziewczynkami i że w tym kraju noworodki płci żeńskiej często znajduje się utopione w studni albo porzucone na ulicy, zagryzione przez szczury czy psy. Rodziny ich nie chcą, dlatego tak łatwo kupić je za parę centów i sprowadzić do Ameryki, gdzie na każdej z nich można zarobić tysiące dolarów. Przewozi się je jak zwierzęta w wielkich skrzyniach w ładowniach statków, i te, którym uda się nie umrzeć z odwodnienia lub na cholere, wjeżdżają do Stanów Zjednoczonych na podstawie fałszywych umów małżeńskich. W oczach funkcjonariuszy urzędu emigracyjnego każda z nich ma jakiegoś narzeczonego, a ich młody wiek, pożałowania godny stan fizyczny i wyraz przerażenia w oczach najwidoczniej nie budzą niczyich podejrzeń. Dziewczęta te nikogo nie obchodzą. To, co ma się z nimi stać, to "sprawy żółtków", które w żadnym wypadku białych nie dotyczą. Tao Chi'en wyjaśnił Donaldinie i Marcie, że *sing song girls* od chwili podjęcia pracy w zawodzie żyją trzy do czterech lat: przyjmują do trzydziestu mężczyzn dziennie, umierają na choroby weneryczne, w wyniku poronień, zapalenia płuc, głodu albo złego traktowania; dwudziestoletnia chińska prostytutka należy do rzadkości. Nikt nie prowadzi dokumentacji dotyczącej ich życia, jednak ponieważ wjeżdżają do kraju z legalnymi dokumentami, trzeba prowadzić rejestr ich zgonów, na wypadek - co mało prawdopodobne - gdyby ktoś się o nie upomniał. Są tanie, można je w jednej chwili zastąpić innymi, nikt nie inwestuje w ich zdrowie, nikogo nie interesuje, jak długo będą żyły. Tao Chi'en podał misjonarkom przybliżoną liczbę dziewczynek przebywających w niewoli w Chinatown, powiedział, kiedy odbywają się licytacje i gdzie znajdują się burdele, poczynając od tych najędzniejszych, w których dziewczęta są traktowane jak zwierzęta w klatkach, aż do tych najbardziej luksusowych pod zarządem słynnej Ah Toy, która stała się największą w kraju importerką młodych ciał. Kupowała w Chinach jedenastoletnie dziewczynki i w trakcie rejsu do Ameryki oddawała je marynarzom, tak że w chwili przybycia potrafiły już powiedzieć "najpierw zapłać" i odróżniać czyste złoto od brązu, żeby nie dać się nabrać na ten "metal głupców". Dziewczęta Ah Toy były wybierane spośród najpiękniejszych i miały więcej szczęścia od

pozostałych, które licytowano niczym bydło i zmuszano do świadczenia usług najnikczemniejszym mężczyznom, nawet na najokrutniejsze i najbardziej upokarzające sposoby. Wiele z nich popadało w obłęd, zachowywało się jak dzikie zwierzęta; te trzeba było przykuwać łańcuchami do łóżek i odurzać narkotykami. Tao Chi'en podał misjonarkom nazwiska trzech czy czterech zamożnych i poważanych chińskich kupców, w tym własnego syna Lucky' ego, którzy mogli im pomóc, ponieważ jako jedyni z tego środowiska wyrażali pogląd, że ten proceder należy wyeliminować. Donaldina i Martha, którym ręce się trzęsły, a oczy zaszyły łzami, zanotowały wszystko, co powiedział Tao Chi' en, potem podziękowały mu i na odchodnym zapytały, czy - kiedy przyjdzie czas na działanie - mogą na niego liczyć.

- Zrobię, co będę mógł odparł *zhong yi*.

- My również, panie Tao Chi'en. Prezbiteriańska misja nie spocznie, póki nie położy kresu tej perwersji, choćbyśmy musiały siekierami roztrzaskać drzwi do jaskiń występku - zapewniły go.

Na wieść o tym, co zrobił ojciec, Lucky'ego Chi'ena ogarnęły złe przeczucia. Znał układy w Chinatown znacznie lepiej niż Tao i zdawał sobie sprawę, że popełnił on błąd nie do naprawienia. Dzięki swym zdolnościom i sympatycznemu usposobieniu Lucky miał przyjaciół we wszystkich warstwach chińskiej społeczności; od lat prowadził dochodowe interesy i wygrywał - niezbyt wygórowane sumy, za to systematycznie - przy stołach do gry w *fan tan*. Pomimo młodego wieku był bardzo lubiany i powszechnie szanowany, nawet przez bractwa *tong*, które nigdy go nie niepokoiły. Za ich milczącym przyzwoleniem i godząc się na warunek, że nie będzie się mieszał do poważniejszych spraw, od lat pomagał ojcu w ratowaniu *sing song girls*; doskonale rozumiał, że aby przeżyć w Chinatown potrzebna jest absolutna dyskrecja; złoty środek polegał na tym, aby nie mieszać się w sprawy białych - budzących lęk i zniechęconych *fan güey* - i wszystko, a zwłaszcza krwawe porachunki, załatwiać w gronie rodaków. Wcześniej czy później wyjdzie na jaw, że jego ojciec donosi misjonarkom, a te - władzom amerykańskim. Nie ma lepszego sposobu, żeby ściągnąć na siebie nieszczęście, i on, Lucky, już nie będzie w stanie ich przed tym nieszczęściem uchronić. To właśnie Lucky powiedział Tao Chi'enowi i tak też się stało w październiku 1885 roku, kiedy skończyłam pięć lat.

Los mojego dziadka został przesądzony pewnego wtorku, kiedy dwie młode misjonarki w towarzystwie trzech rosłych irlandzkich policjantów i starego Jacoba Freemonta, dziennikarza wyspecjalizowanego w sprawach kryminalnych, w pełnym blasku dnia wkroczyły do Chinatown. Ruch na ulicy zatrzymał się i zgromadzony tłum ruszył w ślad za grupą niespotykanych w tej dzielnicy przedstawicieli *fan güey*, którzy zdecydowanym krokiem skierowali się w stronę jakiegoś nędznego domostwa; zza jego wąskich drzwi wychylały się umalowane ryżowym proszkiem i karminem twarzyczki *sing song girls*, wabiących klientów pomiaukiwaniem i wystawionymi na pokaz piersiami, drobnymi jak u młodych suczek. Na widok zbliżających się białych dziewczynki zniknęły w głębi domu, krzycząc ze strachu, a w drzwiach ukazała się jakaś wściewka starucha, która powitała policjantów litanią przekleństw w swoim języku. Na znak dany przez Donaldinę jeden z Irlandczyków chwycił siekiere i ku osłupieniu tłumu przystąpił do rozwalania drzwi. Przez wąskie wejście biali wdarli się do środka, słychać było krzyki, odgłosy bieganiny i rozkazy

wydawane po angielsku, i nim upłynęło piętnaście minut, pojawili się znowu na ulicy, pędząc przed sobą tuzin przerażonych dziewczynek i wlokąc wierzgającą staruchę; prowadzili też trzech mężczyzn, którzy widząc wymierzone w siebie lufy pistoletów, wyszli z budynku ze spuszczoneymi głowami. Podniosła się wrzawa i paru gapiów próbowało ruszyć na intruzów, ale powstrzymało ich kilka strzałów w powietrze. *Fan güey* zapakowali dziewczynki i pozostałych zatrzymanych do zamkniętego wozu policyjnego i odjechali. Przez resztę dnia mieszkańcy Chinatown komentowali całe zajście. Nigdy przedtem policja nie interweniowała w tej dzielnicy z powodów, które nie dotyczyły białych. Wśród władz amerykańskich panowała wielka tolerancja wobec obyczajów "żółtków", jak ich nazywano; nikt nie zadawał sobie trudu, żeby zainteresować się palarnią opium czy salonem gry, a już tym bardziej losem małych niewolnic - dla białych była to jeszcze jedna groteskowa perwersja "niebiańskiego ludu", tak samo ważna, jak jedzenie psów gotowanych w sosie sojowym. Jediną osobą, która nie okazała zdziwienia, lecz zadowolenie, był Tao Chi'en. Sławny *zhong yi* o mało nie został pobity przez kilku płatnych morderców jednego z bractw, kiedy w restauracji, w której zawsze jadał z wnuczką obiady, głosem wystarczająco donośnym, aby przedarł się przez gwar panujący w lokalu, wyraził swoją satysfakcję z faktu, że nareszcie władze miasta zajęły się sprawą *sing song girls*. Chociaż klienci przy sąsiednich stołach w większości byli zdania, że w społeczności składającej się prawie wyłącznie z mężczyzn małe niewolnice stanowią niezbędny artykuł konsumpcyjny, to jednak wystąpili w obronie Tao Chi'ena, gdyż cieszył się w dzielnicy dużym szacunkiem. Gdyby nie skuteczna interwencja właściciela restauracji, doszłoby do bójki. Tao Chi'en wyszedł z lokalu obrażony, jedną ręką prowadząc wnuczkę, a drugą trzymając zawinięty w papier obiad.

Możliwe, że zajście w burdelu nie pociągnęłoby za sobą poważniejszych konsekwencji, gdyby w dwa dni później nie powtórzyło się to samo w innym miejscu: te same prezbiteriańskie misjonarki, ten sam dziennikarz i ci sami irlandzcy policjanci pojawili się na innej ulicy, tym razem jednak dodatkowo mieli wsparcie czterech oficerów i dwóch wielkich ostrych psów, szarpiących się na łańcuchach. Operacja trwała osiem minut i Donaldina i Martha zabrały siedemnaście dziewczynek, dwie stręczycielki, paru płatnych morderców i kilku klientów, którzy wyszli, przytrzymując spodnie. Wieść o tych wydarzeniach i planach prezbiteriańskiej misji i rządu *fan güey* rozeszła się lotem błyskawicy po Chinatown i dotarła również do zapuszczonych nor, w których wegetowały niewolnice. Pierwszy raz w ich nędznym życiu pojawił się jakiś promyk nadziei. Na nic zdały się groźby, że zdechną pod kijami, ani przerażające opowieści o białych szatanach, które chcą porwać je po to, żeby wyssać z nich krew; od tej chwili dziewczęta szukały sposobu, żeby wiadomość o nich dotarła do uszu misjonarek, i w ciągu kilku tygodni akcje policji i komentujące je artykuły w prasie zwielokrotniły się. Nareszcie przebiegłe pióro Jacoba Freemonta przysłużyło się dobrej sprawie. Dziennikarz wstrząsnął sumieniami obywateli, prowadząc efektowną kampanię na rzecz straszliwie traktowanych małych niewolnic w samym sercu San Francisco. Stary dziennikarz niedługo potem miał umrzeć, nie zdążywszy przekonać się o skuteczności swoich artykułów, za to Donaldina i Martha ujrzały owoce swej żarliwej działalności. W osiemnaście lat później poznałam te dwie kobiety podczas podróży do San Francisco; nadal mają różową cerę, a w oczach ten sam mesjanistyczny zapal, nadal codziennie krążą po Chinatown, zawsze czujne, ale nie wołają już za nimi "przeklęte *fan güey*" i nikt nie pluje im pod nogi, kiedy przechodzą. Teraz zwracają się do nich *lo mo*,

kochana mateczko, i kłaniają się im na powitanie. Uratowały tysiące ludzkich istnień i zlikwidowały haniebnny handel dziewczynkami, chociaż nie udało im się wykorzenić innych form prostytucji. Dziadek Tao Chi'en byłby bardzo zadowolony.

W drugą środę listopada Tao Chi'en jak każdego dnia poszedł po Lai-Ming do herbaciarni swojej żony przy Plaza de la Unión. Mała popołudniami zostawała z babcią Elizą, dopóki *zhong yi* nie przyjął ostatniego pacjenta i po nią nie przyszedł. Od domu dzieliło ich zaledwie siedem przecznic, ale Tao Chi' en lubił spacerować dwiema głównymi ulicami Chinatown właśnie o tej porze, kiedy w sklepach zapalały się papierowe lampiony, ludzie kończyli pracę i wychodzili dokupić produkty brakujące do kolacji. Trzymając wnuczkę za rękę, przechadzał się po targowiskach, gdzie na wielkich stosach piętrzyły się zamorskie owoce, na hakach wisiały lakierowane kaczkę i wszędzie pełno było grzybów, owoców morza, owadów, zwierzęcych organów i egzotycznych roślin. Jako że nikt nie miał czasu gotować w domu, Tao Chi'en z uwagą wybierał dania na kolację; niemal zawsze te same, gdyż Lai-Ming była bardzo wybredna. Dziadek kusił ją, dając jej popróbować po trochu smakowitych kantońskich duszonych potraw, sprzedawanych na rozstawionych na ulicy straganach; zazwyczaj osiągnęli kompromis i wybierali te same *chow mein* i wieprzowe żeberka. Tamtego dnia Tao Chi' en miał na sobie nowy garnitur, uszyty przez najlepszego w mieście chińskiego krawca, którego klientelę stanowili sami dystyngowani mężczyźni. Od wielu lat nosił się z amerykańską, lecz odkąd otrzymał obywatelstwo tego kraju, starał się ubierać z wyszukaną elegancją, którą traktował jako wyraz szacunku dla nowej ojczyzny. Bardzo dobrze prezentował się w doskonale skrojonym ciemnym garniturze, wykrochmalonej koszuli z eleganckim plastronem, płaszczu z angielskiego sukna, cylindrze i giemzowych rękawiczkach w kolorze kości słoniowej. Wygląd małej Lai-Ming kontrastował z utrzymanym w stylu zachodnim strojem dziadka. Dziewczynka miała na sobie ocieplane spodnie i jedwabną pikowaną kurteczkę w jasnych barwach z przewagą żółtej i błękitnej, obie części ubrania tak grube, że poruszała się w nich jak miś. Włosy jej były splecione w ciasny warkocz, na głowie miała czarną haftowaną czapeczkę, modną w Hongkongu. Oboje przyciągali uwagę tłumu, którego przytłaczającą większość stanowili mężczyźni ubrani w typowe czarne spodnie i tuniki, noszone tak powszechnie, że zdawało się, iż cała chińska ludność jest umundurowana. Ludzie przystawali, żeby przywitać się z *zhong yi*, ci którzy nie byli jego pacjentami, przynajmniej znali go z widzenia i nazwiska, kupcy zaś, pragnąc wkraść się w łaski dziadka, obsypywali wnuczkę drobnymi prezentami: raz był to fosforyzujący skarabeusz w drewnianej klateczce, innym razem papierowy wachlarz albo ciasteczko. O zmierzchu w Chinatown zawsze panował świąteczny nastrój, słychać było głośnie rozmowy, targi i nawoływania do kupna. Wszędzie unosił się zapach wrzącego oleju, przypraw, ryb i śmieci, gdyż odpadki wyrzucano wprost na ulicę. Dziadek i wnuczka zajrzeli do sklepów, w których tradycyjnie robili zakupy, zagadnęli mężczyzn siedzących w kucki na chodniku i grających w madžonga, odwiedzili kącik zielarza, żeby odebrać lekarstwa, które *zhong yi* zamówił w Szanghaju, na krótko przystanęli przy salonie gry, by z ulicy popatrzeć na stoły, przy których grano w *fan tan*, gdyż Tao Chi'ena fascynował hazard, choć unikał go jak ognia. Wypili również po filiżance zielonej herbaty w sklepie wujka Lucky' ego, gdzie mogli podziwiać ostatni transport antyków i rzeźbionych mebli, który właśnie nadszedł, po czym spokojnym krokiem skierowali się w stronę domu. Nagle podbiegł do nich jakiś wielce wzburzony chłopak, błagając *zhong yi* o natychmiastową pomoc, gdyż zdarzył się wypadek:

mężczyzna został kopnięty w pierś przez konia i pluje krwią. Tao Chi' en, nie wypuszczając z ręki dłoni wnuczki, pospiesznie ruszył za nim jakąś boczną uliczką, potem kolejną i jeszcze jedną, klucząc wąskimi przejściami owej dzielnicy o szalonej topografii, aż znaleźli się w jakimś zaułku bez wyjścia, ledwo widocznym w słabym blasku papierowych lampionów, które niczym baśniowe robaczki świętojańskie świeciły się w niektórych oknach. Chłopak zniknął. Tao Chi' en uświadomił sobie, że wpadł w pułapkę, i próbował zawrócić, ale było już za późno. Z mroku wyszła grupa mężczyzn uzbrojonych w kije i otoczyła go. Tao Chi'en w młodości ćwiczył walki Wschodu, a za pasem pod marynarką zawsze nosił nóż, jednak żeby się bronić, musiałby wypuścić rękę dziewczynki. Miał jeszcze dość czasu, aby zapytać, czego chcą i co się dzieje, i usłyszał imię Ah Toy, a tymczasem mężczyźni ubrani w czarne tuniki i także spodnie, z twarzami zasłoniętymi chustkami, tańczyli wokół niego, po czym otrzymał pierwszy cios w plecy. Lai-Ming poczuła, że ktoś ciągnie ją w tył, i próbowała przytulić się do dziadka, jednak ukochana dłoń puściła ją. Widziała, jak kije spadają na ciało jej dziadka, widziała, jak z jego głowy tryska strumień krwi, widziała, jak dziadek pada na twarz, widziała, jak dalej go bili, aż został z niego jedynie skrwawiony tłumok rozciągnięty na ulicznym bruku.

"Kiedy przyniesiono Tao na zaimprovizowanych noszach i zobaczyłam, co mu zrobili, coś wewnątrz mnie pękło na tysiąc kawałków niczym kryształowy dzban i raz na zawsze wyciekła ze mnie zdolność do miłości. Czułam się wyschnięta od środka. Już nigdy nie byłam tą samą osobą. Jesteś mi bardzo droga, Lai-Ming, tak samo jak Lucky i jego dzieci, tak samo jak Miss Rose, ale kochać mogę tylko Tao. Bez niego na niczym mi specjalnie nie zależy; każdy przeżyty dzień to dla mnie jeden dzień mniej w długim oczekiwaniu na chwilę, kiedy znowu się z nim połączę" - wyznała mi babcia Eliza Sommers. Dodała, że było jej mnie żal, gdyż w wieku pięciu lat przyszło mi być świadkiem skatowania ukochanej osoby, jednak sądziła, że czas wyleczy mnie z urazu. Myślała, że moje życie przy Paulinie del Valle, z dala od Chinatown, wystarczy, bym zapomniała o Tao Chi'enie. Nie przypuszczała, że scena w zaułku na zawsze zostanie w moich koszmarnych snach, ani że zapach, głos i delikatny dotyk rąk dziadka będą mnie prześladować na jawie.

Kiedy przyniesiono go do domu, Tao Chi'en jeszcze żył, po osiemnastu godzinach odzyskał świadomość, a po kilku dniach mógł mówić. Eliza Sommers wezwała dwóch amerykańskich lekarzy, którzy wielokrotnie zasięgaliby opinii *zhang yi*. Ich diagnoza była tragiczna: miał złamany kręgosłup i nawet gdyby przeżył, co było mało prawdopodobne, byłby sparaliżowany. Nauka nic nie mogła dla niego zrobić, orzekli. Obmyli mu tylko rany, z grubsza poskładali pogruchotane kości, zszyli głowę i zostawili narkotyki w hurtowych ilościach. Tymczasem zapomniana przez wszystkich wnuczka przykucnęła w kącie przy łóżku dziadka, wołając cichutko *oi goa!, oi goa...!!*, nie pojmując, dlaczego jej nie odpowiada, dlaczego nie pozwalają jej do niego podejść, dlaczego nie może spać wtulona w jego ramiona, jak zawsze. Eliza Sommers podawała choremu leki z taką samą cierpliwością, z jaką usiłowała nakłonić go do przełknięcia zupy, którą karmiła go przez lejek. Nie uległa rozpaczce; spokojnie i bez szlochania całe dnie czuwała przy mężu, aż w końcu przez spuchnięte wargi i powybijane zęby mógł do niej przemówić. *Zhang yi* nie miał cienia wątpliwości, że w takim stanie nie chce żyć, i powiedział to żonie, prosząc ją, aby nie dawała mu jeść ani pić. Głęboka miłość i intymność, jaką dzielili przez ponad trzydzieści lat, pozwalała im czytać sobie wzajemnie w myślach; nie potrzebowali wielu słów. Jeśli nawet

Eliza zamierzała błagać męża, żeby nadal żył unieruchomiony w łóżku, choćby tylko po to, żeby nie zostawić jej na tym świecie samej, przemilczała te słowa, gdyż zbyt mocno go kochała, aby prosić o podobne poświęcenie. Tao Chi'en ze swej strony nie musiał niczego wyjaśniać, ponieważ wiedział, że jego żona zrobi wszystko, co będzie trzeba, aby pomóc mu umrzeć z godnością, podobnie jak on zrobiłby to dla niej, gdyby znalazła się w podobnej sytuacji. Pomyślał, że nie ma również po co nalegać, aby zawiozła jego ciało do Chin, gdyż nie wydawało mu się to już takie ważne i nie chciał zrzucić na barki Elizy jeszcze jednego ciężaru, ale ona i tak postanowiła to zrobić. Żadne z nich nie miało siły na rozmowę o tym, co było oczywiste. Eliza stwierdziła po prostu, że nie jest w stanie pozwolić mu umrzeć z głodu i pragnienia, gdyż mogło to trwać wiele dni albo nawet tygodni, a ona nie może dopuścić, aby przeżywał tak długą agonię. Tao Chi'en wiedział, co można zrobić. Powiedział, żeby poszła do jego kliniki i w jednym z gabinetów poszukała niebieskiej buteleczki. W pierwszych latach ich znajomości Eliza pomagała mu przy chorych i nadal to robiła, ilekroć nie było asystenta, potrafiła przeczytać chińskie oznaczenia na pojemnikach i zrobić zastrzyk. Lucky wszedł do pokoju, żeby dostać ojcowskie błogosławieństwo, i natychmiast wybiegł, zanosząc się od płaczu. "Ani Lai-Ming, ani ty, Elizo, nie powinnyście się martwić, bo nie zostawię was bez opieki, zawsze będę w pobliżu, żeby się o was troszczyć, nic złego nie może spotkać żadnej z was" - wyszeptał Tao Chi'en. Eliza wzięła wnuczkę na ręce i przysunęła ją do dziadka, żeby się mogli pożegnać. Na widok jego opuchniętej twarzy dziewczynka skuliła się przestraszona, ale nagle spostrzegła czarne źrenice, które patrzyły na nią z tą samą co zawsze niewzruszoną miłością, i wtedy go rozpoznała. Uczepiła się ramion dziadka i całując go, i wołając z rozpaczą, zalewała go gorącymi łzami, aż w końcu oderwano ją od niego, wyniesiono na zewnątrz i wylądowała na rękach u wujka Lucky' ego. Eliza Sommers wróciła do pokoju, w którym przeżyła ze swym mężem tyle szczęścia, i zamknęła za sobą drzwi.

- I co się wtedy stało, *oi poa?* - spytałam.

- Zrobiłam to, co musiałam, Lai-Ming. A zaraz potem położyłam się obok Tao i długo go całowałam. Jego ostatni oddech należał do mnie ...

Epilog

Gdyby nie babcia Eliza, która przybyła z daleka, żeby rozjaśnić mroczne zakamarki mojej pamięci, oraz te tysiące fotografii, nagromadzonych u mnie w domu - jak mogłabym opowiedzieć tę historię? Musiałabym ją wykreować, uciekając się do wyobraźni, za cały materiał mając jedynie przemijające losy wielu obcych ludzi i kilka błahych wspomnień. Pamięć jest jak fikcja literacka. Wybieramy to, co najjaśniejsze i najciemniejsze, odrzucając to, co napawa nas wstydem, i w ten sposób tkamy rozłożysty dywan naszego życia. Za pomocą fotografii i słowa pisanego rozpaczliwie usiłuję uchwycić i utrwalić ulotne momenty mojej egzystencji, zanim się rozpląną, rozplatać zagmatwane ścieżki mojej przeszłości. Bierzemy oddech - i chwila, w której to robimy, natychmiast mija i staje się przeszłością, rzeczywistość jest efemeryczna i jest czystą nostalgią. Na moich zdjęciach i na stronicach mojej książki wspomnienia są żywe; stanowią dla mnie punkt zaczepienia, dzięki któremu mam dostęp do prawdy, wymykającej mi się, ale jednak prawdy; dowodzą, że wszystkie te wydarzenia faktycznie miały miejsce i że te postaci rzeczywiście spotkałam na mej drodze. Dzięki temu mogę wskrzesić moją mamę, zmarłą w chwili, gdy ja się rodziłam, toczące ze sobą wojnę babcie i mądrego dziadka Chińczyka, nieszczęsnego ojca i innych członków mojej rodziny - rodziny, w której wszyscy mamy mieszaną, gorącą krew. Piszę, żeby odsłonić dawne sekrety dotyczące mojego dzieciństwa, zdefiniować moją tożsamość, stworzyć moją własną legendę. W końcu jedyne, czego mamy pod dostatkiem, to nasza pamięć, to, co w niej zachowujemy. Każdy wybiera tonację, w jakiej opowiada swoją własną historię; chciałabym móc zdecydować się na mocny blask platynowej odbitki, jednak w mojej przeszłości nic nie jest wyraźne. Pełno w niej ciemnych barw i nieokreślonych odcieni, pilnie strzeżonych tajemnic, niejasności; tonacja, w jakiej winnam opowiadać historię mojego życia, przywodzi raczej na myśl portret w sepii ...

Spis treści

Część pierwsza 1862-1880

Część druga 1888-1896

Część trzecia 1896-1910

Epilog